

EVAN

CURRIE



**POŚRÓD
WROGÓW**

EVAN
CURRIE



***POŚRÓD
WROGÓW***

Przekład Janusz Kaiser



Warszawa 2023

Tytuł oryginału: *Among Enemies*

Text copyright © 2021 Evan Currie
All rights reserved

Projekt okładki: Tomasz Maroński

Redakcja: Karolina Kaiser

Korekta: Agnieszka Pawlikowska

Skład i łamanie: Karolina Kaiser

Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:

Drageus Publishing House Sp. z o.o.

ul. Kopernika 5/L6

00-367 Warszawa

e-mail: drageus@drageus.com

www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-67053-74-7

ISBN MOBI: 978-83-67053-75-4

Prolog

Sorilla grzmotnęła o ziemię, prześlizgując się na plecach pod jęzorem ognia wykręcającym czasoprzestrzeń tuż nad jej głową. Metalstormy w jej dłoniach warknęły autonomicznie kierowanym ogniem, kosząc dwa cele, podczas gdy kobieta skupiła się na trzecim. Z impetem zatrzasnęła jego nogi w swoich, z łatwością podcinając zwalistego mężczyznę.

Ledwo zdążył jęknąć, nim cios opancerzonym łokciem pozbawił go przytomności. Sorilla wykorzystała uderzenie, by odbić się od przeciwnika i opaść na jedno kolano. W tej pozycji znieruchomiała, z wolna przeczesując wzrokiem pomieszczenie.

– Pomieszczenie kontroli, czysto.

– Wrogowie w korytarzach zostali wyeliminowani – zameldował chwilę później Kriss przez radio.

Gdy reszta Lucjan meldowała się z podobnymi komunikatami, Sorilla zaczęła powoli się uspokajać. W końcu ponownie odezwał się Kriss:

– Cel zabezpieczony.

– Wchodzę w strefę walki – odezwał się przez słuchawki Sienele.

Sorilla stała już wyprostowana, gdy obaj obcy weszli do pomieszczenia kontrolnego. Kriss zauważył ciała i pokiwał głową z uznaniem, ale Sienele całkowicie skupił się na sprzęcie, którego tak zawzięcie bronili.

– Czy komputery są sprawne? – zapytał z naciskiem.

Sorilla przytaknęła, wsuwając pistolety do kabur.

– Moja broń była ustawiona wyłącznie na wrogów. Nie ma strat.

– Wyśmienicie. – Sienele posłał Krissowi rozbawione spojrzenie. – Niektórzy członkowie Sojuszu mogliby rozważyć takie... subtelności.

Kriss prychnął.

– A gdzie w tym zabawa?

Sienele nie zaprzętał sobie głowy dalszym przekomarzaniem i skupił się na przejętej konsoli.

Trop nierejestrowanej broni zaprowadził ich do tej placówki, ale był to jedynie punkt przeładunkowy, a nie wytwórczy. Niemniej sam fakt, że ochrona była gotowa na walkę, gdy tylko pojawili się z dokumentacją audytorską, stanowił mocną wskazówkę, że coś tu śmierdzi.

Sorilla spoglądała Sienele przez ramię, jednocześnie nagrywając wszystko przez implanty i ucząc się obsługi systemów Sojuszu. Obcy przebił się przez dane z wprawą, jaką może dać tylko doświadczenie i rutyna. Mimo to minęło kilkanaście minut, nim w końcu wyprostował się nad konsolą i powiedział:

– To przemytnicy. – Westchnął. – Prawie na pewno nie mieli styczności z naszym celem. Nawet nie wiedzieli, z kim się zadają.

Kriss warknął.

– Jesteś pewien?

– Na tyle, na ile mogę być pewien, mając tak niewiele czasu na zapoznanie się z dowodami – odparł Sienele spokojnie. – Oczywiście przekażę materiał do szczegółowej analizy. Bez wątpienia da nam to pełniejszy ogląd sytuacji, ale wątpię, by ujawniło cokolwiek więcej na temat naszego głównego celu.

Pobieżnie zlustrował martwych i nieprzytomnych.

– Z pewnością znacząco poszerzy się też zakres zarzutów przeciwko tym zdrajcom... Nie żeby było to jeszcze potrzebne.

– To co teraz? – burknął Kriss.

– Będziemy musieli namierzyć części składowe i udać się do lokalizacji, gdzie miały być wytwarzane, licząc na to, że coś tam znajdziemy.

Sorilla pokręciła głową.

„Trochę to zajmie”.

Świat Haydena, subkontynent

Cassius pociągnął łyk z kubka, patrząc w gwiazdy. Rozmyślał nad wiadomością, którą właśnie otrzymał.

Chłopcy z SOLCOM-u zdawali się nieco nadgorliwi. Gdyby ktoś go pytał o zdanie, nazwałby ich raczej zadzierającymi nosa smarkaczami, żeby tak pisać o jego córce – że uciekła z wrogiem. Oficjalnie przeszła na emeryturę i zdecydowała się poświęcić nieco

czasu na „wymianę kulturową”. Zaś nieoficjalnie... Cassius umiał czytać między wierszami.

SOLCOM nie chciał zakończyć sprawy i odwołał Sorillę, nim była na to gotowa.

Dawniej przełknęłaby to jakoś i posłuchała rozkazu, ale teraz była już na emeryturze. Cassius znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że etap ślepego posłuszeństwa miała już za sobą. Wiedział to od chwili, gdy dowiedział się o kupnie ziemi tu, na Haydenie.

„Przynajmniej SOLCOM nie chce jej powiesić” – pomyślał ponuro.

Nie żeby w ogóle mieli taką możliwość. Za dużo szumu narobili wokół jej heroizmu w czasie wojny. Zwrócenie się przeciwko niej zaszkodziłoby im dużo bardziej niż zostawienie jej wolnej ręki, tym bardziej że wciąż miała poparcie generała brygady.

Mattan osobiście pojawił się na Haydenie, by przekazać Cassiusowi wieści – przynajmniej te, które mógł ujawnić.

„Szczwany, wyleniały lis” – podsumował go Aida w myślach.

Doprawił oficjalny przekaz wystarczającą liczbą wskazówek, by dało się z tego złożyć sensowną całość. Wydawał się też szczerze żałować, że nie przywiózł ze sobą Sorilli.

Dla Cassiusa nie miało to większego znaczenia. Jego córka poleciała w siną dal i w promieniu lat świetlnych wokół niej nie było żadnego człowieka. Roześmiał się, nieco już podchmielony.

„Pewnie czujesz się jak w niebie, dziewczyno. Wróc cała i zdrowa”.

Świat Sojuszu, Orkana

Sorilla rozglądała się ciekawie, schodząc po rampie statku wraz z Sienele i Lucjanami. Dotknęła lekko urządzenia na swojej szyi, włączając filtrowanie powietrza.

Orkana była światem prawie zdolnym do podtrzymania ludzkiego życia, choć nie była tak dobrze przystosowana jak choćby Hayden. Normalnie Aida nie potrzebowałaby filtracji, nie na krótki pobyt. Niestety, Orkana była jednym ze światów przemysłowych Sojuszu, drażono tu i wyrywano z ziemi surowce od pokoleń, zaopatrując w nie inne zamieszkałe planety. Przy takiej degradacji środowiska

niefiltrowane powietrze mogłoby zabić Sorillę w ciągu jednego dnia, a przynajmniej zafundować jej długofalowe problemy zdrowotne.

– Witamy na Orkanie, pani pułkownik – oznajmił Kriss z przesadną uprzejmością, głęboko zaciągając się zanieczyszczonym powietrzem. – To miejsce to...

Urwał, szukając w myślach odpowiedniego słowa.

– Jak wy to mówicie? Wrzód na dupie Sojuszu?

Sorilla skinęła lekko, uśmiechając się pod nosem.

– Co bardziej wrażliwi nazwaliby to raczej ością w gardle, ale tak, rozumiem, co masz na myśli. Jestem w szoku, że miejscowy ekosystem wciąż się trzyma.

Kriss wzruszył ramionami.

– Ekosystemy planetarne okazują się zaskakująco odporne. Wiele światów oberwało znacznie bardziej niż ten, a i tak jakoś się pozbierały, gdy Sojusz zakończył wydobywanie. Za kilkaset lat nawet tu może być jeden wielki ogród.

Sorilla posłała mu sceptyczne spojrzenie, co z jakichś przyczyn go rozbawiło.

– Oczywiście to miejsce nie będzie nadawało się do życia dla większości gatunków w ciągu najbliższych kilku dekad – wtrącił się Siennele z nutą odrazy w głosie. – Sojusz porzuci wtedy tę planetę, obsiewając ją bazową roślinnością, która zamieni ją w świat żywieniowy. Takie światy nie wymagają surowców, które są tu aktualnie wydobywane.

Sorilla pokręciła głową, ale nie miała właściwie nic do dodania. Rozumiała logikę takich działań, ale jej ludzka wrażliwość buntowała się na takie podejście. W przeszłości Ziemia za bardzo zbliżyła się do stanu, jaki Sorilla mogła właśnie obserwować na własne oczy, i wciąż jeszcze nie odrobiła tamtych strat. Pomysł potraktowania całego ekosystemu jako planety jednorazowego użytku wykręcał jej trzewia, ale znając Sojusz, dokładnie tak było.

Ziemia nie dysponowała wystarczającą liczbą planet, by wykształcić takie myślenie. Prawdę mówiąc, Sorilla miała nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Chwilowo miała jednak inne sprawy na głowie.

– No to gdzie ta fabryka? – zapytała.

Żwir trzeszczał pod jej stopami, gdy spoglądała to w jedną, to w drugą stronę drogi prowadzącej od lądowiska. Kriss puknął ją w ramię i wskazał mającą w oddali paskudną kanciastą konstrukcję. Wyglądała jak zimnowojenne dzieło radzieckich budowniczych. Choć nie można było odmówić jej solidności, od samego patrzenia odechciewało się czegokolwiek.

– No dobra, poszukajmy tych waszych zdrajców – mruknęła Aida.

Kriss wyszczerzył zęby w uśmiechu i skłonił się z zapraszającym gestem.

– Z przyjemnością.

Ruszyli w dół drogi w stronę topornego, betonowego budynku.

„Ktoś tu mieszka. Cholera”.

Kilku miejscowych wyszło sprawdzić, co się dzieje. Sorilla podejrzewała, że zaciekawili ich niespodziewani goście. Kriss mówił, że zazwyczaj planeta odwiedzana jest jedynie przez zautomatyzowane frachtowce – lądowanie, załadunek, wylot.

Miejscowi reprezentowali gatunek, z którym Sorilla nie miała wcześniej większego kontaktu. Sporadycznie widywała jego przedstawicieli podczas wcześniejszych misji dyplomatycznych w przestrzeni Sojuszu. Nie wiedziała nawet, jak nazywa się tych obcych. Zawsze gdzieś się kręcili, ale nigdy nie byli częścią jakichkolwiek oficjalnych spotkań czy wydarzeń.

– Co to za gatunek? – zapytała.

Kriss nawet się nie obejrzał.

– Sirhanie. Pomniejsza kultura. Dołączyli do Sojuszu ledwie sto lat temu, według waszej rachuby. Nie opracowali jeszcze technologii lotów kosmicznych, ale chętnie najmują się do najpodlejszych prac. Nie pamiętam, gdzie leży ich świat, ale dołączyli do Sojuszu, by zyskać ochronę przed jakimś niesprzymierzonym gatunkiem...

– Jara – wtrącił jeden ze Strażników.

– Tak, przed Jara. Nie miałem przyjemności – odparł Kriss.

Gdyby rozmawiała z kimkolwiek innym, Sorilla założyłaby, że nie miał przyjemności poznać przedstawicieli gatunku, ale że był to

Kriss i jego Strażnicy, domyślała się, że chodzi raczej o przyjemność walki z nimi.

– Na powierzchni niczym się nie wyróżniają – dodał Strażnik, który wtrącił się wcześniej do rozmowy. – Natomiast ich zdolności bojowe w przestrzeni są godne uznania.

– Czyżby? Nawet przeciwko Pari? – Kriss był zaintrygowany.

– Ich umiejętności są zdecydowanie odmienne, ale tak, nawet przeciwko Pari. Jara dysponują potężnymi okrętami, które bardzo trudno uszkodzić. Sprawiali Sojuszowi pewne problemy, póki nie spotkali się na polu bitwy z Ross. To... skłoniło ich do odwrotu.

Sorilla prychnęła.

– Potężna jednostka oznacza dla Ross jedynie nieco większe bum.

Strażnicy pokiwali głowami.

Przeciwko konwencjonalnej broni sama masa stanowi znaczącą ochronę. Okręty SOLCOM-u były jednorodnymi odlewami niklowo-żelaznymi z aktywnym pancerzem ceramicznym. Śmiały się w twarz atomówkom detonującym na powierzchni kadłuba i bez mrugnięcia okiem parły dalej do walki.

Ale przeciwko zaworom grawitacyjnym Ross? Cały ten metal i pancerz stanowił jedynie pożywkę dla indukowanego grawitacją rozszczepienia, które w mgnieniu oka przemieniało okręt w gwiazdę. Masa dawała jej co najwyżej więcej paliwa.

Sorilla przyglądała się mijającym ich miejscowym, ale ci jedynie spoglądali na przybyszów z mieszaniną ciekawości i niepokoju. Byli brudni, ale całą okolicę okrywała warstwa pyłu, która zdawała się rosnąć w oczach. Sorilla czuła, jak brud lepi się jej do włosów, i zaczęła żałować, że nie założyła hełmu.

Nie chciała jednak przedstawiać się innym jako pozbawiona twarzy maszyna, bo to znacząco upośledzałoby jej możliwości. Pod tym względem gatunki Sojuszu nie różniły się specjalnie od ludzi, jak zdążyła się już boleśnie przekonać. Nikt nie chciał rozmawiać z anonimową maską.

Kilka chwil później wraz z towarzyszami dotarła do bram fabryki. Sienele poszedł przodem i wylegitymował się, okazując ochronie niezbędne pozwolenia. Zautomatyzowany system udzielił im dostępu.

Gdy wchodzili na teren fabryki, Sorilla przypatrywała się obserwującym ich strażnikom tak długo, póki nie zasłoniła ich zamykająca się brama. Nie zauważyła u nich śladu desperacji i po części tego właśnie się spodziewała, ale coś jej nie pasowało. Nie umiała tego określić.

„Nie widują tu zbyt wielu obcych” – pomyślała bez przekonania. Raczej nie o to chodziło, ale nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać. Brama zamknęła się za nią i jej kompanami, więc ruszyli w stronę przytłaczającej bryły budynku fabryki.

Ktoś na nich czekał przy wejściu – większa grupka, ale żadnego Sirhanina. Nikt nie wychodził poza budynek na niefiltrowane powietrze. Sorilla odnotowała to w systemie. Taka informacja bardzo ją interesowała, ale chwilowo nie była istotna dla misji.

Sienele poprowadził towarzyszy do wnętrza przez system śluz powietrznych, które stopniowo zmieniały atmosferę. Sorilla zauważyła, że jej system filtrów automatycznie dostosowuje się do zmieniającego się otoczenia. Technologia Sojuszu zrobiła na niej niemałe wrażenie. Przy tej ilości gatunków żyjących w różnorodnych środowiskach Sojusz musiał opracować rozwiązania pozwalające przetrwać w jak najszerszym spektrum warunków zewnętrznych.

Sorilla jednocześnie była pod wrażeniem, ale i zaniepokoiła się faktem, że te imponujące rozwiązania obejmują już także ludzkie potrzeby środowiskowe.

Zwolniła nieco, by niezauważenie przenieść się na tyły ich grupy. Sienele i Kriss poszli przodem, by się przedstawić i okazać niezbędne pozwolenia. Po misji na Allahu Akbar stało się jasne, że gdzieś na przemysłowym zapleczu Sojuszu działa kret. Teraz musieli się zabawić w eradykację szkodników.

Fabryki zbrojeniowe od zawsze były najtrudniejsze do upilnowania, przynajmniej na Ziemi. Broń palna i biała, a nawet co dziwniejsza broń ręczna funkcjonująca na peryferiach głównego nurtu, miały nieskomplikowaną konstrukcję nie bez przyczyny. Naprawdę egzotyczny sprzęt był z zasady bardzo drogi i trudny w utrzymaniu.

Laser, który mógłby przeciąć czołg na pół, to superzabawka, ale kompletnie nieprzydatna, jeśli nikt nie umiałby jej obsługiwać, zasilać czy choćby udźwignąć. W praktyce oznaczało to, że dobra

broń musiała być niewymyślna, ale przez to pełna kontrola jej produkcji i dystrybucji była praktycznie niemożliwa.

Według Sorilli było to w zasadzie pozytywne zjawisko. Swego czasu badała rolę uzbrojenia w kontekście rozwoju społeczeństw, więc miała świadomość, że bez broni – czy podobnego „wyrównywacza szans” – demokracja nie mogła zaistnieć w żadnej formie. Nie wierzyła jednak we frazes, że „uzbrojone społeczeństwo to grzeczne społeczeństwo”, a przynajmniej że „grzeczność” znaczy to, co myślą idioci głoszący takie bzdety. Pojedynki również mogą być bardzo grzeczne, a i tak kończą się trupami na ulicy. Uzbrojone społeczeństwo to uzbrojone społeczeństwo – i tyle.

Nie zmienia to faktu, że broń pozwalała na redystrybucję władzy. Wyciągała jedną strzałę z kołczanów bogaczy i oddawała ją masom. Może i była to najslabsza ze strzał, ale i tak miała znaczenie.

W tym zakresie Sojusz zdawał się mieć podobne nastawienie co Ziemia. Sprzęt musiał być wytrzymały oraz możliwy do naprawy w trakcie misji, a to przekładało się na ograniczoną kontrolę nad jego produkcją.

Co Sojusz mógł kontrolować, to źródła zasilania.

Magazynowanie energii stanowi wyzwanie, zwłaszcza gdy trzeba zadbać o zgodność ze specjalnie opracowanymi złączami. A szczegóły tych rozwiązań da się już opanować, jeśli sprawuje się ścisłą kontrolę nad tym, ile danych technicznych trafia do publicznej wiadomości.

Właśnie dlatego Sorilla i jej towarzysze przybyli na tę planetę, do tej fabryki.

Orkana była głównym ośrodkiem produkcji amunicji i źródeł zasilania dla broni ręcznej, zaopatrującym cały Sojusz.

Sorilla uśmiechnęła się pod nosem, obserwując miny na twarzach przedstawicieli wielu gatunków, którzy przyglądali się oficjalnym dokumentom upoważniającym do czegoś na kształt audytu, kierowanego bezpośrednio z wywiadu Sojuszu. Aida z zainteresowaniem odnotowywała fizjologiczne reakcje na skrajny stres. Odczytywanie języka ciała obcych było bardzo trudne, więc ucieszyła ją niespodziewana porcja świeżych danych.

Sienele wpatrywał się bez wyrazu w zarządcę fabryki, przedkładając mu dokumenty. Uznał, że nieodgadniony wyraz twarzy jest bardziej onieśmielający. Spojrzenia tak twarde, że można nimi ostrzyć noże, zostawiał dla Lucjan.

„Wygląda na to, że jeden z Lucjan faktycznie ostrzy właśnie nóż... Mógłbym przysiąc, że dobrze się bawi, zgrywając osiłka”.

– Ja... ja nie rozumiem, wysłanniku... – Zarządca fabryki zaczął się jąkać. – Złożyliśmy wszystkie wymagane przez Sojusz dokumenty...

Sienele przerwał mu gestem.

– Inspekcja jest związana z informacjami pozyskanymi podczas misji na dwóch peryferyjnych światach, zarządcu. Siły Lucjan przejęły pewien... osprzęt, który mógł zostać wyprodukowany jedynie w tej fabryce.

Sienele skinął na Krissa i jego oddział, ledwie powstrzymując się od prychnięcia na widok ich szerokich uśmiechów. Lucjanin, który dotąd ostentacyjnie ostrzył nóż, odstawił niezłą szopkę, podsuwając zarządcy pod nos ów osprzęt.

Prawdę mówiąc, dobrze, że ekipa fabryki była tak zastraszona. W przeciwnym razie ten teatrzyk zostałby najpewniej kompletnie wyśmiany.

Zarządca był jednak zbyt pochłonięty przeglądaniem dokumentów, blady i roztrzęsiony przewijał na komputerze kolejne strony.

– Nie rozumiem – powiedział po chwili. – Nie widzę tu nic podejrzanego. Rokrocznie produkujemy takich miliardy. Nie da się śledzić wszystkich.

– Jeśli rokrocznie produkujecie miliardy sztuk sprzętu klasy wojskowej bez nadanych numerów seryjnych, to czeka nas bardzo długa rozmowa.

Zarządca cofnął się zdumiony.

– Bez numerów... Nie, to nie jest możliwe!

– A jednak się stało, a my dowiemy się dokładnie, jak... i dlaczego.

Sienele uśmiechnął się sucho, co zdawało się przerażać zarządcę jeszcze bardziej niż stojący za nim Lucjanie.

„Znakomicie”.

1

Orkana, zakład produkcyjny Sojuszu

Po kilku godzinach śledztwa Lucjanie byli już gotowi roznieść budynek fabryki z czystej nudy, a Sorilla musiała przyznać, że jej też niewiele brakowało.

„Kiedyś miałam więcej cierpliwości” – pomyślała samokrytycznie.

Teraz oczywiście sytuacja była inna. Sorilla mogła spędzić dni, tygodnie, nawet miesiące w dżungli czy w terenie, ucząc innych swojego fachu. Do tego nigdy nie brakowało jej cierpliwości.

Ale papierkowa robota?

Nie bardzo.

Na szczęście tą częścią śledztwa nie musiała się zajmować osobiście. Prawdę mówiąc, wątpiła, by w ogóle istniała taka możliwość. Swoją obecność w przestrzeni Sojuszu zawdzięczała wyrozumiałości Sienele i osobistej zachciance Krissa. Rząd Sojuszu zdawał się niczym nie interesować, choć Sorilla miała świadomość, że to raczej tylko pozory. Na miejscu rządzących również ukrywałyby swoje podejrzenia.

„Właściwie ja bym siebie w ogóle nie wpuściła w pobliże tej fabryki” – pomyślała, ubierając w słowa własne podejrzenia.

Sojusz znał już jej specjalizację, a mimo to pozwolił jej poznać lokalizację głównego dostawcy uzbrojenia? To było lekkomyślne i głupie, chyba że kryło się w tym coś innego. Oczywiście, że kryło się w tym coś innego...

Pytanie co?

Możliwe, że Sojusz podtykał jej fałszywe informacje, licząc na to, że przekaże je SOLCOM-owi. Możliwe, ale mało prawdopodobne. Cokolwiek by przekazała, nie zdałoby się na wiele, chyba że

SOLCOM planowałyby natychmiastowe uderzenie. Sojusz musiał wiedzieć, że szanse na coś takiego są znikome.

Być może po prostu nie będzie mogła opuścić przestrzeni Sojuszu.

To odrobinę mniej nieprawdopodobny scenariusz. Nie miała złudzeń, że ktokolwiek z Sojuszu uroniłby łzę, gdyby dokonała tu żywota, tropiąc swojego białego wieloryba, ale jakoś nie wyczuwała wokół siebie takich fluidów.

Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem było to, że pozwalano jej zdobyć jakieś bazowe informacje, które – choć prawdziwe – miały ograniczoną wartość wywiadowczą. W zamian Sojusz korzystał z jej usług, może i niewiele znaczących, ale Sorilla lubiła myśleć, że jest dobra w swojej robocie. Dodatkowo dawała drugiej stronie wgląd w swoje szkolenie i możliwości, co pozwalało w jakimś stopniu przewidywać, czego można spodziewać się po jednostkach specjalnych SOLCOM-u.

Jednocześnie jednak Sorilla sama korzystała z usług Sojuszu, przemieszczała się w jego granicach i pozyskiwała dane o tutejszych technikach szpiegowskich, operacjach specjalnych, a także normach kulturowych. Uważała, że zdecydowanie lepiej wyszła na tej wymianie, zakładając, że dobrze rozegrała miejscowych.

W końcu była to gra.

Jednak w tym konkretnym momencie gra była PRZERAŻLIWIE nudna.

Administratorzy fabryki wydawali się uczciwi, a przynajmniej tak Sorilla przypuszczała, obserwując mowę ciała obcych. Przyglądała się również Sienele, którego łatwiej jej było odczytać, i wydawał się podzielać jej opinię.

Fabryka najwyraźniej radziła sobie coraz lepiej.

Co to oznaczało, tego Sorilla nie była pewna.

Sienele i Kriss zdawali się absolutnie przekonani, że żaden inny ośrodek nie mógł wyprodukować sprzętu, który znaleźli podczas wspólnej operacji. Nie była pewna, jak to w ogóle możliwe, ale postanowiła założyć, że towarzysze wiedzą, co mówią.

„Co to w takim razie oznacza? Sprzęt musi pochodzić z tej fabryki, ale jej administratorzy są szczerze zszokowani taką możliwością. Zatem szeregowi pracownicy?”

Sorilla przemierzyła salę konferencyjną, którą wraz z towarzyszami zajęła na czas sprawdzania dokumentacji, i podeszła

do przeszklonej ściany, za którą rozciągał się widok na halę produkcyjną.

Nie przypominała w niczym ziemskich fabryk. Ciągnęła się na długie mile we wszystkich kierunkach. Dla kogoś o zupełnie odmiennym wykształceniu przeznaczenie poszczególnych maszyn było całkowitą zagadką. Za to załoga jak załoga... Wyglądali inaczej niż ludzie, obco, ale poruszali się jak ludzie. Gdy nie mieli nic do roboty, kręcili się bez celu. Sorilla zauważyła kilka grup, które najwyraźniej urządziły sobie pogaduszki dla zabicia czasu. Ale ogólnie zajmowali się swoją pracą, nawet jeśli czasami dziwaczną, i zdecydowana większość z nich była dokładnie taka, jak opisali ich Sienele i Kriss.

„Najpodlejsza praca”.

Ci pracownicy nie mieli znaczenia.

Implanty Sorilli rozbłysły, gdy wyławiała spośród załogi tych, którzy do niej nie pasowali.

Jeden z pracowników zwrócił jej uwagę. Stał sam, beczynnie, jakieś sto metrów od przeszklonej ściany sali konferencyjnej. Sorilla skupiła na nim wzrok, wzmacniając obraz płynnymi soczewkami.

„Patrzy prosto na nas. Jest nerwowy. Ciekawe”.

Istniało kilka możliwych ścieżek do rozmontowania od środka firmy czy dowolnej organizacji.

Przekupienie szefostwa jest zawsze skuteczne, ale bywa też bardzo kosztowne i trzeba być bardzo, **BARDZO** ostrożnym, by nie wyłapał tego pierwszy lepszy audyt. Administracja miałaby odpowiednie dojścia, ale z zasady nie jest za dobra w maskowaniu swoich śladów. Tacy pracownicy myślą, że są sprytni, gdy nieprawidłowo księgują dokumenty albo podpinają coś pod inne wpisy budżetowe.

Może i wystarczyłoby to przy pobieżnej kontroli, ale problem tkwił w tym, że wszystkie informacje wciąż gdzieś jednak figurowały. Dostatecznie wnikliwe badanie ujawniłoby wszystkie takie wpisy, nawet jeśli uporządkowanie dokumentacji zajęłoby sporo czasu.

Inne podejście dotyczyło szeregowych pracowników.

Nie mieli jak tuszować dużych zamówień ani ukrywać wyników produkcji w budżetach innych działów, ale mogli zgłosić maszyny

jako wyłączone z produkcji i przekazane do naprawy, podczas gdy te pracowałyby nocami, produkując sprzęt całkowicie poza dokumentacją z materiałów oznaczonych jako odpady produkcyjne.

Tu jedna zmiana, tam kilka innych – i można ukryć całkiem pokazną produkcję, która wciąż gubi się w granicach normalnych strat tak dużej fabryki.

Sorilla w ciszy przemaszerowała przez salę, stając tuż za plecami Sienele.

– Jeden z pracowników ciągle gapi się w okna tej sali i nie wygląda na szczęśliwego – szepnęła po angielsku, wiedząc, że agent nauczył się tego języka już jakiś czas temu.

Sienele wydawał się nie reagować, ale gdy Sorilla odeszła, widziała, jak zerka w stronę przeszklenia.

– Chcielibyśmy, by ktoś oprowadził nas po obiekcie – oznajmił Sienele po jakimś czasie, patrząc na zarządcę wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu.

– Oprowadził...? Oczywiście, przedstawimy proces... – zaczął obcy z przesadnym entuzjazmem.

– Nie. – Sienele uniósł dłoń. – Nie proces, tylko obiekt. Cały.

Zarządca przez chwilę wpatrywał się tępo w Sienele, po czym nagle zrozumienie wypełniło jego oczy autentycznym przerażeniem.

– Ale... wysłanniku... – zaczął się jąkać – nie jestem pewien, czy pojmujesz, jak wielka jest nasza fabryka...

Sienele tylko uśmiechnął się cierpko.

„Zarządca miał rację z tą wielkością” – pomyślała Sorilla, gdy zaczęli „zwiedzać” fabrykę.

Obiekt rozciągał się na setki mil kwadratowych, a poziomy nad i pod ziemią zwielokrotniały i tak już niewiarygodną powierzchnię produkcyjną.

Z wielu względów ziemskie fabryki dawno odeszły od wielkoskalowych instalacji. Sorilla podejrzewała, że podobnie było w Sojuszu. Wciąż jednak ekonomia skali bardzo wspomagała niektóre rodzaje produkcji. Najwyraźniej tak było w przypadku

przemysłu zbrojeniowego, szczególnie gdy trzeba wyposażyć całe galaktyczne imperium.

Sorilla ignorowała słowa przewodnika, choć jej implanty wszystko nagrywały. Interesowało ją przede wszystkim, jak na nietypową inspekcję reagują pracownicy.

Widziała wiele ciekawskich spojrzeń, ale i kilka gniewnych. Większość z nich ignorowała. Ciekawość jest naturalna, a narzekanie na robotę to podstawowe prawo każdego uczciwego pracownika, więc i złość nie była niczym dziwnym.

Sorilla szukała strachu.

Oczywiście zawsze znajdzie się ktoś, kto kombinuje. Podkradanie materiałów biurowych, odrobina defraudacji... sprawy, które firmy co prawda tropią i tępią, ale przy tym przewidują i uwzględniają w swoich budżetach. Sorilla szukała czegoś większego niż zwyczajne machlojki.

„Z ludźmi byłoby znacznie łatwiej”.

Obcy z Sojuszu byli pod wieloma względami zaskakująco podobni do ludzi. Sorilla nie do końca umiała uchwycić, na czym polegało to podobieństwo. Chyba po prostu pewne zachowania okazały się naprawdę uniwersalne. Strach, gniew, podstawowe emocje łatwo było rozpoznać przy minimalnych różnicach między gatunkami. Niuansów mimiki nie dało się przewidzieć, więc mowę ciała obcych Sorilla odczytywała tylko do pewnego stopnia, ale wystarczało jej to do uchwycenia ogólnego kontekstu.

Oprowadzający ich po fabryce zarządca rozwodził się nad szczegółowymi aspektami produkcji, co Sorilla przykładowo nagrywała, ale puszczała całkowicie mimo uszu. Skupiała się na pracownikach, którzy trzymali się z tyłu, obserwując jej ekipę z dystansu.

W większości kierowała nimi zwykła ciekawość, ale nie minęło wiele czasu, nim Sorilla zauważyła kogoś, kto obserwował inspekcję z wyraźną obawą.

Był to jeden z roboli, jak określiliby go Sienele i Kriss.

„Sirhanin”.

Było ich tu wielu, co miało sens. Prymitywna technologicznie kultura ceniła sobie skromny zarobek, który dla Sojuszu zdawał się

wręcz śmieszny, i nie uchylała się przed ciężką harówką, której nie opłacało się automatyzować.

Na Ziemi również tak bywało. Zaawansowane technologicznie gadżety zmieniały się jak w kalejdoskopie, co kilka miesięcy musiała wyjść jakaś nowa wersja. Koszt ciągłego przerabiania automatów był znacznie wyższy niż zatrudnienie niewykwalifikowanych pracowników, którzy zrobią to samo za grosze.

Pracowników z niezaawansowanych technologicznie środowisk łatwo się szkoliło i wykonywali powierzone zadania za ułamek tego, czego zażądałoby ich wyspecjalizowani odpowiednicy.

Nie mieli jednak żadnego poczucia lojalności.

Tak to było z różnymi środowiskami.

Sorilla przyjrzała się jednemu z pracowników, który zerkał na grupę z nieskrywanym niepokojem. Co tak naprawdę przykuło jej uwagę, to inne miejsce, gdzie co chwilę kierował spłoszone spojrzenia. Podążyła za jego wzrokiem, próbując coś dostrzec.

Klepnęła Krissa lekko w ramię i skinęła głową w kierunku korytarza. Spojrzał na nią, potem w korytarz, mruknął pod nosem i zwrócił się do przewodnika:

– Co tam jest?

Sienele i zarządca spojrzeli na niego zaskoczeni nagłym wtrąceniem.

– Eee... yhm... głównie magazyny – odparł przewodnik, nieco zmieszany. – Komponenty z innych fabryk, materiały, nic istotnego z punktu widzenia przebiegu procesu produkcyjnego.

Sienele wpatrywał się w Krissa, zastanawiając się, skąd takie pytanie. Lekkie drgnienie na twarzy Lucjanina kazało mu spojrzeć na Sorillę. Rozluźnił się wyraźnie i skinął lekko głową.

– Zajrzyjmy tam – powiedział. – Zboczymy na chwilę z drogi, jeśli nic nie stoi na przeszkodzie.

– Oczywiście... możemy się tam udać – zgodził się zarządca. – Nie jestem pewien, co mogłoby was tam zainteresować, ale rzecz jasna możemy tam zajrzeć.

Ruszyli długim korytarzem i wkrótce wokół nich rozciągała się już tylko przestrzeń magazynowa. Zgodnie ze słowami zarządcy nie widzieli nic ciekawego, tylko ściany efektywnie zorganizowanych regałów.

Sorilli nie interesowały regały ani pudła. Wiedziała, że coś może się tu kryć. Schowanie w takim miejscu kontrabandy nie było wielką sztuką, ale to jej nie obchodziło. Szukała śladów grubszej sprawy.

Po godzinie monotonnej wędrówki zarządca zwrócił się do Sienele:

– Jak widzicie, tu naprawdę nie ma nic ciekawego. – W jego głosie usłyszeli żalotne nutki. – Zwyczajny magazyn.

Sienele przytaknął z wahaniem, zerkając ukradkiem na Sorillę.

– Tak, widzę.

– Może przejdźmy dalej? Pełna prezentacja i tak będzie bardzo długa. – Zarządca wyraźnie pragnął kontynuować obchód, choć wydawało się, że po prostu chciał mieć już to wszystko za sobą.

– Dobrze. – Sienele westchnął, widząc, że dalsze szwendanie się po magazynie nic im nie da. – Wróćmy do głównej prezentacji.

Wracali tą samą drogą. Implanty Sorilli cały czas pracowały w trybie wykrywania wzorców, skanując wszystko wokół w poszukiwaniu czegokolwiek wyłamującego się ze schematu. Bez efektów.

Nagle zatrzymała się, czując charakterystyczny skręt żołądka, i wyćwiczonym ruchem uniosła zaciśniętą pięść.

Lucjanie zatrzymali się natychmiast, odruchowo zajmując pozycje wokół niej z bronią w gotowości. Kriss patrzył uważnie na Sorillę.

Sienele po prostu się zatrzymał, ale zarządca praktycznie trząsał się ze strachu, patrząc na grupę żołnierzy, których postawa nie pozostawiała złudzeń.

– Co to ma znaczyć...?! – krzyknął, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– O co chodzi? – spytał Kriss.

– Ross.

Jedno słowo wystarczyło. Kriss w mgnieniu oka trzymał karabin w gotowości. Nawet Sienele sięgnął po ukrytą na plecach niedużą broń.

– Jesteś pewna? – spytał, rozglądając się uważnie wokół.

Sorilla przytaknęła.

– Jest tu co najmniej ich technologia.

Powoli odwróciła się w miejscu i wskazała w głąb magazynu.

– Tam, ale niżej. Dużo niżej.

2

Sienele zorientował się, że od dłuższej chwili wpatruje się w podłogę. Wyprostował się i spojrzał na zarządcę.

– Ile kondygnacji w dół liczy sobie obiekt?

– Dziesięć, ale znam na wylot każde piętro. Zapewniam, pod nami nie ma niczego nieprawidłowego.

– Hmm. – Sienele z namysłem pokiwał głową. – A na jaką odległość rozciąga się tych dziesięć pięter?

– Musiałbym sprawdzić dokładne wartości w dokumentacji, ale powiedziałbym, że mniej więcej między sto a sto trzydzieści lithometów.

Sorilla zastanowiła się chwilę, próbując oszacować wartość nieznaną jednostki. Opierając się na wysokości sklepienia piętra, na którym przebywali, musiało to być jakieś sto metrów... z dużym hakiem. Zmarszczyła czoło.

– Jeśli dobrze przeliczam ten... lithomet, sygnał pochodzi ze znacznie większej głębokości.

– To niemożliwe. Planeta została dokładnie zbadana, nim zbudowano fabrykę. Odkrylibyśmy obiekt tego rodzaju, a po zakończeniu budowy z pewnością niczego więcej tu nie zainstalowano.

Sorilla spojrzała na zarządcę wrogo.

– Kto prowadził te badania?

– Wystarczy – uciął Sienele, rzucając Sorilli ostrzegawcze spojrzenie. – Pamiętaj, że jesteśmy tu gośćmi.

Sorilla pochyliła głowę i cofnęła się bez słowa, pozwalając Sienele podjąć rolę dobrego gliny.

– Moja... przyjaciółka bywa nieco nadgorliwa – zaczął pojednawczo – ale obawiam się, że jej pytanie jest uzasadnione. Czy wie pan, kto prowadził badania?

– Nie – przyznał zarządca. – Z pewnością ta informacja znajduje się w dokumentacji, ale badania zakończono, zanim dołączyłem do projektu. Zakładam, że prowadził je dział rozwoju właściwy dla tego sektora.

Sorilli niewiele to mówiło, ale porozumiewawcze spojrzenie między Sienele a Krissem zdradzało, że coś zdecydowanie jest na rzeczy.

„Oni wiedzą, o co chodzi”.

– Oczywiście – gładko odparł Sienele. – Oczywiście... Sprawdzimy to, ale z pewnością ma pan słuszność. A tymczasem czy byłby pan tak uprzejmy i poprowadził nas na dolne kondygnacje?

Zarządca wyglądał na zmieszanego, wręcz zagubionego, ale szybko się otrząsnął i ruszył dalej.

– Tędy.

Windy były przepastnymi konstrukcjami przemysłowymi. Sorilla i Strażnicy spoglądali po sobie porozumiewawczo, gdy przepuszczali zarządcę przodem, rozbawieni nieco faktem, że równolegle podjęli tę samą decyzję.

Obcy nie wyglądał jednak, jakby miał jakiegokolwiek podejrzenie intencje – ot, zwyczajny gryziopiórek. Gdy wszyscy weszli do windy, ruszyli w dół.

Sorilla nie poczuła przyspieszenia, ale zmiany w doznaniach wywołanych technologią Ross dawały jej pojęcie o tym, jak szybko opadali. Była zszokowana, jak imponująca to prędkość. Nie minęło kilka sekund, a drzwi windy rozsunęły się na poziomie dziesiątej kondygnacji pod ziemią.

Piętro zajmowała otwarta przestrzeń zagrożona czymś, co wyglądało na maszyny produkcyjne – na ile Sorilla mogła stwierdzić. Oczywiście nie miała pewności. Sprzęt w niczym nie przypominał jej małej armii dronów MOFAB na Haydenie, ale fakt, że maszynki stale wypluwały z siebie jakieś produkty, dość jednoznacznie określał ich przeznaczenie.

Nigdzie nie widziała jednak surowców ani żadnych możliwości ich dostarczania.

– Narzędzia produkcyjne? – rzuciła do Krissa.

Strażnik mruknął:

– Standardowe komercyjne fabrykatory, tak byście to chyba nazwali.

– Z jakich surowców korzystają?

Spojrzał na nią zdziwiony, unosząc brew.

– Z energii, a z czego innego?

– Aha – stwierdziła tylko Sorilla.

„Konwersja energii do materii?”

Wiedziała, że teoretycznie jest to możliwe. Okręty SOLCOM-u wykorzystywały wysoką moc reaktorów do mniej więcej tego samego, ale na zupełnie inną skalę. Możliwość zbitcia kilku elektronów, protonów i neutronów w cząsteczkę wodoru czy tlenu to niezły plan awaryjny dla okrętu, nawet jeśli jest znacznie bardziej energochłonny niż eksploatacja komet na wejściu lub wyjściu z systemu.

Ale używanie samej tylko energii do tworzenia gotowych produktów? To kompletne science fiction.

„To musi wymagać niewiarygodnej energii”.

Energia była elementarnym wyznacznikiem cywilizacji. Zużycie energii stanowiło najbardziej podstawowy miernik rozwoju danej kultury. Jaskiniowcy, którzy ledwo opanowali ogień, postawili pierwsze kroki na drodze ku cywilizacji. Okiełznanie sił natury, rozszczepienie atomu, wytwarzanie antymaterii... na podstawie tych wyznaczników naukowcy określali stopień zaawansowania cywilizacji.

Ziemska kultura dokonała już tego wszystkiego, choć w różnym stopniu, można więc było ją uznać za cywilizację typu pierwszego według najbardziej chyba popularnej skali Kardaszewa. Sorilla miała jednak pełną świadomość, że nic, co znała z Ziemi, nie mogłoby zapewnić zasilania dla sprzętu znajdującego się w tym jednym pokoju.

„Jakim sposobem nie przegraliśmy tej wojny od razu?”

Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek Sorilla chciała dowiedzieć się, co stało się z grupą bojową Walkiria. Powstrzymanie nacierającej floty Sojuszu zakrawało na cud.

Na szczęście otaczający ją teraz przedstawiciele Sojuszu pozostawali nieświadomi jej myśli, więc podążyła za nimi przez obszerne hale produkcyjne, obserwując i nagrywając przez rozświetlone implanty całą różnorodność sprzętów.

– Pani pułkownik – zwrócił się do niej Sienele – czy namierzyła pani źródło sygnału Ross?

Sorilla przytaknęła i zatrzymała się na chwilę, by odfiltrować sprzeczne dane z implantów i ponownie określić dokładny kierunek.

Jej prototypowy zestaw implantów zawierał mikroakcelerometry, które według SOLCOM-u miały stanowić dla żołnierzy system wczesnego ostrzegania przed atakami Ross. To się niestety nie sprawdziło, głównie dlatego, że nim procesor zdołał wyłapać małe odchylenie między akcelerometrami wszczepionymi w kostkę i czaszkę, było już zdecydowanie za późno na jakiegokolwiek działanie.

SOLCOM nie wziął jednak pod uwagę konsekwencji zaprzęgnięcia ludzkiego układu nerwowego do przesyłu sygnałów. Standardowe zestawy implantów wykorzystywały Near Field Communication, sygnały radiowe o bardzo niskiej mocy, które sprawdzały się bardzo dobrze, ale były podatne na zakłócanie i mogły zostać przechwycone, o ile wróg dysponował odpowiednio czułym sprzętem i znalazł się dostatecznie blisko. Sorilli za to wszczepiono eksperymentalny zestaw implantów, które używają indukcji nerwowej i przesyłają sygnały za pośrednictwem układu nerwowego z wykorzystaniem częstotliwości niekolidującej z kontrolą motoryki i odruchami.

Implanty sprawdzały się znakomicie i zapowiadało się, że staną się nowym standardem, ale Sorilla jako pierwsza zidentyfikowała problem, który pojawiał się również u innych żołnierzy testujących eksperymentalny system i którego nikt nie umiał zdefiniować. Co prawda częstotliwość sygnałów nie zakłócała pracy ludzkiego ciała, ale mózg nie miał najmniejszego problemu z ich wykryciem. Jak się okazało, zdolności ludzkiego mózgu do wykrywania wzorców były całkowicie wystarczające do złamania kwantowego szyfrowania klasy wojskowej, nawet jeśli działo się to tylko w podświadomości.

W rezultacie Sorilla nie tylko odczuwała zmiany przyspieszenia równocześnie przez każdy ze swoich implantów, ale i umiała

przetworzyć te sygnały i poprzez triangulację wyznaczyć ogólny wektor z szybkością i łatwością całkowicie nieosiągalną nawet dla superkomputerów. Porządny superkomputer pokładowy wciąż mógł namierzyć cel ze znacznie większą precyzją niż Sorilla, ale nim ten skończyłby obliczenia, ona już dawno mogła przejść do akcji.

Korzystając ze swoich możliwości, pułkownik przetworzyła docierające do niej sygnały i zauważyła, że sprzęt Ross znajduje się teraz wyraźnie bliżej.

– Tędy – oznajmiła, wskazując nieco w dół i w bok. – To bez wątpienia jeden z okrętów portalowych.

– Bez wątpienia? – upewnił się Siennele z wyraźnym zainteresowaniem.

– O tak, to uczucie jest mi bardzo bliskie – stwierdziła Sorilla. – Byłam już na kilku takich jednostkach.

Lucjanie spoglądali po sobie z dzikimi uśmiejchami, od których kto inny dostałby gęziej skórki, ale Sorilla znała ich już na tyle, by się nie przejmować. Oczywiście dobrze wiedziała, że Strażnicy mogli narobić wśród sprzymierzeńców równie dużych szkód jak wśród przeciwników – to, że nie byli wrogo nastawieni, nie oznaczało, że nie byli wciąż śmiertelnie niebezpieczni.

– Fascynujące. Na jakiej głębokości?

To zajęło jej chwilę. Musiała nie tylko przetworzyć spływające do jej implantów odczucia, ale i przełożyć je na system miar Sojuszu.

Tata uczył ją na stopach i calach, a wojsko szkoliło na metrach i kilometrach, co od czasu do czasu zlewało się jej w jedno. Wrzucenie w ten bałagan systemu miar Sojuszu bez dokładnego zrozumienia, na co się on przekłada, mogło przyprawić o ból głowy.

– Wydaje... mi się... – zaczęła powoli, wskazując palcem – że jakieś sto lithometów w dół i kilkaset w tym kierunku.

Siennele mruknął cicho i zamyślił się na chwilę.

– To problematyczne. Nie będziemy mogli zbliżyć się niewykryci. Ross z pewnością rozmieścili systemy detekcji w całej okolicznej przestrzeni.

Sorilla przytaknęła. Nie miała wątpliwości, że Siennele ma rację, niemniej...

– Jeśli są tutaj, by mieć kontrolę nad obiektem – zaczęła z namysłem – z pewnością potrzebują jakiegoś dostępu?

Kriss mruknął potakująco.

– Prawda. Ale Ross to tchórzliwe śmiecie, na pewno dobrze ukryli wejście.

Sorilla zmilczała, jednocześnie zgadzając się z Lucjaninem i nie. Z całą pewnością postarali się o odpowiednie zabezpieczenie dostępu, ale nie można ich było uznać za tchórzy. Co prawda faktycznie unikali bezpośrednich starć, ale gdy byli do nich zmuszeni, wiedzieli, co robią – a przede wszystkim bez wahania podejmowali duże ryzyko, jeśli sytuacja tego wymagała. Sorilla nie nazwałaby ich ani tchórzliwymi, ani odważnymi – wiedziała o tym gatunku zdecydowanie za mało, by operować takimi pojęciami.

– Skoro jest tu jakiś dostęp – oznajmił twardo Sienele – znajdziemy go.

– Wysłanniku! – sprzeciwił się zarządca. – Przeszukanie tego obiektu byłoby...

– Byłoby niską ceną za zapewnienie bezpieczeństwa wobec wszelkich zagrożeń – uciął Sienele. – Strażnicy, znacie rozkazy.

Jedynie żelazne opanowanie pozwoliło Sorilli nawet nie drgnąć, gdy Lucjanie ryknęli potężnie, z niepokohamowanym entuzjazmem.

– Chodź! – Kriss klepnął ją w plecy radośnie. – Czas na polowanie!

Kwatera generalna SOLCOM, Układ Słoneczny

– Pozwoliliście jej uciec?

W głosie brzmiało niedowierzanie i wyraźna niemożność objęcia rozumem słów, które właśnie padły.

– Pozwoliliście to mocne słowo, admirale – odparł sztywno generał brygady Mattan. – Przecież była już zwolniona ze służby i...

– Pozwoli pan, że panu przerwę, generale – warknął admirał flagowy Jeb Islander i przeniósł spojrzenie na admirała Rugera, dając wyraźnie do zrozumienia, że mówi również do niego. – Ta kobieta ma w sobie tajny prototyp implantów, posiada więcej zastrzeżonych informacji niż ktokolwiek w SOLCOM-ie poniżej czterech gwiazdek I JEST CHOLERNYM BOHATEREM NA DWÓCH PLANETACH!

Islander przymknął oczy i wziął głęboki oddech.

– Nie muszę chyba nikomu tutaj uświadamiać skali gównoburzy, jaka rozpęta się nad naszymi głowami, jeśli ta kobieta nie wróci

z przestrzeni Sojuszu.

Obaj mężczyźni skrzywili się, ale przytaknęli.

– Przynajmniej żaden z was nie jest kompletnym idiotą. – Islander westchnął. – Dobra, czujcie się odpowiednio zmieszani z błotem i przekazcie nadmiar gówna pułkownikowi, jeśli łaska. Sam bym to zrobił, ale mogłoby mnie podkusić, żeby go ustrzelić, a wtedy z pewnością by mnie unieszkodliwił.

– Poinformuję pułkownika, admirale – potwierdził Mattan.

– Świetnie. Aida oficjalnie działa... no dobra, raczej nieoficjalnie – poprawił się Islander – na własną rękę. To oznacza konieczność kontroli strat po naszej stronie, na wypadek gdyby gówno wybiło w najgorszy możliwy sposób. Jej kody?

– Zablockowane – odparł Mattan automatycznie. – Od razu na „SOL”, gdy tylko pułkownik zameldował o poczynaniach Aidy, oraz w każdym systemie, przez jaki leciał „SOL” aż do momentu nawiązania połączenia z boją SOLCOM-u.

– Dzięki Bogu za drobne przysługi. Rozkazy dla personelu?

– Jest oficjalnie uznana za zwolnioną ze służby z honorami – odezwał się Ruger. – Jej dostępy nie zostały zablokowane, a jedynie zawieszono do czasu finalizacji badań psychologicznych, co rzecz jasna nie wydarzy się aż do jej powrotu do przestrzeni SOLCOM-u.

– Na tę chwilę wystarczy – burknął Islander, przesunął na bok kilka stosów dokumentów, po czym stuknął palcem w jedyny, jaki zostawił przed sobą. – A teraz mówcie o jej implantach.

– Nie jest to najnowsza generacja – zaczął Ruger – choć to całkiem zaawansowany zestaw. Mimo to z samego osprzętu Sojusz nie dowie się niczego, czego już by nie wiedział.

– W takim razie oprogramowanie?

– Też nieszczęśliwie. – Ruger potrząsnął przecząco głową. – Podejrzewam, że pułkownik Aida stworzyła sobie zaawansowany interfejs i podprogramy, które z pewnością nie należą do standardowego zestawu i są lepsze... ale generalnie korzysta z tego samego systemu operacyjnego co każdy inny żołnierz, którego Sojusz miał dotąd okazję zbadać.

– To dlaczego, do jasnej cholery, widzę na jej aktach tylko wielki czerwony stempel „ściśle tajne”, a opis jej implantów składa się z samych zaczerwień?

– Głównie dlatego, że nie chcemy, by ktokolwiek próbował powtórzyć to, czego Aida zdołała dokonać ze swoimi implantami, admirale – odparł Ruger. – Jej zestaw nie jest niczym niezwykłym... może poza astronomiczną ceną i kilkoma wyjątkowo zaawansowanymi akcelerometrami, które kosztowały więcej niż cała reszta jej sprzętu razem wzięta. Natomiast to, jak się z nimi zespoliła, JEST niezwykłe.

– Proszę wyjaśnić.

– Jest pan zaznajomiony z koncepcją indukcji nerwowej w implantach, prawda?

– Tak, sam miałem takie zainstalowane, nim nie zostały wycofane. Jakaś niestabilność w projekcie? – dopytał Islander.

– Nie, projekt był bardzo stabilny. To użytkownicy okazali się niestabilni – wyjaśnił Ruger. – Prawie wszyscy okazali się nadzwyczaj wrażliwi na jakiegokolwiek zmiany lokalnego pola grawitacyjnego lub ruch. Przez gwałtowną chorobę lokomocyjną nie byli w stanie znieść podróży kosmicznych i byli całkowicie wyłączeni z akcji.

Islander się skrzywił.

– To brzmi... nieprzyjemnie.

– Gwałtowne torsje w pełnym opancerzeniu i zamkniętym hełmie są znacznie bardziej niż nieprzyjemne, admirale – wtrącił Mattan z niesmakiem.

– Zgadza się. – Ruger westchnął ciężko. – Nie doceniliśmy możliwości adaptacyjnych ludzkiego mózgu, generale. Nowe implanty wyposażyły mózg w dodatkowy zmysł: grawitacji. Nikomu nie przyszło do głowy, że mózgi testujących sprzęt żołnierzy kompletnie zignorują szyfrowanie kwantowe klasy wojskowej. Zamiast odbierać w mózgu dane z procesorów, żołnierze zaczęli wyczuwać grawitację bezpośrednio przez swój układ nerwowy. Większość kompletnie nie radziła sobie z zalewem nowych danych, cierpieli na gwałtowną chorobę lokomocyjną i byli całkowicie niezdolni do działania.

– Ale nie Aida?

– Jej umysł działa inaczej – przyznał Ruger niechętnie. – Wciąż nie rozgryźliśmy dlaczego, choć nie żałowaliśmy czasu i specjalistów. W jakiś sposób Aida się zaadaptowała.

Mattan prychnął.

– Chciałby pan coś dodać, generale? – spytał Islander sucho.

– Adaptacja to nieco za dużo powiedziane – wyjaśnił Mattan. – Mała Siostrzyczka jest w stanie utrzymać zdolność bojową, to prawda, ale jej również dokuczają choroby lokomocyjne. Sam ją szkoliłem. Nie chorowała na łodziach, w samolotach, gdziekolwiek. Przeciągnęliśmy ją przez wszystko, aż po Rzygającą Kometę i jeszcze dalej. A z nowymi implantami? Zwraca obiad po każdym skoku. Ta kobieta jest tak uparta, że pewnie pracowała nad tym tak długo, aż jej mózg się przyzwyczaił do nieprzyjemności. Może.

– Potrzebowalibyśmy czegoś więcej niż „może”, generale – stwierdził Islander z ciężkim westchnieniem – ale na razie pewnie musi mi to wystarczyć. Więc istnieje zaledwie minimalne ryzyko, że na podstawie implantów Aidy Sojusz zdobędzie jakąś przewagę technologiczną?

– Nawet mniej niż minimalne, admirale – przytaknął Ruger. – Jej sprzęt niczym się nie różni od standardowego zestawu sił specjalnych z czasów wojny. Sojusz widział już to wszystko.

– O ile sama nie podzieli się wiedzą – dodał Islander sceptycznie.

– Siostrzyczka jest lojalna, sir.

Islander przeszył Mattana świdrującym spojrzeniem.

– Gdyby była taka lojalna, posłuchałaby rozkazu i wróciła na „SOL”, generale. Kiedy wróci, o ile w ogóle wróci, Sorilla Aida ma podlegać aresztowi prewencyjnemu i dogłębnemu przesłuchaniu. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest, sir!

3

Orkana, świat produkcyjny Sojuszu

„To miejsce jest ogromne”.

Sorilla oczywiście od samego początku wiedziała, jak rozległy to obiekt. Przed lądowaniem na Orkanie zapoznała się z jego specyfikacją, ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć na własne oczy i doświadczyć przytłaczającego ogromu kompleksu produkcyjnego.

Najniższy poziom fabryki stanowiła ogromna hala produkcyjna, która zajmowała tysiące kilometrów kwadratowych powierzchni, a może nawet jeszcze więcej.

Hala była imponująca, ale jednocześnie jej rozmiar sprawiał, że naprawdę trudno było cokolwiek w niej odnaleźć.

Sorilla w ciszy podążała za grupą Strażników prowadzoną przez Krissa, pozwalając bardziej obytym Lucjanom wyznaczać drogę. Sama trzymała się z tyłu i uważnie przyglądała zarówno sprzętom, jak i mowie ciała pracowników.

Najwięcej uwagi poświęcała maszynom, choć nie powinna być nimi aż tak bardzo zaskoczona. Oczywiście wokół kręcili się robotnicy, ale biorąc pod uwagę niewiarygodną skalę obiektu, było ich niewiele.

Ziemia również obrała podobny kierunek rozwoju, coraz bardziej automatyzując zarówno produkcję przemysłową, jak i wytwarzanie żywności. Większość ludzi na Ziemi i w ziemskich koloniach powierzała prawie całą produkcję zautomatyzowanym systemom. Żywność, szczególnie w koloniach, była wytwarzana w zbiornikach hodowlanych. Wołowina, drób, wieprzowina czy inne mięsa produkowano w całości poprzez sterowane komputerowo procesy chemiczne i biologiczne. Ludzie angażowali się w ten proces dopiero

na etapie przeżuwania – i podobnie wyglądało to w przypadku dowolnej innej produkcji.

Niektóre tradycjonalistyczne grupy wciąż podtrzymywały dawne umiejętności albo z powodów religijnych czy kulturowych, albo po prostu uznając, że ta wiedza nie powinna zaniknąć. Niemniej fabryki na Ziemi i w koloniach były znacznie bardziej puste niż ta, którą Aida właśnie oglądała.

„Są też znacznie mniejsze”.

W tym punkcie rozwój technologiczny Ziemi i Sojuszu się rozchodził. Ziemia w dwudziestym pierwszym wieku zaczęła odchodzić od centralizacji produkcji. Gdy maszyny stawały się coraz sprawniejsze, produkcja na skalę mniejszych społeczności okazała się oczywistym wyborem. Megafabryki uznano za przestarzałe w pierwszej kolejności w zakresie drobnej produkcji importowanej z krajów płacących pracownikom głodowe stawki, a później także dla produktów z wyższej półki.

Każda nieduża społeczność na planecie miała swój własny obiekt produkcyjny, który działał niczym starodawny sklepik osiedlowy i zaspokajał większość potrzeb mieszkańców. Oczywiście co bardziej złożone produkty sprowadzano z wyspecjalizowanych fabryk, ale z roku na rok lista rzeczy uznawanych za „złożone” robiła się coraz krótsza.

Sojusz poszedł w przeciwnym kierunku. Wolumeny podwójne, potrójne, poczwórne... i tak dalej, aż do scentralizowanego wytwórstwa.

Sorilla w nagłym przeblysku świadomości pojęła daleko idące implikacje tego, czego dowiedziała się o organizacji Sojuszu od czasu, gdy zdecydowała się kontynuować misję z Lucjanami.

„Światy takie jak Orkana są świetnymi celami strategicznymi. Samo zakłócenie produkcji lub blokada systemu miałyby poważne konsekwencje dla całych sektorów przestrzeni Sojuszu”.

Takie światy stanowiły też przykład myślenia, które na Ziemi było nie do przyjęcia.

Planety na straty.

Chociaż to nie całkiem tak, o ile Sorilla dobrze rozumiała te zależności. Mając tyle światów pod kontrolą, Sojusz zdawał się skłaniać ku całkowitej dewastacji planet produkcyjnych – takich jak

Orkana – by zapewnić zaopatrzenie pozostałym. Sorilli trudno było to przełknąć, gdyż wyrosła w bardzo silnym poszanowaniu środowiska naturalnego.

Sojusz miał jednak jakieś plany na to, co zrobić z planetą po jej wykorzystaniu, więc „na straty” nie było do końca właściwym określeniem. Raczej... zużyj i użyj ponownie, recykling światów. Sojusz planował długofalowo. Nie cofano się przed wyzyskaniem planety aż po całkowite załamanie ekosystemu, ale potem siano kilka ziaren i czekano parę stuleci, aż planeta się odnowi, nim można było ją uprawiać lub wykorzystać do innych celów.

Takie podejście wywoływało u Sorilli głęboki niesmak, ale była w stanie zrozumieć tego typu działania w skali wieloplanetarnego imperium.

Ziemia była tylko jedna, do tego ludzkość miała zaledwie kilka kolonii, z czego Hayden był najbardziej zbliżony do planety macierzystej. Ochrona zamieszkaných przez ludzi światów stała się nadrzędnym prawem od czasu zniszczeń, jakie wywołano na Ziemi. Sorilla mogła mieć tylko nadzieję, że ludzkość nie przejmie podejścia Sojuszu, które okazywało się tak pragmatyczne.

Za to maszyny imperium wydawały się jej fascynujące.

„Ciekawe, czy sprzedają te produkty na wolnym rynku”.

Sorilla zakładała, że nie – bo i po co byłby wtedy Sojuszowi potrzebny specjalny świat produkcyjny?

Tak czy siak zamierzała o to zapytać.

Jej rozmyślania przerwał uchwycony kątem oka ruch. Sorilla dyskretnie spojrzała w tamto miejsce.

„Sirhanin. Jeden z robotników sprowadzonych przez Sojusz do obsługi maszyn”.

Niewysoki obcy obserwował ich, usilnie próbując to ukryć. Albo obca. Albo obce. Sorilla rzecz jasna nie mogła mieć pojęcia, czy ten gatunek ma jakieś płcie. Osobnik miał dwunożną sylwetkę o asymetrycznej budowie i skórę pokrytą czymś, co wyglądało na dość grubą i szorstką sierść. Miał troje oczu – a przynajmniej tak Sorilla identyfikowała te organy – i dwoje uszu. Nie był to może najbardziej egzotyczny gatunek, jaki Sorilla widziała przez ostatnie lata, ale znajdował się wysoko na liście.

Osobnik podążał za nimi, udając pracę przy różnych maszynach, przez co Sorilla na początku nie zwróciła na niego uwagi. Była jednak coraz mniejsza szansa na to, że jego obszar roboczy tak dobrze pokrywał się ze ścieżką, jaką do przeszukania obiektu obrali Lucjanie.

„Jest nerwowy, boi się nas... a może kogoś jeszcze? Uch, próby odczytania mowy ciała obcych są beznadziejne. Ale coś kombinuje, tego jestem pewna”.

Sorilla zawahała się, czy poinformować Krissa o ich „ogonie”, ale sama za wiele na razie nie mogła działać. Lucjanin mógł mieć jakiś pomysł, jak rozegrać sytuację, nawet jeśli ten pomysł miałby być niemiłosiernie toporny i pewnie głupi.

Ukradkiem trąciła towarzysza w ramię i złożyła palce w coś, co miało przypominać lucjańskie znaki bojowe.

„Jesteśmy śledzeni. Pojedynczy cel. Opcje?”

Przez twarz Krissa przemknął wyraz zaskoczenia, który wyparował równie nagle, jak się pojawił.

„Gdzie?” – zapytał znakiem.

Sorilla odchyliła się lekko tak, by Lucjanin mógł dostrzec niewielkiego obcego, jednocześnie dbając o to, by Sirhanin nie zauważył poruszenia.

Choć wydawał się jedynie imponującą maszyną bojową, Kriss pokazał, że bardziej subtelne umiejętności nie są mu obce. W naturalny sposób omiół wzrokiem halę, przelotnie spoglądając na obcego. Sorilla była gotowa myśleć, że Lucjanin ją zignorował, ale zauważyła, że nadaje dyskretne znaki do towarzyszy.

Wiele z tych gestów przekraczało jej znajomość bojowego języka Lucjan, ale kilka zrozumiała. Wystarczyło, by pojęła, że Kriss zlecił dodatkową obserwację i skontaktował się z Sienielem w oczekiwaniu na rozkazy.

To było ciekawe. Sorilla nie do końca rozumiała relację między Lucjanami i Sienielem czy ogólnie między Strażnikami a Sojuszem. Niektóre aspekty tej relacji były oczywiste, Lucjanie byli w końcu elitarną naziemną jednostką bojową Sojuszu, ale Sorilla podejrzewała, że to nie wszystko.

Kriss i jego Lucjanie wyraźnie irytowali się ograniczeniami, jakie narzucał im Sojusz, a mimo to bez śladu wahania poddawali się

rozkazom Sienele. Sorilla wiedziała, że powinno się tworzyć znacznie więcej konfliktów między niezależnymi wojownikami a samozwańczym szpiegiem.

Odnutowała to wraz z pozostałymi informacjami, które skrupulatnie zapisywała w pamięci. Wiedziała, że musi rozgryźć tę zagadkę – albo przekazać dane komuś, kto będzie mógł to zrobić. Dogłębne zrozumienie relacji i powiązań militarnych w Sojuszu miałyby kluczowe znaczenie dla SOLCOM-u, Ziemi i kolonii.

Na razie jednak trzeba było zająć się bieżącymi zadaniami.

Sirhanin dalej ich śledził, a Sorilla utworzyła nowy plik dla tego nieznanego wcześniej gatunku Sojuszu i notowała swoje uwagi o mowie ciała obcego. Dokumentowała każde ukradkowe spojrzenie, każdy odruchowy unik, wrzucając wszystko do jednego pliku i zostawiając procesorom złożenie tego w spójny obraz. Cały czas miała z tyłu głowy to, jak sama mogłaby wejść w kulturę tego gatunku, jeśli przyszłoby jej szkolić jego przedstawicieli do walki z Sojuszem.

Zdawało się mało prawdopodobne, że akurat Sorilla miałaby się znaleźć w takiej sytuacji, ale była praktycznie pewna, że ktoś to jednak będzie.

„A może... już jest?”

Wyłapała coś w sposobie poruszania się obcego, ruch zbyt wyćwiczony i nieświadomy – gdy Sirhanin spostrzegł, że jeden z Lucjan spojrzał w jego kierunku, jego większa i silniejsza kończyna, która wydawała się dominująca, automatycznie drgnęła w stronę uda, jakby miała coś pochwycić.

„Broń? Czy on przeszedł szkolenie bojowe, cywilne albo policyjne, czy po prostu ma taki tik... czy... coś innego?”

To stanowiło najtrudniejszą część pracy Sorilli, rozgryzanie w locie zupełnie obcej kultury tak, by można było osiągnąć porozumienie. Nie chodziło tylko o komunikację – choć już samo to do łatwych nie należało – ale o prawdziwe porozumienie, które sięgało głębiej niż tylko słowa. Oznaczało to rozpoznanie motywacji drugiej strony, sposobu szkolenia wojowników i innych specjalizacji oraz zrozumienie kulturowych niuansów, które dla zewnętrznego obserwatora nie mają żadnego sensu.

Spróbuj porozumieć się z chrześcijaninem z perspektywy muzułmanina i odwrotnie, a będziesz spalony na starcie. Cholera, czasem w obrębie jednej kultury jest tyle różnic i odchyłeń, że nie można nawet polegać na ogólnej wiedzy o danej kulturze w kontaktach z jakąś jej podgrupą.

Czasami w trakcie akcji błyskawiczne rozgryzienie odpowiedzi na pytanie, czy powinno się zaakceptować zaproszenie na herbatę, może zadecydować o sukcesie lub porażce całej misji.

A to dotyczyło ludzi.

W przypadku gatunków Sojuszu Sorilla nie wiedziała nawet dostatecznie dużo, by wiedzieć, czego nie wie.

Nie żeby miało ją to zatrzymać.

Sienele zmarszczył czoło w zamyśleniu, rozważając otrzymane informacje.

„Śledzeni przez jednego Sirhanina? Dziwne”.

Niewiele wiedział o tym gatunku. Sirhanie pochodzili spoza sektora będącego obszarem działań Sienele, więc nie miał wcześniej wielu okazji do spotkań.

„Pomniejsza rasa, przystąpiła do Sojuszu tylko dlatego, że uratowaliśmy ich przed Jara”.

To była stosunkowo nieduża wojenka, ale mogłaby rozrosnąć się do większego konfliktu, gdyby Ross z sobie tylko wiadomych przyczyn nie interweniowali i nie zmusili masywnych okrętów Jara do odwrotu.

Niewiele było wiadomo o Jara, bo konflikt skończył się bardzo szybko, ale Sienele pamiętał, że Pari uważają ich za niebezpiecznych przeciwników w przestrzeni, a był to rzadki komplement ze strony doborowych dowódców flot Sojuszu.

Sienele nie chciał się do tego przyznać nawet sam przed sobą, ale Sirhanie stanowili dla niego jeszcze większą zagadkę. Pamiętał jedynie, że była to cywilizacja ledwie zdolna do lotów kosmicznych, a stała się członkiem Sojuszu wyłącznie na skutek ocalenia przed zagładą. Sienele był pewien, że znajdzie w archiwach dokładne

informacje na temat tego gatunku, ale na razie nie miał czasu zagłębiać się w temat.

– Dobrze – powiedział przez komunikator. – Sirhanin nie może się zorientować, że go zauważyliśmy. Sprowadzę moją drużynę od drugiej strony.

W ten czy inny sposób Siennele miał się dowiedzieć więcej o tym gatunku.

„Mam nadzieję, że dostatecznie dużo, by rozwikłać tę naszą zagadkę raz a dobrze”.

„Jest zdenerwowany, ale i... zaciekawiony? Z pewnością zmotywowany. Ale co go motywuje?”

Sorilla nie wiedziała, co ma myśleć o małym, dziwnym obcym, który wciąż za nimi podążał. Długo przeczesywali kondygnację produkcyjną, niespiesznie manewrując, tak by obcy znalazł się dokładnie tam, gdzie Siennele i jego druga drużyna mogli zatrzasnąć sidła.

Sorilla pomyślała, że prawdopodobnie by go dogoniła, przynajmniej na prostej. Jej pancierz wspomagany dawał jej wyraźną przewagę nad większością naturalnych form biologicznych, ale w labiryncie maszyn nie mogła być pewna sukcesu. Gdyby choć na chwilę straciła obcego z oczu, mógłby wtopić się w tłum robotników.

Sorilla nie miała pewności, czy byłaby w stanie zidentyfikować go w tłoku, nawet posiłkując się skanami biometrycznymi. Jego cechy mogły okazać się zbyt obce zarówno dla niej samej, jak i dla oprogramowania biometrycznego, a wyłapanie subtelnych różnic między poszczególnymi osobnikami – niemożliwe.

Brzmi to rasistowsko, ale z perspektywy działania ludzkiego mózgu był to biologiczny i neurologiczny fakt. Wzorce rozpoznawania tworzyły się na wczesnym etapie dojrzewania mózgu i przekształcanie ich u dorosłego człowieka wiązało się z ogromną ilością pracy nawet w przypadku pomniejszych różnic genetycznych pomiędzy ludzkimi grupami etnicznymi. Jeśli dodać do tego obcą biologię, Sorilla równie dobrze mogła próbować

rozdzielić pojedyncze mrówki, przynajmniej do momentu, gdy nie pozna dokładnie różnic osobniczych.

„W takim razie nie możemy dać mu się wymknąć” – stwierdziła, wciąż pilnując pozycji obcego i jednocześnie unikając jawnej obserwacji. Byłoby to znacznie prostsze, gdyby zdecydowała się na hełm na czas inspekcji fabryki. „To byłoby pewnie zbyt sprytne”.

Nie lubiła wchodzić w interakcje z innymi, nosząc osłaniający twarz hełm. Znacząco utrudniało to porozumienie pomiędzy ludźmi, przez co nawyk odsłoniętej twarzy przenosiła odruchowo także na kontakty z innymi gatunkami, nawet jeśli wiele niuansów komunikacji niewerbalnej i tak umykało jej w relacjach z rasami Sojuszu. Sorilla pomyślała, że powinna rozważyć częstsze zakładanie hełmu, ale na tę chwilę była to akademicka kwestia.

Napotkała spojrzenie Krissa i rozpoznała jego znak.

„Przygotuj się”.

Birchee poruszył się nerwowo, doskakując do kolejnej maszyny i przeglądając jej interfejs.

Oczywiście wszystko działało dokładnie tak, jak powinno. Systemy rzadko sprawiały jakiegokolwiek kłopoty i z całą pewnością nadałyby ostrzeżenie, gdyby cokolwiek było nie tak. Birchee był potrzebny jedynie jako nieco bardziej elastyczna wersja automatycznego oprogramowania, działał tylko, gdy funkcjonowanie maszyny notowało lekkie odchylenia od normy. Przywracał wtedy właściwe ustawienia – podobnie jak pozostali pracownicy fabryki.

Tak naprawdę interesowała go grupa „inspektorów”, którzy niedawno przybyli na planetę. Jeden z sirhańskich robotników przesłał mu wiadomość, zwracając uwagę na nowo przybyłych, a Birchee szybko przemieścił się na właściwą kondygnację, by bliżej przyjrzeć się nietypowej inspekcji i jej prawdziwym przyczynom.

„Coś zwróciło ich uwagę”. Tego był pewien.

Co dokładnie, nie wiedział, ale z pewnością nie oznaczało to niczego dobrego. Gdyby przybyli tu z powodu Operacji, byłoby fatalnie... ale nawet jeśli wizytacja wiązała się z jakąś pomniejszą

nieprawidłowością spowodowaną przez głupców z administracji, było niewiele lepiej.

Wysłano już informację Wybawcom, więc teraz Sirhanom pozostało jedynie czekać na wskazówki, co robić w tej sytuacji.

Birchee miał nadzieję, że instrukcje nadejdą szybko, bo wiedział, że nie będzie mógł niezauważony śledzić grupy zbyt długo... pomimo lekceważenia, jakie Sojusz przejawiał wobec pomniejszych członków, takich jak Sirhanie.

Dokończył pozorne sprawdzanie maszyny, gdy inspekcja ruszyła dalej. Przesunął się na tyły platformy, upewniając się, że nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Kompletnie przegapił za to mniejszą grupę, która wyłoniła się z drugiej strony maszyny, i skręcając za róg, praktycznie wpadł na wyciągnięty w swoją stronę skaner.

Zastygł bez ruchu z szeroko otwartymi oczami.

Najwyższy z grupy krępych postaci uśmiechał się do niego znad ekranu skanera.

– Birchee? Dobrze wymawiam? – zagaił. – Mam nadzieję, że tak. Myślę, że powinniśmy... porozmawiać.

Sirhaninowi wydawało się, że jego dwa serca wyskoczą mu z piersi. Osuwając się na ziemię, nawet nie zwrócił uwagi na grupę inspektorów zachodzącą go od tyłu i odcinającą mu drogę ucieczki.

Okręt portalowy, współrzędne... nieistotne

Uczestnicy konklawe zirytowali się, gdy nadszedł raport oznaczony jako pilny i musieli zwrócić swoją uwagę ku sprawom pomniejszej wagi.

Inne gatunki nastroczały w najlepszym razie trudności komunikacyjnych, a ich pojęcie, co należało nazywać pilnym, rzadko, o ile kiedykolwiek, pokrywało się z definicją konklawe. Nie oznaczało to jednak, że takie wiadomości mogły zostać zignorowane.

Informacja pochodziła od jednego z pomniejszych gatunków, którym zlecono infiltrację w tak zwanym Sojuszu i jego obiektach produkcyjnych. Wiadomość dotyczyła bieżącej inspekcji, co jak raz było bliskie sprawie faktycznie pilnej.

Konklawe przywołało wiadomość i analizowało dane.

Ach, osiłki Sojuszu i jeden z mistrzów szpiegów.

Tak.

Możliwości?

Zatrzymać Operację, porzucić ją natychmiast.

Bezczelność. Być może ich obecność nie wiąże się z naszym działaniem?

Mało prawdopodobne. Niewiele spraw może wiązać się z takim poziomem zainteresowania.

Wstrzymajcie się.

O co chodzi?

Spójrzcie na tego członka grupy.

Przed członkami konklawe zajaśniał obraz, który ukazywał gatunek NIEBĘDĄCY częścią Sojuszu. Był to gatunek, który konklawe bardzo dobrze znało. Gatunek, który uznawało za najniebezpieczniejszy spośród wszystkich, jakie dotąd napotkano.

Co gorsza, przed sobą widzieli przedstawiciela tegoż gatunku, którego osobiście rozpoznawali.

Entropia! Co to tutaj robi?

Oznaczenie „pilne” okazało się właśnie... znaczącym niedomówieniem.

4

Orkana

Sorilla obserwowała z dystansu, jak Kriss i Sienele, górując nad drobnym Sirhaninem, domagają się wyjaśnień. Nie umieli wyciągnąć od obcego żadnych przydatnych informacji, ale Sorilla nie przejmowała się tym zbyt. Dowiadywała się za to coraz więcej o mowie ciała nie tylko Sirhanina, ale i Lucjan wraz z Sienele.

Większość swoich obserwacji po prostu katalogowała do późniejszej analizy, ale Sirhanin bardzo ją zajmował. Rozpracowywała jego reakcje i próbowała łączyć z emocjonalnymi motywacjami, które byłaby w stanie pojąć.

Z całą pewnością był przestraszony, ale dostrzegła w nim szczególny rodzaj upor, który świadczył o mocnym kręgosłupie moralnym... o ile oczywiście miał kręgosłup.

„Mocny charakter to byłoby lepsze określenie”.

Okazał się naprawdę nieugięty... czy nieugięta... Sorilla westchnęła zrezygnowana, odsuwając na bok rozważania, czy Sirhanie mieli płcie w ludzkim tego słowa rozumieniu. Oczywiście nie było to pozbawione znaczenia, ale na tę chwilę nie przedstawiało wartości taktycznej.

Natomiast żelazna wola Sirhanina z pewnością była taktycznie istotna. Sorilla nie miała jeszcze wystarczającej wiedzy, by ocenić, czy to cecha indywidualna, czy uwarunkowanie kulturowe. Najprawdopodobniej jedno i drugie, ale dokładniejsza proporcja stanowiłaby ważną informację dla SOLCOM-u, jeśli kiedykolwiek przyszłoby do kontaktów z tą rasą. Na razie cechy tego jednego osobnika musiały wystarczyć.

„Coś ukrywa i robi to z głową. Nie złamię go”.

Co prawda przesłuchanie dopiero się rozpoczęło i prowadzono je w języku, z którym Sorilla ledwo się zaznajomiła, ale komunikacja niewerbalna pomiędzy trójką rozmówców pozwalała jej wyczytać między wierszami, że nic z tego nie wyniknie. Sorilla podejrzewała, że Sienele ma tego pełną świadomość, bo robił się coraz bardziej sfrustrowany. Było jej trochę szkoda szpiega, ale wbrew sobie czuła rosnące rozbawienie.

Sienele miał w ręku wszystkie karty. Reprezentował całą potęgę i autorytet Sojuszu, za jego plecami Lucjanie prężyli swoje imponujące mięśnie, a mimo to nie był w stanie wydobyć żadnej istotnej informacji z drobnego stworzenia.

To wiele mówiło o samym Sirhaninie, Birchee. Sorilla postanowiła zapamiętać, jak niezłomny potrafi być, i odnotowała ten fakt na wypadek, gdyby nie był wyjątkiem wśród swoich.

„Sojusz ocalił ich z rąk... Jara...”

Jara to nie był gatunek, z którym Sorilla chciałaby mieć do czynienia w najbliższym czasie, zważywszy na to, że nawet Sojusz miał z nimi pewne problemy, ale cała historia była naprawdę ciekawa.

Właściwie to nie Sojusz ocalił Sirhan, ale... Ross. Z rozmów Sienele i Krissa Sorilla wyłapała, że flota Sojuszu starła się z Jara, ale dopiero Ross zdołali ich odeprzeć.

„Czy wtedy ich zrekrutowano? Czy wszyscy są częścią Sojuszu, czy tylko kilku indywidualnych przedstawicieli...?”

Za dużo było zmiennych, a im więcej Sorilla dowiadywała się o całej sytuacji, tym mniej ją rozumiała. Czuła jednak, że to bardzo ważny element układanki – taki, który sprawi, że wiele kolejnych elementów ułoży się w całość.

„Ross podkopują Sojusz od wewnątrz”.

Sienele zmusił się do spokoju, z trudem powstrzymując się przed wylaniem swojej frustracji na przesłuchiwanego Sirhanina. Birchee był młodym przedstawicielem swojego gatunku, ale pokazał, że pod presją potrafi dobrze panować nad sobą.

„Być może aż za dobrze?”

Sienele musiał to brać pod uwagę. Opieranie się przesłuchaniu nie było czymś naturalnym dla większości istot, wymagało to zazwyczaj szkolenia. Sztuka inteligentnych i zręcznych odpowiedzi, które nie dają przesłuchującym żadnych punktów zaczepienia, nie była łatwa do opanowania – a dokładnie to mógł właśnie obserwować Sienele.

Niewyszkolona osoba mogła co najwyżej odmówić odpowiedzi i milczeć. To mogło być skuteczne na krótszą metę, ale też potwierdzało, że przesłuchiwany coś ukrywa i że warto dalej dochodzić prawdy. Choć czas przesłuchania różnił się pomiędzy gatunkami, ostatecznie umysł podejrzanego tracił w końcu koncentrację. Coś się zawsze wymykało.

Kluczenie, udzielanie wymijających odpowiedzi, które nie niosą żadnych istotnych informacji – to były znacznie skuteczniejsze techniki. Sprawiały, że przesłuchujący nie miał pewności, czy faktycznie za usłyszanymi słowami kryje się cokolwiek istotnego. Jeśli podejrzanym miał szczęście, mógł nawet przekonać przesłuchującego, że podąża złym tropem, i wymknąć się dalszym pytaniom.

Tym razem nie było na to szans. Sienele był pewien, że Birchee wie znacznie więcej, niż chce powiedzieć. Śledził lucjańskich Strażników, co samo w sobie było podejrzane, a dodatkowo po sposobie formułowania odpowiedzi dało się określić, że Sirhanin odebrał dobre przeszkolenie w zakresie przesłuchań.

Sienele zmęczył się grą w podchody. Doszedł do wniosku, że na tę chwilę nic więcej nie osiągnie.

– Zabezpieczcie go – mruknął. – Przenieście go na statek. Będziemy kontynuować przesłuchanie w nieco mniej przyjaznych warunkach.

– W końcu – warknął Kriss i zabrał się do roboty.

Łoskot za plecami poderwał wszystkich, nawet wytrenowanych Lucjan, którzy odwrócili się gwałtownie w stronę Sorilli. Podnosiła właśnie swój hełm z podłogi.

– Wybaczcie – powiedziała. – Wyślizgnął się.

– Stój! Wracaj natychmiast!

Słyszając krzyk administratora, Sienele odwrócił się z powrotem tylko po to, by zobaczyć, jak Birchee rzucił się do ucieczki i kluczył właśnie pomiędzy maszynami mimo pogoni Lucjan.

– Żywy! – krzyknął jedynie. – Przyprawdźcie go żywego!

Lucjanie nie tracili czasu na odpowiedź. Zirytowany, zwrócił się w stronę Aidy, ale ta już zakładała swój hełm.

– Też będę go śledzić – rzuciła i nie dając Sienele czasu na odpowiedź, zniknęła pomiędzy maszynami.

„Cholera. Ta kobieta sprawi mi więcej kłopotów, niż jest warta. Czuję to”.

Sienele osobiście lubił pułkownik, ale miał pełną świadomość, jak niebezpieczna potrafi być – i prawdopodobnie będzie. W duchu przeklinał Krissa za sprowadzenie jej na misję wewnątrz przestrzeni Sojuszu, ale sam również nie był bez winy.

Rzecz jasna wiedział, że Aida zbierała dane wywiadowcze o Sojuszu. Nie był idiotą. Niemniej on sam również dowiadywał się wiele o niej i o ludzkości, analizując jej poczynania. Poza tym... jakkolwiek niesmaczne by się to wydawało, jeśli Aida zdobędzie zbyt wiele informacji o Sojuszu w czasie tej misji, cóż... wypadki się zdarzają, a nie będzie nikogo, kto mógłby zaświadczyć, że Sojusz maczał w tym palce.

Oczywiście miał nadzieję, że do niczego takiego nie dojdzie, ale kobieta aż się prosiła...

Sorilla aż się prosiła, wiedziała o tym, ale musiała wywalczyć sobie z Sirhaninem kilka chwil sam na sam... albo chociaż zobaczyć, dokąd biegnie.

Jej implanty były zablokowane na obcym, więc mogła podążać za nim w pewnej odległości, mając na oku także Lucjan. Ci poruszali się jak słonie w składzie porcelany, rozwalając wszystko, co stanęło im na drodze, o ile tylko nie było za duże, by się przez to przebić.

Nic im to jednak nie dawało, a Sirhanin stopniowo powiększał dzielący ich dystans, z wprawą wykorzystując doskonałą znajomość otoczenia i sobie tylko znanych skrótów.

Sorilla pozwoliła mu odbiec, starając się przede wszystkim nie tracić go z oczu. W swoim pancerzu była szybsza od Lucjan i prawdopodobnie złapałaby uciekiniera, ale oddawanie go z powrotem na przesłuchanie nie było jej priorytetem.

Obserwowała go z zaciekawieniem, gdy wślizgnął się w szparę jednej z większych maszyn i wystrzelił z drugiej strony, prawie nie tracąc prędkości. Uśmiechnęła się pod nosem, słysząc pełne frustracji powarkiwania Lucjan, którzy musieli gwałtownie hamować i okrążyć stację produkcyjną. Jedynie Kriss nie zwolnił, lecz rozpędził się i wspiał z rozbiegu, pokonując przeszkodę górą. Był szybszy od towarzyszy, ale i tak kosztowało go to kilka cennych chwil.

Sorilla z kolei przeskakiwała z maszyny na maszynę, uważnie kalkulując susy dzięki kombinacji doskonałego wyszkolenia i wszczepionych procesorów, które dbały o to, by nie schrzaniła skoku w nieco innej grawitacji niż ta, w której trenowała zazwyczaj.

Nie minęło wiele czasu, gdy zarówno ona, jak i Sirhanin zostawili Lucjan daleko w tyle.

Sorilla obserwowała, jak nieduży obcy modyfikuje swoją strategię, przechodząc od panicznego sprintu do bardziej wyrównanego tempa, które mógłby utrzymać dłużej. Zeskoczyła ze szczytów maszyn na podłogę, upewniając się, że nikt jej nie widzi, i przyspieszyła, pozwalając oprogramowaniu mapującemu wybrać najbardziej prawdopodobne drogi ucieczki Sirhanina.

„Czas rozpocząć grę”.

Birchee spojrzął za siebie, nie zwalniając kroku. Z trudem kontrolował oddech, a mięśnie zaczęły go palić. Stracił już z oczu inspektorów Sojuszu, więc zwolnił, by nie wyczerpać zupełnie swoich sił. Wiedział, że jeszcze nie może odetchnąć spokojnie. Nawet nie miał pewności, czy w ogóle powinien był uciekać, ale stało się jasne, że nie złapali się na jego wymijające odpowiedzi. Ucieczka wydawała się najmniej złym pomysłem.

Sirhanin nie wiedział, jak Sojusz wpadł na trop Operacji, ale najwyraźniej tak się stało. Wynikało to jasno z pytań, jakie zadawał przesłuchujący go inspektor. Nie wiedział, co powinien zrobić z tą informacją.

Ale to nie należało do jego obowiązków. Miał to jedynie zameldować oraz ocenić, czy da radę pozostać w ukryciu lub się

ewakuować... W przeciwnym razie, no cóż, był zdeterminowany, by nie dać się złapać i przesłuchać, więc opcję ostateczną rezerwował sobie na najgorszy scenariusz.

Gdy po dłuższym czasie nadal nie widział żadnej pogoni, zwolnił, określił swoje położenie i zdecydował, gdzie iść dalej.

„Dowódca będzie wiedział, co robić”.

„Przestał umykać jak spłoszony królik” – zauważyła Sorilla, wychylając się zza maszyny i obserwując, jak zmieniała się mowa ciała obcego, który teraz spokojnie skręcił w konkretnym kierunku. „Bardzo dobrze. Zobaczmy, dokąd naprawdę zmierzasz”.

Okręt portalowy

Potrzebujemy opcji.

Zniszczyć planetę. Natychmiast.

To pewna nadgorliwość. Jest pojedynczą istotą.

Jest Entropią! Żadna pojedyncza istota nie stała się nigdy bezpośrednią przyczyną zniszczenia tylu okrętów portalowych! Zniszczyć planetę!

Jeśli to uczynimy, Operacja zostanie całkowicie zaniechana, stracimy kolejny okręt portalowy, a Sojusz z całą pewnością zwróci się przeciw nam ze zniechęconym wrogiem u boku.

Po tym oświadczeniu zapadła cisza. Wszyscy mieli świadomość, że dokładnie tak się stanie. Konklawe prowadziło burzliwą wymianę pomysłów przy pomocy skomplikowanych wzorów uniwersalnego języka matematyki na poziomie przewyższającym nawet geniuszy większości gatunków, ale żadne z rozwiązań nie było jednocześnie skuteczne i akceptowalne w skutkach.

Ten gatunek jest wściekle denerwujący.

To stwierdzenie spotkało się z powszechną aprobatą. Konklawe napotykało, rzecz jasna, znacznie potężniejsze gatunki, choćby ZNIENAWIDZONEGO WROGA, ale żadnego tak irytującego.

Członkowie konklawe zdawali sobie również sprawę z tego, że spora część irytacji wynikała z faktu, że nie pozwalali sobie działać

w oparciu o nią. Zbyt wiele było niewiadomych, a ZNIENAWIDZONY WRÓG tylko czekał na ich potknięcie. Wystarczył jeden fałszywy krok, a ostateczna wojna wybuchnie, nim dokończą przygotowania, kładąc wszystko na szali.

Gdy dodać do tego niezidentyfikowany sposób, w jaki irytujący gatunek unicestwił całą ich flotę bojową, oraz fakt, że ktoś – być może ten sam irytujący gatunek – stworzył i podtrzymał fałdę czasoprzestrzenną przez większość czasu krótkiego starcia i odważył się wystąpić przeciwko nim, konklawe uznało, że znanych i nieznanymi zagrożeń było za dużo.

A teraz Entropia współpracuje z głupcami z Sojuszu. To nie do przyjęcia. Zniszczyć planetę!

To byłoby nierozsądne i prawdopodobnie rozpoczęłoby ostateczną wojnę, na którą nie jesteśmy przygotowani. Taki jest przecież cel Operacji!

Konklawe spierało się zażarcie, szukając odpowiednich możliwości działania, ale nie umiało dojść do porozumienia.

Jedynie, co do czego członkowie się zgadzali, to fakt, że bieżąca Operacja była zagrożona, a wraz z nią spora część ich planów na przyszłość.

Orkana

„Mały Sirhanin już nie biegnie” – zauważyła Sorilla, podążając wciąż za obcym i posługując się głównie czujnikami pancerza i implantów, by pozostawać w ukryciu.

To był sprytny ruch. Birchee szedł teraz normalnym tempem, jak przeciętny robotnik zmierzający do swoich zadań, przez co doskonale wtopił się w tłum przemierzających kondygnację produkcyjną pracowników. Podszedł do drzwi osadzonych w odległej ścianie hali, rozejrzał się uważnie wokół, po czym wślizgnął do środka, zostawiając Sorillę z dylematem.

Teraz gdy był już pewien, że zgubił pościg, najpewniej się rozluźnił, ale z drugiej strony prawdopodobnie szedł zdać raport komuś, kto zarządzał tą infiltracją, a to oznaczało, że do gry wejdą grubsze ryby i trzeba brać pod uwagę ich protokoły bezpieczeństwa.

Niestety, Sorilla nie śledziła obcego w dżungli czy innym naturalnym otoczeniu. Nieznany teren fabryki znacząco ograniczał jej możliwości niezauważonego podejścia do celu.

Nie mając innych opcji, Sorilla odczekała dłuższą chwilę, po czym uchyliła lekko drzwi i wsunęła przez szparę cieniutką kamerkę. Po drugiej stronie nie było śladu po obcym, więc otworzyła drzwi i wsunęła się do środka.

Stała w wąskim przejściu, które najwidoczniej ułatwiało pracownikom szybkie przemieszczanie się po kondygnacji produkcyjnej bez zakłócania pracy innym. Było tam dość tłoczno, ale wszyscy wyglądali na pochłoniętych swoimi sprawami i nie zwracali większej uwagi na Sorillę.

Kwestie bezpieczeństwa najwyraźniej nie zaprzętały szeregowych pracowników.

Sorilla mrugnęła, zmieniając ustawienie swoich płynnych soczewek, i uruchomiła w implantach rogówkowych termiczny moduł FLIR.

„Tam”.

Ślady stóp świeciły jasno na kompozytowej podłodze, świeże i ciepłe na chłodnym tle. Ruszyła ich tropem, podążając za gasnącym ciepłem swego celu.

Birchee mijał kolejne korytarze dostępne, kierując się ku sirhańskim kwaterom. Mało kto zwracał na niego uwagę, co bardzo go cieszyło. Gdyby inspektorzy ogłosili jakiś alarm, tu na dole już by o tym wiedziano i na pewno by to zauważył. Jakiegokolwiek były ku temu powody, alarmu nie ogłoszono... na razie.

„Najwyraźniej inspektorzy również nie chcą nagłośnić sprawy” – pomyślał.

Zdawał sobie sprawę, że wybuchłby skandal, gdyby wyszło na jaw, że jeden z głównych autoryzowanych przez Sojusz obiektów produkcyjnych został zinfiltrowany. Mimo to Birchee nie był skłonny kłaść na szali losów Operacji, opierając się jedynie na nadziei, że inspektorzy będą woleli zamieść sprawę pod dywan.

Zauważył pierwszego z wartowników i dyskretnie pokazał umówiony sygnał. Wiedział, że cichy alarm szybko rozejdzie się wśród wtajemniczonych w Operację.

Spotkanie odbyło się, rzecz jasna, nim dotarł do kwater.

– Zostałeś namierzony, ogłoszono alarm – oznajmił jego zwierzchnik, wychodząc mu na spotkanie.

– Publiczny? – spytał Birchee, krzywiąc się.

– Jeszcze nie. Mamy czas. Malutko, ale zawsze coś. Chodź.

Birchee przytaknął i ruszył spieszenie za dowódcą.

Udali się do kwater Sirhan, które zapewniały niezbędne minimum komfortu pracownikom na czas posiłków i odpoczynku. Nie było tam nic poza najbardziej podstawowymi udogodnieniami i odrobiną rozrywki, która miała zapobiegać burdom w czasie, gdy robotnicy powinni odpoczywać. Birchee przywykł do nędznych warunków, więc nie zwracał już na nie uwagi.

W obszarze kontrolowanym przez wtajemniczonych w Operację panował większy porządek, a przestrzeń wyglądała bardziej profesjonalnie, choć przypadkowy obserwator raczej nie zauważyłby różnicy. Wciąż wszędzie panował bałagan, ale nie był przypadkowy, lecz służył ukryciu tego, co naprawdę się pod nim znajdowało.

Dowódca Sirhańskiej Operacji czekał.

Birchee poczuł, że go zmroziło, ale skinął głową z szacunkiem i skłonił się, stając przed dowódcą.

– Mów – rozkazał ten bez zbędnych wstępów.

– Dowódco, moim zadaniem było śledzenie inspektorów w nadziei, że dowiemy się, czego tutaj szukają – odpowiedział Birchee.

– Miałeś nie dać się złapać.

– Nie mam nic na swoje wytłumaczenie – odparł wprost. – Sądziłem, że mnie nie widzą. Myliłem się.

– O co pytali?

– Inspektor wiedział o produkcji nierejestrowanej broni oraz prześledził jej pochodzenie. Tak trafił tutaj – wyjaśnił Birchee. – Tyle wynikało z pytań, ale nie sądzę, by wiedzieli o całej Operacji.

– Słabe to pocieszenie, nawet jeśli masz rację – mruknął dowódca.

– I nie ułatwia mi decyzji, co z tobą zrobić.

Birchee powoli skinął głową, szykując się na najgorsze.

– Dowódco, jeśli uważasz, że pomoże to Operacji, pozwolę im się przenieść... gdzieś daleko stąd – zaproponował. – Nie zostaną schwytani.

– Kuszące. Niemniej skonsultuję się z najwyższymi, nim poczynimy takie plany – odparł dowódca. – A tymczasem...

– Dowódco! Wartownicy ostrzegają, że ktoś się zbliża!

Birchee i dowódca obrócili się gwałtownie.

– Nikt mnie nie śledził, przysięgam! – zawołał robotnik, czując, jak mrozi go strach.

– Wygląda na to, że w tej kwestii się mylisz – odparł dowódca. – Optyka.

Na ścianie zajaśniał obraz przedstawiający korytarze na zewnątrz sirhańskiego habitatu. Birchee wpatrywał się w ekran dłuższą chwilę, nim w końcu wskazał palcem.

– Tam, sektor Cora Mun.

Dowódca szybkim gestem powiększył odpowiedni fragment obrazu na całą ścianę. W milczeniu obserwowali sylwetkę, która momentami znikwała im z oczu, wtapiając się w nijakie tło cienistych korytarzy, ale bez wątplenia zmierzała w ich kierunku.

– Nie znam tego gatunku – stwierdził dowódca po chwili. – Znajdźcie wpis w bazie danych Sojuszu.

– Pracujemy nad tym, dowódco, ale nic tu nie ma!

Birchee lekko potrząsnął głową.

– Nierejestrowany gatunek Sojuszu?

– Możliwe. Być może to gatunek operacyjny – rozważał dowódca – ukrywany celowo, by tacy jak my się o nim nie dowiedzieli. Trudno powiedzieć, ale może to któryś z niebieskich... choć wydaje się za niski, a przy tym za wysoki na któregoś z bandytów.

– I za chudy – dodał Birchee.

– Niewątpliwie. To niepokojące. Ten osobnik najwyraźniej cię śledził i wkrótce tu dotrze – stwierdził dowódca. – Musimy założyć, że nasza lokacja jest spalona. Zniszczcie sprzęt, spalcie identyfikatory, opuszczamy to miejsce.

– Tak, dowódco!

Sorilla przystanęła, bo w ciągu kilku sekund w okolicy zrobiło się podejrzanie pusto. Wokół nie widziała nikogo.

„To nie może być dobry znak. Cholera, jestem spalona”.

Mimo wszystko ruszyła dalej. Za dużo mogła wygrać, by teraz się poddawać, ale już kilka chwil później coś się wyjaśniło.

„Tlenek węgla, cząsteczki węgla, inne ślady... Ktoś tu spala węglowodorowe kompozyty. Cholera”.

Nie było żadnych dobrych powodów, by ktokolwiek podpalał cokolwiek w obiekcie takim jak ten – a przynajmniej nie w opinii Sorilli. Porzuciła ostrożność i puściła się pędem. Zauważyła zamknięte drzwi, spod których wydobywały się wąskie pasemka dymu. Nie zatrzymała się, lecz wpadła na drzwi w pełnym biegu, taranując je. Znalazła się w środku pożaru.

„Cholera, cholera, cholera!”

Ogień pożerał wszystko wokół, włączając w to sprzęt i kartki podobne do cienkich ekranów. Zrzuciła część przedmiotów na podłogę, próbując zdeptać płomienie i jednocześnie rozglądając się w poszukiwaniu potencjalnie cennych rzeczy. Niestety, miała zdecydowanie za mało czasu, by odratować wszystko.

„Taki obiekt powinien mieć wbudowane automatyczne systemy przeciwpożarowe. Nikt nie byłby tak głupi, by wybudować coś tak wielkiego bez zabezpieczeń”.

Sorilla rozejrzała się i przez implanty dostrzegła na suficie dysze, ewidentnie zablokowane. Zrezygnowana złapała, co tylko była w stanie unieść, i uciekła, zostawiając płonące inferno za sobą.

„Profesjonalna robota” – myślała cierpko, maszerując korytarzem i przeglądając, co udało jej się wynieść.

Rzeczy zbyt nadpalone wyrzucała, ale kilka elementów było przynajmniej częściowo nietkniętych ogniem. W większości był to standardowy sprzęt Sojuszu, ale napisy na nim to było coś zupełnie innego.

Nie знаła tego języka, ale wydawał się jej jakiś... znajomy.

„Co to jest? To nawet nie przypomina sposobu zapisu Sojuszu... po prawdzie najbardziej podobne znaki widziałam na...”

Zatkało ją, gdy przypomniała sobie, gdzie ostatnio widziała coś podobnego.

„To szyfrowanie Ross. Podczas wojny nie udało nam się tego rozgryźć, ale... nie wydaje mi się, żebyśmy podchodzili do tematu od dobrej strony”.

Była pewna, że Ross nie postrzegali świata w taki sam sposób jak inne gatunki. Może i mieli oczy i uszy, zmysł dotyku i smaku, ale te zmysły nie determinowały sposobu, w jaki Ross odbierali wszechświat.

Grawitacja. Masa. To był ich chleb powszedni. Sorilla poczuła przedsmak tego na Dziecku Boga. Wiedziała, że technologia Ross upstrzona jest interfejsami, do których obsługi potrzeba zmysłu grawitacji. Było to coś unikalnego dla Ross, czego żadna inna rasa nie osiągnęła na drodze naturalnego rozwoju... ale Sorilla mogła już tego dokonać. Nie w sposób naturalny, ale mogła.

Sama możliwość używania interfejsu grawitacyjnego nie oznaczała jednak, że Sorilla rozumiała szyfrowanie Ross. Mimo to był to jakiś start.

Skopiowała zaszyfrowane dokumenty do pamięci implantów, a potem rzuciła je w ogień.

Z niechęcią musiała chylić czoła przed infiltratorami.

„Prowadzą profesjonalną operację” – pomyślała kwaśno z mieszaniną irytacji i zawodowego uznania. „Nawet nie zauważyłam wartownika, który mnie namierzył”.

Będzie o tym pamiętała.

„Raz mnie nabraliście” – pomyślała z nutą rozbawienia, gdy ruszyła znów korytarzem, układając w głowie historyjkę, jaką opowie Sieniele i Strażnikom. „Do zobaczenia, przyjaciele. Do zobaczenia”.

5

Orkana

Sienele próbował trzymać nerwy na wodzy, czekając na wieści o swoim zaginionym „gościu”. Lucjanie wrócili niezadowoleni, zmuszeni uznać swoją porażkę. Wszyscy czekali już tylko na pułkownik.

„Niezrzeszona jednostka, do niedawna kombatant armii wroga, biega sobie swobodnie po jednym z głównych obiektów zaopatrzeniowych Sojuszu. Nie wiem, czy sytuacja mogłaby być gorsza, ale boję się nawet o tym myśleć, żeby moje pytanie nie okazało się dla kogoś wyzwaniem”.

Nie była to może katastrofa – jeszcze – ale sytuacja zmierzała w takim właśnie kierunku.

– Powinieneś się odprężyć – zagrzemiał Kriss zza pleców Sienele. – Ona wróci.

– Jestem przekonany, że tak będzie. Co mnie martwi, to jej poczynania w międzyczasie – odburknął szpieg z rozdrażnieniem.

– Za dużo się martwisz. Nie ma tu nic, co uczyniłoby ją jeszcze bardziej niebezpieczną niż teraz.

– To mnie nie pociesza.

Kriss roześmiał się, rozbawiony sytuacją.

– Brakuje ci woli walki, przyjacielu, wystawienia się na próbę. Zbyt dużo czasu spędzasz, unikając wyzwań, i źle ci to robi.

– Wyzwanie, które podejmuję, polega na zapobieganiu takim wyzwaniom, nim staną się problemem.

Kriss prychnął, kręcąc lekceważąco głową.

– Równie dobrze możesz dmuchać na burzę, próbując ją zawrócić. Wszechświat stawia wyzwania każdemu. Kiedy próbujesz temu przeciwdziałać, to jakbyś próbował zatrzymać obroty Galaktyki.

Wyjdź naprzeciw wydarzeniom i ciesz się, że masz szansę się wykazać. Po co martwić się tym, co będzie, kiedy możesz mierzyć się z tym, co jest? Tak robią dzieci i głupcy. O tobie mam inne mniemanie.

Sienele odwrócił się w stronę Lucjanina, patrząc mu prosto w oczy.

– Ależ, Kriss – zaczął po dłuższej chwili – to chyba najbardziej filozoficzny wywód, jaki kiedykolwiek usłyszałem z ust Lucjanina. Czyżbyś miękł na stare lata?

Lucjanin warknął, dotykając głowni terrańskiego noża przytroczonego do pasa.

– Sam sprawdź, jak bardzo zmiękłem. Nie? Tak myślałem.

Sienele już otwierał usta w ciętej odpowiedzi, ale Kriss przerwał mu lekkim skinieniem głowy.

– Czas zakończyć nasze gierki słowne. Oto ona.

Sienele odwrócił się i obserwował, jak Sorilla niespiesznie zmierza w ich stronę. Hełm wrócił już na swoje miejsce, przytrzymywany zatrzaskiem na biodrze, więc Sienele mógł dostrzec poważny wyraz twarzy pułkownik. Ale to charakterystyczny zapach natychmiast przykuł jego uwagę.

– To dym – powiedziała Sorilla w standardowym języku Sojuszu. – Macie tu w obiekcie uroczą komórkę infiltracyjną. Bardzo profesjonalną, z żelazną dyscypliną i proaktywnym przywództwem. Zauważyli mnie i spalili cały sprzęt, nim opuścili bazę. Prawdopodobnie lada moment dostaniecie raport z pożaru.

Sienele się spiął.

– Nie powinnaś była podejmować pościgu na własną rękę. To terytorium Sojuszu, a ty jesteś żołnierzem niezrzeszonego ustroju.

Aida machnęła ręką.

– Błagam. Byłam żołnierzem. Odeszłam ze służby jeszcze przed ostatnią misją. Na tym etapie spodziewam się, że SOLCOM spalił moje dostępy do cna. Byliby durniami, gdyby dopuścili mnie do czegokolwiek po tym, jak odleciałam z waszą ekipą.

– Dla nas to bez znaczenia, choć z pewnością dla ciebie niesie to poważne konsekwencje – odparł Sienele. – Nigdy więcej tak nie rób.

Pułkownik przechyliła tylko lekko głowę.

– Dobra, niech bandyci się wymykają, załatwione. Coś jeszcze?

Kriss roześmiał się głośno, co jeszcze bardziej zirytowało szpiega.
– Pamiętaj, kim tu jesteś – odpowiedział sucho. – Już nigdy nie odchodź nigdzie sama.

„I to tyle?” – zdziwiła się Sorilla po tej nieprzekonującej reprimendzie i rozkazie wymarszu. „Niedobrze”.

Spodziewała się czegoś więcej. Grózb, zapowiedzi więzienia, przesłuchania. Czegoś.

Ostatecznie była dokładnie tym, o czym mówił Sienele. Z perspektywy Sojuszu Sorilla to jeśli nawet nie kombatant wroga, to przynajmniej coś dostatecznie zbliżonego. Trzymanie jej w ryzach powinno być absolutnym priorytetem. Informacje o tym, czego się dowiedziała, będąc poza zasięgiem wzroku, musiały stanowić w tej chwili najważniejsze zmartwienie szpiega.

Jeśli tak nie było, musiała założyć, że szpieg nie miał zamiaru spuścić jej z oka tak długo, aż się dokładnie wszystkiego nie dowie... albo wcale.

Nie była to dla niej niespodzianka, ale i tak martwiło ją to.

Sorilla zaczęła snuć w głowie plany i najwyższy priorytet nadawała tym, które będą wymagały od niej pewnej... aktywności... gdy przyjdzie czas na opuszczenie przestrzeni Sojuszu.

Chciała doprowadzić tę misję do końca. Uznała ją za wystarczająco ważną, by zaryzykować życie, ale mimo wszystko nie pchała się w objęcia śmierci, jak niektórzy lubili o niej myśleć.

– Przyjęłam – powiedziała głośno. – Tymczasem udało mi się wydobyć nieco danych z pożaru. Komórka infiltracyjna była w posiadaniu technologii Ross.

Kriss i Sienele wymienili znaczące spojrzenia.

– Nie jest to nic nowego – odparł Kriss w zamyśleniu – ale i tak wróży kłopoty.

– Niewątpliwie. Ross okazjonalnie sprzedają swój sprzęt, ale jego cena jest niewyobrażalna, a dostęp wymagany, by w ogóle dostać się na listę potencjalnych kupców, jest bardzo restrykcyjny.

Sorilla wątpiła, by komórka zapłaciła za sprzęt czy trafiła na jakąkolwiek listę. Jeśli nawet Ross nie wyposażyli Sirhan osobiście,

dałaby głowę, że wykorzystali do tego pośrednika.

Na tym etapie nie była jednak skłonna dzielić się swoją teorią z Sojuszem.

Chwilowo grali do jednej bramki, ale Sorilla była doświadczonym żołnierzem i wiedziała, że to w każdej chwili może się zmienić. W takiej sytuacji, na emeryturze czy nie, nie miała najmniejszych wątpliwości, wobec kogo pozostawała lojalna.

– Jeśli dysponują takimi funduszami, macie duży problem – skwitowała. – Kiedy Sirhanie dołączyli do Sojuszu?

– Niedawno – odparł Kriss. – Według waszej miary chyba nie więcej niż dziesięć terrańskich lat temu.

Sorilla w zamyśleniu pokiwała głową, rozważając, jak daleko jej cywilizacja zaszła w ciągu jednego roku. Biorąc pod uwagę przeciwników i ich sprzęt, który ludzie przejęli w czasie wojny, nie było w tym nic dziwnego.

– Nie dość długo, by się okopać.

– Nie – odpowiedział Sienele ponuro. – To jasne, że mają wsparcie... i chyba nikt z nas nie ma wątpliwości, kto im je daje.

„No cóż, nigdy nie miałam go za głupiego” – pomyślała Sorilla, nieco rozbawiona.

Sytuacja w Sojuszu, przynajmniej ta powierzchowna, była dość oczywista. Ross byli ewidentnie powiązani z szemranymi działaniami wewnątrz Sojuszu. Sytuację zaciemniał jednak fakt, że te działania wykorzystywali do prowadzenia operacji przeciwko grupom wrogim wobec Sojuszu.

Sorilla podejrzewała, że Sienele rozważa teraz scenariusz zbuntowanej jednostki tajniaków, realizującej wewnątrz Sojuszu własną wizję Galaktycznych Służb Bezpieczeństwa.

To nie byłby dobry znak, ale zdaniem Sorilli sprawy były jeszcze bardziej skomplikowane.

Ross kierowali się własnymi interesami i prawdopodobnie próbowali podkopać Sojusz tak samo jak każdą inną grupę, choćby SOLCOM. Jej sytuacja okazała się przez to nieco mniej stabilna, niż na to liczyła. Zbuntowana grupa, która wciąż pracowała w interesie Sojuszu, stanowiłaby plamę na honorze wielkiej organizacji, ale nic więcej.

Ale grupa pręźnie pracująca nad zniszczeniem Sojuszu?

To już kompletnie inna bajka.

Sorilla tylko jednego była pewna – musiała działać bardzo ostrożnie, jeśli chciała wyjść z tego żywa i wrócić do domu. Prawda, że był to cel drugorzędny zaraz po solidnym przykopaniu Ross w jaja, ale mimo wszystko nadawała mu bardzo wysoki priorytet.

– Jeśli niezauważeni prowadzili tajną operację pod samym nosem lokalnej administracji – powiedziała, ważąc słowa – z pewnością prowadzą działania także w innych obiektach chronionych.

Sienele wydawał się bardzo nieszczęśliwy już na samą myśl o czymś takim, ale po krótkim namyśle niechętnie przytaknął.

– To szybko robi się bardzo... irytujące.

Okręt portalowy

Przedmiotowy gatunek infiltracyjny wrócił z meldunkiem.

Konklawe przerwało, by bez zwłoki zapoznać się z raportem i rozważyć go, nim ktokolwiek zabierze głos.

Znowu Entropia. Zniszczyć świat. Zakończyć tę farsę.

Byłoby to bezczelne i bardziej niszczące dla naszej sprawy, niż nawet gorsza Entropia mogłaby osiągnąć.

Zajmuje nas nie to, co Entropia tam osiągnie, lecz jakie będą tego konsekwencje.

Ten świat nie jest wart rezultatów jego zniszczenia. Powstrzymaj się od idiotyzmów i skup na rozwiązaniach.

Uparty członek konklawe opadł, a jego formuły ucichły w wirującej pomiędzy pozostałymi czasoprzestrzeni. Starszyzna skupiła się z powrotem na problemie.

Sojusz jest bliski odkrycia operacji. Niemniej wydaje się mało prawdopodobne, by pojęli jej rozmach. Będzie się im jawiła jako gierki pomiędzy nacjami.

Zgoda. Pozwólmy im odkryć operację. Dajmy im pomniejsze zwycięstwo. Poświęcenie kilku agentów powinno zadowolić Sojusz, a nam pozwoli utrzymać pozycję operacyjną w polu czasoprzestrzennym kosztem nieznacznego opóźnienia.

Formuły konklawe stały się zmieszane i chaotyczne, by po chwili uporządkować się w ogólnym porozumieniu.

Dobrze zatem. Poinstruuujemy gatunek infiltrujący, by tak uczynił.

Zgoda.

Świat Haydena, subkontynent

Samolot elektryczny wylądował miękko na dużym lotnisku wojskowym, przyćmiony rozmiarem stojącego obok promu szturmowego. Gil Hayden zawsze czuł się dziwnie mały, gdy przybywał z wizytą do Aidów – nieważne, do którego z nich. Sierżant, jak nazywali ją chyba wszyscy na planecie, nie uznawała półśrodków. Kiedy coś budowała, robiła to porządnie – tak, by budowla wytrzymała znacznie więcej, niż Sorilla mogłaby się spodziewać w jakiegokolwiek sytuacji.

W kolonii lądowisko dla samolotów miało wielkość ćwiertci tego i było zbudowane z aluminium i siatki kompozytowej. Wyliczono je tak, by mogło przyjąć podwójną masę dowolnego prywatnego lub publicznego samolotu kolonii – i ani grama więcej.

A lądowisko Sierżant?

No cóż, Gil nie był pewien, czy mogłoby przyjąć okręt międzygwiazdny, ale wcale by się nie zdziwił.

– Hej, ty tam, na lądowisku!

Gil odwrócił się z uśmiechem, widząc Cassiusa Aidę wspinającego się po niewielkim wzgórzu i machającego na powitanie.

– Miło cię znów widzieć, Gil! – przywitał go radośnie. – Co sprowadza cię tak daleko od kolonii?

– Otrzymałem oficjalną wiadomość z SOLCOM-u, która mogłaby cię zainteresować – powiedział Gil, wyciągając tablet z kieszeni kurtki i wręczając go Cassiusowi.

Ten przeleciał szybko wzrokiem wiadomość i pokiwał głową.

– W końcu zdecydowali się na formalności?

– Zgadza się – przytaknął Gil. – SOLCOM oficjalnie wystąpił o wyłączenie lokacji łącza oraz otaczającego ją terenu na użytek SOLCOM-u z przeznaczeniem na przyszłą ambasadę.

– Chwila – powiedział Cassius, wklepując w tablecie kilka komend i łącząc się z lokalną siecią, by pobrać kilka plików. – To nasza kontroferta.

Gil uśmiechnął się, sprawdzając dane.

– Dziewięćdziesięciodziewięcioletnia dzierżawa lokacji łączy i budynków ambasady, a reszta ma być dostępna do wynajmu według twojego uznania?

– Sorilli – skorygował Cassius z uśmiechem.

– Oczywiście – zgodził się Gil, bo też akurat o tę kwestię nie musiał się spierać.

Od czasu gdy Sorilla zdecydowała się pozostać w przestrzeni Sojuszu, jej status formalny we Wspólnocie Słonecznej dotknęło kilka nieoficjalnych zmian. Na razie nic konkretnego się nie działo, ale to, co szeptano sobie w kręgach, w jakich Gil się obracał, nie wróżyło nic dobrego.

Miał nadzieję, że Sierżant szybko wróci do domu i zdoła raz a dobrze ukrócić ten potok bzdur.

Na tę chwilę mógł jej co najwyżej pomoc przyznać ziemię potrzebną do realizacji spraw, które wcześniej wprawiała w ruch.

– Zadbam o to, by podetknąć im waszą ofertę pod nos – obiecał Gil – razem z niepozostawiającą złudzeń sugestią, że kolonia stanie w tej sprawie po stronie twojej córki. Normalnie to by wystarczyło, ale...

Cassius zbył przepaszający ton Gila machnięciem ręki.

– Rozumiem, ona na pewno też. Sorilla nie podejmuje decyzji bez rozważenia i przygotowania się na konsekwencje swoich działań.

– Kolonia jest tego w pełni świadoma. – Gil się uśmiechnął. – Stoimy za nią murem, Cash, masz moje słowo.

6

Orkana

Oficer dowodzący sirhańską operacją infiltracyjną wpatrywał się w obraz z kamer ze swojego zapasowego punktu obserwacyjnego – małego wycinka fabryki, który udało się Sirhanom wyodrębnić poza systemy bezpieczeństwa i przekierować tam obraz z kamer.

Sojusz stanowił zapatrzoną w siebie biurokrację na wszystkich poziomach. Nikt nie przejmował się detalami, dopóki główny nurt działania, który dotyczył wyższych warstw społeczeństwa, płynął w pożądanym kierunku. Dowódca wiedział, że nie było w tym niczego niezwykłego. Na ich rodzimym świecie sprawy miały się podobnie, a bywało i gorzej.

Jednak sama znajomość mechanizmu wystarczyła, by ich operacja infiltracyjna mogła się rozwijać.

Wybawcy obserwowali Sojusz od dłuższego czasu, wyłapując wzorce i drobne szczegóły, którymi dało się manipulować bez zakłócania głównego nurtu. Te dane były nie do przecenienia dla sukcesu Operacji.

Teraz jednak była ona zagrożona, a dowódca nie był pewien, jak w ogóle mogło do tego dojść.

„Co sprowadziło tu inspektorów? Musieli zlokalizować nierejestrowaną i niemonitorowaną broń. Ale środki, które otrzymaliśmy, powinny zmylić trop. W ogóle nie powinno być żadnego tropu”.

Niestety, Wybawcy nie udzielili Najwyższemu spójnych wyjaśnień.

Nie był zaskoczony. Komunikacja z Wybawcami nie była... łatwa. Jedynie najlepsi z najlepszych sirhańskich naukowców, specjalizujący się w najbardziej ezoterycznych dziedzinach, byli

w stanie cokolwiek zrozumieć z przekazów Wybawców, a nawet oni przyznawali, że bardzo wiele umyka im w przekładzie.

Mimo to działali dalej, co doprowadziło ich do tego miejsca.

Ciemne pomieszczenie i obraz śmiertelnego niebezpieczeństwa podkradany z kamer obiektu.

Jak nisko upadł od czasów, gdy był naczelnym dowódcą sił zbrojnych swojego świata... póki nie zawiódł.

„Są sprytni, okopani i mają plan, który konsekwentnie realizują” – rozmyślała Sorilla, podczas gdy Sieniele i Strażnicy zajmowali się jeszcze sprawą infiltracji.

Nie interesowała się szczególnie ich bieżącymi działaniami, chyba że zdołaliby pojmać kogoś z sirhańskiej komórki, co było mało prawdopodobne.

Sirhanie pracowali dla Ross, tego Sorilla była pewna. Może bezpośrednio, może przez pośredników, ale nie miało to większego znaczenia. Istotne było to, że Ross określali cele operacji, a to akurat stanowiło spory problem. Sorilla nie знаła nikogo, kto miałby jakiegokolwiek pojęcie, co działo się w głowach tych pokręconych szarych istot.

Ross byli ucieleśnieniem tajemnicy. Podejmowali działania, które zdawały się nie mieć żadnego sensu, a nie robili rzeczy, które dla innych gatunków były oczywiste. Ewidentnie mieli w tym jakiś cel i konsekwentnie do niego dążyli, ale dla zewnętrznego obserwatora stanowił on zagadkę – i to nie tylko dla ludzi, bo analitycy Sojuszu również zdawali się nie rozumieć działań Ross.

Skoro najbliżsi sojusznicy Ross, o ile w ogóle można tak mówić, nie umieli pojąć ich sposobu myślenia, jakie szanse miał ktokolwiek inny?

Sorilla analizowała dane, które pozyskała ze zniszczonego w pożarze sprzętu, kierując na to pełną moc swojego oprogramowania deszyfrującego – bez skutku.

Dla jej sprzętu nie był to żaden szyfr. Nie żeby nie można go było złamać, tylko... to nie był szyfr.

„Co to, u diabła, jest?”

Sorilla potarła w zamyśleniu twarz, wpatrując się w szeregi cyfr wyświetlające się na jej implantach rogówkowych.

„Chyba nie nadawali by bez szyfrowania... prawda?”

To byłoby szalone, ale przecież chodziło o Ross.

„No dobra, a co, jeśli to w ogóle nie jest szyfrowane? Co by to było? Na podstawie dostępnych informacji o Ross można założyć, że to prawdopodobnie zaawansowane równania czasoprzestrzenne, zmodyfikowane w sposób, który ma dla Ross jakieś znaczenie. Ale...”

Sorilla aż przystanęła, gdy coś przyszło jej na myśl.

To była głupia myśl.

Zbyt głupia... a może...

Procesor – subwokalizowała, kątem oka obserwując Sienele i Lucjan, którzy na szczęście nie zwracali na nią uwagi. *Szukaj wzorców, skanuj pod kątem... różnic zasięgu.*

Procesory w jej klatce piersiowej, głowie i pancerzu zaczęły pracować, skanując dane w poszukiwaniu czegoś, co wyglądałoby jak współrzędne lokalizacji, które mogłyby zostać przekonwertowane do informacji o zasięgu. Wkrótce pojawiły się pierwsze wyniki.

„Bingo. Dobra, mam współrzędne czasoprzestrzenne... ale reszta jest kompletnie niezrozumiała... Może je zgrupuję, przepuszczę symulację przez algorytm czasoprzestrzenny i wyświetlę w trzech wymiarach...”

Ledwie powstrzymała dreszcz, gdy jej wzrok zaatakował fizycznie niemożliwy konstrukt. Szybko wyłączyła projekcję, z trudem powstrzymując mdłości.

„Dobra, tego nie będę już próbować”.

Mimo wszystko projekcja wydawała się spójna, na ile Sorilla była w stanie stwierdzić. Nie wyglądało to na chaos wykluczających się danych. Nie wiedziała, czy to obiecujący kierunek, ale zakładała, że tak.

W skupieniu rozważała różne możliwości, ale jedyne, co przychodziło jej do głowy, nie napawało jej entuzjazmem.

Po kilku dłuższych chwilach, głębszych oddechach i umocnieniu woli Sorilla podjęła decyzję.

Procesor, dostosuj do specjalnych punktów odniesienia i... – Sorilla aż się skrzywiła – przepuść dane przez moje akcelerometry.

Procesory zawiesiły się na chwilę, przetwarzając polecenie i przygotowując się do jego wykonania, co dało Sorilli dość czasu, by zdążyła pożałować każdej sekundy swojego życia, która doprowadziła ją do wydania tego polecenia... a potem wszechświat zawinął się wokół niej.

Sienele spojrzął ukradkiem w stronę pułkownik, ale kobieta siedziała spokojnie w ciszy i nic nie zapowiadało kłopotów z jej strony. W jakiś irytujący sposób sprawiało to, że jeszcze bardziej się niepokoił. Odwrócił wzrok, nim zdążyła go zauważyć, i nachylił się w stronę Krissa.

– Trzymaj swoją pupilkę na krótszej smyczy – warknął. – Zdecydowanie za długo była poza radarem. Nie mamy pojęcia, co wtedy robiła, a przy jej umiejętnościach każda chwila to o jedną za dużo.

Kriss spojrzął obojętnie na Sorillę.

– Błagam. Chyba nie muszę ci mówić, że nikt nie może jej nazywać swoją pupilką, ale nawet jej umiejętności nie zdałyby się na wiele w tych okolicznościach. Są granice tego, co jedna osoba może zdziałać. Nawet jakby była lucjańskim Strażnikiem, nie mogłaby narobić wiele szkód.

– Ale ona nie jest lucjańskim Strażnikiem – syknął Sienele. – Lucjanin myślałby w kategoriach sabotażu, zrobienia jak największych szkód, bezpośrednio i natychmiast. Ona nie. Ona szukałaby miejsc, by zasiać ziarna, które mogą kiełkować rok, dekadę, może nawet stulecie... ale gdy w końcu wzejdą, narobią szkód, które są nie do pomyślenia z bieżącej perspektywy. Wiem, że ją lubisz, że jest dla ciebie interesującym wyzwaniem... i zgadzam się z tobą, ale musimy pamiętać... jeśli dowie się zbyt wiele, nie będzie mogła opuścić przestrzeni Sojuszu żywa.

Na to Kriss nie znalazł odpowiedzi. Sienele już prawie uwierzył, że przebił się ze swym przesłaniem.

– Myślisz, że mogliby powierzyć zadanie zlikwidowania jej właśnie mnie? – spytał w końcu Kriss z nutą ekscytacji w głosie.

Sienele nie zdołał stłumić jęku.

„Lucjanie”.

Doświadczenie było... oświecające. Choć dane nie były zapisywane światłem, fraza dobrze oddawała towarzyszące Sorilli emocje. Dosłownie czuła wiadomość płynącą przez czasoprzestrzeń i rozumiała jej niuanse wirujące niczym woda w wartkim strumyku.

Była to komunikacja, choć nie językowa.

Rozumiała jasne cele uzupełnione o rozkazy i instrukcje, a w tle wyczuwała dane o obiekcie, w którym właśnie się znajdowała. Drgnęła, a czterowymiarowy obraz fabryki pojawił się w jej umyśle.

To był nie tylko projekt czy plan tego ogromnego obiektu produkcyjnego, ale wszystkie informacje o nim płynące w czasie, od chwili jego powstania. Widziała wykopy i wylewanie fundamentów, budowę kolejnych kondygnacji, instalację maszyn... Wszystko równocześnie, a jednak pocięte na fragmenty.

Gdy program zakończył przetwarzanie danych, Sorilla, choć siedziała, zachwiała się i oparła o ścianę, ratując się przed upadkiem. Wpatrywała się w nicość szeroko otwartymi oczami, a jej umysł wirował.

„A więc tak się komunikują. To nie matematyka, to... masa. Rozmawiają za pośrednictwem czasoprzestrzeni, obserwując, jak masa deformuje i zakłóca wszechświat”.

To jednocześnie tłumaczyło wszystko... i nie tłumaczyło niczego. Wiele zrozumiała z samego sposobu, w jaki ten rodzaj komunikacji pokazywał jej wszystko i nic. Ross byli najbardziej unikatową formą życia, jaką kiedykolwiek odkryli czy to ludzie, czy Sojusz... ale nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, bo też nikt nie był w stanie nawet się domyślić, jak bardzo niezwykła to rasa.

Ale Sorilla już to wiedziała, a przynajmniej wiedziała dostatecznie dużo, by uchwycić rąbek prawdy.

Jedyny problem to co z tą wiedzą zrobić? Co w ogóle mogła z nią zrobić?

Ross prowadzili własne działania, bynajmniej nie mając na celu dobra całego Sojuszu, ale Sorilla wątpiła, by pozwolili swobodnie działać ludziom. Byli gatunkiem zaskakująco jednotorowym, biorąc

pod uwagę, jak wielotorowe było ich postrzeganie czasoprzestrzeni, ale...

Wszystko sprowadzało się do ich motywacji. Sorilla co prawda zrozumiała, jak Ross postrzegają wszechświat i w nim funkcjonują, ale nie zbliżało jej to do odkrycia, dlaczego tak właśnie działają. To był brakujący element układanki, może nawet ostatni, którego jej brakowało, by ułożyć cały ten dezorientujący chaos w spójny obraz.

Szkoda tylko, że dużo łatwiej było rozmyślać o motywacjach Ross, niż faktycznie je rozgryźć.

Sorilla zebrała się w sobie i stanęła na nogi.

„Czas wracać do roboty”.

Dowódca pochylił się mocniej, wpatrując w ekran.

– Coś się właśnie wydarzyło. Co to było?

– Dowódco? Nie rozumiem, nic się nie wydarzyło.

Zignorował zdumionego podwładnego i skupił się na obcym widocznym na ekranie. Był już dostatecznie doświadczony, by rozpoznać, że ktoś właśnie podjął decyzję, doszedł do jakichś wniosków. Cała postawa obcego właśnie się zmieniła, jakby zdjęto z niego wielki ciężar...

„Nie, nie zdjęto, a zmieniono...”

Coś się właśnie zmieniło. Widział to w ruchach obcego, ale nie miał dość danych, by wywnioskować, co to mogło być. Cokolwiek by to było, widział, że obcy zaczynał właśnie działać i że ma cel.

A to nie wróżyło dobrze ich operacji.

„Niech to. Nie potrzebujemy kolejnych komplikacji”.

– Jirat – zawołał ostro.

– Tak, dowódco!

– Skontaktuj się z Wybawcami. W mojej opinii operacja została całkowicie spalona. Poproś o instrukcje.

– Tak, dowódco.

„To by było na tyle. Zrobiliśmy swoje, teraz niech Najwyżsi podejmą ostateczną decyzję”.

Tymczasem czekały ich przygotowania.

Sienele zauważył ruch i odwrócił się w stronę nadchodzącej kobiety.

– Tak, pani pułkownik?

– Nudzi mi się – powiedziała, a wyraz jej twarzy sprawił, że Sienele przyjrzał się jej uważniej. – Jeśli nie chcesz, bym działała samodzielnie, może dołączę do którejś z drużyn prowadzących inspekcję?

Sienele przypatrywał się jej bez słowa, a jego umysł galopował, próbując rozważyć wszystkie możliwości stojące zarówno za jej słowami, jak i tonem, którym je wypowiedziała. Coś w jej głosie mu nie pasowało. Komunikacja niewerbalna innych gatunków zawsze była trudna, a ludzie nie zostali jeszcze do końca przebadani.

– Wydaje mi się, że było już dość działania – odparł.

Kriss prychnął.

– Ja z nią pójdę, jeśli będzie ci z tym lepiej.

Sienele przeszył Lucjanina jadowitym spojrzeniem, ale oczywiście został całkowicie zignorowany.

Z irytacją rzucił:

– Dobra. Nie spuszczaaj jej z oczu.

– Jasne, dopóki nie otrzymam jakichś ciekawszych rozkazów – odpowiedział Kriss, szczerząc się w uśmiechu.

Sienele machnął ręką z rezygnacją. Nie miał ani czasu, ani cierpliwości na takie gierki. I tak miał zdecydowanie za dużo na głowie. Może i lepiej, żeby jego dwa największe wrzody na tyłku zajęły się sobą. Kto wie, a nuż pchną do przodu sprawę infiltracji, z którą jakoś trzeba się uporać.

Kriss roześmiał się niskim, grzmiącym śmiechem i gestem puścił Sorillę przodem.

Sienele spojrział za nimi, a przez głowę przeleciała mu myśl, że przynajmniej kilka jego problemów rozwiązałoby się, gdyby Lucjanin zrobił użytek ze swojego zdobycznego noża i podziurawił terrański pancierz tu i ówdzie. Niestety – albo i nie – wiedział, że nie ma takiej opcji. To byłoby zbyt rozsądne jak na Lucjanina.

Nie, jeśli Kriss miałby zabić pułkownik, musiałyby się to odbyć na rozkaz, twarzą w twarz i najpewniej przy ciężkich obrażeniach obu stron.

„Lucjanie”.

– No dobrze, pani pułkownik – zaczął Kriss, a w jego głosie pobrzmiwała chęć zabawy. – Co też pani ma na myśli?

– Na myśli? Nudzi mi się, chciałam rozprostować nogi – odbiła piłeczkę Sorilla.

Strażnik prychnął, rozbawiony.

– Wciskaj kit komuś innemu. Znam cię na tyle dobrze, by widzieć, że ruszyłaś, jakbyś właśnie zakończyła odprawę. Do czego doszłaś?

Sorilla roześmiała się lekko.

– No dobra, może i doszłam. Na przyszłość będę bardziej uważać. Możliwe, że mam pomysł, gdzie może kryć się nasz przeciwnik. Może.

– Powiedz mi, jak niby to wykombinowałaś? Skąd?

Kriss wyprzedził ją i przyszpilił spojrzeniem.

Wzruszyła ramionami.

– Zdążyłam się przyjrzeć kilku drobiazgom w pożarze, nim spłonęły.

Nawet nie skłamała, co najwyżej nie wspomniała o tym, że dokładnie zeskanowała te „drobiazgi”, nim rzuciła je z powrotem w ogień.

– O? Interesujące. I nie raczyłaś wspomnieć o tym naszemu drogiemu mistrzowi szpiegów? – przekomarzał się Kriss.

Sorilla uznała, że taki ton ze strony zwalistej maszynki do zabijania kroczącej u jej boku jest co najmniej niepokojący.

– Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, na co patrzę – wyjaśniła, znów mówiąc samą prawdę, choć z pominięciem dość istotnego w tym wypadku kontekstu. – Od tego czasu zastanawiałam się nad tym.

– A cóż to takiego było?

– Swego rodzaju mapa tego obiektu – odpowiedziała.

Kriss milczał przez chwilę.

– Powinnaś uważać na to, co zdarzy ci się... zobaczyć.

Sorilla przystanęła i spojrzała w oczy towarzyszowi.

– A teraz powinnam? – spytała ostrożnie.

Kriss przytaknął, a jego ton spowaźniał.

– Istnieje możliwość, że przyjdą rozkazy, byś nie powróciła do przestrzeni ludzi. Musisz mieć się na baczności.

– Rozkazy wydane... tobie?

– Możliwe, choć mało prawdopodobne – odparł Kriss, trochę zawiedziony. – Raczej będą woleli jakiś wypadek, a nie zabójstwo czy porządną śmierć wojownika. Gdyby miało to przypaść mnie, raczej bym ci nic nie mówił. Byłaby to dla mnie wielka przyjemność, stanąć z tobą do walki raz jeszcze, pani pułkownik.

Sorilla skinęła głową i ruszyła dalej.

– Rozumiem. Tak między nami, choć nie jestem ku temu tak chętna jak ty, jeśli zajdzie taka konieczność, będzie to dla mnie zaszczyt.

Kriss po prostu się uśmiechnął.

– Ale teraz mamy misję do wykonania.

7

Okręt portalowy

Podmioty infiltrujące oceniły, że Operacja została udaremniona bez możliwości jej wznowienia. Czy ktokolwiek z obecnych nie zgadza się z taką klasyfikacją?

Konklawe rozważało informacje z raportu przez krótką chwilę, ale nikt się nie sprzeciwił.

Dobrze zatem. Wydano rozkazy usunięcia wszelkich śladów, jakie mogłyby połączyć Operację z naszym w niej udziałem.

Skoro Entropia wplątała się w sprawę, czy ktokolwiek wierzy, że inspektorzy nie są jeszcze świadomi naszej roli?

Mówca wywołał pewne poruszenie, ale na krótko.

Oczywiście, że nie – odparł protekcyjnie prowadzący naradę. Niemniej Sojusz reaguje nadzwyczaj powoli na wszystko, co nie jest najbardziej jawną prowokacją. Są skorumpowani i przekupni. Nie będzie zbyt trudno przekonać ich, by porzucili bezpośrednią konfrontację.

Konklawe zgodziło się z tym stwierdzeniem. Sojusz nie chciał wchodzić w konflikt z Ludem i zawsze szukał alternatywnych rozwiązań, nawet w obliczu jasnych dowodów, że starcie jest nieuniknione.

To dawało konklawe przewagę i było czynnikiem, który brano pod uwagę i na który liczono podczas trwającej właśnie operacji przeciwko Wrogowi.

Ironia tej sytuacji nie umknęła nawet ich wrażliwości.

Zarówno Lud, jak i Wróg byli członkami Sojuszu. Stronnikami.

Było to rzecz jasna niepoważne, bo zaledwie kilka ras Sojuszu było naprawdę sprzymierzonych. Te rasy połączyły siły właśnie

z powodu takich zagrożeń jak Lud czy Wróg. Wierzyły, że wspólnie mogą pokonać widmo zagłady.

Głupcy.

Wrogowie nie przestają być wrogami tylko dlatego, że jakiś dokument tak stanowi. Stają się co najwyżej bardziej niebezpieczni, wyslizgując się z pola widzenia. Takiego błędu Lud by nie popełnił.

Wróg musiał zostać zniszczony.

Jeśli trzeba będzie za to zapłacić każdym zamieszkanym światem, jaki stanie na drodze, niech tak będzie.

Zakończyć operację. Wycofać odpowiednie jednostki za pośrednictwem miejscowego okrętu portalowego, a potem przeprowadzić bombardowanie.

Orkana

Kriss pozwolił pułkownik prowadzić, przyglądając się z ledwo maskowanym zainteresowaniem, jak porusza się po obiekcie z pewnością, jakiej nie powinna była nabyć. Nie obchodziło go, jakiego rodzaju mapy widziała. Było jasne, że kobieta ukrywa przed nim jakieś informacje. W porządku. On też wiele przed nią ukrywał.

Za to w ważnych kwestiach byli ze sobą szczerzy.

Oboje czerpaliby przyjemność z wyzwania, jakim byłoby dla siebie jako przeciwnicy, nawet jeśli ona wydawała się mniej chętna. Oboje – choć z różnych powodów – byli skupieni na rozpracowaniu konspiracji Ross, która najwyraźniej wgryzła się zbyt głęboko w organizację Sojuszu.

I oboje wiedzieli, że gdy nadejdzie czas, zabiją to drugie z lekkim tylko ukłuciem żalu.

Dla Krissa było to całkowicie wystarczające, by czuł się komfortowo. Wątpił, by Sieniele podzielał jego nastrój, ale szpieczy nie byli wojownikami nie bez powodu, podobnie jak nie bez powodu wojownicy nie byli szpiegami.

Mimo wszystko jego ciekawość rosła.

– Wydajesz się świetnie zaznajomiona z tym obiektem i sposobami przemieszczania się po nim.

– Mówiłam ci... – zaczęła.

– Tak, mapa – przerwał jej Kriss. – Tak mówiłaś. Powinnaś mieć znacznie większe kłopoty w nawigowaniu po fabryce, jeśli chcesz, żebym ci uwierzył, że zobaczyłaś mapę, a teraz przemieszczasz się tak pewnie.

– Ja jej nie zobaczyłam – sprostowała. – Ja ją zeskanowałam.

Kriss zamilkł, rozważając tę informację. Fakt, że kobieta zapisała mapę w komputerach, które miała wszczepione zarówno w ciele, jak i w pancerzu, wiele by tłumaczył. Nie był do końca przekonany, czy to wyjaśniało sprawę całkowicie, ale na razie przyjął to wytłumaczenie.

– No dobrze – odparł w końcu. – Gdzie w takim razie idziemy?

– Do składziku, który wyłączono z użycia z powodu jakiegoś zagrożenia środowiskowego – odpowiedziała Sorilla. – Przypuszczam, że oznaczenie zagrożenia sfałszowano.

– Niezłe miejsce na kryjówkę. Pojmamy konspiratorów samodzielnie? – spytał Kriss z nutką nadziei w głosie.

– Być może. – Sorillę ubawił ton Strażnika. – Zdecydujemy, gdy ocenimy siły na miejscu.

– Oczywiście.

Kriss zauważył, że w trakcie rozmowy jeszcze raz skręcili. Coś mu w tym nie pasowało, ale odpuścił sobie. Niech pułkownik sobie ma swoje sekrety. On miał swoje. W którymś momencie pewnie przyjdzie im ocenić, kto miał bardziej imponujące tajemnice, ale on bardziej cieszył się na rozstrzygnięcie, kto miał bardziej imponujące możliwości bojowe.

Sorilla rozmawiała z Krissem, gdy przemierzali fabrykę, ale przychodziło jej to z trudem, bo jednocześnie przepuszczała mapę Ross przez swoje akcelerometry. Doznanie było tak intensywne, jakby projekt obiektu był częścią jej ciała.

Propriocepcja, o ile dobrze zapamiętała termin. Czuła połączenie z każdym elementem fabryki i mogłaby wskazać dowolne miejsce czy maszynę z taką samą łatwością jak własny nos.

Nie mogła oczywiście niczego zmienić. Była to jedynie pasywna reprezentacja obiektu, ale uczucie i tak było niezwykle.

Pomieszczenia, do których zmierzała z Krissem, stanowiły szereg składów, wyłączonych z użycia dawno temu z powodu wycieku chemicznego. Najwyraźniej nie było na nie zapotrzebowania, więc Sojusz nie miał powodu ponosić kosztów ich oczyszczenia. Sorilla nie miała wątpliwości, że na różnych poziomach biurokratycznej maszyny doszło do subtelnych nacisków, by takie powody się nie pojawiły. Była pewna, że żadnego wycieku nigdy nie było.

Widniał w dokumentacji obiektu, ale nie był w żaden sposób oznaczony na czterowymiarowej mapie. Wyciek chemiczny po prostu się nigdy nie wydarzył.

Być może mapa była niedokładna albo Sorilla źle ją interpretowała, ale to zdawało się mało prawdopodobne. Szli więc dalej, choć nieco dłuższą trasą, by uniknąć kamer. Jeśli infiltracja sięgała tak głęboko, że jej uczestnicy byli w stanie sfabrykować wyciek chemiczny, z pewnością mieli też dostęp do nagrań z kamer.

Ona na pewno by o to zadbała.

„Muszę dorwać skaner czy oprogramowanie, którego Ross użyli do stworzenia takiej mapy” – stwierdziła w myślach.

Wycucie swojej lokalizacji zamiast zwyczajnego obserwowania jej na mapie było niezwykle. Jeśli technologię udałooby się zaadaptować na użytek SOLCOM-u, nie miała wątpliwości, że znacząco poprawiłoby to efektywność bojową – i to nawet nie licząc oczywistych korzyści dla pilotów i innych specjalizacji, dla których wycucie sytuacji było kluczowe.

W tej chwili była po prostu bardzo zadowolona ze swojego odkrycia.

Gdy zbliżyli się do celu, Sorilla zwolniła i uniosła zaciśniętą pięść. Kriss zatrzymał się w pół kroku, rzucając jej pytające spojrzenie.

– Od tego momentu nie unikniemy już kamer – powiedziała wprost, decydując się na prawdomówność.

Ostry wzrok Krissa wiele jej mówił, ale żadne z nich się nie odezwało.

– No dobra – powiedział w końcu Strażnik, a szeroki uśmiech zmienił całą jego postawę. – Zaczyna się zabawa.

– Otóż to.

– Dowódco!

Przerwał przygotowania i zwrócił się w stronę podwładnego, który wbiegł właśnie do biura.

– O co chodzi?

– Mamy problem, a dokładniej dwa. Nieznany obcy i jeden z jednostki uderzeniowej Sojuszu zbliżają się tutaj.

– Zbliżają się? Tutaj? – Dowódca był wyraźnie zaniepokojony.

Jeśli wróg wiedział, gdzie jest ich kryjówka, dlaczego wysłał tylko dwójkę? To kompletnie nie miało sensu. Cały oddział byłby niewystarczający na taki rodzaj operacji, dwa to ciągle niepoważnie mało.

– Tak.

– Zaalarmuj wszystkich wartowników, niech rozglądają się za oddziałami flankującymi – rozkazał dowódca. – Nie wysłaliby dwójki agentów na coś takiego. Znajdźcie resztę!

– Tak, dowódco!

Podwładny wybiegł z biura.

Dowódca westchnął, dokończył pakowanie osobistej dokumentacji i zatrzasnął walizkę. Potem przemierzył pokój i zdjął ze ściany broń przyboczną. Zapiął kaburę na piersi, po czym sprawdził broń.

Była śmiertelnie groźna i gotowa do użycia, więc wsunął ją z powrotem na miejsce, założył bluzę bojową i wyszedł z pomieszczenia.

– Wyślij pakowacza, by opróżnił moje biuro – rozkazał. – Będę w sekcji bezpieczeństwa.

– Tak, dowódco!

Przeszedł szybkim krokiem przez buzujące pomieszczenia. Dostali rozkaz wycofania się, więc przygotowywali wszystko tak, by zostawić po sobie jak najmniej śladów. Oczywiście nie wszystkie poszlaki udało się usunąć, ale wystarczy, by nie układały się w żaden spójny obraz. Sojusz był słabą organizacją, w wielu przypadkach ogarniętą całkowitą niemożnością zajęcia się czymkolwiek, bo przez większość czasu poszczególne rasy i mieszkańcy byli zbyt pochłonięci sporami o to, czym zająć się w pierwszej kolejności.

Był to mocarny gigant na glinianych nogach, albo o tępiący, albo po prostu spasiony i głupi. Od czasu do czasu jednak Sojusz pokazywał,

że stać go na więcej. Gigant budził się z otępienia i działał. Tego dowódca chciał za wszelką cenę uniknąć.

– Dowódca w pomieszczeniu!

– Spocznij – rzucił, ignorując honory.

Na ekranach wyświetlano obrazy z kamer, aktualnie skupione na dwójce intruzów.

Niezidentyfikowany obcy szedł ramię w ramię z osiłkiem Sojuszu. Dowódca ocenił, że jest niżej w łańcuchu dowodzenia.

„Ciekawe”.

Niezidentyfikowany musiał mieć niezłe dojścia, by uczestniczyć w takim dochodzeniu, ale wciąż nie miało to większego sensu. A jeszcze mniej, gdy okazało się, że osilek ma tak wysoką rangę.

„Co oni robią?”

Poza oczywistym faktem, że leżli prosto na niego i jego podwładnych jak gdyby nigdy nic.

„Muszą chyba wiedzieć, że tu jesteśmy? A może tylko chcą sprawdzić »wyciek chemiczny«?”

Nie wydawało się to prawdopodobne. Nie miało też większego znaczenia – poza przewagą zaskoczenia, jeśli faktycznie intruzi nie spodziewali się tu nikogo zastać. Tak czy siak trzeba się z nimi uporać.

– Wyślijcie trzy... nie, dwa zespoły ochrony na pozycje, niech przygotują zasadzkę – rozkazał. – Wszystkie pozostałe aktywne zespoły mają się udać na obrzeża i szukać jednostek flankujących. Czy mamy inspektorów na oku?

– Tak, dowódco. – Oficer ochrony wskazał na nieduży ekran.

Było na nim widać cały zespół inspektorów, nikogo więcej nie brakowało. Byli daleko od sirhańskiej kryjówki.

– Musieli przybyć z jakimś dodatkowym wsparciem, które przegapiliśmy – oznajmił dowódca. – Znajdźcie ich.

– Tak, dowódco!

– Masz świadomość – zaczął Kriss ze słabo udawaną powagą, przez którą przebijało się rozbawienie – że naruszamy bodaj wszystkie procedury spisane w statucie Strażników? To

zdecydowanie powinna być szeroko zakrojona operacja, a nie robota dla dwuosobowej drużyny.

– Macie to w statucie? – Sorilla z niedowierzaniem spojrzała na towarzysza. – Serio?

Ten wzruszył ramionami.

– Niestety, Lucjanom nie pozwolono współtworzyć tego statutu. Opracowało go pięć innych ras jako wymóg do podjęcia naszej upragnionej roli w Sojuszu.

– Ach... – odparła Sorilla, jakby to wszystko wyjaśniało.

Prawdę mówiąc, tak właśnie było. Lucjanie, a przynajmniej ich Strażnicy, nie przejmowali się przesadnie zasadami. Za bardzo lubili swoją pracę, podnosząc ją wręcz do rangi sztuki.

Sorilla była w stanie do pewnego stopnia zrozumieć to podejście. Sama również polubiła swoje wcielenie Joan Wayne, ale jeśli miała być ze sobą szczerą, miała świadomość, że nie robi to dobrze ani misjom, ani jej samej... psychicznie i fizycznie.

Ten rozdział jej życia i tak był już prawie zamknięty.

W ten czy inny sposób.

– No cóż – powiedziała po dłuższym milczeniu – nie rozpoczynamy tu żadnego ataku, sprawdzamy jedynie sekcję obiektu oznaczoną jako zamkniętą. Nie nasza wina, jeśli administracja okaże się nie mieć racji.

Kriss się roześmiał.

– W rzeczy samej. To mi się podoba.

– Jakoś przeczuwałam, że tak będzie.

– No to zaczynajmy... sprawdzanie.

Sorilla przytaknęła.

– Zaczynajmy.

8

Orkana

– Zbliżają się, są już prawie w miejscu zasadzki. Dowódco?

Ten powoli skinął głową.

– Macie pozwolenie na otwarcie ognia. Gdy intruzi dotrą do wyznaczonego punktu, wyeliminujcie ich.

Po wydaniu ostatecznego rozkazu dowódca wyciągnął broń i ruszył do przodu.

– Dowódco... dokąd pan idzie? – zapytał z niepokojem zastępca.

Dowodzący nie zatrzymał się nawet.

– Na pierwszą linię.

– To wydaje się... nierozsądne, dowódco.

– Tutaj nic już nie zdziałam. Tam przynajmniej się na coś przydam. Dopilnuj, by reszta załogi ewakuowała się zgodnie z planem.

– Dowódco! Proszę poczekać!

Zignorował zastępcę i szedł dalej, zostawiając swoich ludzi z tyłu. Już raz zawiódł swój lud. To zadanie miało być okazją do zadośćuczynienia, a jednak po raz kolejny musiał porzucić swoją misję.

Kolejna porażka.

A wszystko przez tych inspektorów.

Uważał się za spokojną osobę, niezainteresowaną konfliktami – pomimo pełnionej roli – ale nawet on miał swoje granice. Wyznaczała je jego duma. Teraz czuł, że je przekroczył.

Szybkie sprawdzenie broni po raz kolejny upewniło go, że jest gotów do starcia. Pozostało mu skupić się już tylko na jednym.

„Doprowadza mnie to do szału” – pomyślał z rezygnacją. „Byłem tak blisko, a odkupienie zostało mi odebrane... Po prostu...

doprowadza mnie to do szalu”.

– Widzisz ich?

– Nie, ale czuję ich zapach od dłuższego czasu.

Sorilla zdumiała się nieco i odnotowała to w pliku o Lucjanach, przygotowując się jednocześnie do nadchodzącego starcia.

– Malutka, przyjemna pułapka – powiedziała. – Mam... piętnastu żołnierzy w pierwszej linii. Spodziewam się, że co najmniej drugie tyle zajdzie nas od tyłu, by odciąć nam odwrot.

Kriss aż się zachnął.

– Marnowanie żołnierzy. Nie mam w planach żadnego odwrotu.

Sorilla uśmiechnęła się pod hełmem. Sięgnęła do ud, gdzie spoczywały w kaburach dwa pistolety MsTak-44 ze zdwojonymi magazynkami. Była to jej ulubiona broń. Przez implanty przestawiła lewy pistolet na tryb automatyczny, tak by komputer sterował ogniem na podstawie odczytów z czujników broni. Zachowała za to pełną kontrolę w dłoni dominującej.

Płynnie wysunęła broń z kabur i z przyjemnością zamknęła dłonie na kolbach, jednocześnie zatapiając się w projekcji mapy Ross wciąż przepuszczanej przez akcelerometry.

Niestety, nie była to projekcja w czasie rzeczywistym i Sorilla nie mogła dostrzec na niej przeciwników, ale widziała rozkład pomieszczeń przed sobą, co pozwoliło jej z łatwością przewidzieć organizację zasadzki. Z taką przewagą dostrzeżenie przeciwnika przez wzmocnione czujniki pancerza było banalnie proste.

– Rozpocznę atak, gdy dotrzemy na tę otwartą przestrzeń, gdzie krzyżują się korytarze.

– Dokładnie tak – potwierdziła Sorilla, nie zwalniając kroku. – Chyba że to my wykonamy pierwszy ruch.

– Zgadzam się – odparł Kriss z szerokim uśmiechem. – Atakujemy?

– Atakujemy.

Lucjanin wręcz nie posiadał się z radości, ale nie zaszarżował od razu, jak spodziewałaby się Sorilla.

– Tuż przed wyznaczonym punktem zasadzki – powiedział. – Ty zajmiesz się swoją stroną, a ja moją?

Sorilla potwierdziła.

– Umowa stoi.

Szybko zmierzali do umówionego miejsca, więc Sorilla zaczęła robić pomiary ścian, wysokości sklepienia i potencjalnych punktów ognia krzyżowego. Przeciwnik używał broni impulsowej Ross. Wyczuwała już jej ładowanie przez akcelerometry, co dawało jej dane lokalizacyjne, które mogła od razu odnieść do czterowymiarowej mapy. Dokładność tych odczuć ją wręcz zszokowała. Dotąd była w stanie wyczuć co najwyżej ogólny kierunek, gdzie mogła znajdować się broń... ale gdy jej akcelerometry pracowały jednocześnie nad mapą i odczytami grawitacyjnymi, dokładność była porównywalna do wojskowego GPS-a, co do milimetra.

Nie rozmawiali już z Krissem, zbliżając się do wyznaczonego punktu niezmiennym, równym krokiem, ani nie przyspieszając, ani nie zwalniając. Nie ukrywali szczególnie swoich przygotowań do starcia, ale jakoś nie czuli potrzeby zmiany kroku. Aż do momentu, gdy dotarli do celu.

Nie musieli nic mówić. W idealnej synchronizacji rozdzielili się, a broń w ich rękach ożyła.

Nastąpiła krótka przerwa, gdy mimo przekroczenia punktu zasadzki w ich stronę nie padł żaden strzał. Trzeba jednak oddać przeciwnikom, że trwało to nie dłużej niż sekundę.

Ta sekunda wystarczyła jednak, by Sorilla oczyściła teren sięgający o piętnaście metrów dalej niż optymalna pozycja do zaplanowanego jako zasadzka ognia krzyżowego oraz dotarła do ściany po swojej prawej, blokując całkowicie ogień z tej strony. Przeciwnik w tym czasie bezskutecznie próbował zmienić kąt natarcia.

Skierowała broń w lewo i nacisnęła oba spusty. Lewa broń wystrzeliła pierwsza, a komputer namierzał wszystko, co pojawiło się w zasięgu kamery. Prawy pistolet Sorilla kontrolowała sama, śledząc cele wyświetlane bezpośrednio na implantach rogówkowych. Gdy jej wzrok przesunął się nad pierwszym celem, w myślach uruchomiła mechanizm spustowy broni, pozwalając jej ryknąć ułamek sekundy po swoim bliźniaku.

Zasadzka była doskonałym sposobem, by zwielokrotnić siłę uderzenia. Miała jednak słabą stronę. Na krótką chwilę, nim pułapka ostatecznie się zamknie, atakujący byli pod wieloma względami najbardziej narażeni na straty.

Sorilla i Kriss odwrócili zasadzkę przeciw swoim wrogom, wykorzystując element zaskoczenia, który miał działać przeciwko nim samym, i w pełni eksploatując kilka pierwszych sekund szoku.

Kriss użył swojej broni impulsowej, wysyłając w stronę przeciwnika wirujące spirale skróconej czasoprzestrzeni i zalewając jego pozycje nagłymi, szokującymi wybuchami kompresji i ekspansji, które rozszarpywały wiązania chemiczne z przerażającą łatwością. Przynajmniej ręczna broń nie miała dość mocy, by zrobić to samo z wiązaniami atomowymi – tak jak artyleria czy okręty Ross.

Broń Sorilli była bez wątpienia bardziej prymitywna. Ciężkie pociski ze zubożonego transuranu rozpędzane bezłuskowym paliwem plazmowym mogły się wydawać wyrafinowane jak na broń palną, ale wciąż sprowadzało się to do rzucania we wroga kamieniami.

Ciężkimi i specjalistycznie projektowanymi, ale ciągle kamieniami.

Mimo że efektywność takiego pistoletu była marginalnie mniejsza niż impulsowego, to ciężkie pociski przebijały się przez betonowe ściany – które broń Krissa rozwaliała w pył – i sięgały celu.

Dowódca, słysząc nagłe otwarcie ognia, wiedział, że intruzi wpadli w pułapkę. Coś jednak było nie tak.

Zatrzymał się, unosząc dłoń.

– O co chodzi, dowódco? – zapytał niepewnie młody oficer.

– Za długo – odparł ten po chwili.

Jeden z jego obstawy, starszy i bardziej doświadczony żołnierz, przytaknął.

– Powinno już być po wszystkim. Słyszysz pan to, dowódco?

– Broń wybuchowa, tak – potwierdził dowodzący. – To nie jest sprzęt Sojuszu. Nic, co bym znał.

Podjął decyzję.

– Naprzód, ostrożnie. Zasadzka chyba nie poszła zgodnie z planem.

Żołnierze pokiwali głowami i ruszyli powoli korytarzem, rozluźniając formację.

Sorilla przyłgnęła do ściany korytarza z rękami skrzyżowanymi na piersi, strzelając jednocześnie do sirhańskiego żołnierza po swojej prawej i rozpryskując beton po lewej, zasypując wrogów w głębi korytarza deszczem odłamków.

– Nie podkradaj mi celów! – burknął Kriss, przekraczając ciało zastrzelonego żołnierza i omiatając bronią załom korytarza.

– No to nie zostawaj w tyle! – odparowała Sorilla, skanując okolicę przez implanty. – Z tej strony czysto.

– Z tej strony niestety też. – Kriss westchnął zawiedziony, opuścił broń i niedbale odwrócił na plecy jedno z ciał. – Mało imponujące przedstawienie.

– Pomarudzisz sobie na ich szkolenie później, gdy Murphy nie będzie podsłuchiwał.

Kriss skrzywił się i rozejrzał nerwowo.

– Kto to jest Murphy? Nikogo tu nie ma.

– Murphy zawsze tu jest – zakpiła Sorilla.

Przyklękła przy jednym z poległych Sirhan, chowając pistolet, by zwolnić prawą dłoń. Obróciła jego broń i nie bez zdziwienia zauważyła, że nie ma na niej żadnych oznaczeń, jakie powinny znaleźć się na standardowym sprzęcie Sojuszu.

Dużo bardziej interesująca była sygnatura, jaką rejestrowały jej akcelerometry.

– Spójrz na ich sprzęt – powiedziała do Krissa. – Wykonanie wskazuje na Sojusz, ale czuję w bebechach, że to coś innego.

Lucjanin posłał jej nieodgadnione spojrzenie, ale podniósł jeden z egzemplarzy. Odwrócił go, podobnie jak Sorilla szukając oznaczeń, i znieruchomiał, wyraźnie zaskoczony.

– Przecież to... to broń Ross.

– Taaak – odparła, wstając. – Tak myślałam.

– Nie, nie zaadaptowany przez Sojusz projekt, tylko sprzęt klasy wojskowej Ross – dodał pospiesznie.

– Tak, rozumiem.

– Taka broń nie jest po prostu monitorowana w przestrzeni Sojuszu, tylko zakazana – mruknął Kriss. – A właściwie byłaby zakazana, gdyby Ross kiedykolwiek udostępnił ją do sprzedaży. O co w tym wszystkim chodzi?

Sorilla z wielu powodów wolała nie odpowiadać.

Przed wszystkim Kriss i Sienele powinni być dostatecznie bystrzy, by samodzielnie rozgryźć tę zagadkę. Nie była pewna, czy chciałaby podpowiadać im lub ich szefom, co w jej opinii planują Ross.

Dodatkowo usłyszała ruch za ich plecami, a to lada moment będzie ich główne zmartwienie.

– Szykuj się – rzuciła. – Mamy towarzystwo.

– Wymiana ognia ustała, dowódcu.

Ten tylko prychnął. Nie był głuchy. To, co go aktualnie martwiło, to czy strzały ustały, bo pułapka zadziałała, czy wręcz przeciwnie.

Na rogu przed rozwidleniem, gdzie zastawili pułapkę, zatrzymał się wraz ze swoim oddziałem. Wprowadził sygnał rozpoznania do sieci taktycznej i czekał.

Cisza.

„No to mam odpowiedź” – pomyślał ponuro.

– Zasadzka zawiodła. Dajcie znać flankującym, by odcięli wroga – rozkazał. – Niech się pospieszają. My skupimy na sobie uwagę intruzów, a flankujący niech ich zajdą od tyłu.

– Tak, dowódcu.

„Mam nadzieję, że to wystarczy. Miałem też nadzieję, że zasadzka wystarczy. No nic, zobaczymy”.

Okręt portalowy

Jednostki infiltrujące rozpoczęły starcie z inspektorami Sojuszu.

Czy Entropia bierze w tym udział?

Nie ma pewności, ale prawdopodobnie.

Upewnić się, że wiedzą, że Entropia jest celem priorytetowym. Zlikwidować ją za wszelką cenę.

Konklawe rozważało to przez chwilę, nim jednogłośnie zgodziło się z rozkazem.

Wydać rozkazy. Nagroda za potwierdzoną śmierć Entropii zostanie przyznana zarówno gatunkowi infiltrującemu, jak i jednostkom, które wykonają rozkaz.

Orkana

Kriss skinął głową i spojrzał przez ramię w stronę nadchodzących przeciwników.

– Flankujący zorientowali się, że coś poszło nie tak z zasadzką – stwierdził.

– Nie tylko oni – odparła Sorilla, patrząc w przeciwną stronę. – Nowy oddział nadciąga od strony naszego celu. Ci są jednak ostrożniejsi.

– Głupcy – burknął Kriss. – Czasami warto być ostrożnym, ale nie w takim przypadku. Gdyby nas teraz przyparli do muru, mogliby wyeliminować chociaż jedno z nas.

Sorilla prychnęła. Nie umknęło jej lekkie podkreślenie słowa „jedno” i doskonale wiedziała, kogo Kriss miał na myśli. Nie spierałaby się z nim o rację, ale mimo to jego przerośnięte ego całkiem ją bawiło. Było to jednak typowe dla chyba wszystkich rodzajów oddziałów specjalnych, jakie znała.

– Co prawda, to prawda – powiedziała, zwalniając zaczepy zintegrowanych luf swoich pistoletów i wyrzucając częściowo wyczerpane ładunki, by zastąpić je świeżymi.

W jej broni lufy leżały jedna nad drugą i były zespolone z magazynkami w jedną całość, co przekładało się na eliminację jakichkolwiek ruchomych części i sprawiało, że pistolety były najbardziej wytrzymałym elementem wyposażenia Sorilli. Dosłownie NIE MOGŁY zawieść, w przeciwieństwie do praktycznie dowolnego innego sprzętu czy to Sorilli, czy jednostek Sojuszu.

Gdy przeładowała już oba pistolety, poświęciła chwilę na ocenę, jak szybko zbliżają się kolejni przeciwnicy.

– Chyba najlepiej zacząć od flankujących – zasugerowała. – Wsparcie tak się ociąga, że na razie nie jest to nasze zmartwienie. Szkoda, że nie mamy claymore'ów.

– Nie znam tego słowa – powiedział Kriss, odwracając się i trzymając już broń w gotowości.

– Miny kierunkowe – wyjaśniła pułkownik. – Wybuchowe, stosowane przeciwko celom jednostkowym.

– A tak, widzieliśmy coś takiego na Haydenie – przypomniał sobie Kriss, wzruszając ramionami. – Słabe, jeśli mam być szczerzy.

– Tylko przeciwko waszym twardym zadkom – prychnęła Sorilla. – Ale pewnie masz rację. Wobec opancerzonych jednostek też nie działają wiele.

– Próżne życzenia – mruknął Lucjanin, opadając na jedno kolano i mierząc z broni. – Sienele nigdy by nie pozwolił wnieść tego typu broni na teren obiektu produkcyjnego Sojuszu. Zbyt dobrze zna lucjańskich Strażników, by dało się coś takiego przemycić pod jego nosem...

Sorilla pokiwała głową.

– ...kolejny raz – dokończył Kriss.

Wybuch śmiechu Sorilli był krótki, głośny i kompletnie niekontrolowany.

– Zanotuję to sobie – odparła, gdy już się uspokoiła.

– Tak zrób – odparł Lucjanin rozbawiony, nie tracąc jednak koncentracji. – Już tu są.

Dowódca zaklął, słysząc, jak przed nimi znów wybuchła kanonada.

Rozkazał oddziałom na tyłach iść naprzód, ale wróg miał dalej kierować się w ich kierunku, a nie zwrócić w stronę flankujących.

– Naprzód! Ruszać się! – rozkazał, nie wiedząc, z czym tak naprawdę mierzą się jego żołnierze, ale będąc zupełnie świadomym, że intruzi rozprawili się ze starannie przygotowaną zasadzką z niepoważną wręcz łatwością.

Jego oddział puścił się biegiem w głąb korytarza, ledwo utrzymując formację i dyscyplinę.

„Kim oni są? Powinno ich być tylko dwoje!”

Sorilla pobieżnie oceniła możliwości nacierających żołnierzy, jedynie częściowo skupiając się na bieżącym starciu, a myśląc głównie o ogólnej sytuacji.

Strzelanina nie była szczególnie zajmująca. Przeciwnicy prowadzili standardowy atak na umocnienia wroga – w opozycji do poprzedniego starcia, gdy sami strzelali z umocnionych pozycji. Ich działania były do bólu książkowe, czego mogłaby się spodziewać po standardowo przeszkolonych oddziałach, a nie po wyspecjalizowanej jednostce infiltrującej.

„Ci Sirhanie, jakkolwiek mają tu rolę, nie są na misji” – stwierdziła z mieszaniną zadowolenia i irytacji.

Piąta nigdy nie walczyłaby w ten sposób, nie w tej sytuacji, chyba że sprawy przybrałyby naprawdę fatalny obrót – a dla Sirhan sytuacja nie była jeszcze aż tak zła. Z całą pewnością byli to profesjonalni żołnierze, ale Sorilla zakwalifikowałaby ich jako profesjonalistów z krajów Drugiego Świata.

W żaden sposób nie myślała o tym jako o obeldze, raczej stwierdzała fakt, jakiego rodzaju szkolenie odebrali.

Na Ziemi kraje Drugiego Świata to te, które sprzymierzyły się z Sowietami w czasie zimnej wojny. Kraje Pierwszego Świata to państwa Zachodu, a kraje Trzeciego Świata teoretycznie nie opowiedziały się po żadnej ze stron.

Każda z tych grup wykształciła pewne modele treningowe, które przetrwały na Ziemi nawet do czasów współczesnych.

W krajach Drugiego Świata preferowano podejście bardziej bezpośrednie i brutalne w porównaniu do subtelniejszych metod Zachodu – i dokładnie to mogła właśnie obserwować Sorilla. Wstrzymywała się jednak z sądami do czasu, aż zdobędzie więcej danych.

Wymiana ognia trwała w najlepsze, gdy pułkownik zrozumiała coś, co skłoniło ją do zmiany zdania.

– Próbują nas tu przyszpilić – zawołała. – Prą na nas, żeby drugi oddział mógł nas zająć od tyłu.

– Na to wygląda – zgodził się Kriss, przekrzykując swoją broń. – Jakież sugestie?

Sorilla się skrzywiła.

Szczerze mówiąc, nie mieli zbyt wielu możliwości. Wezwanie wsparcia lub przerwanie potyczki to dwie opcje najbardziej zbliżone do „rozsądnych” i zgodnych z jakimikolwiek procedurami, ale żadna z nich nie wydawała się właściwa w bieżącej sytuacji. Pozostawało im bronić się na dwa fronty... albo...

– Rozdzielmy się, zaatakujmy obie strony naraz – zaproponowała, dobrze wiedząc, do kogo mówi.

Kriss roześmiał się, a jego gromki głos poniósł się nad hukiem wystrzałów.

– Pani pułkownik, gdybym cię nie znał, przysięgłbym, że jesteś Lucjanką! Tak zrobimy!

– Dobra, zajmij się tymi tutaj, a ja przywitam ciepło kolegów, którzy skradają się do nas od tyłu. Na trzy!

Rozdzielili się w malowniczym półobrocie i rzucili do walki.

9

Świat Haydena, subkontynent

Cassius przyglądał się inspektorom przechodzącym przez nieduże miasto, miasteczko raczej, nad którym wytrwale pracowały drony Sorilli.

Małe, twarde maszynki udało się pozyskać z zarzuconej operacji wydobywczej, która po inwazji stała się kompletnie nieopłacalna. Obiekt Ares stał opuszczony, a zapomniany sprzęt dryfował wokół odległej, bezużytecznej planety. Był już przestarzały i koszt jego odzyskania znacznie przekraczał jego wartość.

Cassius nie był pewien, jak Sorilla tego dokonała, ale uśmiechnęła się do znajomego kapitana i przetransportowała drony na Haydena, zamiast zostawić je w pustce na złom. Większość sprzętu, jaki można było znaleźć w jej posiadłości, miała podobną historię, od pojazdów po broń.

Tak to już było po wojnie.

Cassius pamiętał hurtowe wyprzedaje broni na Ziemi. Można było sobie wybrać ze stosu dowolną ilość i kupić na wagę.

Przedsięwzięcia militarne nie były nastawione na zysk. Robiło się, co trzeba, nie patrząc na cenę, bo koszt przegranej zawsze był większy. Ale po wojnie wszystkim nagle przypominało się, że nawet sam transport i przechowywanie sprzętu pochłania cholerny majątek. Wokół od razu mrowiły się firmy gotowe zająć się tym problemem za odpowiednio soczysty rabacik.

Niejedną fortunę zbito na zwykłym sprzętaniu, gdy zwycięzca opuścił pole bitwy.

– Ach, pan Aida.

Cassius spojrzał w stronę nadchodzącego mężczyzny i skinął głową. To był jakiś oficjalny typek. Cassius nie lubił takich, ale ten

przynajmniej nie był celowo irytujący.

– Panie Grenada – odpowiedział. – Wszystko zgodnie ze specyfikacją?

– Aż do przesady – odparł sucho Pierre Grenada. – Chyba jeszcze nigdy nie widziałem tylu budynków tak bardzo na wyrost wzmocnionych. To małe miasto będzie nadal stało niewzruszone za pięć tysięcy lat, o ile nie spadnie na nie meteoryt czy coś równie niepoważnego.

Cassius pomyślał, że było to teraz mniej nieprawdopodobne niż jeszcze kilka lat temu – ale w odpowiedzi jedynie pokiwał głową.

– Sorilla nie oszczędza na jakości. O ile dobrze rozumiem, sumaryczne koszty utrzymania takich budynków przez cały okres ich użytkowania są znacznie niższe – powiedział w końcu, wzruszając ramionami.

– Z całą pewnością. Większość współczesnych budynków stawiają podwykonawcy – podjął wątek Grenada. – Utrzymanie nie jest ich problemem, oddają budynek i umywają ręce. Niewielu właścicieli to wie, a jeszcze mniej się tym przejmuje, planując użytkowanie przez kilka lat, maksymalnie dekad przed sprzedażą nieruchomości. Pański tok myślenia opiera się na założeniu, że sto lat później właściciel wciąż się nie zmieni. Niewielu planuje z takim wyprzedzeniem.

– To prawda, a szkoda. – Cassius westchnął.

Świat przeszedł już daleką drogę od czasów rozrzutnego stylu życia, ale choć wiele działo się w tym zakresie, wciąż większość wysiłków skupiała się na ograniczeniu skutków wyrzucania zamiast ograniczeniu samego wyrzucania. Cassius wciąż korzystał z narzędzi po ojcu, a wiele z nich kupił jeszcze pradziadek.

Zużywanie się rzeczy przekładało się na ich niższą cenę tylko wtedy, gdy w obliczeniach nie brano pod uwagę czasu użytkowania. Wydawało się, że jakoś nikt tego nie rozumie...

„Albo nikogo to nie obchodzi”.

– Pomijając wszystko inne – podjął Cassius – zakładam, że budynki przeszły inspekcję?

Grenada przytaknął.

– Z całą pewnością. Spodziewam się, że znajdzie się kilka wymogów infrastrukturalnych, które nie zostały jeszcze spełnione,

ale o ile dobrze się orientuję, istniejący projekt z góry zakłada ich realizację.

– Tak?

– Chodzi głównie o zasilanie i komunikację, być może media – wyjaśnił Grenada. – Budynki są już jednak odpowiednio uzbrojone, a woda, zasilanie i sieć komunikacyjna zostały już dodane...

– Czego zatem brakuje? – Cassius nie umiał powstrzymać ciekawości.

– Biorąc pod uwagę, że bieżący kontrakt zakłada użytkowanie przez obcych? Jestem całkowicie pewien, że nie mam pojęcia – odparł Grenada.

– Ach.

„No tak” – przyznał Cassius w myślach. „Trudno się z tym nie zgodzić”.

– Proszę o informację, jeśli dotrą jakieś konkretne wymagania – powiedział. – Zajmę się tym.

– Dobrze, choć z pewnością informacje przyjdą albo do kolonii, albo do SOLCOM-u – odparł urzędnik. – Albo i tu, i tu, w zależności od typu zapotrzebowania.

Roześmiał się.

– Czasami nawet ja nie pojmuję, w jaki sposób decyzje zostają podjęte i zakomunikowane, a mówię to jako biurokrata!

Cassius prychnął śmiechem, zaskoczony nagłą szczerością rozmówcy.

– Tu się z panem rozumiem, panie Grenada. Nigdy nie pojmowałem, jak działa biurokratyczny proces decyzyjny.

Orkana

Sienele potoczył wokół groźnym spojrzeniem, zirytowany nagłą zmianą sytuacji.

– Gdzie jest Strażnik i pułkownik? – warknął, zwracając się do pozostałych Strażników.

Zdecydowanie nie chciał kolejnego incydentu w trakcie tak poważnego śledztwa. Już wystarczająco dużo kłopotów będzie, jeśli rozniesie się wieść, że ktoś wykorzystuje obiekty Sojuszu do tworzenia nienamierzalnych elementów broni. Sama obecność

pułkownik była jak dolewanie antymaterii do ognia, a teraz zarówno ona, jak i doświadczony Strażnik ruszyli działać na własną rękę?

Stawało się jasne, że chcą go doprowadzić do zawału.

– Nie mamy pewności, wysłanniku – odpowiedział mu Strażnik tonem pozornie pełnym szacunku, ale Sienele dobrze słyszał podskórne „mógłbym cię zabić jednym paluszkami”.

Zignorował to. W taki sposób Lucjanie zwracali się praktycznie do każdego.

„Ale nie do pułkownik” – szepnął głos w jego myślach. „A przynajmniej nie Kriss. Oraz ci, którzy mu ufają”.

To przywiodło mu na myśl masę innych spraw, które w niedalekiej przyszłości zapewne urosną do rangi problemów, ale przynajmniej Lucjanie to proste zwierzęta. Szacunek dla ludzi był u nich akceptowalny, choć Sienele nie pochwałałby tego u wielu innych ras Sojuszu. U prawie wszystkich gatunków szacunek i sympatia do kogoś oznaczały, że niechętnie stanęłyby do walki z nim. Ale u Lucjan? U nich działało to dokładnie na odwrót.

Zarządzanie nimi było zupełnie inne niż innymi rasami, ale dla Sienele pod wieloma względami prostsze. Jak długo wróg stanowił zagrożenie, można było liczyć na Lucjan, że się nim zajmą... a gdy wróg nie był już zagrożeniem, no cóż, wtedy nie było potrzeby angażować Lucjan, prawda?

W bieżącej sytuacji Sienele musiał jednak zmierzyć się z tym, że jeden ze Strażników działa ramię w ramię z wrogą specjalistką od konfliktów asymetrycznych, prowadząc śledztwo w sprawie, która prawie na pewno jest potajemną próbą zdestabilizowania Sojuszu przez jedną z ras członkowskich.

„Co mogłoby pójść nie tak?”

Gdy poprosiła o doprowadzenie do końca śledztwa, na które nie zgadzało się ludzkie wojsko, przyjął jej propozycję. Miał wiele powodów – a przede wszystkim chciał dowiedzieć się jak najwięcej o sposobie myślenia i działania ludzkiego wojska. Byłoby też nie lada wyczynem móc powiedzieć przełożonym, że pracuje dla niego ludzka bohaterka wojenna.

Stanowiłoby to jednak spore ryzyko, bo jeśli coś wybuchnie mu w twarz... to naprawdę wybuchnie mu w twarz.

– Znajdźcie ich – rozkazał. – I albo im przekażcie, żeby mnie znaleźli, albo wróćcie mnie poinformować o ich lokalizacji... i działaniach.

– Oczywiście, wysłanniku – odparł Strażnik właściwym sobie tonem.

Sienele ponownie to zignorował, odwracając się od Lucjanina i wracając do swoich zadań.

Dowódca zakończył rozstawianie swoich sił, zerkając co chwilę w korytarz, do którego obrony się przygotowywał. Dochodzące stamtąd odgłosy walki całkowicie ucichły, więc czekał w niepewności, kto wyłoni się zza zakrętu – czy jego oddział, czy wróg.

Stawiał na wroga.

Lekkie wibracje komunikatora rozproszyły go na moment, ale je zignorował. Zauważył jednak, że cała reszta jego oddziału sięga po komunikatory, a to wydało mu się... niewłaściwe.

Jego żołnierze mieli przy sobie komunikatory, ale w trakcie misji były one zablokowane na wszystko poza kluczowymi przekazami. Po chwili zastanowienia dotarło do niego, że jeśli komunikat był na tyle istotny, by przesłać go do niego, powinien otrzymać go bezpośrednio, a nie jako powiadomienie z wibracją.

Sięgnął po urządzenie i otworzył wprawnym gestem. Spojrzał ze zdziwieniem i konsternacją na zdjęcie żołnierza, którego właśnie śledzili.

„Gatunek... człowiek. Przynależność – SOLCOM? Nie słyszałem o tej grupie” – pomyślał, zbity z tropu.

Czy to jakaś jednostka specjalna Sojuszu?

Poniżej znalazł polecenie tak szokujące, że musiał je przeczytać dwa razy.

„Nagroda za żywego lub martwego... znacząca? Nagroda za czyjąś głowę? Kto to nadał...?”

Dowódca odnalazł sygnaturę nadawcy i zdał sobie sprawę, że to bezpośredni przekaz od Wybawców. Ostre spojrzenie na jego

żołnierzy upewniło go, że otrzymali tę samą wiadomość i właśnie o niej rozprawiają.

„To jest...”

Zebrał się w sobie. Nie chciał myśleć źle o Wybawcach, ale to nie był mądry ruch. Z całą pewnością nie należało wysyłać takiego komunikatu w środku przygotowań do nieuniknionego starcia. Teraz będzie musiał dodatkowo zdyscyplinować przynajmniej część swoich żołnierzy, którzy w przyływie brawury spróbują sięgnąć po niesprecyzowaną nagrodę.

Nie żeby ich winił. Prawdę mówiąc, jakakolwiek bezpośrednia nagroda od Wybawców oznaczałaby niezwykle prestiż w sirhańskim społeczeństwie. Nawet jemu trudno było się oprzeć takiej pokusie. Niemniej miał zadanie do wykonania, a ten komunikat zdecydowanie mu w tym nie pomagał.

– Odłożyć komunikatory – warknął, chowając także swój. – Tak, widziałem, co napisano, i tak, widziałem, od kogo to wiadomość. W tej chwili nic mnie to nie obchodzi! Osobiście zastrzelę każdego, kto wyłamie się z formacji i zdradzi wrogowi naszą pozycję. Możecie marzyć o nagrodach w waszym wolnym czasie, ale teraz należycie do mnie.

Mierzył ich twardym spojrzeniem, póki nie zwarli z powrotem szyków. Ze stłumionym westchnieniem stanął na pozycjach.

„Ta wiadomość to był cholernie głupi pomysł”.

Sorilla była znów na haju wywołanym przepuszczaniem mapy Ross przez implanty. Akcelerometry na bieżąco kształtowały w jej mózgu świat, który ją otaczał.

Gdyby spróbowała tego niedługo po tym, jak otrzymała nowy zestaw implantów, najpewniej byłaby wyłączona z walki przez chorobę lokomocyjną. Nawet teraz odczuwała gdzieś w tle sugestię mdłości, która groziła poważniejszymi problemami, ale Sorilla już dawno przyzwyczała się do gorszych odczuć i nauczyła się je ignorować.

Przed sobą miała kolejną zasadzkę. Wyczuwała budujące się ładunki broni Ross. Jej zmysł grawitacji był już tak rozwinięty, że bez

problemu umiała określić typy broni oraz ich rozstawienie.

Wróg dysponował osiemnastoosobowym oddziałem wyposażonym w lekką i średnią broń impulsową Ross. Było to więcej, niż potrzeba do unieszkodliwienia czegokolwiek mniejszego niż ciężki czołg – a nawet taki pancierz nieźle by oberwał.

Dodatkowo tym razem wrogowie wiedzieli, że Sorilla się ich spodziewa.

„To będzie nieco bardziej wymagające”.

Zwrócenie zasadzki przeciwko wrogowi, kiedy ten nie wie, że się jej spodziewasz, było nie tylko możliwe do wykonania, ale stanowiło wręcz znak rozpoznawczy piechoty. Ale zrobienie takiego numeru, kiedy wróg wie, że się go spodziewasz? To było już znacznie trudniejsze, bo przeciwnik miał się na baczności i nie poddawał się złudnemu poczuciu, że nad wszystkim ma kontrolę.

Sorilla przystanęła za załomem korytarza prowadzącego do miejsca zasadzki, szacując dystans. Wyczuwała broń w odległości jakichś dziesięciu metrów, co pasowało do rozkładu pomieszczeń w jej głowie. Oznaczało to także, że przeciwnik pokrywał ogniem całą długość korytarza, więc by go dorwać, musiała przebyć dziesięciometrową tubę śmierci.

Może to i wykonalne, ale Sorilla nie określiłaby swoich szans jako wysokie, nawet gdyby dysponowała porządnym oddziałem.

Niestety, Sojusz nie umieszczał w swoich obiektach wygodnych kanałów wentylacyjnych ani sufitów podwieszanych... choć jak ostatnio próbowała się schować nad podwieszanym sufitem, nie skończyło się to za dobrze. Pewnie nawet jakby Sojusz takowe budował, nie zdecydowałaby się na ten manewr drugi raz.

Ale konstrukcja obiektu nie była tak solidna, jak mogłoby się wydawać.

Ściany nośne były monolitami – nadzwyczaj mocnymi, o ile dobrze odczytywała dane z projekcji Ross. Na szczęście wyglądało na to, że Sojusz preferuje modułowe, łatwe do demontażu ścianki działowe. Z tej przyczyny wszędzie tam, gdzie nie było obciążeń konstrukcyjnych, ściany były cienkie i osadzone na czymś, co Sorilla interpretowała jako łożyska powietrzne albo poduszki magnetyczne, pozwalające na przemieszczanie ścianek.

Sorilla wycofała się głębiej za załom, sunąc opancerzonymi dłońmi po ścianie i rozważając opcje.

Wzmocnionym ciosem rozbiła beton i przebiła się przez ścianę z łatwością, która ją zaskoczyła mimo wiedzy o modułowej konstrukcji. Kilka chwil wystarczyło, by poszerzyła otwór na tyle, by prześlizgnąć się na drugą stronę.

Znalazła się w jakimś nieużywanym składziku. Grube warstwy kurzu pokrywały stary sprzęt, którego nie potrafiła rozpoznać. Przemierzyła pomieszczenie i stanęła przy przeciwległej ścianie.

Mrugnęła, aktywując widzenie w podczerwieni w swoich implantach i HUD-zie hełmu.

Nie dawało jej to magicznego widzenia przez ściany, jak na filmach, ale mogła dostrzec plamę ciepła w rogu, gdzie najwyraźniej opierała się czyjaś dłoń... czy inna kończyna. Większa plama ciepła ujawniała zarys postaci kłęczącego żołnierza.

Sorilla uśmiechnęła się paskudnie pod hełmem i zbliżyła się do ściany.

Dowódca zmarszczył brwi, słysząc dziwne dźwięki z głębi korytarza.

„Jeszcze walczą? Nie, to nie były wystrzały”.

Minęło trochę czasu, a on wciąż próbował rozgryźć zagadkę nietypowych odgłosów. Nic nie przychodziło mu do głowy, ale dźwięki się nie powtórzyły, więc przestał zaprzętać sobie nimi głowę.

Nagły trzask poderwał wszystkich wokół. Wystrzeliła jakaś broń, ale dowódca był pewien, że to jeden z jego żołnierzy przypadkowo nacisnął spust, spłoszony. Rozejrzał się wokół, próbując rozeznac się w sytuacji.

Jeden z żołnierzy leżał na ziemi, martwy lub nieprzytomny, a jedynym śladem ataku była dziura w ścianie, przy której przed chwilą stał.

Zawahał się o sekundę za długo.

Kolejny trzask rozdarł powietrze, a wśród okruchów betonu wykwitły w ścianie dwie dziury. W ułamku sekundy wyłoniły się

z nich opancerzone dłonie, które pochwyciły kolejnego żołnierza i przeciągnęły brutalnie przez ścianę.

– Odsunąć się od ściany! Osłaniać ogniem! – rozkazał, przemieszczając się szybko.

Ryk automatycznego ognia prowadzonego zza ściany był jedyną odpowiedzią, jaką usłyszał.

Momentalnie korytarz wypełnił się dymem, pyłem i wizgiem zakrzywiającej się czasoprzestrzeni.

10

Orkana

Kriss uśmiechał się szeroko, nurkując pomiędzy przeciwników z terrańskim ostrzem w dłoni.

Pierwotnie zabrał tę broń jako trofeum wojenne i nie zamierzał używać jej w bitwie, ale jej projekt szybko przypadł mu do gustu. Jaki wojownik nie pokochałby ostrza, które jednocześnie czyściło się i ostrzyło do granic perfekcji przy każdym użyciu?

Oczywiście musiał rozgryźć, jak ładować rdzeń energetycznej broni, ale nie było to zbyt trudne. Zwykły stos elektronowy ułożony w superpojemnym rdzeniu, nic nadzwyczajnego.

Natomiast ostrze było mistrzostwem sztuki zbrojeniowej.

Jednocząsteczkowy brzeg nieustannie odnawiający się dzięki zasilaniu umieszczonemu w głowni, ostrze, które mogło wciąż odpryskiwać, a i tak natychmiast przywracało się do stanu pierwotnego...

„Perfekcja”.

Ciął właśnie sirhańskie szyki tą doskonałą klingą, szatkując każdego, kto się zbliżył, i ostrzeliwując z broni pulsacyjnej tych, którzy byli dość sprytni, by trzymać się dalej.

Zwolnił tylko raz na krótką chwilę, by potężnym kopniakiem posłać szarżującego Sirhanina z powrotem pomiędzy towarzyszy, a potem ruszył dalej, rozkoszując się walką.

Lekko zawiedziony musiał jednak przyznać, że Sirhanie nie zrobili na nim wrażenia.

Oczywiście byli kompetentni, może nawet dobrzy w swoim fachu, ale ich umiejętności były jedynie wyuczonymi odruchami, wyrobionymi u żołnierzy, którzy tak naprawdę nie chcieli walczyć. Większość ras miała tę przywarę, jedynie nieliczne naprawdę żyły

dla wojny i były do niej stworzone. Niestety, gatunki, które kochały przemoc, zbyt łatwo dawały się ponieść idiotycznym ekscesom, nie rozumiejąc, że przemoc sama w sobie prowadzi do samozniszczenia.

Kriss, jak wszyscy Strażnicy, żył po to, by sprawdzić się na polu bitwy. Nie za bardzo przejmował się sprawami, za które walczył, ale wiedział, że Sojusz częściej miał rację, niż się mylił – w każdym razie w temacie ras członkowskich.

Oдноśnie do niezrzeszonych gatunków... cóż, może należało jednak rozważyć przystąpienie do Sojuszu. Ich problemy nie były zmartwieniem Krissa, o ile w ogóle o nich myślał... a prawdę mówiąc, nie myślał.

Sirhanie przystąpili do Sojuszu, co stawiało całą tę sytuację w dziwnym świetle. Normalnie Kriss powinien im zaoferować ochronę – czy raczej zaoferować ich wrogom przyjemne spotkanie. Jednak ta konkretna grupa pracowała dla wrogów Sojuszu... a przynajmniej dla kogoś, kto łamał protokoły Sojuszu. Grali więc uczciwie.

„Faktycznie dziwna sytuacja” – pomyślał Kriss, tnąc jednego z Sirhan w nogę i posyłając go kopniakiem na jego towarzysza, który właśnie próbował wycelować broń impulsową Ross w Lucjanina.

Oto kolejna dziwna sytuacja.

Standardowa broń Sojuszu była oparta na projekcie Ross. Nie były to jednak dokładne kopie, jeśli chodzi o moc czy wydajność... i Ross nie sprzedawali swojej broni na żadnym rynku.

Gdyby tak było, Strażnicy byliby pierwsi w kolejce, by nabyć tak zaawansowany osprzęt.

Kriss zamrugał, gdy jeden z Sirhan prawie przebił się przez jego osłonę, i wrócił myślami na miejsce walki. Zablokował wściekłą szarżę, odbił wrogie ostrze i zatopił własne w brzuchu Sirhanina. Pozwolił ciału opaść, skłaniając lekko głowę w geście uznania dla żołnierskiej odwagi, nawet jeśli nie podążały za nią umiejętności.

Skrył się za rogiem, z bezpiecznej pozycji oceniając, kto pozostał w walce.

– Moi przełożeni będą zirytowani, jeśli nie dam wam szansy na poddanie się – powiedział do pozostałej piątki, która jeszcze stała na nogach – ale ja bym wolał, żebyście nie składali broni. Jestem rekonwalescentem i potrzebuję nieco ćwiczeń.

Rozejrzał się, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Ktoś chce się poddać? Gwarantuję pełnię praw wojskowych Sojuszu. Nie? Wyśmienicie.

Kriss obrócił w dłoni terrańską klingę, wsunął ją gładko do pochwy na udzie i sięgnął po nieużywaną dotąd broń impulsową.

– Nie mamy zatem powodów się wstrzymywać, zabawmy się!

Dowódca odskoczył od ściany, za którą krył się wróg, i zawołał swoich żołnierzy.

– Zmasowany ogień na mój rozkaz! Moc broni na maksimum! – krzyknął, jednocześnie ustawiając odpowiednio swój sprzęt.

– Dowódco! Desil jest w tamtym pomieszczeniu!

– Już i tak po nim! Ognia!

Wystrzelił, a wraz z nim grzmotnęła zmasowana salwa jego oddziału.

Efekt był tak niszczycielski, że dowódca prawie przegapił cień, który zanurkował przez ścianę na ułamek sekundy przed kanonadą.

– Cel! Namierzyć cel! Strzelać! Strzelać!

Sorilla poczuła, że każdy włoszek na jej ciele stanął dęba pod wpływem nagłego zagięcia czasoprzestrzeni po drugiej stronie ściany. Zrozumiała, że broń przeciwnika właśnie zaczęła zakrzywiać coś więcej niż malutkie, choć mocne fałdy czasoprzestrzeni.

Nauczona doświadczeniem domyśliła się, że Sirhanie postawili wszystko na jedną kartę i zwiększyli siłę rażenia broni. Czowała, jak lufy zwracają się w jej kierunku, i spojrzała na nieszczęśnika, którego właśnie przeciągnęła przez ścianę.

– Wybacz, gościu, to będzie bolało... ale raczej cię nie zabije – powiedziała, zwijając się w ciasnym obrocie i po prostu rzucając Sirhaninem przez całą długość pomieszczenia do przeciwległych drzwi. Liczyła na to, że obcy zdoła ocalić skórę.

Sama zanurkowała w przeciwnym kierunku, pozwalając działać newtonowskiej fizyce i wykorzystując energię z rzutu. Przeskakując

w półobrocie przez ścianę, czuła, jak broń przeciwników osiągnęła punkt krytyczny i wypaliła dokładnie w momencie, gdy Sorilla wpadła przez ścianę w korytarz po drugiej stronie.

Wiązki zakrzywionej czasoprzestrzeni zawirowały wokół niej, ale półobrót pozwolił jej wywinąć się z linii strzału. Przetoczyła się po podłodze korytarza, wysunęła prawą stopę, podnosząc się jednocześnie na lewe kolano, i jeszcze w ruchu dobyła broni.

Procesor – subwokalizowała – automatyczny ogień, oba pistolety. Bez zabezpieczeń.

Ściągnęła oba spusty, co było ostatnim ręcznym zabezpieczeniem potrzebnym do wystrzelenia, by broń wiedziała, że za rozkazem stoi żywy człowiek, a nie tylko polecenie komputera. Sorilla przesunęła lufy nad liniami wroga, a komputer zrobił resztę.

Przy wyłączonych zabezpieczeniach system nie sprawdzał nawet sygnatur swój-obcy, co znacząco skracało czas reakcji. Za każdym razem, gdy broń wykryła cel, procesor wysyłał polecenie odpalenia następnego pocisku, aż w końcu lufy były puste, a Sorilla wyhamowała swój śmiercionośny ślizg.

Nagła zapora ogniowa wywołała popłoch wśród Sirhan, w panice próbujących znaleźć osłonę, nawet gdy ostrzał się urwał.

Sorilla zwolniła blokady, trzymając broń uniesioną i pozwalając zintegrowanym lufom opaść za jej plecami. Nim zastukotały o podłogę, Sorilla przełożyła oba pistolety do lewej dłoni, płynnie załadowała świeże magazynki i zablokowała je szybkim ruchem nadgarstka.

Przeciwnik jeszcze nie zdążył się otrząsnąć po poprzedniej salwie, a Sorilla już wstawiała na nogi z dwoma świeżo załadowanymi pistoletami.

– Wycofać się! – ryknął wściekle dowódca, nie dowierzając, że JEDEN wrogi żołnierz w mgnieniu oka posłał jego oddział w rozsypkę. Nigdy wcześniej nie widział, by ktoś poruszał się w ten sposób.

Żołnierz oznaczony przez Wybawców jako cel priorytetowy był szybszy od wszystkich obcych wojowników, jakich dowódca

kiedykolwiek widział, a do tego wystarczająco silny, by przebijać się przez ściany.

Nawet Lucjanie, osiłki Sojuszu, nie byli w stanie z taką nonszalancją wykorzystywać swoich i tak imponujących atrybutów fizycznych.

Dowódca był praktycznie pewien, że obcy żołnierz nosi jakiś pancerz wspomagany, ale taka technologia była daleko poza zasięgiem czegokolwiek, nad czym pracowało sirhańskie wojsko. Nie widział czegoś takiego także u jednostek Sojuszu – ale to nie musiało znaczyć wiele, biorąc pod uwagę rozmiary Sojuszu i niewielką jeszcze wiedzę Sirhan.

Przy obszarze liczącym tysiące lat świetlnych i więcej gwiazd, niż mógłby policzyć, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zaledwie kilka ras da radę poznać wszystkie inne gatunki. Sojusz był luźnym stowarzyszeniem mniejszych stowarzyszeń. Jedynie gatunki takie jak Wybawcy i kilka innych ras mogły przemierzyć całą przestrzeń Sojuszu.

Sirhanie raczej nie będą mieli możliwości poznać nikogo poza kilkoma lokalnymi gatunkami członkowskimi, ale prawdę mówiąc, całkiem im to odpowiadało.

Oddział, a przynajmniej to, co z niego zostało po nagłym ataku, wycofywał się na rozkaz dowódcy, osłaniając swój odwrót. Szybko stało się jasne, że to jedynie działania opóźniające. Jeśli szybko nie zdobędą się na skuteczny atak, wkrótce zabraknie im zdatnych do walki żołnierzy.

Dowódca sięgnął po komunikator.

– Ewakuować wszystkich! Nie utrzymamy się długo! Nawet jeśli powstrzymamy tę dwójkę, zaraz będziemy mieć na głowie posiłki. Opuuszczamy obiekt zgodnie z rozkazami.

– Ewakuacja w toku, dowódco! – odezwał się nadzorca infiltracji. – A co z celem? Wybawcy chcą jego eliminacji.

– To mogą tu sobie przylecieć i sami się nim zająć!

– Dowódco!

Skrzywił się i wziął głęboki oddech.

– Z całym szacunkiem dla pana oraz dla Wybawców mamy do czynienia z elitarnymi żołnierzami Sojuszu, a ich umiejętności są na tyle zaawansowane, że Wybawcy jak dotąd nie byli w stanie ich

wyeliminować! Jeśli uda nam się pokonać cel, uznam to za bonus, ale jeśli nie, będę całkowicie usatysfakcjonowany, jeśli po prostu uda nam się uciec. Czy wyrażam się jasno, nadzorco?

Nastąpiła długa cisza, nim w końcu rozbrzmiała odpowiedź:

– Tak, dowódco.

Przerwał połączenie i posłał kilka serii w głąb korytarza, celując w podłogę, by chmurą odłamków osłonić odwrót kolejnej grupy.

Sorilla przypadła do ziemi, zasypana odłamkami betonu, i przeturlała się z dala od zaporowego ognia, który bardzo dobrze spełniał swoją rolę – zmuszając ją do szukania osłony.

Przeciwnik zdecydował się na kontrolowany odwrót i w jej ocenie robił to całkiem kompetentnie. Nie był to łatwy manewr, a przy okazji jeden z trudniejszych do wyuczenia. Czasami nawet mimo doskonałego wyszkolenia sprawy potrafiły przybrać paskudny obrót.

Tym razem jednak wycofującym się szło całkiem nieźle, co prawdopodobnie miało jakiś związek z tym, że rejterowali przed jednym przeciwnikiem.

Sorilla niewiele więcej mogła zrobić, kryjąc się pod zaporowym ogniem zabezpieczającym odwrót. Podłączyła kamerę prawego pistoletu do implantów rogówkowych i wysunęła lufę poza osłonę, uważnie skanując otoczenie.

„Zero celów. Wycofali się. Cholera jasna”.

Sięgnęła po komunikator Sojuszu.

– Kriss, odbiór?

– Jestem – usłyszała poważny głos Lucjanina. – Mam nadzieję, że bawisz się lepiej niż ja.

– No... momentami było zabawnie – przyznała. – Pozostałości oddziału się wycofują, a ja nie mam dość siły przebicia, by złamać ich dyscyplinę. Chciałabym dotrzeć za nimi do ich przytulnego gniazdka. Idziesz?

– Chwileczkę – odparł Kriss z sugestywnym stęknieniem. – Kończę tylko... kilka spraw.

Sorilla nie miała złudzeń, co właśnie Kriss kończył.

– Dobrze. Daj znać, nim podejdziesz do mnie – odparła. – Nie chciałabym cię przypadkiem odstrzelić.

Kriss się roześmiał.

– Lepiej nie, pani pułkownik. Jeśli już masz mnie postrzelić, to lepiej zrób to celowo, bo inaczej będzie mi przykro.

– Wydaje mi się, że byłoby ci przykro tak czy siak – stwierdziła cierpko. – O ile byś przeżył. Po prostu się zbieraj.

– Już idę.

Przerwali połączenie i Sorilla wyjrzała zza osłony, by ponownie upewnić się, że nikt na nią nie czeka. Wstała i ruszyła w górę korytarza, mijając prawie nietknięte ciała poległych Sirhan. W przeciwieństwie do broni grawitacyjnej jej pistolety raczej nie zamieniały wrogów w bezkształtną papkę.

Po drodze Sorilla odruchowo kopała broń poza zasięg leżących przeciwników. Nie spodziewała się, by któryś z nich udawał, ale instynkt i trening robiły swoje.

„Mają niezłe wyposażenie” – pomyślała, pochylając się nad jednym z żołnierzy i przyglądając się broni i osprzętowi.

Większość ewidentnie była owocem zaawansowanych metod produkcyjnych Sojuszu, niezawodnych i dopracowanych w najdrobniejszych szczegółach.

Sorilla wciąż badała sprzęt Sirhan, gdy zza jej pleców wyłonił się Kriss. Odwróciła się szybko z bronią gotową do strzału na wypadek, gdyby kogoś jednak przegapiła.

– Chcesz mnie postrzelić? – spytał Lucjanin rozbawiony.

– Jeszcze nie – odburknęła kwaśno.

– Szkoda. Może następnym razem.

Sorilla przewróciła oczami pod osłoną hełmu, wstała i wręczyła Krissowi sprzęt, który właśnie oglądała.

– Co to jest? – zapytał, obracając przedmiot w dłoniach. – Komunikator?

– Yhm – mruknęła Sorilla. – Bardziej ciekawi mnie to, co wciąż się na nim wyświetla.

Kriss spojrzał na nią uważnie, po czym otworzył urządzenie i zagapił się zdumiony.

– Nagroda za głowę – wydusił. – Od Ross. Od dawna takich nie widziałem. Kiedyś ogłosili takie nagrody za lucjańskich Strażników,

żywych lub martwych, płatne po dostarczeniu ciała. Niemniej przyznaję, że nigdy nie widziałem, żeby wyznaczyli nagrodę za konkretną osobę.

– Wątpliwy zaszczyt – mruknęła Sorilla. – Masz pomysł, co to za nagroda?

Kriss potrząsnął głową.

– Ross bardzo pobieżnie rozumieją ekonomię, więc nie ogłaszają nigdy nic konkretnego. Niemniej nagrody są imponujące, szczególnie dla niżej rozwiniętych gatunków, takich jak Sirhanie.

– No cóż, uroczo.

– Sieniele będzie tym... zafascynowany – stwierdził Kriss. – Podobnie jak spora część struktury dowodzenia Sojuszu. Wielu z nich w ogóle nie wierzyło, że Ross umieją rozpoznawać indywidualne osoby wśród przedstawicieli innych gatunków... Niektórzy twierdzili, że nie rozpoznają ich nawet w swoim gatunku.

Sorilla pokiwała głową. To pasowało do wniosków SOLCOM-u, a nawet niektórych jej własnych przemyśleń o Ross. Informacja o nagrodzie pokazywała jednak coś innego.

– Poszli w tamtą stronę – powiedziała, porzucając rozważania na rzecz bieżącej sytuacji i wskazując w dół korytarza. – Ich centrum dowodzenia jest blisko. Czuję to.

Kriss wpatrywał się jeszcze chwilę w komunikator, po czym zamknął go i wsunął za pasek.

– No dobrze – powiedział. – Najwyższy czas wezwać posiłki.

Sorilla nie mogła się z nim nie zgodzić, choć bardzo ją kusilo. Zdawała sobie sprawę, że nabrała kilku złych nawyków, przez całą wojnę działając przeważnie w pojedynkę. Los ciągle stawiał ją w sytuacjach, gdy wsparcie wyszkolonych żołnierzy było poza zasięgiem.

Trudno było wyzbyć się nawyków, które dawały tak dużą satysfakcję, nawet jeśli miało się świadomość, jak bardzo zły to zwyczaj i jak groźne może mieć konsekwencje przesadne zawieranie swojemu szczęściu.

– Zgoda – odparła. – Pójdę na zwiad, ale nie będę atakować, póki twój oddział nie będzie na pozycjach.

Kriss przyjrzał się jej uważnie spod zmrużonych powiek, nim w końcu odpowiedział:

– Niech tak będzie.

Burcząc pod nosem, sięgnął po komunikator, a Sorilla ruszyła w ślad za wycofującym się przeciwnikiem.

– Wysłanniku!

Sienele podniósł wzrok znad dokumentów, zirytowany raczej zarządzaniem obiektu niż przerywaniem mu pracy.

– Tak, o co chodzi? – burknął.

– Strażnik Kriss skontaktował się z oddziałem i wzywa posiłki.

– Co? – Sienele aż podskoczył. – Posiłki w jakim celu?

Meldujący się Strażnik wzruszył ramionami.

– On i pułkownik zlokalizowali centrum operacyjne buntowników i napotkali znaczący opór.

Sienele zignorował fakt, że Lucjanin używa stopnia Sorilli jako imienia, skupiając się jedynie na treści meldunku.

Nie był zaskoczony, że ten duet zdołał namierzyć buntowników. Kriss to wielokrotnie odznaczany Strażnik o dużym doświadczeniu bojowym, a pułkownik była wyjątkowo wytrwałą specjalistką od konfliktów asymetrycznych. Taka misja była dosłownie chlebem powszednim tej dwójki. Dodając do tego fakt, że oboje byli uzależnieni od działania i przyciągali kłopoty jak magnes, taki obrót spraw wydawał się nieunikniony.

– Ruszajcie – rozkazał. – Pójdę za wami. Poinformuj Krissa i pułkownik, że chcę mieć więźniów. Trupy nie mówią zbyt wiele.

– Tak, wysłanniku!

Sienele patrzył przez chwilę za odchodzącym Strażnikiem, po czym skupił się znów na dokumentacji, zrobił notatki w miejscu, w którym zamierzał właśnie przerwać pracę, i zamknął pliki.

Działy się właśnie potencjalnie bardziej interesujące sprawy.

Znacznie bardziej interesujące.

Konklawe śledziło rozwój sytuacji z mieszaniną zainteresowania i niepokoju.

Gatunek infiltrujący nie zdołał jak dotąd wyeliminować Entropii, ale nie było to zaskoczeniem. Konklawe przejrzało nagrania całego, choć krótkiego starcia w czterech dostępnych wymiarach.

Porusza się w sposób, na jaki nigdy wcześniej się nie natknęliśmy, nawet w jej własnym gatunku. Anomalia.

Konklawe zgodziło się z tym stwierdzeniem. Szmary niosły się wokół, gdy członkowie próbowali określić, co to oznaczało... o ile cokolwiek oznaczało.

Wyglądało to, jakby Entropia mogła... widzieć czasoprzestrzeń tak jak Ross, co było całkowicie niemożliwe. Żaden z napotkanych dotąd gatunków, wliczając w to samych Sturm Gav, nie był zdolny do czegoś takiego. To oczywiste, że Terranie czy ludzie nie mogli mieć takich możliwości – ani technologicznych, ani biologicznych.

A jednak...

Ostrzegawczy ton przykuł uwagę konklawe.

Mów śmiało.

Dłuższa chwila minęła w ciszy, nim mówca znów się odezwał:

Ludzie... Monitorowaliśmy system zamkniętej pętli z ich przestrzeni, o ile pamiętacie. System, który – według naszej wiedzy – jedynie Ross umieją zbudować. Zostaliśmy zmuszeni do zamknięcia naszych własnych pętli z powodu ekstremalnych ataków Gav... i ten w przestrzeni ludzi również został dezaktywowany... ale jeśli są w stanie skonstruować coś takiego, być może są bardziej zaawansowani, niż wynika to z naszych ustaleń.

Zgromadzenie rozważało przez chwilę te twierdzenia, nim prawie jednogłośnie je odrzuciło.

Praktycznie niemożliwe. Technologia obserwowana nawet w ich najwyższej klasy okrętach bojowych nie zbliżała się do poziomu wymaganego do stworzenia zapętłonej sekcji czasoprzestrzennej. Gatunek zwyczajnie nie dysponuje konieczną technologią bazową.

To nie pomaga w bieżącej sytuacji – wtrącił się inny członek konklawe. Gatunek infiltrujący wycofuje się zgodnie z rozkazami. Niemniej Entropia zmierza ich śladem. Potrzeba opcji.

Zniszczyć planetę!

Potrzeba opcji, które nie są gorsze niż aktualny najgorszy scenariusz.

Gdy gatunek infiltrujący zostanie wycofany, obiekt stanie się jedynie ciężarem. Zniszczyć obiekt.

Konklawe rozważyło krótko tę możliwość.

Sprzeciw. Zniszczenie obiektu poskutkuje równie wnikliwym śledztwem co zniszczenie planety. Jeśli mielibyśmy to zrobić, równie dobrze możemy upewnić się, że znikną wszystkie ślady.

Korekta. Zniszczenie obiektu przy pomocy równań czasoprzestrzennych miałyby takie skutki, zgoda... niemniej gatunek infiltrujący dysponuje kilkoma alternatywnymi planami wywołania... kłopotów w obiekcie. Niektóre z nich są wystarczająco niszczyielskie, a nie wymagają użycia równań.

Konklawe zamilkło na chwilę, gdy jego członkowie przeglądali plany dostarczone przez gatunek infiltrujący. Trwało to zaledwie kilka sekund.

Zgoda. Zainicjować najbardziej destrukcyjny z planów. Jeśli wyeliminuje to także Entropię, osiągniemy znakomite efekty. Jeśli nie, powinno to zmylić trop na dostatecznie długi czas, by zatrzeć wszelkie inne ślady.

Konklawe doszło do porozumienia. Aktywowano plany, wydano rozkazy.

Obiekt zostanie zniszczony.

Orkana

Sienele pędził korytarzami, a co bardziej nadgorliwi i nieustępliwi przedstawiciele lokalnej administracji deptali mu po piętach. Ignorował ich nieustanne pytania o to, po co i gdzie tak pędzi. Spodziewał się, że odgłosy walki wkrótce odpowiedzą na ich pytania... a jeśli nie, nie będzie to jego problem.

Każda opcja wydawała się na swój sposób atrakcyjna, ale ta druga miała w sobie coś tak kuszącego, że Sienele musiał powstrzymać się od uśmiechu.

On sam również był zawodowym gryziopórkiem, ale to nie znaczyło, że lubił ekwilibrystkę w dokumentacji.

Strażnicy byli daleko z przodu i z pewnością prześlą ostrzeżenie z dostatecznie dużym wyprzedzeniem, by zarówno Sienele, jak i drepczący za nim oficjele – przynajmniej ci, którzy nie zidiocieli do reszty – zdążyli znaleźć osłonę. Osobiście Sienele stawiał, że połowę z nich trzeba będzie zaciągnąć, ale mogły to być zbyt optymistyczne szacunki.

W jakim sensie optymistyczne, tego nie był pewien.

– Sygnał Strażnika Krissa jest tuż przed nami – zameldował Strażnik Girr. – Zachowajcie czujność.

– Czujność? Dlaczego mamy zachować czujność? Wysłanniku?

Sienele zignorował nerwowe pytania administratora, skupiając się na sytuacji przed nimi.

Zapadła pełna zdumienia cisza, błogosławiona cisza w opinii Sienele, gdy miejscowi dostrzegli szlak ciał i osprzętu wojskowego Sojuszu, wypełniający całą długość korytarza.

– Co tu się stało?!

Sienele spojrzął za siebie.

– Nigdy nie widział pan operacji Strażników, administratorze? Proszę o ciszę. Ta operacja najwyraźniej nie została jeszcze zakończona.

Uniesienie urzędnika prysło, a szok zamknął mu usta. Z przerażeniem rozglądał się wokół, krocząc przez rzeź jakby wbrew swej woli.

Sienele spostrzegł Krissa i ruszył w jego stronę.

– Gdzie jest pułkownik? – spytał bez ogródek, bo w tej chwili nic innego go nie interesowało.

Kriss machnął ręką w głąb korytarza.

– Poszła w tamtą stronę, robi rekonesans. Muszę przyznać, że ten obiekt został imponująco zinfiltrowany. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego w przestrzeni Sojuszu.

– Oczywiście, że nie widziałeś! – Sienele nie wytrzymał. – Nie wysyłamy Lucjan, a już na pewno nie lucjańskich Strażników do rozwiązywania tego typu spraw. Wymagam więźniów, Strażniku Krissie. Musimy dowiedzieć się więcej i dotrzeć do kolejnego poziomu konspiracji. Ciężka ręka Strażników nie jest w tym wypadku najlepszą metodą.

Kriss wzruszył ramionami.

– Najlepsi czy nie, masz tylko nas.

Sienele tylko jęknął.

– A Sojusz roni łzy. – Potrząsnął głową. – Dobra, w porządku. Róbcie swoje. Ale mam mieć więźniów.

– Nie powinno być problemu – odparł Kriss pojednawczo. – Żadne z nich wyzwanie. Marni żołnierze trenowani jak poborowi... dobrzy poborowi albo marni ochotnicy. Wybierz sobie.

– Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu spróbujcie pojmać kilku żywcem, najlepiej oficerów.

– Dobrze – przytaknął Kriss. – Strażnicy, mamy misję!

Lucjanie ryknęli twierdząco, sprawdzili broń i ruszyli za Krissem.

Sienele westchnął.

„Cholera. Pułkownik wciąż jest poza kontrolą i robi jeden wszechświat wie co. Muszę nad nią zapanować albo kolejne związane z nią rozkazy będą... nieprzyjemne”.

Ruszył przed siebie przy głośnych protestach miejscowych oficjeli i podążył za Lucjanami.

Tym razem jakoś nikt nie poszedł za nim.

Doszedł do smutnego wniosku, że po godzinach męczącego śledztwa cieszył się na chwilę spokoju w ogniu walki.

Sorilla przyklękła za rogiem i dzięki kamerze na lufie rozejrzała się bez konieczności wystawiania się na atak.

Coś się działo, tyle mogła stwierdzić. Wyglądało na to, że sirhańscy żołnierze szykują się do ewakuacji. Pakowali coś, co wyglądało jak systemy komputerowe, ignorując wszystko, co było za duże do uniesienia. Pospieszali przy tym nieumundurowanych Sirhan, by szli przed nimi.

„Zdecydowanie ewakuacja. Ktoś odłączył wtyczkę tej operacji, bez cienia wątpliwości”.

Ona sama anulowałaby tego typu operację bez chwili zwłoki w momencie, gdy ekipa śledcza natknęła się na pierwszego konspiratora. Od tej chwili już nic nie mogło się ukryć. Gdy tylko namierzono pierwszego z buntowników, przetrząśnięcie całego obiektu i znalezienie wszystkich poszlak było już tylko kwestią czasu.

Im szybciej odwoła się akcję, tym więcej czasu zostaje na posprzątanie śladów i dowodów.

Wątpiła, by buntownicy podjęli decyzję dostatecznie szybko, ale dla niej tak właśnie było lepiej. Nie narzekała. Współczuła Sirhanom, naprawdę im współczuła. Rozwinęli operację, którą sama chętnie by poprowadziła przeciwko Sojuszowi. Niestety, najwyraźniej wspierali ich Ross, a tego nie można było zignorować.

Przez całą swoją karierę niezbyt często znajdowała się w tak skomplikowanych moralnie sytuacjach, ale zdarzało się.

Czasami trzeba było grać tego złego.

Sorilla sięgnęła po komunikator.

– Kriss, Aida – wywołała Strażnika.

– Proszę mówić, słyszymy cię – odpowiedział.

– Żołnierze oczyszczają bazę i pakują się. Ewakuują też najpewniej cywilów – zameldowała. – Gdzie jesteście?

– Ja i mój oddział podchodzimy do ciebie od tyłu – odparł Kriss. – Spróbuj nas przypadkowo nie postrzelić.

Sorilla parsknęła śmiechem.

– Jasna sprawa. I tak mam już nabój z twoim imieniem, czeka sobie.

– Nie wątpię. – Lucjanin też się roześmiał. – No cóż, zobaczymy, które z nas zostanie na nogach, gdy przyjdzie czas. Spójrz za siebie.

Sorilla obejrzała się przez ramię i machnęła im ręką, by podeszli. Oddział wyłonił się zza osłony i szybko przemieścił na jej pozycje.

– Witajcie – przywitała ich. – W zasięgu wzroku naliczyłam około trzydziestu żołnierzy i co najmniej dwa razy tyle cywilów, a przynajmniej nieumundurowanych. Nie jestem pewna, co tu właściwie robili, ale cokolwiek to było, właśnie zostało odwołane.

Kriss skinął głową i wychylił się zza Sorilli, ryzykując spojrzenie za róg.

Po krótkiej chwili mruknął z niezadowoleniem:

– Zgadza się. Najwyraźniej porzucają operację. Szkoda, bo czas szybko nam się kończy.

– Sieniele był bardzo zdeterminowany, byśmy pojмали jeńców, Strażniku Krissie – przypomniał Girr.

– Tak, tak – burknął Kriss zniechęcony. – Nieduża strata. Nie są to zbyt wymagający wojownicy.

– Nie są źli – odparła Sorilla, wzruszając ramionami. – Dajcie mi kilka miesięcy, a założę się, że będziecie mieli swój sport... Wy albo oni.

Kriss zmierzył ją złowrogim spojrzeniem, a potem potrząsnął głową.

– Nie kuś mnie niemożliwymi scenariuszami. Nie, obawiam się, że ta afera kończy się tu i teraz.

– Wedle wyboru – odparła Sorilla. – Zatem jak chcesz to zrobić?

Kriss zastanowił się chwilę.

– Przy tych liczbach lepiej nie próbować ataku frontального, jeśli tylko można go uniknąć. Czy masz wciąż mapę obiektu?

Sorilla prychnęła, przewracając oczami pod osłoną hełmu.

– Raczej bym tego nie skasowała, Strażniku.

– Tylko się upewniam, pani pułkownik. – Kriss uśmiechnął się lekko, co u Lucjanina było chyba najbliższe przyjacielskiemu

nastawieniu, naprawdę przyjacielskiemu... w przeciwieństwie do subtelnej, a może i nie całkiem subtelnej groźby. – Czy widzisz jakieś przejścia, które umożliwiłyby nam wzięcie ich z zaskoczenia?

Sorilla poświęciła chwilę na ponowne przepuszczenie planów obiektu przez akcelerometry, co dawało jej wręcz intuicyjne rozeznanie w otoczeniu.

– Tak – powiedziała po dłuższym zastanowieniu. – Są tu... potencjalnie puste pomieszczenia, które graniczą przez ścianę z lokalizacją celów.

– Potencjalnie puste? – dopytał jeden ze Strażników.

– To mapa, a nie informacje wywiadowcze – odparła.

– Będziemy się tym zajmować, jeśli zajdzie potrzeba – zdecydował Kriss. – Pokaż nam te pomieszczenia.

Sorilla przytaknęła i przesłała rzut mapy przez kanał komunikacyjny Sojuszu za pośrednictwem naprędcy kodowanego sygnału. Wysyłka danych trwała dłuższą chwilę, ale wkrótce Strażnicy mieli do dyspozycji własne kopie uproszczonego planu obiektu.

– Jeśli zajmiemy pomieszczenia tu i tu – wskazała Sorilla – i się skoordynujemy, możemy przebić się z dwóch stron i wziąć ich w ogień krzyżowy.

Kriss przytaknął.

– Wykonalne. Dobrze, Strażniku Girr, weź połowę oddziału i idź do tego pomieszczenia... – Wskazał na ekran. – Ja i pułkownik z pozostałymi pójdziemy tu. Wszystko jasne?

Strażnicy przytaknęli zgodnie.

– Znakomicie. Ruszamy.

Sienele przystanął, zirytowany faktem, że Strażnicy właśnie się rozdzielili i ruszyli w różnych kierunkach.

Byli niebezpieczni, bo ich niepohamowanej chęci boju towarzyszył kompletny brak instynktu samozachowawczego. Dosłownie żyli dla walki, nieważne jakiej. Ich militarny talent i nieustępliwa natura to dwa główne powody, dla których gatunek został szybko wchłonięty w struktury Sojuszu, choć nie do końca po dobroci.

Zostawieni sami sobie, Lucjanie wszczynali zbyt dużo konfliktów praktycznie bez powodu. Już lepiej dać im jakieś powody i skierować ich nienasyconą wolę walki przeciwko wrogom Sojuszu.

Sienele zauważył, że bezpośrednia natura Lucjan działa na niego odświeżająco. Pewnie nie powinno go to dziwić. Większość przedstawicieli jego gatunku zajmowała się handlem – stąd też jego przykrywka na potrzeby bieżącej misji – ale aż nazbyt często Sienele był uwikłany w dyplomatyczne podchody wywiadu, gdzie przyjacielskie powitanie było w najlepszym razie neutralne, ale na pewno nie szczere.

Lucjanie przynajmniej powiedzieliby bez ogródek i twarzą w twarz, że chcą cię zabić.

Oczywiście byłoby to niepokojące, ale ogólnie ta ich cecha była bardzo cenna. Kiedy już się do nich przywykło, przebywanie z Lucjanami stawało się zazwyczaj przyjemne.

Zazwyczaj.

Sienele wiedział z doświadczenia, że nadzór nad Strażnikami w trakcie operacji to fikcja – szczególnie przy takiej operacji jak ta. Gdyby miał jakiegokolwiek inne możliwości, oddział Strażników byłby jego ostatnim wyborem.

Ale nie miał innych opcji, więc musiał sobie radzić z tym, co było dostępne.

Zlokalizował sygnaturę Krissa i z zadowoleniem zauważył, że Strażnik towarzyszył już ludzkiej pułkownik.

„Jedna mniej do pilnowania”.

Ruszył w ich stronę.

Okręt portalowy

Konklawe przyglądało się przygotowaniom z rosnącym zainteresowaniem. Ich skupienie rosło z każdą chwilą. Gatunek infiltrujący już prawie ukończył przygotowania do odwrotu i zainicjował kilkanaście akcji sabotażowych.

Konklawe mogło w dowolnym momencie wycofać swoje wsparcie i pozostawić oddziały infiltrujące samym sobie, ale jeśli byłoby to możliwe, planowali umożliwić im wycofanie się zgodnie z umową. Rzadko się zdarzało, by pracowali z pomniejszym gatunkiem,

a właściwie rzadko się zdarzało, by pomniejszy gatunek był zdolny pracować z nimi.

Gatunek infiltrujący wykształcił prymitywne narządy zmysłów, które pozwalały mu na częściową komunikację z Ross. Oczywiście kontakt był daleki od doskonałości, ale i tak ich zdolności były imponujące jak na tak mało znaczący gatunek.

Większość innych gatunków mogła się komunikować jedynie przez długą i nużącą wymianę równań, które musiały przejść przez kilkanaście różnych systemów interpretujących, nim otrzymano cokolwiek zrozumiałego. Taka metoda komunikacji była powolna, frustrująca i często jałowa, bo odzierała przekaz z kontekstu, przez co nierzadko obie strony kompletnie nie mogły zrozumieć, co rozmówca miał na myśli.

Jedynie kilku członków konklawe przejmowało się w ogóle takimi gatunkami, przez co nie traktowano ich zbyt przychylnie. Chęć komunikacji z tymi, których praktycznie nie dało się zrozumieć, wymagała jakiejś wewnętrznej perwersji. Większość konklawe zdecydowanie wolała ustanowić dominację, a jeśli to się nie udało, zwyczajnie wyeliminować problem.

Z rzadka prowadziło to jednak do jeszcze większych problemów.

Sturm Gav, gatunek, który założył Sojusz trzy tysiące lat świetlnych bliżej jądra Galaktyki, stanowił jeden z takich problemów... a ci ludzie okazali się drugim.

Konklawe wciąż jeszcze nie osiągnęło zgody w kwestii ludzi.

Znacząca mniejszość była przekonana, że ludziom po prostu dopisało szczęście i kontynuacja natarcia zmiotłaby ich całkowicie.

Może nawet było to prawdą, ale ryzyko uznano za zbyt wielkie. Gdy cała flota bojowa Sojuszu wspierana przez CZTERY okręty portalowe z pełnym dostępem do równań czasoprzestrzennych znikła bez śladu, naprawdę nie ma się nad czym zastanawiać. Konklawe zostało zmuszone do wstrzymania natarcia do czasu wyjaśnienia sytuacji.

Niestety, żadne wyjaśnienia się nie pojawiły.

Obszar, w którym ostatnio widziano flotę, był ogromny. Ustalenie dokładnej lokalizacji okrętów w przestrzeni w chwili ich zniknięcia zdawało się praktycznie niemożliwe. Choć konklawe wierzyło, że

ostatecznie udało się namierzyć ten punkt, cokolwiek się tam wydarzyło, splątało okoliczną czasoprzestrzeń w niezliczone węzły.

Jeden z lokalnych punktów skoku znajdował się w centrum całego bałaganu. Konklawe założyło, że ten punkt stanowił oś tego, czego dokonały ludzkie siły, ale nim Ross tam przybyli, nie było już niczego wartego zbadania. Sama czasoprzestrzeń była degradującym chaosem entropicznych wirów, które według obliczeń pochłaniały lokalny punkt skoku od co najmniej kilku stuleci.

Cokolwiek się wydarzyło, zniknęło za zasłoną destrukcji na kwantowym poziomie czasoprzestrzeni, zostawiając Ross bez możliwości odkrycia istoty sprawy.

Pewne było jedynie to, że stosunkowo mała flota ludzka sprawiła, że cała grupa bojowa Sojuszu, w tym cztery potężne okręty Ross, zniknęła bez śladu.

To umieszczało ludzkie imperium na bardzo krótkiej liście gatunków, z którymi Ross chwilowo nie chcieli zadzierać.

Lista miała dwie pozycje.

A teraz jeden z bardziej wybitnych spośród ludzi, których Ross napotkali w trakcie i po konflikcie, zaangażował się w ujawnienie jednego z podstępów, jakie wdrożono przeciwko Sojuszowi w nadziei na ograniczenie zagrożenia ze strony gatunku numer jeden na liście.

To już prawie wystarczyło, by nawet taki byt jak konklawe uwierzył w działanie losu i karmy.

Prawie.

Prawdę mówiąc, Ross nie mieli na to nawet odpowiednich słów, ale wszystko sprowadzało się do nieuchronności równań... a każde równanie można było przekształcić, gdy tylko uchwyciło się wszystkie zmienne.

Marginalna mniejszość konklawe rozważała teraz, czy Entropia jest zmienną, którą można... przekształcić.

W milczeniu obserwowali i czekali.

Orkana

Dostęp do sieci obiektu pozwolił Lucjanom obejść kody blokujące drzwi, więc bezgłośnie włamali się do środka. Sorilla wślizgnęła się

za nimi, a ostatni ze Strażników ponownie zablokował za nią drzwi.

Mapa się nie myliła, pomieszczenie było całkowicie puste. Nawet pudła nie zagracały zakurzonej powierzchni, więc miejscówka zdawała się idealna do ich bieżących celów. Gdyby było tu pełno czegoś – lub kogoś – musieliby sobie jakoś z tym poradzić. Dobrze, że nie było takiej potrzeby.

– To ta ściana. – Sorilla wskazała przed siebie. – Są po drugiej stronie.

– Skupione ładunki – rozkazał Kriss. – Wyśrodkować.

Strażnicy szybko zorganizowali swój odpowiednik ładunku kumulacyjnego. Technicznie rzecz biorąc, mocno się to różniło od ludzkiej definicji. Sojusz w pełni wykorzystywał swoją przewagę w technologii czasoprzestrzennej, zaginając przestrzeń wokół miejsca detonacji i przekierowując ją na cel, ale nie przez cel.

Sorilla wiedziała z doświadczenia, że jest to przerażająco skuteczne.

Lucjanie skończyli przygotowania, sprawdzając jeszcze grubość ściany, przez którą mieli się przebić. Wszyscy prawie wyskoczyli ze skóry, słysząc delikatne pukanie do drzwi.

Kriss machnął na jednego ze Strażników, by odblokował drzwi, jednocześnie kierując broń w ich stronę.

Napięcie sięgnęło zenitu... i błyskawicznie opadło, gdy zobaczyli Sienele. Agent bez słowa wszedł do pomieszczenia i skinął Krissowi głową. Ten wrócił do swojej roboty.

– Przygotować wyłom – polecił. – Na mój rozkaz.

– Tak, Strażniku. Na twój rozkaz.

12

Orkana

Dowódca spakował do końca osobistą dokumentację, resztę zostawiając do spalenia. Wdrożył już otrzymane rozkazy, inicjując plany sabotażowe, od dawna przewidziane jako środek ostateczny, gdyby sprawy przybrały najgorszy możliwy obrót.

No cóż, najwyraźniej tak właśnie się stało.

– Jesteśmy gotowi do ewakuacji? – zapytał, wychodząc ze swojego biura.

– Tak, dowódco. Większość sił cywilnych przeszła już na poziom podziemny.

– Dobrze. Zostaliśmy jeszcze my – odparł. – Upewnijcie się, że nic, co po sobie zostawimy, nie przetrwa pożaru.

– Jak rozkażesz.

„W rzeczy samej, jak rozkażę” – pomyślał cierpko, daleki od wesołości. Niemniej pozostawał dowódcą operacji i zamierzał wypełniać swoje obowiązki do końca.

Wybawcy powierzyli im misję, w której dał z siebie wszystko, ale i tak nie zdołał jej zrealizować. Najlepsze, co mógł zrobić w tej sytuacji, to dokładnie po sobie posprzątać.

Marne to pocieszenie, ale tylko to mu zostało.

Jego drużyna już prawie skończyła pakowanie, gdy świat zatrząsł się wokół, a ściany eksplodowały.

Wybuch, choć kontrolowany, rzucił dowódcę na ziemię. Sirhanin od razu rozpoznał technologię – standardowy system otwarcia siłowego Sojuszu. Sam również niegdyś takich używał, choć nieoficjalnie.

– Zabierzcie, co zdołacie, i wycofajcie się! – krzyknął najgłośniejszym głosem, jak umiał.

Sięgnął po podręczne detonatory. Chciał mieć pewność, że nic się nie ostanie, nawet jeśli wśród pogorzeliska miałyby leżeć jego kości.

Sorilla jako trzecia pokonała wyłom, idąc w ślady Krissa i towarzyszącego mu Strażnika. Jej uniesione pistolety szukały celów wśród czasoprzestrzennych wirów podnoszących tumany kurzu i dymu.

Lucjanie natychmiast opadli najbliższych Sirhan i pozbawili ich przytomności. Sorilli nie interesowali jednak szeregowcy, szukała takich konspiratorów, którzy mogli coś wiedzieć. Choć nie miała pewności, czy cokolwiek z nich wyciągnie, musiała spróbować.

Jej pancerz i implanty uruchomiły system rozpoznawania wzorców, uzupełniając jej własną zdolność rozpoznawania twarzy – mocno ograniczoną w zakresie wyłapywania niuansów obcej fizjologii.

Niestety, „oni wszyscy wyglądają tak samo” okazało się bardzo aktualne. Jej własne formatywne rozpoznawanie wzorców skupiało się pierwotnie na cechach latynoskich i kaukaskich z solidną domieszką innych ras, co przekładało się na zdolność intuicyjnego rozpoznawania rysów twarzy każdej rasy na Ziemi... ale nijak nie pomagało w kontaktach z gatunkami pozaziemskimi.

Oczywiście te biologiczne skróty można było ominąć i Sorilla nad tym pracowała, ale na razie musiała polegać na swoim oprogramowaniu.

Szybko przyniosło to efekty, gdy system wyłapał znajomą sylwetkę. Sorilla rozpoznała Sirhanina kilka sekund później, gdy przyjrzała mu się uważniej.

„Ma nieco odmienny mundur, przejawia cechy dowódcze, wydaje rozkazy... To mój człowiek. Sirhanin. Nieważne”.

Sorilla wyłamała się z lucjańskiej formacji, gdy jej cel machnął na pozostałych i sięgnął po coś przytroczonego do munduru. Nie wiedziała, co to jest, ale w całym tym chaosie nie zamierzała zdawać się na los.

Rzuciła się do biegu, ignorując krzyżowy ogień powoli organizujących opór żołnierzy i pędząc prosto na dowódcę.

Zauważył ją i cofnął się w wyraźnej panice, desperacko próbując sięgnąć po przedmiot przy mundurze. Sorilla skupiła się na obiekcie, na którym obcy właśnie zamknął dłoń, ale nie umiała go rozpoznać.

Skokiem pokonała ostatni kawałek, spadając na Sirhanina i razem z nim przewracając się na ziemię. Raczej poczuła, niż usłyszała lekkie zakrzywienie czasoprzestrzeni, gdy urządzenie w dłoni obcego aktywowało się – ale nie była to broń. Sorilla stoczyła się z przeciwnika i tłukła jego ręką tak długo, aż zwolnił uchwyt i urządzenie potoczyło się po podłodze. Chwyliła go za coś, co powinno być gardłem.

„Mam nadzieję, że się nie pomyliłam. Głupio byłoby grozić mu uduszeniem, trzymając go za coś innego”.

– Co to było?! – ryknęła w języku Sojuszu, pochylając się nad Sirhaninem i wzmacniając głośniki pancerza.

Obcy jedynie skrzywił się albo splunął na nią. Szczerze mówiąc, nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Jedyne, co ją interesowało, to odpowiedź na pytanie, której najwyraźniej nie miała uzyskać. Rzuciła nim o ziemię, wstała i uniosła go jedną ręką.

– Chodźmy zatem sprawdzić to razem, dobrze? – warknęła, ciągnąc za sobą opierającego się dowódcę.

Moc jej wspomaganego pancerza była miażdżąca w porównaniu z jego nieporadnymi próbami uwolnienia się.

Urządzenie leżało na podłodze pod ścianą. Sorilla rzuciła obcym o mur, pozwalając mu opaść bezwładnie. Uklękła, ostrożnie biorąc przyrząd do ręki i oglądając go uważnie.

„Za mały na ładunek taktyczny. To musi być jakiś nadajnik” – zdecydowała.

– Nie ruszaj się. – Przytrzymała Sirhanina stopą, przyciskając go do podłogi, i zawołała Krissa:

– Strażniku Krissie! Tutaj!

Lucjanin szybko przekazał swoje obowiązki innemu Strażnikowi i pospieszył do Sorilli.

– Co się dzieje, pani pułkownik?

– Aktywował coś – powiedziała, rzucając Krissowi urządzonek.

Przyjrzał się mu uważnie.

– Niedobrze. To specjalny nadajnik o małej mocy. Bez problemu może przesłać sygnał gdziekolwiek na planecie, ale nie sądzę, żeby

miał się łączyć aż tak daleko. Przejmę go.

Sorilla skinęła głową i sięgnęła po Sirhanina. Podniosła go z ziemi i podała Strażnikowi, który szybko uciął jego daremne próby oporu i zaciągnął go do Siennele.

– Bądź czujna – rzucił przez ramię. – I gotowa do ucieczki. Jeśli to sabotaż, nie będziemy mieli żadnego ostrzeżenia, nim to, co aktywował, stanie się... problemem.

– Rozumiem – potwierdziła Sorilla.

Kriss odszedł z więźniem, a ona zaczęła badać pomieszczenie. W pierwszej kolejności sprawdziła komputery. Od razu zauważyła, że są zaminowane – analiza hiperspektralna jej implantów rogówkowych identyfikowała materiał jako ładunek wybuchowy lub termiczny. Chemiczne katalizatory były dość uniwersalne. Nie była saperem, więc wezwała najbliższego Strażnika, oznaczyła ładunki i ruszyła dalej.

„Cokolwiek aktywował, najwyraźniej nie były to te ładunki, a to niezbyt dobry znak”.

Skoro nadajnik nie aktywował najbliższych ładunków, Sorilla była pewna, że nie chce się przekonać, co tak naprawdę odpalił.

„Szkoda tylko, że nikt mnie nie pyta o zdanie”.

Wiedziała, że prawie na pewno lada moment usłyszy rozkaz ewakuacji, więc uruchomiła mapę obiektu i rozejrzała się po najbliższym otoczeniu, korzystając z czterowymiarowej rzeczywistości rozszerzonej projektowanej przez jej implanty. Zalała ją znajoma ekscytacja, gdy znów odczuła otaczające ją mury niczym własne ciało, ekspansję zmysłów przemnożoną przez kontrolowany strumień czasu.

Od razu zauważyła przegrodę, której nie było, gdy poprzednio uruchamiała mapę.

Skierowała się w stronę ślepego korytarza i wpatrywała chwilę w pokrytą kurzem, starą ścianę. Przesunęła po niej opancerzoną dłoń, ale rękawica pozostała czysta.

„Kurz jest złudzeniem”.

Sorilla zajrzała z powrotem do mapy i z zaskoczeniem odkryła, że ściana była tu cały czas. Zbudowano ją, by ukryć korytarz prowadzący w dół, gdzieś w podziemia pod obiektem.

„Bingo. Tylko gdzie jest do tego sterownik?”

Ponownie zanurzyła się w mapę, skupiając się na obszarze przed sobą i sunąc wzrokiem wzdłuż ściany w poszukiwaniu przełącznika czy skanera, który mógłby otworzyć przejście. Nic oczywistego nie zwróciło jej uwagi, ale jakiś lekki dotyk... niczym delikatny podmuch na szyi... sprawił, że się zatrzymała.

Czuła to już wcześniej, na Dziecku Boga.

Sorilla zanurzyła się głębiej w czterowymiarową projekcję, wczuwając się w akcelerometry w poszukiwaniu znajomego doznania i sunąc dłońmi po ścianie.

„Już prawie... prawie... jest. Mam to”.

Był to skręt czasoprzestrzeni, taki sam interfejs, na jaki natknęła się na okręcie zestrzelonym na Dziecku. Sorilla krótko obadała system, po czym zanurzyła dłonie w interfejs i zaczęła szukać. Skrzywiła się lekko, gdy jej palce zniekształciły się i przez chwilę wyglądały jak wykoślawione karykatury samych siebie, ale potem odnalazła właściwy interfejs i poczuła, jak pod jej dotykiem budzi się do życia.

Ross – i prawdopodobnie Gav, jeśli dobrze myślała – używali interfejsów całkowicie niewidocznych dla gatunków, które nie dysponowały narządami zmysłów odbierającymi czasoprzestrzeń. Taka była jej robocza teoria, nad którą pracowała od czasu misji na Dziecku Boga.

Właśnie natknęła się na kolejne potwierdzenie swoich wniosków.

Terminal, gdy go aktywowała, świecił w jej głowie niczym latarnia morska, co było dostatecznym dowodem, że coś działa się tu z czasoprzestrzenią. To, że miała możliwość ją wyczuć i nią manipulować, również przemawiało za tym, że ma do czynienia z jakimś rodzajem interfejsem.

Przesunęła dłonie wzdłuż horyzontu zdarzeń małego zakrzywienia przestrzeni, wczuwając sekcje pozwalające na operowanie. Projekt terminala był nieskomplikowany, o wiele prostszy niż ten na zestrzelonym statku, ale skoro nie mogła go widzieć, i tak opierała się w większości na domysłach.

„To... tak myślę...”

Postawiła wszystko na jedną kartę i aktywowała jedną z kontrolki. Świat wokół niej zmienił się w mgnieniu oka. Zdażyła zauważyć przesunięcie dopplerowskie światła, dźwięki wytłumiły

się i stały całkowicie niezrozumiałe, a potem poczuła, jak jej stopy ześlizgnęły się z podłogi i coś przeciągnęło ją przez ścianę.

Sienele tylko rzucił okiem na urządzenie – rozpoznał je od razu.

– Jesteś pewien, że Sirhanin je aktywował? – spytał ostro Krissa.

– Pułkownik była pewna – odburknął zwięźle Strażnik.

– Cholera.

Sienele nie był zbyt ufny, a już na pewno nie wobec przedstawicieli ras niezrzeszonych, z którymi jeszcze niedawno był w stanie wojny, ale nie widział powodu, by w tej sprawie Sorilla miała kłamać.

– Dobrze zatem – powiedział w końcu. – Weźcie go. Na wszelki wypadek opuścimy obiekt. Nie chcę, by wszelkie ślady naszego śledztwa przepadły. Wycofujemy się.

Kriss mruknął z niezadowoleniem, ale skinął głową twierdząco.

– Strażnicy! Do mnie!

Lucjanie szybko zebrali się wokół dowódcy, a Sienele zwrócił się do nich bez ogródek:

– Niezwłocznie opuszczamy obiekt – rozkazał. – Ten więzień aktywował coś, co może być systemem destrukcji. Póki tego nie potwierdzimy, nie będziemy ryzykować. Jeśli macie jeńców, którzy wydają się cenni, zabierzcie ich. Idziemy.

Lucjanie sprawnie się wycofywali, gdy Sienele dostrzegł, że czegoś, a raczej kogoś mu brakuje.

– Strażniku Krissie – zawołał.

– O co chodzi, wysłanniku?

– Gdzie jest pułkownik?

Sorilla walczyła z zawrotami głowy i ugięły się pod nią nogi. Opadła na kolana, zaciskając dłonie na hełmie w desperackiej próbie powstrzymania mdłości. Usłyszała syk wyrównywanego ciśnienia, gdy pancerz wykrył atmosferę zdatną do oddychania i pozwolił na zwolnienie zaczepów.

Odrzuciła hełm na podłogę i przechyliła się na bok w nadziei, że uda się jej nie zwymiotować do środka. Pozwoliła sobie w końcu na chwilę ulgi, odrzucając hełm jeszcze dalej, a potem jak najwolniejszym ruchem odsuwając się od smrodu i bałaganu, który właśnie zrobiła na podłodze. Starła się uspokoić oddech.

„Dawno nie było aż tak źle. Co się, do jasnej cholery, stało?!”

Zacisnęła zęby i bardzo powoli rozejrzała się na boki, za wszelką cenę starając się nie pogorszyć mdłości.

Stała w korytarzu, ale...

„Czy mnie się wydawało, czy ściana się na mnie przewróciła?”

Jęknęła, podniosła hełm i z trudem wstała na nogi. Rozejrzała się. Nie odważyła się aktywować mapy Ross w swoich akcelerometrach, ale zdecydowała się przywołać rzut z góry na implanty rogówkowe.

„O kurwa. Jestem po drugiej stronie. Co, do cholery...”

Nie przypominała sobie, żeby w ścianie pojawił się otwór czy cokolwiek w tym stylu. Właściwie to czuła się, jakby... przechodziła przez punkt skoku.

„Porąbane”.

Sorilla nie wiedziała, co miała o tym myśleć, ale była przekonana, że skoki nadświatłne na odległość kilku metrów to jeden z najdurniejszych pomysłów, o jakich słyszała, nawet jeśli prowadziły przez litą ścianę. Było mnóstwo lepszych sposobów, by ukryć swoją cholerną supertajną bazę złoczyńców.

Splunęła, wzięła łyk wody z zasobnika w pancerzu, przepłukała usta i splunęła znowu. Gdy już pozbyła się paskudnego posmaku, z westchnieniem założyła hełm i zatrzasnęła magnetyczne zamki.

„Wygląda na to, że mam teraz wybór... Mogę poszukać drogi powrotnej przez ścianę...”

Sorilla spojrzała z niechęcią na mur. Interfejs był pewnie taki sam, więc raczej bez większych kłopotów by się jej udało.

„A z drugiej strony...”

Odwróciła się i spojrzała w głąb korytarza, opadającego w podziemia obiektu Sojuszu. Nawet tam, gdzie stała, mogła odczuć zakrzywienie grawitacyjne gdzieś w dole. Odczucie wydawało się... znajome.

Sorilla ruszyła w dół.

– Jak to po prostu zniknęła?! – syknął Sienele wzburzony.

Ludzka specjalistka od konfliktów asymetrycznych nie mogła sobie po prostu zniknąć. Na tym etapie nie obchodziło go nawet specjalnie, czy w ogóle żyła, byle tylko miał ciało, które mogłoby okazać swoim przełożonym jako dowód, że nie mają na głowie kolejnego wroga biegającego sobie poza kontrolą i przyciągającego kłopoty.

Strażnicy wydawali się równie sfrustrowani jak on, choć Sienele nie do końca rozumiał dlaczego, skoro mało ich obchodziły jego zmartwienia.

– Znajdźcie ją! – ryknął Kriss. – Albo dowiedzcie się, gdzie poszła! Sienele mroził Strażnika spojrzeniem, aż ten się skrzywił.

– Nie możemy tu zostać. Musimy najpierw się dowiedzieć, co aktywował ten nadajnik – mruknął w końcu Sienele. – Wszystko tutaj jest zaminowane, ale urządzenie nie odpaliło żadnego z tych ładunków. Co przegapiliśmy?

– Mało mnie to obchodzi – odburknął Kriss. – Pułkownik była z nami, czy ci się to podoba, czy nie. Nie mogła po prostu zniknąć bez ostrzeżenia...

– Najprawdopodobniej dostrzegła okazję, by działać na własną rękę – syknął Sienele. – Wiem, że ją darzysz szacunkiem. Nie przeczę, że się z tobą zgadzam, ale ona jest wrogim żołnierzem.

– Nie jest głupia, wysłanniku – warknął Kriss. – Przecież to ona przekazała mi nadajnik i poinformowała, że został aktywowany. Zna ryzyko.

– Wycofujemy się – przerwał mu Sienele twardo. – Wrócimy, gdy obszar będzie już zabezpieczony. Znajdziemy ją w ten czy inny sposób.

Lucjanin wyglądał na sfrustrowanego, ale nie miał możliwości się sprzeciwić. Miał swoje rozkazy i to kończyło dyskusję.

Skinął krótko głową i przywołał pozostałych Strażników.

– Już czas, idziemy.

Okręt portalowy

Konklawe obserwowało rozwój sytuacji, z satysfakcją przyjmując aktywację systemów sabotażowych, które zainicjowały proces zniszczenia obiektu. Co prawda efekt nie będzie tak wydajny i całkowity, jak w przypadku zastosowania równań czasoprzestrzennych, ale przepięcie przesłane przez kilka kluczowych maszyn powinno wystarczyć do zatarcia jakichkolwiek śladów oraz zniszczenia pozostałego osprzętu. Nic nie powinno wskazywać na ich obecność.

Dowódca gatunku infiltrującego został pojmany.

Komunikat skierował uwagę konklawe na kanały komunikacyjne Sojuszu oraz przekaz z kamer, które nie zostały dotąd zdezaktywowane.

Nie jest to idealna sytuacja – wtrącił się jeden z członków – niemniej dowódca zakończył swoje zadania i wie bardzo niewiele... a jeszcze mniej rozumie. W tej chwili nie jest to istotne. Kontrolujemy jego pozycję; jeśli okaże się słabym punktem, zaradzimy problemowi w dowolnym momencie jego transferu do sektora centralnego.

Konklawe rozważyło krótko propozycję i jednogłośnie się z nią zgodziło.

Wstrzymać się.

Grupa przerwała obrady, zwracając się w stronę mówcy.

O co chodzi?

Gdzie jest Entropia?

Pytanie zaalarmowało wszystkich. Skupili się z powrotem na skanach i szukali.

Entropii nigdzie nie było.

Chwilę później w szeregi konklawe wdarła się panika.

Dlaczego Entropii nie było razem z innymi celami? Nie miała przecież gdzie się skryć? Czy wymknęła się, by prowadzić śledztwo na własną rękę? To wydawało się... dziwne. Oczywiście cały ten gatunek był co najmniej dziwny, ale mimo wszystko coś było nie tak.

Znaleźć ją. Przeskanować cały obiekt, sekcja po sekcji. Jeśli zginie w nadchodzących wydarzeniach, tym lepiej, ale trzeba zlokalizować ją lub jej ciało. Natychmiast!

Orkana

„Muszę być już jakieś pięćdziesiąt metrów pod obiektem” – pomyślała Sorilla.

Jej oczy świeciły pod osłoną hełmu, gdy na bieżąco skanowała korytarz przed sobą.

Sygnatury ciepłe pozostawione przez ewakuujących się tędy Sirhan wciąż były widoczne, szła więc ich śladem. Prawdę mówiąc, nie musiała się silić na szukanie śladów, bo i tak korytarz wiódł prosto w dół, bez rozgałęzień. Można było albo iść dalej, albo wracać na górę.

„Pieprzyć to”.

Brnęła dalej w podziemia, jedną dłoń opierając zawsze na kaburze.

Wyglądało na to, że tunel jest całkowicie opuszczony. Sorilla nie wykrywała niczyjej obecności w zasięgu swoich wzmocnionych zmysłów. Był to po prostu słabo oświetlony, ale bardzo starannie wykuty tunel. Ściany, podłoga, sklepienie były gładkie, wręcz wypolerowane. Robota wyglądała na znacznie porządniejszą, niż dałyby radę zrobić jej drony MOFAB na Haydenie, chyba że posłałaby za nimi z tuzin wyspecjalizowanych jednostek z głowicami polerującymi.

Podziwianie konstrukcji nie było jednak powodem, dla którego zagłębiała się w tunel. Walczyła ze sobą, by nie ruszyć szybciej. Nie była snajperem, nieskończona cierpliwość nie leżała w jej naturze, a już na pewno nie wtedy, gdy działała w pojedynkę. Szkolić mogła dzień i noc, nie spiesząc się i nie tracąc cierpliwości, ale gdy pracowała sama, chciała jak najszybciej dotrzeć do sedna sprawy.

Czasami zastanawiała się, czy nie byłaby lepszym materiałem na członka grupy uderzeniowej.

Oczywiście za nic nie zamieniłaby swojego miejsca w siłach specjalnych, ale miło by było dostać czasem satysfakcjonujący rozkaz rozwalenia jakiegoś dupka i po prostu to zrobić, a nie spędzać kolejne trzy lata na szkoleniu kadry, która robi to za nią.

Pewnie dlatego aplikowała do SOLCOM-u, bo Solar Colonies Command rządziej korzystało z sił o absurdalnie wąskich specjalizacjach, skłaniając się raczej ku bardziej różnorodnym misjom.

Ciekawie na tym wyszła...

No cóż, nie powiedziałyby, że to dobrze czy źle, ale z pewnością miała za sobą... różnorodne misje.

Sorilla przerwała swoje rozmyślenia, gdy dostrzegła przed sobą lekką poświatę, a korytarz przestał opadać. Zwolniła i przytuliła się do ściany, wysilając wzmocnione zmysły i próbując dostrzec źródło światła.

Alarm rozległ się w momencie, gdy Lucjanie dobiegli do wind. Pozostali szybko do nich dołączyli.

Sienele spostrzegł zarządców obiektu, którzy wcześniej szli z nimi, i pochwycił najbliższego.

– Co wywołało alarm? – spytał ostro.

Zarządca był blady, a jego wilgotne, kredowe ciało robiło się zimniejsze z każdą chwilą.

– Awaria zabezpieczeń zasilania... ale to niemożliwe! Te systemy są całkowicie odporne na ingerencje i nigdy nie mają usterek. Używa się ich w całym Sojuszu. Nigdy nie słyszałem, żeby zabezpieczenia nie zadziałały!

Sienele zaklął, przywołując w myślach wszystko, co wiedział o systemach zasilania używanych w Sojuszu.

O ile dobrze pamiętał, były to matryce czasoprzestrzenne, całkowicie niedostępne i zabezpieczone przed jakąkolwiek ingerencją. Nie wymagały żadnego serwisu, nie miały części wymiennych. Źródłem zasilania była nierównowaga zakrzywienia

czasoprzestrzeni i urządzenie działało, póki czasoprzestrzeń nie osiągnęła stanu równowagi.

Tu nic nie mogło się zepsuć. Konstrukcja była banalnie prosta... i normalnie takie wyjaśnienie wystarczyłoby Sieniele.

„Zwykle nie mamy do czynienia z sabotażem dokonanym przez grupę doposażoną przez Ross... uznanych mistrzów manipulacji czasoprzestrzenią. Nie jest dobrze...”

– Ruszać się – rozkazał bezceremonialnie, zapędzając wszystkich do windy i uruchamiając ją. – Ewakuujemy się. Zarządco...?

Machnął ponagląco dłonią, oczekując odpowiedzi.

– Hirsan, wysłanniku.

– Hirsanie – Sieniele skłonił się lekko – proszę wyprowadzić wszystkich z obiektu. Najszybciej jak to możliwe.

– Alarmy uruchomiły również sygnał ewakuacji, wysłanniku – wyjaśnił Hirsan. – Większość załogi opuszcza już obiekt.

– Większość? – dopytał Kriss szorstko.

– W trakcie ćwiczeń zawsze byli i tacy, którzy ignorowali alarmy – przyznał zarządca z goryczą.

Kriss tylko prychnął.

– Jeśli są tak głupi, niech zostaną tu na pastwę losu. Żadna strata dla ich gatunku, jeśli wypadną z puli genowej.

Sieniele przewrócił oczami, rozdrażniony, ale nie widział też żadnej innej opcji.

– Proszę wysłać drugi rozkaz ewakuacji, najlepiej osobiście, jeśli to możliwe – polecił. – Niemniej Strażnik Kriss, choć nie wypada mówić takich rzeczy publicznie, ma sporo racji. Jeśli maruderzy są tak głupi, by zignorować polecenie ewakuacji, nie mogą być dłużej naszym problemem.

– Tak, wysłanniku.

– A teraz – podjął Sieniele, śledząc niecierpliwie przesuwające się na liczniku windy cyfry – muszę znać potencjalną wartość energii wyzwolonej z systemów zasilania.

– Co? Dlaczego? – zapytał zarządca zaskoczony.

Lucjanie roześmiali się głośno.

– Wysłannik chciałby mieć pewność, jaka jest minimalna bezpieczna odległość, na jaką chcielibyśmy się udać, nim zasilanie wybuchnie – wyjaśnił Kriss z przesadnie życzliwym uśmiechem.

Sienele nie sądził, by ten uśmiech miał jakkolwiek pomóc zarządcy... Hirsan raczej nie poczuł się komfortowo, widząc rzędy ostro zakończonych zębów tuż przy swojej twarzy, ale to już nie był problem szpiega. Chwilowo najbardziej zajmowało go wydostanie się poza zasięg potencjalnie potężnej eksplozji... podczas gdy pułkownik została gdzieś w otchłaniach.

Sienele pocieszał się tym, że przynajmniej nie mogła wydostać się z planety. Czy zginie w obiekcie, czy odnajdą ją gdzieś później – przynajmniej miał ją pod kontrolą.

Sorilla ponownie zwolniła, gdy gładki tunel stopniowo przeszedł w naturalną jaskinię pełną nierównych występów. Nasłuchiwała jakichkolwiek dźwięków wskazujących na ruchy przeciwnika, ale słyszała tylko odbijające się echem krople wody.

Łuna była z centralnej części rozległej przestrzeni – znacznie większej, niż Sorilla początkowo sądziła.

„To musi być chyba największa jaskinia, o jakiej kiedykolwiek słyszałam” – pomyślała, przemykając między formacjami stalagmitów. Przełączała się pomiędzy różnymi metodami skanowania otoczenia, pomijając jednak metody aktywne, a poprzestając na pasywnych skanach wizualnych i sonarze. Niestety, czymkolwiek była ta jaskinia, gdy stawiano nad nią potężną fabrykę, nie uwzględniono jej na mapach Ross.

Światła rzucały długie cienie ze środka jaskini, ale i tak mogła dostrzec białą poświatę charakterystyczną dla okrętów Ross, których ceramiczny pancerz specyficznie odbijał światło.

Aktywowała płynne soczewki i skupiła spojrzenie na źródle światła. Automatyczne filtry przyciemniły obraz i wkrótce Sorilla dostrzegła ruch.

„Sirhanie. Wchodzą... na statek. No oczywiście, przecież to ewakuacja”.

Przekonała się na własnej skórze, że jednostki Ross nie były po prostu statkami kosmicznymi. Bliższe prawdy byłoby postrzeganie ich w kategorii mobilnego węzła przesiadkowego. Zakrzywienia czasoprzestrzeni, które pozwalały statkom przeskakiwać między

punktami skoku, były dla Ross banałem. Ten gatunek umiał robić rzeczy, przy których nawet science fiction wypadalo blado.

Sorilla wiedziała, że statki są połączone ze sobą, a może także z centralnym węzłem na macierzystej planecie Ross. Wystarczyłoby dotrzeć do jednego z takich węzłów, by bezkarnie przemieszczać się po całej sieci.

Stanowiło to potężną przewagę strategiczną i taktyczną... której Ross nie wykorzystywali nawet w części z powodów, których Sorilla nie umiała się domyślić. Każda konwencjonalna rasa – od ludzi przez Lucjan po dowolny znany jej gatunek Sojuszu – nie mając ograniczeń logistycznych, za pośrednictwem okrętów portalowych rozmieściłaby potężne siły inwazyjne. Odparcie takiego ataku byłoby niemożliwe.

A jednak Ross tego nie robili.

Trzymali swoją potęgę na wodzy, ukrywali ją – nie tylko przed siłami ludzi, ale również przed swoimi oficjalnymi sojusznikami. Powstrzymywali się nawet wtedy, gdy jeszcze walczyli z rasami Sojuszu.

„A może to jakaś innowacja, którą nie dysponowali w czasie wojny?”

Sorilla nie mogła mieć pewności – ale technologia istniała teraz i była używana w sposób, jaki można... pochwalać.

Rozmieszczenie oraz ewakuacja oddziałów infiltrujących pokazywała tak cywilizowany poziom dbania o własne interesy, jakiego dotąd u Ross nie widziano. Dotychczas wydawali się raczej żywiołem, fizyczną emanacją potęgi wszechświata, a nie istotami świadomymi. Nieczuli, nieubłagani... byli czymś, co raczej trzeba przeczekać i przetrwać, niż z tym walczyć.

„Ciekawe. Co wyróżnia Sirhan?”

Sorilla widziała tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. Wysunęła się ze swojej kryjówki i niepostrzeżenie przemknęła w stronę statku Ross.

Nie pierwszy raz miała zakraść się na pokład takiego kolosa.

Okręt portalowy

Konklawe było bliskie paniki.

Gdy pochłaniała ich ewakuacja gatunku infiltrującego oraz aktywacja planów zniszczenia obiektu i usunięcia śladów swojej obecności, jakimś sposobem zgubili Entropię... najbardziej niszczycielską pojedynczą istotę, jaką kiedykolwiek spotkali.

Och, oczywiście inne gatunki – choćby przekłęci Sturm Gav – poczyniły większe szkody w ich infrastrukturze, ale jeszcze nigdy pojedynczy przedstawiciel jakiegokolwiek rasy nie działał tak wiele.

Większość gatunków szacowała swoje możliwości destrukcji w oparciu o czystą potęgę, a nie o to, że ktoś jest zbyt mały, by go zauważyć, aż do momentu, gdy jest już za późno!

Nie ma jej w obiekcie.

Uciekła?

Najwyraźniej. Nie chodzi o to, czy uciekła, ale jak i dokąd.

Musimy połączyć się z centrum danych obiektu, nim go zniszczymy.

To na nic. Kamery w tej okolicy zostały zniszczone w trakcie natarcia.

Inne kamery mogły uchwycić jej ucieczkę!

Nie, jeśli uciekła inną drogą.

Musiła tak zrobić. Jedyne alternatywne wyjście z tego rejonu jest...

Konklawe zamilkło.

Och. Och nie.

Włączyc alarm! Natychmiast przeszukać statek i najbliższą okolicę. Znaleźć Entropię!

Sorilla drgnęła, słysząc dźwięk alarmu. Było jasne, że jej obecność nie jest już tajemnicą.

Taktycznie lepiej byłoby się wycofać. Nie miała wsparcia ani nawet porządnego planu, a przed sobą widziała jedynie wrogie terytorium i potencjalnie niewyczerpane zasoby przeciwnika.

Jednak strategicznie... przed sobą widziała wszystko, a za sobą nic.

Sorilla postawiła wszystko na jedną kartę, wyskoczyła z ukrycia i puściła się biegiem do zamykających się wrót okrętu. Zdezorientowani Sirhanie kręcili się obok zamykającej się przed ich nosami jednostki. Aida przekierowała całe zasilanie do pancerza

i przeskoczyła nad tłumem, opadając na rampę i w ostatniej chwili wślizgując się do wnętrza.

Wrota zatrzasnęły się tuż za nią i poczuła zmianę ciśnienia po ich uszczelnieniu. Poderwała się na nogi i błyskawicznie zorientowała w sytuacji.

„Już nie raz zgrywałaś pierdoloną Joan Wayne – besztła się w biegu – ale to już zupełnie nowy poziom głupoty”.

Zignorowała gapiących się na nią w zdumieniu Sirhan i pognąła znanymi korytarzami okrętu.

Na szczęście Ross nie cenili zbyt wiele unikatowych projektów, więc wnętrza, które właśnie przemierzała, nie różniły się niczym od tego, co zapamiętała z poprzedniej wizyty na bliźniaczym okręcie. Dzięki temu wiedziała, gdzie mniej więcej zmierza, ale chciałyby też wiedzieć, jak, do cholery, ma się potem wydostać!

Wnętrze jednostki było obszerne, zaprojektowane, by pomieścić potężne maszyny konstrukcyjne i bojowe, które wraz z tropicielami z Haydena nazwali golemami. Te wielkie i ociążałe mechanoidy były naprawdę niezłymi, wielofunkcyjnymi konstrukcjami, które mogły zrobić praktycznie wszystko ze znośną wydajnością – choć oczywiście daleko im było do dokładności wyspecjalizowanego sprzętu.

Ross rozmieścili je od razu po zabezpieczeniu miejsca lądowania na Haydenie. Biorąc pod uwagę bardzo ograniczony dostęp kolonistów do broni, golemi razem z mniejszymi goblinami sprawiły naprawdę dużo kłopotów.

Sorilla szybko skręciła w jeden z bocznych korytarzy, chcąc uniknąć kłopotów z potężnymi maszynami.

Potrzebowała dostępu do systemu komputerowego Ross. Znalazłaby tam wszystko, co musiała wiedzieć.

Obiekt Entropia znajduje się wewnątrz jednostki XBM998. Wszystkie dostępne siły mają skupić się na zlokalizowaniu obiektu.

Spokojny głos przekazujący komunikat kontrastował ze wzburzeniem konklawe, którego członkowie wpadli w popłoch,

wiedząc, że najgorsze pojedyncze zagrożenie dostało się właśnie do środka jednego z ich połączeń czasoprzestrzennych.

Odłączyć jednostkę XBM998 od sieci.

To spowoduje potężne zakłócenia w nie mniej niż osiemnastu systemach gwiazdnych połączonych z tym węzłem. Nie bądź idiotą.

Konklawe zastanowiło się krótko, sprawdzając równania, nim każdy z członków w mniejszym lub większym stopniu skrzywił się z niezadowoleniem. To połączenie czasoprzestrzenne stanowiło jeden z głównych węzłów wewnątrz przestrzeni Sojuszu. Obejście go było oczywiście możliwe, ale wymagało dużego nakładu środków i z pewnością poskutkowałoby poważnymi zakłóceniami działania stanowisk operacyjnych w wielu systemach gwiazdnych.

Wewnętrzne siły bezpieczeństwa już działają. Choć obiekt Entropia jest problematyczny, nie jest aż tak poważnym zagrożeniem. Przestańmy panikować i zacznijmy reagować, jak na starszyznę przystało.

Reprimenda uspokoiła nieco nastroje, a członkowie konklawe skupili się na sytuacji w bardziej bezpośredni i zadaniowy sposób. Skoro zadziałały procedury bezpieczeństwa, wystarczyło śledzić położenie obiektu.

Co ona robi? Czy zamierza zniszczyć XBM998?

Bieżące działania Entropii nie wskazują na takie prawdopodobieństwo – odezwał się jeden z członków konklawe. Obiekt wydaje się kierować w stronę jednego z lokalnych węzłów komputerowych. Czy... czy ona sądzi, że może uzyskać do niego dostęp?

Nieemożliwe. Nawet gatunek infiltrujący nie ma możliwości korzystania z naszych systemów komputerowych, a jest to forma życia najbliższa świadomej ze wszystkich, jakie dotychczas napotkaliśmy. Entropia, choć niebezpieczna, pozostaje jedynie kolejnym zwierzęciem w Galaktyce i ma co najwyżej bardzo pierwotne pojęcie o wszechświecie.

Być może. Sugestia... Wstrzymajmy siły bezpieczeństwa, niech ją otoczą, ale pozwolą na swobodne poruszanie się, póki nie ustalimy jej celu.

Konklawe przyjęło propozycję wybuchem gniewu.

Zwariowałeś?!

To interesująca propozycja. Obiekt Entropia jest wart dalszych badań.

Badania prowadzi się w kontrolowanych warunkach. Nie wypuszcza się niebezpiecznego zwierzęcia i nie obserwuje, ile uda mu się zniszczyć!

Dane to dane. Musimy znać wartość tej zmiennej, by poprawnie wyliczyć ścieżkę postępowania z rasą ludzi. Otworzyła się nam taka możliwość.

Szaleństwo.

Głosujmy. Poczyniono sugestię, argumenty za i przeciw są dostępne. Zapoznajcie się z nimi i oddajcie głos.

Bezpośrednie polecenie uciszyło starszyznę. Wszyscy zapoznali się z argumentacją i zagłosowali.

Sorilli coś nie pasowało.

Wyglądało, jakby Ross jej unikali.

Gdy dostała się na okręt, spodziewała się natychmiastowego starcia, ale była gotowa zaryzykować dla dostępu – choćby krótkiego – do komputerów Ross. Była to wywiadowcza okazja, o jakiej SOLCOM marzył od czasu, gdy zaczął mieć jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak obcy konfiguruje swoje systemy.

Na Dziecku Boga Sorilla dowiedziała się sporo na temat sposobu działania tych komputerów oraz ich interfejsu, a SOLCOM wykorzystał te informacje. Sorilla i Pięta miały do dyspozycji protokoły dostępowe, które umożliwiłyby interpretację, a przynajmniej zgrywanie danych z systemów Ross, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

Cóż, właśnie miała taką okazję. Była już prawie na miejscu, gdzie spodziewała się znaleźć podłączony terminal... we wnętrzu wrogiego okrętu, gdzie wiedziano już o jej obecności... i nic?

„Niedobrze”.

To nigdy dobrze nie wróżyło, gdy przeciwnik robił coś nieoczekiwanego. Oznaczało to, że albo właśnie zostało się przechytrzonym, co już było złe, albo że przeszacowało się możliwości wroga, co mogło okazać się jeszcze gorsze w skutkach.

Głupcy są nieprzewidywalni...

Mimo wszystko nie sądziła, by Ross byli głupi.

„Obserwuj mnie. To jedyne wyjaśnienie”.

Z tą myślą z tyłu głowy Sorilla starała się rozgryźć zamiary Ross, wciąż kierując się w stronę terminala.

Nie przychodziło jej do głowy zbyt wiele powodów, dla których obcy mieli ją obserwować. Oczywiście mogło chodzić o zebranie danych na jej temat i być może także o więcej czasu na przygotowanie do starcia. Martwiło ją tylko pytanie, po co. Ross nie przejawiali dotąd zainteresowania jakimkolwiek wywiadem na temat sił ludzkich.

Zasadniczo po prostu anihilowali wroga i mieli problem z głowy.

Ale to? Tak subtelnych działań się nie spodziewała.

„Coś się zmieniło. W nich? We mnie? Nie wiem, ja też potrzebuję więcej informacji”.

Usłyszała szybki tupot gdzieś przed sobą, ale nim namierzyła źródło dźwięku, korytarz był już pusty.

„To może zjeżyć włos na głowie”.

Dodała manipulację do listy potencjalnych powodów, by ją obserwować, zamiast atakować, choć wydało się jej to mało prawdopodobne. Ross byli na to zbyt obcy, a przynajmniej dla niej byli zbyt obcy, by w ogóle mogła się domyślić, jak miałyby wyglądać ich sztuczki psychologiczne, i zbyt obcy na to, by byli w stanie opracować skuteczne działania przeciwko ludzkim celom.

Zatrzymała się przed sekcją, do której zmierzała, i ujęła pistolety w dłoń.

Drzwi otworzyły się przed nią, gdy tylko się zbliżyła. Szybki rzut oka upewnił ją, że pomieszczenie jest puste. Znajdował się w nim tylko terminal – powód, dla którego tu przysła.

„Jeszcze bardziej jeży mi się włos. Może jednak w gierki psychologiczne są lepsi, niż myślałam”.

Wszystko to było coraz bardziej niepokojące. Brakowało już tylko czerwonego dywanu prowadzącego prosto do konsoli. Sorilla musiała brać pod uwagę, że jakiegokolwiek dane teraz zdobędzie, nie będą one godne zaufania.

Nie sądziła co prawda, że Ross zdołaliby przygotować to wszystko tak szybko, ale nie zamierzała zdawać się na szczęście.

„Jasna cholera. Nie mogliście mi ułatwić sprawy i po prostu spróbować mnie normalnie zabić?” – wygrażała niewidocznym obserwatorom. „Zawsze muszę mieć pod górkę. Walcie się, i tak spróbuję”.

Komputery Ross były, no cóż, nudne. Nie miały żadnych rozpoznawalnych dla człowieka części. Prawdę mówiąc, Sorilla nie była nawet pewna, czy to w ogóle jest komputer. Większość sprzętu znajdującego się w pomieszczeniu równie dobrze mogła służyć do pieczenia francuskich rogalików. Sorilla rozpoznawała jedynie cokolwiek z interfejsem, jakiego używała na Dziecku Boga, a który był najpewniej tylko jakimś podstawowym terminalem.

Nie podobało się jej, że musiała stać plecami do wejścia, ale jej pancerz miał kamery z każdej strony nie bez powodu.

Sorilla sięgnęła do terminala i szybko namierzyła delikatne zakrzywienia czasoprzestrzeni, które ożyły pod jej dotykiem. Przez implanty czuła, jak nabierają kształtu, ciągnąc lekko w wielu kierunkach i dając jej niewiarygodnie precyzyjne odczucia, jako że implanty dokonywały właściwie triangulacji i przesyłały informacje bezpośrednio do jej mózgu.

Efekt był tak szczegółowy, że prawie widziała zakrzywienia czasoprzestrzeni, gdy zaczęła nimi operować.

Niemożliwe.

Konklawe nie mogło nie zgodzić się z tą oceną, choć starszyzna na własne oczy widziała coś dokładnie przeciwnego. Ten człowiek, przedstawiciel gatunku, który przebadano dość dokładnie, po prostu nie mógł dysponować możliwością robienia tego, co właśnie robił.

Przejrzeć dane biologiczne – padł zwięzły rozkaz. Coś przegapiliśmy.

Niemożliwe – odpowiedź była szybka i jednoznaczna. Dane zebrano od wielu przedstawicieli gatunku z szerokiego przekroju populacji. Nie przegapilibyśmy niczego tak ważnego.

Najwyraźniej tak się stało.

Człowiek, kobieta znana im jedynie jako Entropia, robiła coś, czego tylko Lud mógł dokonać. Wyczuwała czasoprzestrzeń

i operowała nią bezpośrednio. Czy była... osobą?

To nie miało najmniejszego sensu i zostało jednogłośnie odrzucone przez konklawe. To była jakaś sztuczka. To musiała być sztuczka.

Do jakich danych uzyskała dostęp?

Wyniki konklawe obserwowało na bieżąco, tak jak widziała je Entropia.

Jest niezdarna. Dane są bezużyteczne. Czego szuka?

Nie wiemy. Nie zna systemu. Najwyraźniej nie wie, jak się po nim poruszać. Interesujące. Badania nad ludzką fizjologią pokazują, że przesuwa ekrany za szybko jak na właściwą gatunkowi zdolność zapamiętywania.

To manipulatory środowiskowe – stwierdził jeden ze starszych. Najprawdopodobniej Entropia nagrywa wszystko, nie zapamiętując, lecz jedynie przeglądając w poszukiwaniu jakichś konkretnych danych.

Po chwili obserwacji konklawe zgodziło się z tą opinią.

Wystarczy. Wyeliminować ją natychmiast!

Gniewny głos odezwał się po raz kolejny, tym razem zyskując szerszy posłuch.

Dowiedzieliśmy się już wystarczająco dużo. Poinformujcie siły bezpieczeństwa, by wkroczyły do akcji. Entropia jest w pułapce. Jeśli nie podda się natychmiast, dajemy autoryzację do podjęcia dowolnych kroków koniecznych do jej wyeliminowania.

Zgoda.

Sorilla krzywiła się, przebijając się przez interfejs. Tłumaczenie SOLCOM-u potwornie obciążało procesor, przez co komputery jej implantów i pancerza pracowały praktycznie ze stuprocentową wydajnością tylko po to, by ledwo nadążać za wzorami matematycznymi, które Sorilla próbowała odczytać. Przegrzanie stawało się realnym problemem.

Jeśli będzie to ciągnąć, system wkrótce odłączy procesor w jej głowie, by nie ugotował jej mózgu. Te w jej klatce piersiowej nie pociągną dużo dłużej. W przeciwieństwie do większości specjalsów

była dostatecznie dobra w programowaniu, by ominąć te zabezpieczenia. Choć wiele z takich zabezpieczeń w jej osprzęcie było na wyrost, to jednak ryzyko przegrzania mózgu wydawało się jej raczej nienegocjowalne. Nie przydałaby się na wiele, jeśli ugotowałaby sobie korę mózgową, nim przekaże zdobyte dane.

Pozwoliła więc działać zabezpieczeniom, nagrywając wszystko i tłumacząc jedynie to, co wyglądało jak nazwy plików. Nawet tak ograniczone działanie było wyczerpujące i pochłaniało mnóstwo czasu.

Na tyle dużo, że nie była nigdzie blisko zakończenia swojej roboty, gdy usłyszała lekkie szuranie gdzieś za plecami.

Nie obracając nawet głowy, oderwała prawą dłoń od terminala, sięgnęła po broń i wycelowała za siebie, posyłając krótką salwę prosto we wchodzącego do pomieszczenia goblina.

Trzy pociski przebiły korpus maszyny, niszcząc jej rdzeń i dezaktywując ją, podczas gdy Sorilla lewą ręką manipulowała kontrolkami czasoprzestrzennymi.

„Jest tu za dużo danych. Nigdy nie zgram tego wszystkiego, nawet jakbym miała dostatecznie pojemną pamięć”.

A nie miała. Jej komputer mieścił pięćset terabajtów, a pancierz kilka egzobajtów, ale zagęszczenie danych, które skanowała w systemie Ross, znacznie przekraczało te wartości. Każdy plik wyglądał jak skan, który wykradła wcześniej Sirhanom – nie była to zwyczajna trójwymiarowa projekcja danych, lecz rozciągała się na co najmniej cztery wymiary, wykładniczo zwiększając gęstość zapisu.

Co gorsza, były to dane analogowe, co nie do końca dobrze współgrało z jej cyfrowymi nośnikami.

„Potrzebuję danych o Ziemi. Muszą gdzieś tu być...”

Niestety nic, co przychodziło jej do głowy, nie przybliżało jej do celu poszukiwań. Musiała ustrzelić jeszcze dwa goblina, nim zrugowała się za bezgraniczną głupotę.

„Przecież Ross nie wiedzą o Ziemi! Nigdy się do nas nawet nie zbliżyli. Hayden? Ludzkość? Czemu zaatakowali? Czego szukali?”

To były najważniejsze pytania, które nurtowały ludzkość przez całą wojnę i późniejszy czas pokoju.

Nie było żadnych wskazówek co do celów, jakie Ross chcieli osiągnąć.

Nie pozyskiwali surowców z zajmowanych światów, nie zabierali niczego z systemów... o ile ktokolwiek mógł się zorientować, nie robili nic poza ustanowieniem niedużych baz i rozwaleniem małego obszaru lądu.

„No dobra, zapomnijmy na moment o Ziemi i ludzkości”. Sorilla wpatrywała się w dane przelatujące przez jej myśli, nieustannie je nagrywając. „A może zlecenia... o, mam”.

Ogromna ilość danych nie była już dla niej zaskoczeniem, ale jakimś cudem udało się jej namierzyć dokumenty wysyłkowe i...

Aż gwizdnęła pod hełmem.

„Czy to jest mapa z lokalizacjami okrętów portalowych? Chwila... to jest Hayden. Dalej, pokaż mi to”.

Plik, który otwarła, różnił się od pozostałych. Zaczynał się podobnie jak wszystkie inne, od lokalizacji okrętu portalowego, w tym wypadku na pierwotnym obszarze kolonii na Haydenie. Jednak w przeciwieństwie do plików, które wcześniej skanowała, ten urywał się nagle.

Sorilla założyła, że oznaczało to moment, w którym weszła na statek i zakończyła okupację Świata Haydena.

Zrzuciła cały plik do swojej pamięci, a potem szukała dalej.

Trzy salwy sprzątnęły kolejnego goblina, a potem jeszcze jedna seria trafiła następnego.

Sorilla słyszała, jak na zewnątrz robi się coraz głośniejsze.

Nadeszło wsparcie, kończył się jej czas.

Świat zatrząsł się pod jej stopami, zmuszając ją w końcu do porzucenia poszukiwań.

„Co znowu?!”

Orkana

Alarmy zabrzmiały inaczej, gdy cała ekipa, zarządcy oraz kilku innych wybiegło z budynku, pędząc w stronę ogrodu.

– To alarm do ucieczki! – krzyknął jeden z pracowników. – Nie zatrzymujcie się! Biegnijcie!

Brama była otwarta, więc pędzili przed siebie.

Stłumione dudnienie pod stopami narastało powoli, ale już po chwili potężny trzask rozdarł powietrze i rzucił nimi o ziemię, unosząc w powietrze tumany kurzu.

Sienele przekoziółkował w powietrzu i gruchnął boleśnie o ziemię. Raczej słyszał, niż widział innych wokół siebie. Powietrze wypełniał gęsty pył.

Sienele przetoczył się na kolana i rozglądał wokół w szoku.

Krajobraz był nie do poznania. Co jeszcze chwilę temu było równą i twardą powierzchnią, teraz było luźną glebą, w którą wszyscy zapadli się po pas. Fala uderzeniowa wstrząsnęła gruntem i wszystkimi, którzy znaleźli się w jej zasięgu.

– Odliczanie! – rozkazał Kriss, a jego głos wydawał się Sieniele odległy, wytłumiony przez dojmujące dzwonięcie w uszach. – Upewnić się, że nikt nie został pogrzebany żywcem!

Lucjanie, niech Sojusz błogosławi te zawzięte bestie, automatycznie posłuchali rozkazów i zaczęli odkopywać ocalałych, podczas gdy Kriss złapał Sieniele za ramię i postawił na nogi.

– Zawdzięczamy szczęściu albo przemyślanemu projektowi, że systemy zasilania znajdowały się tak głęboko – mruknął Strażnik. – Ziemia pochłonęła większość energii fali uderzeniowej.

Sienele pokiwał głową automatycznie, próbując strzepać z siebie kurz chyba bardziej odruchowo niż świadomie. Myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Czy powinniśmy się martwić jakimiś innymi efektami? – zapytał.

Broń i amunicja, konwencjonalne czy improwizowane, nie były jego mocną stroną.

– Nie sądzę – odparł lekko Kriss. – Tak gruba warstwa ziemi? Nawet groźne promieniowanie nie przebije się przez to zbyt daleko. Nie budowałbym tu domu w najbliższym stuleciu czy dwóch, ale dla nas ryzyko jest minimalne.

Sienele jęknął, ale mimo wszystko te słowa go pocieszyły. Niewielu wie o tego typu zagrożeniach więcej niż lucjański Strażnik, więc postanowił przyjąć ocenę Krissa.

Niemniej, podobnie jak Lucjanin, nie miał zamiaru pozostawać w tym miejscu dłużej, niż to absolutnie konieczne.

– Chodźmy – polecił. – Zabierzcie więźniów, których udało się nam pojmać. Wygląda na to, że nie mamy tu już nic do roboty.

Kriss pokiwał głową, z dziwnym smutkiem patrząc na ruiny obiektu, które z przeciągłym dudnieniem zaczynały się zapadać.

– Może nawet pospieszmy się trochę – zasugerował nerwowo Sienele, zastanawiając się, na ile stabilny jest grunt pod ich stopami.
– W środku nikt nie przeżył.

Kriss zmarszczył czoło, ale nie mógł zaprzeczyć.

– Zgoda – powiedział w końcu. – Szkoda. Cieszyłem się na ponowną konfrontację z pułkownik.

Okręt portalowy

Sorilla ostrożnie podniosła się z ziemi, nieco oszołomiona nagłym ruchem pokładu pod stopami.

Dała się zaskoczyć. Żadne zmiany w lokalnej czasoprzestrzeni nie ostrzegły jej przed niespodziewanym wstrząsem. Na pokładzie statku coś takiego było co najmniej rzadkie, a może nawet niemożliwe. Na nowoczesnych okrętach SOLCOM-u czy na jednostkach Ross, kiedy poczuło się ruch statku, było się już praktycznie martwym. Kompensatory inercji mogły pochłonąć setki g, a jeśli cokolwiek było w stanie je przeciążyć, nie oznaczało to nic miłego dla ludzkiego ciała.

Tyle dobrego, że najwyraźniej fala uderzeniowa zaskoczyła również gobliny. Sorilla potknęła się w wejściu, zauważając przy okazji, że pokład jest nieco przechylony.

„Coś musiało się wydarzyć z gruntem, na którym opiera się okręt. Najwyraźniej nie uruchomili jeszcze silników” – pomyślała.

Jeśli silniki pozostawały nienaruszone, nachylenie w dół musiało prowadzić na pokład, bez względu na orientację okrętu.

Opierając się o ścianę, wsunęła dłoń w terminal i próbowała zamknąć z powrotem wejście. Bezskutecznie. Nie widziała żadnych uszkodzeń, więc musiała założyć, że kontrola została zablokowana.

„Cholera”.

Zaryzykowała i wyjrzała na zewnątrz, szacując ilość mechanoidalnych goblinów. W ocenie SOLCOM-u nie były to do końca drony, ale żywe stworzenia też nie. Dyskusja wśród agentów SOLCOM-u, czy gobliny są tylko robotami, czy czymś więcej, stała się w niektórych kręgach w czasie wojny wręcz legendarna.

Na zewnątrz zgromadziło się co najmniej kilka oddziałów goblinów, przygotowujących się do wykurzenia Sorilli ze ślepego zaułka, w który sama się zapędziła.

Miała jednak kilka minut, nim mechanoidy się zorganizują.

Wycofała się do pomieszczenia, oparła o ścianę i sprawdziła ekwipunek. Prawy pistolet był w połowie wyczerpany, a lewy w pełni naładowany i gotowy do akcji.

Większość amunicji została na małym ścigaczu, który zwinęła buntownikom na Allahu Akbar. To oznaczało, że miała do dyspozycji jedynie sześć zapasowych ładunków przytroczonych do pancerza.

„Będzie tego trzysta siedemdziesiąt pięć salw” – pomyślała Aida ponuro. „Zero granatów, co gorsza, i SOLCOM-owy nóż. Karabin został na statku razem z całą resztą. Ju-hu. Czemu wcześniej wydawało mi się to dobrym pomysłem?”

To było naprawdę dobre pytanie, ale nie miała czasu zastanawiać się nad odpowiedzią. Później, o ile będzie jakieś później, porządnie się za to zbeszta.

„I będę kłamać ile wlezie, jeśli ktokolwiek zapyta mnie o tę historię”.

Roześmiała się cicho, odpychając się od ściany i wyświetlając przez implanty prawdopodobny rozkład okrętu.

Musiała unikać tych sekcji, które były dostatecznie duże, by pomieścić golem. Bez porządnego sprzętu przeciwpancernego nie chciała zadzierać z potężnymi maszynami. I tak nie będzie mogła całkowicie ich uniknąć... nie, jeśli chciała się wydostać z okrętu.

„Zapowiada się zabawa”.

Konklawe było równie zszokowane eksplozją jak wszyscy inni, choć przebywali znacząco dalej.

Co wywołało detonację?

My.

My? Jak?

Gatunek infiltrujący aktywował plany awaryjne, uniemożliwiając dalszą produkcję i zacierając ślady naszych wpływów. Eksplozję

wywołało uwolnienie źródła energii i niekontrolowany wzrost temperatury.

Imponujące.

Konklawe zgodziło się z tym do pewnego stopnia. Rzecz jasna w porównaniu z równaniami czasoprzestrzennymi nie było to zbyt niszczące, ale fakt, że detonacja oraz idące za nią zniszczenia nie zostały odnotowane przez czujniki czasoprzestrzenne bądź zmysły pobratymców starszyny bytujących na jednostce pod obiektem, sam w sobie robił wrażenie.

Jaki jest status Entropii?

Członkowie konklawe skupili się na niej ponownie, a ich chwilowe napięcie opadło dopiero wtedy, gdy znaleźli ją wciąż w tym samym miejscu, skutecznie osaczoną przez siły porządkowe przygotowujące się właśnie do ostatecznego starcia.

Uczucie ulgi wręcz ich zawstydziło, gdy upewnili się, że nie udało się jej po raz kolejny wymknąć z zasadzki.

Wydać rozkaz ataku.

Konklawe zgodziło się i wydano polecenie.

Entropia miała zostać wyeliminowana.

Dźwięki z korytarza zmieniły się, gdy mechanoidalne gobliny zorganizowały się w końcu i zmieniły szyk z oczekującego na atakujący.

Sorilla zanurkowała za konsolę, licząc na to, że okaże się cenna dla atakujących. Ustawiła broń na tryb półautomatyczny, ustawiając cel na wejściu.

Pistolety warknęły dwukrotnie, gdy pierwsze gobliny wkroczyły do środka, i powaliły je natychmiast – ale kolejne już zalewały pomieszczenie. Wdrapywały się na blokujące wejście szczątki unieszkodliwionych mechanoidów, kompletnie nie zwracając uwagi na ciągły ogień, który niszczył je jeden po drugim.

Ostrzelały jej pozycję. Sorilla czuła zakrzywienia czasoprzestrzeni przy każdym wystrzale broni przeciwnika i skuliła się za osłoną. Środki bojowe Ross i Sojuszu były niszczycielskie, ale ich uzbrojenie

przeciwpiechotne nie miało zbyt dużych możliwości przeciwpancernych.

Inna rzecz, że nie było to potrzebne, bo bez względu na to, czy przeciwnik miał pancerz, czy nie, taka broń po prostu rozbijała wiązania chemiczne ciała, pancerza i wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu, zamieniając w bezkształtną papkę wszystko, w co trafiła.

Inaczej się sprawy miały, gdy można było skryć się za jakąś osłoną, bo rzeczy, których żołnierz zazwyczaj używał jako osłony, rzadko kiedy przylegały do skóry tak blisko jak osobisty pancerz. Utrzymywanie dystansu od zasięgu efektów broni czasoprzestrzennej było kluczem do przetrwania tego typu ostrzału. Równie ważne było uniknięcie odłamków, dlatego Sorilla leżała skulona na podłodze, pilnując, by jej kończyny ciasno przylegały do ciała i pozostawały jak najlepiej osłonięte grubszą częścią pancerza.

Wystrzały zwolniły nieco po chwili, więc Sorilla przeszła do klęku i aktywowała oba pistolety naraz, brutalnym ogniem rozrywając pierwszą linię wroga. Niestety, jeszcze nim wybrzmiała salwa, kolejny rząd mechanoidów zajmował już miejsce poprzedniego, ostrzeliwując się gęsto.

Terminal, za którym kryła się Sorilla, ledwie się trzymał. Trzeba było się ruszać.

Wyskoczyła wysoko, zanurkowała i przetoczyła się po podłodze pod osłonę po przeciwnej stronie pomieszczenia, a wrogi ostrzał rozrywał przestrzeń wokół niej.

„Muszę ich jakoś ominąć i dostać się z powrotem na korytarz. Siedzę w pułapce”.

Oczywiście łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić, ale Sorilla musiała znaleźć jakiś sposób.

Ostrzał znowu zwolnił, zmieniając się ze wścieklej kanonady w rytmiczne staccato, które zmuszało Sorillę do ukrywania się za osłoną i nasłuchiwania kroków zbliżających się goblinów. Powoli i z rozmysłem kobieta umieściła lewy pistolet w kaburze, blokując go zamkiem magnetycznym, przyklękła na jedno kolano i czekała.

Zobaczyła projektor broni Ross wsuwający się za osłonę. Jeden z goblinów najwyraźniej chciał ją wypłoszyć. Uznała, że taka odwaga zasługuje na nagrodę, więc dała goblinowi dokładnie to, czego chciał. Złapała broń opancerzoną dłonią i szarpnęła.

Gobliny Ross były dość masywne. Według ludzkich standardów były lżejsze niż ich ziemskie odpowiedniki, ale wciąż miały znaczący pancerz. Mimo to mechanoid był bez szans wobec wspomaganej pancerzem muskulatury Sorilli i samego efektu zaskoczenia. Gdy szarpnęła, goblin stracił równowagę i runął na ziemię.

Przyłożyła pistolet do szyi mechanoida i wystrzeliła, gdy jeszcze był w powietrzu. Para pocisków ze zubożonego uranu natychmiast przebiła się przez oś konstrukcji, niszcząc ją całkowicie.

Sorilla wyrwała unieszkodliwionemu goblinowi broń i szybko sprawdziła ustawienia.

Podczas wojny bardzo rzadko korzystano ze zdobytego na Ross uzbrojenia. Nikomu nie udało się zrozumieć, jak zmienić konfigurację, więc jeśli broń miała aktywne zabezpieczenie, nie dało się go zdjąć. Jeśli była ustawiona na niską moc, musiało tak zostać. Jaką się broń zdobyło, taką się miało – nawet naukowcy nie umieli rozgryźć tego cholerstwa.

Ale to było kiedyś, a Sorilla przeszła od tego czasu długą drogę.

Wsunęła prawy pistolet do kabury i przesunęła dłonie wzdłuż broni wroga. Szybko znalazła to, czego szukała. Niewielki zestaw zakrzywień czasoprzestrzennych przenikał broń, ale wystawał na tyle, by dało się nimi manipulować, o ile tylko umiało się je wyczuć i wiedziało, jak reagują.

Oparła broń o biodro i częściowo wysunęła się z osłony. Była w stanie poprawnie celować, kierując odpowiednio specjalne zagięcie czasoprzestrzeni i wyrównując je z ułożeniem lufy. Wystrzeliła.

Uzbrojenie zakrzywiające czasoprzestrzeń stanowiło specjalność Ross. Obejmowało wszystko od monstrualnych zabójców planet po małe bronie – takie jak ta, którą właśnie trzymała Sorilla. W największej skali broń grawitacyjna Ross mogła ściągnąć całą materię z atakowanego obszaru do przestrzeni tak niewielkiej i tak szybko, że nawet stabilne substancje scalały się i rozdzielały, niszcząc przy tym wiązania jądrowe. Im dłużej Ross utrzymywali zakrzywienie, tym bardziej ekstremalną reakcję łańcuchową wywoływali, by ostatecznie nawet zwykłe skały i kurz eksplodowały z nuklearną siłą.

Małe bronie albo w ogóle nie miały takiego potencjału, albo z przyczyn oczywistych go ograniczano. Nie miały możliwości rozbijania wiązań atomowych, ale to wcale nie oznaczało, że były słabe. Te same siły w większej broni rozbijały wiązania chemiczne.

W starciu z soczystym ludzkim ciałem efekty obejmowały wszystko od paskudnych siniaków po... czerwoną smugę na ścianie, ale jeśli chodzi o konstrukcje mechaniczne, nawet przy słabszych ustawieniach efekty bywały spektakularne.

Impulsy czasoprzestrzenne przemknęły przez pomieszczenie, wgrzając się w szereg goblinów i dosłownie wysadzając je w powietrze.

„Czas się zwijać”.

Sorilla wybiegła zza osłony i puściła się pędem, strzelając bezustannie. Pomieszczenie wypełniło się chaosem czasoprzestrzennych wirów, w których Sorilla mimo swoich unikalnych możliwości nie umiała już nadać z lokalizacją źródeł ostrzału.

Oczywiście jej procesor namierzał i oznaczał każdy impuls, ale zabierało to każdorazowo pół sekundy, a potem kolejne ćwierć sekundy na wyświetlenie informacji na implantach rogówkowych... i kilkanaście sekund na to, by Sorilla mogła przyswoić taki nawał danych.

O wiele za długo.

Jej bardziej instynktowny interfejs był dużo szybszy, ale zdecydowanie mniej precyzyjny... mniej szczegółowy.

I zdecydowanie łatwiej było się pogubić.

Sorilla starała się analizować bardziej to, co wyczuwała, niż to, co wyświetlał jej osprzęt, wirując w burzy ognia niczym tancerz pomiędzy kroplami deszczu, sunąc w stronę wyjścia... i wroga.

Nie była jednak równie utalentowaną tancerką, jak mówiły o niej legendy, i dotarła ledwie do połowy drogi, gdy impuls trafił ją w pancerz i wyrzucił w powietrze. Wirowała w locie i cały świat zdawał się uciekać jej spod nóg, nim w końcu gruchnęła o ziemię i wszystko nagle się zatrzymało.

Na szczęście jej pancerz wykonano z grafenu, którego wytrzymałość na rozciąganie sięgała stu trzydziestu dwóch gigapaskali (przy zaledwie czterystu megapaskalach dla stali

konstrukcyjnej), a to z nawiązką wystarczyło na siły, które właśnie musiał przyjąć. Jej ramię było prawie nienaruszone.

„Prawie”.

Czuła guz rosnący w miejscu uderzenia, bo jej ciało znalazło się w zasięgu zakrzywienia nawet pod pancerzem. Impulsy czasoprzestrzenne teoretycznie nie penetrowały opancerzenia, ale jeśli przylegało ono do ciała, nie miało to znaczenia. Kiedy lokalna czasoprzestrzeń ulegała zakrzywieniu, nie było istotne, czy ciało chronił grafen, czy spandeks. Dystans był jedyną skuteczną ochroną – albo nie daj się trafić, albo pozwól czemuś innemu przyjąć uderzenie.

„W idealnej sytuacji”.

A jeśli nie dało się inaczej, dobrze było mieć na sobie coś dostatecznie mocnego, by wytrzymało przyłożone siły i zamknęło cię szczelnie w środku, utrzymując w jednym kawałku.

Impuls i tak narobiłby niezłego bałaganu w twoich wnętrznościach.

Sorilla obejmowała zranione ramię drugą ręką, przytrzymując jednocześnie broń przy piersi. Przetoczyła się poza zasięg ognia, odpychając się nogami tak długo, aż wtoczyła się za inny terminal.

Ostrożnie sprawdziła ramię. Na szczęście obrażenia były powierzchowne. Kości były całe, więzadła trzymały.

„Nadwyręzione i tyle”.

Implanty pobudzały już jej gruczoły dokrewne, pompując adrenalinę do krwiobiegu. Poczuła, jak świat zaczyna działać w zwolnionym tempie. Hormon walki i ucieczki robił swoje. Serce jej łomotało, ale czuła się pewniej niż kiedykolwiek. Podniosła się na nogi, poprawiając chwyt na broni Ross.

Stres różnie wpływał na ludzi. Chemiczny koktajl zalewający ciało niektórym dawał supermoce, a innym jedynie dreszcze i panikę, która pozwalała im co najwyżej skulić się i łkać. Ludzie byli dziwni pod tym względem.

Sorilla zawsze reagowała dobrze. Stres sprawiał, że była bardziej czujna i z każdym uderzeniem serca coraz spokojniejsza. Dreszcze przychodziły dopiero wtedy, gdy emocje opadły.

Płacz jeszcze później.

Dużo później.

Konklawe analizowało dokładnie przebieg walki, po kilka razy przyglądając się każdemu ruchowi Entropii. Mogli tak zrobić, bo działali w skompresowanym czasie.

Entropia... widzi zakrzywienie.

Nieemożliwe. Jej gatunek nie ma takiego potencjału.

Manipulują środowiskiem. Tak jak my. Nieemożliwe to nie jest słowo, które do nich pasuje.

Konklawe wzdrygnęło się lekko na taką reprimendę, kierując uwagę na mówcę.

Czy to sugestia, że te... stworzenia są takie jak my?

Być może kiedyś były takie jak my. Dawno temu.

To... obraźliwa sugestia.

Fakty często takie właśnie są.

Członkowie konklawe rozważali to, wciąż obserwując walkę. Przeszył ich dreszcz zwycięstwa, gdy Entropia w końcu została trafiona i runęła na podłogę. Ekscytacja szybko ustąpiła zdumieniu, gdy kobieta przeczołgała się za osłonę i szybko pokazała, że choć została postrzelona, nic wielkiego jej nie dolega.

Imponująca technologia. Polimer węglowy?

Czysty, co najmniej. Większość prymitywnych gatunków robi pancerze z polimerów wodorowęglowych, a takie nie przetrwałyby impulsu czasoprzestrzennego.

To pasuje do technologii łączy orbitalnych tego gatunku. To niespotykane, że dotąd nie byliśmy w stanie go przeanalizować w oparciu o pozyskane próbki.

Nigdy żadnych nie pozyskaliśmy. Żaden z noszących je ludzi nie został nigdy pojmany w stanie nienaruszonym.

Konklawe zastanowiło się nad tym krótko, po czym jeden z jego członków wyraził ich wspólną myśl:

Imponujące.

Ponownie skupili się na transmisji z walki.

Starcie trwało.

Sorilla lawirowała pod ciężkim ostrzałem, odpowiadając podobnie i prac w stronę wejścia. Tym razem położyła taki ogień zaporowy, że skosiła cały batalion goblinów. Kolejne nawet nie drgnęły.

Pieprzone mechaniczne cholerstwo. Zero instynktu samozachowawczego.

Może i impulsy czasoprzestrzenne nie zmusiły ich do ucieczki za osłonę, ale nikt i nic nie mogło wiele widzieć przez taką zasłonę ognia.

Chwilowa dezorientacja była dokładnie tym, czego Sorilla potrzebowała. Nim mechanoidy zdążyły zareagować, znalazła się pomiędzy nimi.

Gobliny były dwunożne, podobnie jak Ross. Był to dobry projekt dla wielofunkcyjnej platformy, ale marny do jakiegokolwiek konkretnej specjalizacji. Ludzkie drony i roboty budowano raczej z myślą o konkretnej funkcji. Tak było prościej. Budowa skutecznych wielofunkcyjnych maszyn była znacząco trudniejsza.

Ross byli w tym dobrzy.

Gobliny były czymś więcej niż jednostkami atakującymi tylko z dystansu. Gdy weszła pomiędzy nie, zareagowały jak świetnie wyszkoleni wojownicy, tylko szybciej i mocniej.

Sorilla przechwyciła ciosy pięścią, dostatecznie szybkie i potężne, by roztrzaskać beton. Wykręciła mechaniczne pięści w zawiasach. Gdyby walczyła z ludźmi, użyłaby dźwigni, by wytrącić przeciwnika z równowagi i posłać go na glebę, ale wobec goblinów po prostu wykręcała mechaniczne ramię tak długo, aż pękło.

Kończyna rozerwała się, rozpryskując odłamki na wszystkie strony, a Sorilla wyrwała ją z taką siłą, że mogła od razu wykorzystać tę energię i użyć jej jak maczugi przeciwko następnej maszynie. Parła naprzód, nie chcąc wytracić rozpędu, aż przedarła się przez opór goblinów i wypadła na korytarz.

Masa mechanoidów próbowała ją przytrzymać, więc w pędzie w razie potrzeby wyrwała się im, ale głównie po prostu lawirowała w skomplikowanym tańcu skrętów i uników.

Gdy tylko znalazła się na otwartej przestrzeni, zaprzestała walki i rzuciła się sprintem za najbliższy załom korytarza, ścigana wystrzałami. Impulsy czasoprzestrzenne wybuchały wokół niej, gdy zanurkowała za róg.

Za plecami słyszała, jak przeciwnik się przegrupowuje i idzie za nią z nieubłaganą determinacją zaprogramowanego działania.

Kriss rzucał groźne spojrzenia z tyłu pomieszczenia, podczas gdy Siennele mierzył sirhańskiego żołnierza spokojnym wzrokiem.

Z tego, czego zdobili się dowiedzieć od garstki ocalałych z wybuchu jeńców, siedzący przed nim Sirhanin był dowódcą buntowników i jednocześnie głównodowodzącym operacją w obiekcie Sojuszu, jakkolwiek wąski byłby jego zakres dowodzenia.

Był także całkowicie przeciwny współpracy.

To na szczęście nie miało większego znaczenia. Sojusz miał do dyspozycji znacznie lepsze metody pozyskiwania informacji niż brutalne środki, które preferowały młodsze i bardziej prymitywne rasy.

Siennele chciał po prostu porozmawiać z dowódcą, nim poczyni kolejny krok. Choć samo pozyskanie pożądaných informacji z umysłu było nieinwazyjne i całkowicie niegroźne, czasami agent bywał zmuszony do użycia dość paskudnych metod, by skłonić więźnia do myślenia o tych potrzebnych informacjach.

Siennele miał przecucie, że rozmawia z kimś na tyle wyszkolonym, że czekające go doświadczenia raczej zostawią trwałą ślad.

– Twoi pobratymcy mają nietypowe poczucie wdzięczności – powiedział bez wyrazu, odchylając się na oparciu i przyglądając wrogiemu dowódcy z wystudiowanym znudzeniem.

Tak naprawdę był bardziej niż zainteresowany sposobem postępowania dowódcy, a w szczególności błyskiem oburzenia w jego oczach, gdy usłyszał ostatnie stwierdzenie.

„Ciekawe”.

Żołnierz, rzecz jasna, milczał.

– Sojusz zaoferował wam ochronę, nawet wysłał własne siły na śmierć w obronie waszego świata, a wy tak się odpłacacie? – Siennele westchnął, czyniąc sirhański gest smutku, którego poszukał i nauczył się przed rozmową.

Znów ten sam przebłysk irytacji i zniewagi. Zdecydowanie nie podobały mu się sugestie, że jego lud zdradził Sojusz. Ani trochę.

Kriss warknął za plecami Sienele.

– Czego można spodziewać się po gatunku niezdolnym nawet do obrony samego siebie. Lepsze walki miewałem z dziećmi na Luca. Kobieta, którą zabił w wybuchu, warta była więcej niż cały jego gatunek.

„O proszę, to go ruszyło” – stwierdził Sienele, widząc ogień w oczach Sirhanina i nagle napięcie w jego postawie.

Uśmiechnął się lekko i machnął w stronę Krissa.

– Nie zwracaj uwagi na mojego przyjaciela. – Nachylił się i zniżył głos. – Lucjanie są... jak się to mówi? Ach tak, bardzo wojowniczym gatunkiem. Brak umiejętności walki jest dla nich praktycznie grzechem śmiertelnym, ale wiem, że to nie wasza wina, że waszemu gatunkowi brak... pewnych umiejętności.

– Nikt spośród was wcale nie radził sobie lepiej, dopóki...

Dowódca zacisnął zęby i gwałtownie odwrócił twarz od Sienele, przez co nie zobaczył triumfalnego błysku w jego oczach.

„Dopóki... oczywiście, dopóki nie wkroczyli Ross”.

Sienele skarcił się w myślach. Powinien był to wcześniej dostrzec. Ross musieli przedstawić się jako niezależni od Sojuszu, pomoc i ratunek przypisując tylko sobie, a nie całemu Sojuszowi.

Miało to sens.

Zanotował sobie, jakie mentalne guziki naciskać, gdy rozpocznie się właściwe przesłuchanie, by mogli od razu przejść do istotnych spraw i wydobyć z umysłu Sirhanina to, czego im potrzeba, bez zbędnych szkód, które mogłyby negatywnie rzutować na efektywność kolejnych przesłuchań.

– Rozumiem – powiedział na głos. – Zatem takiego wytrychu użyli. Chyba potrafię pojąć, jak zdesperowany...

– Głupi – burknął Kriss z za jego pleców.

– Niedoinformowany lud – ciągnął gładko Sienele – mógł dojść do takich wniosków.

To dało mu, a właściwie Krissowi, kolejne rozpalone nienawiścią spojrzenie.

Sienele, choć był rozbawiony tymi emocjami, zachował kamienny wyraz twarzy, na bieżąco planując w myślach tok wstępnego przesłuchania. Nie potrzebował od więźnia żadnych konkretnych danych – to zapewni mu właściwe przesłuchanie. Na razie musiał

dowiedzieć się, jak pociągać za sznurki, by przesłuchujący wydobyli z Sirhanina potrzebne informacje przy minimum szkód umysłowych.

To było niesamowicie frustrujące, gdy jeniec tracił mentalną spójność, nim udawało się wydobyć z niego to, co istotne.

– Porozmawiajmy zatem o... bestiach, jak je nazywacie, dobrze? – zapytał Sienele z uśmiechem, nachylając się raz jeszcze w stronę dowódcy.

Konklawe dzieliło uwagę pomiędzy jednostkę Sojuszu, opuszczającą planetę z więźniami na pokładzie i kierującą się do czekających na orbicie okrętów, a walkę rozgrywającą się na ich własnym okręcie portalowym.

Należało podjąć decyzje dotyczące przyszłości PLANU.

Aktualne wydarzenia stanowiły pomniejszą niedogodność dla bieżących operacji, ale pomniejsze niedogodności mogły stać się poważnymi przeszkodami, jeśli pozostawić je bez nadzoru i korekty.

Jednostka Sojuszu nie będzie miała możliwości złożenia meldunku w centralnym systemie dowodzenia, dopóki nie dotrze do systemu administracyjnego. Wyeliminować ją w momencie skoku.

Konklawe rozważyło propozycję, po czym ją przyjęło.

Zgoda. Czy odzyskujemy którąkolwiek z zaangażowanych istot?

Odmowa. Żadna z nich nie ma znaczenia dla planu.

Zgoda.

Konklawe wydało rozkazy, aktywując jednostki w odpowiednich regionach, by wykonały polecenia.

Entropia wciąż umyka eliminacji.

Nieistotne. Znajduje się w naszej przestrzeni, nie ma ucieczki.

Zgoda. Kontynuować kierowanie sił bezpieczeństwa. Przekierować je z innych punktów. Zalać ją oddziałami, jeśli trzeba.

Zgoda.

„Mapa wskazuje, że przede mną jest jakiś skład sprzętu, jakiś hangar” – pomyślała Sorilla, prowadząc wewnętrzny monolog i pędząc naprzód, starając się zgubić pościg.

Ramię pulsowało bólem, solidnie obite, ale implanty utrzymywały, że nie nastąpiły żadne poważniejsze uszkodzenia. Sorilla mogła mieć pewność, że arterie są w całości.

„Brak krwotoku wewnętrznego zawsze jest mile widziany” – pomyślała w przyływie czarnego humoru.

Dotarła do śluzy prowadzącej z sieci korytarzy do przestronnego hangaru. Nie była zaskoczona, że nie chcą się otworzyć.

„Chyba nie chcą już spełniać moich zachcianek” – pomyślała, sięgając palcami do uchwytu na nadgarstku i wyciągając kabel.

Normalnie służył do bezpośredniego podłączenia do systemu w sytuacjach, gdy korzystanie nawet z niskoenergetycznych transmisji było niewskazane. Mógł też jednak służyć do przekierowania zasilania. Sorilla rąbnęła łokciem w kontrolki śluzy, rozbijając panel, i zaczęła szukać przewodów zasilających.

Systemy Ross nie korzystały z prądu, nie mogła więc ich po prostu przeciążyć, ale przy odpowiednim użyciu superkondensatorów jej pancerza wciąż mogła przepuścić znaczące napięcie przez instalację. Jedną z ciekawostek, jakie odkryto podczas analizy technologii Ross i systemów ich okrętów, stanowiło to, że Ross kompletnie nie przejmowali się ekranowaniem – ani przed jakimkolwiek prądem, ani polami elektromagnetycznymi.

Miało to sens. Ich systemy były całkowicie odporne na spięcia, a całe ich jednostki były tak dobrze osłonięte przed czymkolwiek z zewnątrz, że najprawdopodobniej nigdy nie przydarzyło się im nic takiego.

Łuk elektryczny na sto tysięcy woltów poprawiony ciężkimi amperami mógł jednak stopić naprawdę dużo. W tym przewody zasilające tę konkretną śluzę, przy której stała Sorilla. W ułamku sekundy.

Zablokowana śluza rozchyliła się nieco, a potem stanęła otworem, gdy Sorilla otrząsnęła się po niewielkim wybuchu, który wysadził panel kontrolny, i weszła do hangaru.

Nawet nie zauważyła ciosu, który zbił ją z nóg i wyrzucił z powrotem na korytarz, z paskudnym chrupnięciem rozbijając

o ścianę.

Świat Haydena, subkontynent

Cassius zorientował się, że kolory nowego świata, na który się przeprowadził, dziwnie wyblakły, a radość pierwszych tygodni tu spędzonych stała się jedynie odległym wspomnieniem.

Wciąż wstawał codziennie i oddawał się swoim obowiązkom, przemierzając ziemię Sorilli i katalogując miejscową faunę. To była jednak bardziej przysługa dla Jerry'ego i jego uczniów. Wciąż daleko im jeszcze było do poznania wszystkich zwierząt zamieszkujących ten świat, choć minęły już dekady od kolonizacji.

Cassius czerpał z tej pracy prawdziwą satysfakcję do czasu, aż doszły go słuchy, że Sorilla poszła w długą – jak jeden wojskowy dupek miał czelność mu raz powiedzieć. Jeden jedyny raz... No cóż, od tego czasu codzienne zajęcia stały się raczej rutyną, a nie czymś, czego wyczekiwał.

Wschód słońca dalej cieszył oczy, choć głęboka czerwień nieba wokół wschodzącej gwiazdy skłoniła go do sprawdzenia konfiguracji pogody. Tak, oczywiście, zbliżała się potężna burza.

Burze na Haydenie to była grubsza sprawa, poważniejsza niż na Ziemi, szczególnie od czasu uruchomienia układu modyfikacji klimatu.

Tutaj burze były naturalne – i potężne.

Może nie było to coś niewyobrażalnego, jak na niektórych ekstremalnych planetach, ale wciąż trzeba się było zmierzyć z czymś znacznie intensywniejszym niż na Ziemi.

Burze były w zasadzie silnikami napędzanymi ciepłem. Temperatura nie rozkładała się równomiernie na całej planecie. Burze czerpały energię z cieplejszych obszarów i przekształcały ją

w szalejące bestie, które wyrywały z korzeniami wszystko, co nie było przytwierdzone do skał.

– Wygląda na to, że przez najbliższe dni będę przywiązywał wszystko do ziemi – mruknął pod nosem Cassius, wychodząc z domu, który sobie wybrał spośród tego, co wyprodukowały maszyny Sorilli.

Nie był sam, więc ruszył w stronę najbliższych zamieszkałych zabudowań. Jego goście już wstali i przygotowywali się do rozpoczęcia dnia.

– Dobry! – zawołał, machając na powitanie.

– Dzień dobry, panie Aida – odpowiedział serdecznie inżynier wojskowy odpowiedzialny za wprowadzenie zmian wymaganych przez SOLCOM. – Cudowny poranek!

– To prawda – zgodził się Cassius – ale nadchodzi burza, więc pokręcę się i upewnię, czy wszystko jest dobrze przymocowane. Pomyślałem, że was uprzedzę, na wypadek gdybyście jeszcze nie sprawdzali prognoz.

– Akurat nie sprawdzaliśmy – przyznał inżynier. – Dzięki. Upewnię się, że wszystko jest dobrze zabezpieczone, nim skończymy dzisiejsze prace.

– Bardzo dobrze – pochwalił Cassius żartobliwie. – No to działajmy. Jakies co nieco dziś wieczorem?

– Ano, w świetlicy. Znowu potrawka? – Inżynier też już się śmiał.

– Akurat myślałem o grillu. Mam jakieś steki z asemblera. – Cassius wzruszył ramionami. – Może nie są powalające, ale...

– Nie jesteśmy w Teksasie, nie będę wybrzydzał – roześmiał się znów wojskowy.

– Otóż to. Pamiętaj, żeby sprawdzić, czy wasze narzędzia są dobrze zabezpieczone – przypomniał Cassius raz jeszcze. – Wrócę za kilka godzin, zerknąć, jak sobie radzicie. Burza będzie tu za jakieś osiem godzin według konfiguracji.

– Tego się trzymajmy. Do zobaczenia.

Cassius skinął głową na pożegnanie i ruszył w swoją stronę.

SOLCOM wysłał swoją ekipę, by dokonała zmian, których dowództwo nie chciało powierzać jemu ani nikomu innemu bez odpowiedniego upoważnienia. Uznał, że Sorilla by się na to zgodziła, ale wolałby, żeby zrobili swoje i się wynieśli.

Cassius całkiem lubił szeregowych, których tu przysłano, ale dowodzący nimi koleś był typową odmianą buraka sztabowego.

„O wilku mowa”.

– Pan Aida. Uszanowanie.

– Majorze.

Major Barrow – nie podawał swojego imienia – wyglądał, jakby miał robić inspekcję w Pentagonie.

„Albo w SOLCOM Geodesic na LeGrange 3”.

Cassius zastanawiał się, ile razy w ciągu dnia ten opętany idiota zmienia mundur, strojąc się tak w sercu haydeńskiej dżungli.

– Moje ekipy sfinalizują modyfikacje do końca dnia. Większość z nas zejdzie panu z oczu już jutro.

Cassius uśmiechnął się niewyraźnie.

– Nie ma problemu, majorze. Jest pan pewien, że dadzą radę skończyć prace przed burzą?

– Burzą?

– Konfiguracja śledzi niż, który właśnie się nagrzewa kilkaset kilometrów na południowy wschód stąd – wyjaśnił Cassius. – Zapowiada się solidne uderzenie.

– Z pewnością poradzimy sobie z lekką niepogodą, panie Aida.

Cassius zacisnął szczęki, tłumiąc odpowiedź, która cisnęła mu się na usta.

– Po prostu proszę mieć na to oko, majorze. Nie jesteśmy na Ziemi.

– Myślę, że panujemy nad sytuacją, dziękuję.

Cassius skinął głową.

– Oczywiście. Do zobaczenia, majorze.

– Do zobaczenia, panie Aida.

„Nadęty półgłówek” – pomyślał Cassius, odchodząc.

Od zawsze nie cierpiał ludzi, którym najwyraźniej nie wyszła kariera, i zawsze na takich trafiał, czy to w wojsku, czy w polityce, czy wśród cywili. Jakimś cudem głupota zawsze wpływała na powierzchnię.

Teraz przynajmniej nie był to jego problem.

Ruszył do pierwszego punktu swojego przedburzowego obchodu. Najlepszy sposób na uprzątnięcie bałaganu to zapobieganie bałaganowi. Było z tym też mniej roboty.

„Za to wschód słońca jest naprawdę piękny”.

Okręt portalowy

Sorilla jęknęła, z trudem podnosząc się z podłogi. Czuła się, jakby właśnie wpadła pod ciężarówkę.

„Nie jest to zbyt dalekie od prawdy” – pomyślała, śledząc ruch za otwartą śluzą.

Ross uprzedzili jej działania i skierowali do hangaru golema.

Golemy okazały się cholernym wrzodem na dupie podczas pierwszej inwazji na Haydena. Ross używali ich do wszystkiego, od walki po przenoszenie ziemi, a maszyny sprawowały się nieźle we wszystkich powierzanych im zadaniach.

Były odporne na konwencjonalne uzbrojenie piechoty. By je powalić, trzeba było użyć pocisków przeciwpancernych, choć Sorilla raz poradziła sobie samym tylko nożem. Ostrza SOLCOM-u cięły praktycznie wszystko, o ile pchnęło się je dostatecznie mocno.

Nie było to jednak idealne rozwiązanie problemu, jeśli chciało się mieć jakiegokolwiek rozsądne szanse na przetrwanie.

Na szczęście tym razem Sorilla miała do dyspozycji coś więcej niż nóż.

Aktywowała broń Ross, zmieniając jej konfigurację na niewidzialnych kontrolkach. Stała wyprostowana i wycelowała w wejście do hangaru. Zaczęła strzelać, idąc naprzód i posyłając przez śluzę coraz mocniejsze impulsy. Gdy trzy pierwsze strzały skutecznie oderwały kilka kawałków mechanoida, ten zaczął się cofać, szukając osłony.

Nie pozwoliła mu na to. Zignorowała zawroty głowy, które nie odpuściły jeszcze po bliskim spotkaniu ze ścianą, i powaliła golema. Gdy dotarła do wejścia, upewniła się jedynie, czy nie czekają na nią w środku inne niespodzianki, i poczęstowała maszynę jeszcze trzema salwami, tak dla pewności.

Dopiero wtedy weszła do hangaru, ostrożnie omijając kupę złomu, która jeszcze przed chwilą była potężnym mechanoidem. Rozejrzała się uważnie.

„Masa sprzętu. Szkoda tylko, że nie mam pojęcia, do czego służy” – pomyślała ironicznie.

Odłożyła broń impulsową, a potem pchnęła zdezaktywowane cielsko golema, by zatarasować wejście. Był tak wielki, że musiała

użyć całej mocy swojego pancerza. To powinno dać jej nieco czasu. Podniosła z powrotem broń Ross i rozejrzała się za terminalem, z którego mogłaby skorzystać.

Szczerze wątpiła, by zdołała uzyskać taki dostęp, jak wcześniej, ale i tak szybko znalazła coś, co wyglądało na stanowisko inwentaryzacyjne. Z pewnością coś takiego było absolutnie niezbędne, by znaleźć cokolwiek w przestrzeni magazynowej tych rozmiarów. Sprzęt wypełniał rozległy hangar po sam sufit.

„Byłoby miło, gdybym dostała się do czegoś przydatnego” – pomyślała, aktywując panel.

Tak jak się spodziewała, był to spis inwentarza. Wyglądało na to, że poza listą osprzętu nie ma możliwości szerszego dostępu do systemów. Bez niespodzianek. Sorilla zachowała z poprzednich sesji kilka matematycznych równań identyfikacyjnych, więc wypróbowała je w pierwszej kolejności – głównie po to, by potwierdzić swoje przypuszczenia. Szybko znalazła jednak całe skrzynie broni impulsowej Ross pośród innych, mniej ciekawych drobiazgów.

Jednak nie tego szukała. Skupiała się na tym, by z wyników wyszukiwania odzyskać algorytm szyfrujący interfejsu wyszukiwarki.

„O proszę, to jest ciekawe...”

Znalazła coś, co wyglądało na wpis o przechwyconych technologiach.

„Czy to sprzęt SOLCOM-u? Dlaczego mieliby mieć coś takiego na okręcie w przestrzeni Soju... Och. Cholera. Cwane typki”.

Mógł być tylko jeden powód, dla którego Ross mieli trzymać zapas broni i wyposażenia żołnierzy SOLCOM-u. Najwyraźniej planowali wbić klin między Sojusz a ludzi.

Najpewniej nie był to plan do natychmiastowego wdrożenia, ale mogła co najwyżej spekulować.

Spis inwentarza ujawniał całkiem pokaźny zapas osprzętu piechoty, w tym kilka mobilnych platform bojowych.

„To podsuwa mi pewien pomysł...”

Jakim sposobem pojedynczy osobnik może być tak trudny do wyeliminowania, gdy działa w naszej własnej przestrzeni?

To pytanie było jednym z wielu, jakie starszyzna konklawe zadawała sobie w ciszy, a na które nie umiała znaleźć odpowiedzi. Ten człowiek był zdecydowanie lepiej przygotowany fizycznie niż jakakolwiek z ras Sojuszu, wliczając w to Lud. Od dłuższego czasu nikt już nawet nie zwracał sobie głowy badaniami prowadzonymi do takiego stopnia wzmocnienia fizycznego.

Jednostki dysponujące przytłaczającą siłą ognia wygrywały wszystkie dotychczasowe konflikty. Osilki takie jak Lucjanie czerpały przyjemność z zabawy na powierzchni planet, ale to bardziej zaawansowane rasy spełniały ich zachcianki. Sojusz pozwalał Lucjanom grać w te ich brudne gierki w zabijanie na raty, bo znacznie mniej irytujące było pozwolić im się wyszaleć, niż słuchać denerwujących jęków, do których mieli skłonność, gdy próbowano się z nich zrobić bardziej przydatnego członka międzygwiazdowego społeczeństwa.

Lud nie zajmował się już rozwojem technologii walki naziemnej od... może nie zarania dziejów gatunku, ale na pewno dłużej, niż sięgała pamięć żyjących. A Lud był długowieczny.

Ustanowienie kontroli nad populacją było prostą sprawą, jeśli w ogóle zachodziła taka potrzeba – co zdarzało się rzadko. Kontrola nad orbitą mało zaawansowanego technologicznie świata oznaczała kontrolę nad mieszkańcami, choćby nie wiem jak kopali, krzyczeli i jęczeli.

Ludzie byli jednak nietypowo rozwinięci. Wciąż byli na tyle prymitywni, by używać broni, jakie widywano u populacji przed etapem międzygwiazdowym, a jednak opracowali technologię skoków, nim napotkali Lud... A kiedy już zaczęli przegryzać się przez przechwyconą technologię, ich własna flota zaczęła rozwijać się zadziwiająco szybko.

Wciąż jednak nie można ich było traktować jako siły międzygwiazdowej według żadnej ze skali przyjętych wśród Ludu.

Pewnego dnia bez wątplenia to nastąpi, ale na tę chwilę było jasne, że gatunek wciąż czołga się w błocie swoich przodków.

Przewrotnie oznaczało to, że radzenie sobie z nimi było co najmniej irytujące, bo uderzenie w nich z całą mocą okazało się

niemożliwe.

Entropia była tego najlepszym przykładem.

Uparta. Sprytna, a może nawet wyjątkowo inteligentna. Wyposażona w technologię manipulacji środowiskowej, rozwijaną w obszarach, które Lud już dawno uznał za nieistotne.

To był problem.

Entropia znajduje się aktualnie w sekcji rozlokowania. Skierować dodatkowe ciężkie jednostki bojowe, by wsparły siły bezpieczeństwa.

Zgoda.

Ciężkie jednostki bojowe Ludu, które ludzie kolokwialnie zwali golemami, nie były ociężałymi głupkami, jak mogło się wydawać. Przystosowano je nie tylko do ciężkich prac, były również zręczne i precyzyjne. Golemy stanowiły podstawę działań naziemnych prowadzonych przez Lud.

W obrębie jednego z okrętów używanych do rozbudowy sieci międzywymiarowej zręczność miała znacznie większą wartość niż w środowisku naturalnym planet, na których często je lokowano w roli ciężkich maszyn konstrukcyjnych.

Otoczone rojem maszyn zwanych przez ludzi goblinami, które biegały im pod nogami, dwa potężne golemy kroczyły przez obszerne korytarze przeznaczone do ich relokacji. Zatrzymały się przed jednym z wejść do hangaru, czekając, aż siły porządkowe pod ich stopami ustawią się na pozycjach i otworzą drzwi.

Nietypowy odgłos sprawił, że zdezorientowane przerwały działania.

Dochodził zza zamkniętego przejścia. Mechanoidy szybko przefiltrowały i sprawdziły dźwięk, ale nie pasował do żadnego zapisu w bazie danych.

Sieć wypełniły polecenia identyfikacji, ale szybko nadeszły rozkazy natychmiastowego wejścia i eliminacji intruza. Golemy naładowały swoje mocne działa impulsowe, a gobliny poszły w ich ślady.

Wydano rozkaz, masywne drzwi się rozwarły.

Gobliny ruszyły przodem, a dziwny dźwięk wciąż się nasilał. Golemy prowadziły analizę, odnotowując wewnętrzną harmonię i jednocześnie szukając źródła, dopóki dźwięk nie utonął całkowicie w kanonadzie ciężkiego ognia, który rozerwał golemy praktycznie w mgnieniu oka, wstrząsając całym okrętem.

Przy dźwiękach „Cwału walkirii” ryczących z głośników lekkie czołgi Cougar toczyły się w stronę wejścia, plując ogniem ze swoich czterdziestomilimetrowych działek.

Sorilla przez chwilę zamarzyła, że jedzie na jednej z platform w chwili, gdy otwierają się wrota hangaru. Jednak choć była znana ze swoich lekkomyślnych działań, to nieco przekraczało poziom brawury, do którego byłaby skłonna... szczególnie bez żadnego wsparcia.

Cougary czekały cierpliwie na aktywację, a ich samoodnawialne źródła zasilania były w pełni naładowane. Był to przechwycony sprzęt, więc niestety, nie miał kompletnych ładunków, ale nie zamierzała narzekać.

„Przynajmniej większość z nich była co najmniej częściowo sprawna” – rozmyślała, krocząc wśród ziemskich maszyn i czyszcząc wszystko, co przegapiły, nie dając przeciwnikowi szansy na przegrupowanie.

Czołgi całkiem skutecznie ściągały wrogi ogień – ze wszystkimi tego konsekwencjami, ale przynajmniej sprawiały, że przeciwnik chwilowo nie zwracał na nią uwagi.

Sorilla poleciła cougarom wystrzelenie wszystkich granatów dymnych, przez co pokład wypełniły gęste opary we wszystkich kolorach. Była tam nawet lekka domieszka Willy’ego Pete’a^[1], ale Sorilla nie spodziewała się, by zrobiło to większe wrażenie na mechanoidach.

„Może się im chociaż coś osmali”.

Ruszyła naprzód, chcąc wykorzystać zamieszanie, by dotrzeć do swojego kolejnego celu. Opuszczając hangar, wydała ostatnie polecenie autonomicznym lekkim czołgom, a potem zakodowała, zabezpieczyła i zamknęła link.

„Bawcie się dobrze, chłopcy”.

Frustracja członków konklawe rosła do poziomów dotąd niespotykanych.

Jedynie kilka całych gatunków dało radę totalnie rozwścieczyć tak wielu spośród nich jednocześnie, a teraz dokonał tego pojedynczy osobnik. Rzecz jasna zniszczenia były stosunkowo niewielkie, ostatecznie istniały pewne granice tego, czego mogła dokonać jednostka, choćby i wybitnie utalentowana... ale nie wszystko dało się mierzyć w liczbach, nawet wśród Ludu.

Planeta miała zostać zniszczona. Ten problem byłby już załatwiony!

Wstrzymaj swoje wadliwe równania. Zniszczenie całej planety produkcyjnej Sojuszu byłoby niczym wypowiedzenie nowej wojny Sturm, a na to Lud nie jest gotowy.

Dyskusja ciągnęła się jeszcze przez wiele zapętlnionych cykli skompresowanego czasu, gdy konklawe wielokrotnie przyglądało się nagraniom, próbując przewidzieć kolejny ruch istoty, którą jakże trafnie nazywali Entropią.

Ludzki żołnierz był bardzo pomysłowy i wydawało się, że działał losowo, nie ujawniając żadnych czytelnych dla konklawe wskazówek co do swojego planu, a mimo to konsekwentnie wynajdywał sposoby, by wprowadzić w życie scenariusze wywołujące maksimum chaosu przy minimum wysiłku.

Byłoby to godne podziwu, gdyby nie było wymierzone w nich.

Konklawe nawet nie wiedziało, że ludzka broń jest magazynowana lokalnie, choć po chwili zastanowienia powody ku temu stawały się oczywiste. Nawet gdyby starszyzna o tym wiedziała, uznałaby osprzęt za nieaktywny i nisko oceniłaby prawdopodobieństwo, że Entropia go znajdzie, dostrzeże jego potencjał i aktywuje w środku okrętu.

Dokąd teraz zmierza?

Straciliśmy ją z oczu.

Co?!

Dym i odłamki zakłóciły działanie większości naszych skanerów, a... intensywny ostrzał z dział impulsowych przeciążył pozostałe czujniki.

*Nasze własne siły bezpieczeństwa nas oślepiły, a Entropia
wykorzystała zamieszanie i uciekła.*

Jakże to pasuje do jej imienia.

Przestańcie ją podziwiać i zlokalizujcie ją, nim zniszczy cały okręt!

Okręt portalowy

Sorilla ostrożnie wyjrzała za załom korytarza, kierując się w głąb wrogiego okrętu, w miejsce, gdzie była dotąd tylko raz.

Ross używali swych jednostek nie tylko do walki, czego nie wiedziała, gdy pierwszy raz weszła na pokład jednej z nich. Były to bez wątpienia potężne okręty wojenne, najpotężniejsze, jakie ludzie kiedykolwiek widzieli – do tego stopnia, że choć niektórzy ludzie wychodzili zwycięsko ze starcia z nimi, nikt nigdy nie przetrwał bezpośredniego ostrzału.

Nikt.

Podczas wojny ziemską jednostką mogła albo umknąć z celownika broni Ross, albo ulec destrukcji. Nic pomiędzy.

Nawet planety nie mogły przetrwać takiego uderzenia, jeśli tylko Ross odpowiednio je wzmocnili.

Kiedy więc Sorilla dowiedziała się, że siła ognia jest najmniej niebezpieczną cechą okrętów Ross, wywołało to niemałe poruszenie w SOLCOM-ie.

Te okręty były pod wieloma względami mobilnymi punktami skoku, które łączyły się w prywatną sieć międzygwiazdnych połączeń nadświatlnych, kontrolowaną wyłącznie przez Ross.

Mogli przerzucać siły na odległość lat świetlnych, kiedy tylko musieli lub chcieli. Pojedynczy okręt portalowy mógł stworzyć przyczółek, przed którym niewiele sił zbrojnych mogłoby się obronić. To była tak wielka przewaga strategiczna, że SOLCOM bez zwłoki wydał rozkaz, by okręty Ross niszczyć natychmiast, gdy tylko zostaną gdzieś zauważone. Dla żadnych innych jednostek nie wydano nigdy podobnego rozkazu, więc był to jasny sygnał dla Sojuszu, że Ross są persona non grata dla SOLCOM-u.

Rozkazy nakazywały niszczyć okręty Ross, gdy tylko zostaną dostrzeżone – czy to w przestrzeni SOLCOM-u... czy gdziekolwiek indziej.

Sorilla nie była pewna, czy zdoła wypełnić ten rozkaz, ale w końcu była na emeryturze. Co jej zrobią, zwolnią ją?

Tak czy siak kierowała się w stronę pomieszczenia z portalem. Zamierzała zebrać jak najwięcej informacji, a jeśli nadarzy się okazja... no cóż, będzie wtedy we właściwym miejscu, by jakoś to wykorzystać.

„Zobaczmy, co się tam kryje”.

Krążownik Sojuszu „Czoło Wichru”

Parithaliański krążownik, na którym Sienele aktualnie pracował, był jedną z najpotężniejszych jednostek Sojuszu, nie licząc jedynie okrętów Ross i Sturm, ale i tak Sienele czułby się znacznie lepiej, gdyby był już z powrotem w systemie administracyjnym, gdzie mógłby zadbać o odpowiednie zabezpieczenie jeńców na potrzeby przesłuchań.

Sirhanie byli niekomunikatywni, co go frustrowało, ale nie dziwiło. Widział już takich i wiedział, że złamanie ich będzie długotrwałym i bolesnym procesem... bardziej dla nich niż dla niego.

Przesłuchania na światach administracyjnych byłyby łatwiejsze dla wszystkich.

Sirhanie zdawali się oddani sprawie, podobnie jak ludzie na ostatnich dwóch światach, z którymi Sienele musiał sobie radzić. Ross najwyraźniej lubili robić z takich gatunków użytek.

„Nic dziwnego. Jednostki oddane sprawie najłatwiej zmanipulować i skłonić do wszystkiego. Wystarczy je przekonać, że coś służy ich misji, a na pewno to zrobią”.

Zawsze uważały się za osoby racjonalne, co było chyba najmniej racjonalną ich cechą. Kiedy już rzuciły się w wir akcji, same siebie przekonywały o swojej racji... i nic nie mogło zmienić ich zdania, chyba że śmierć.

Sojusz zebrał już w tym temacie swoje doświadczenia, a teraz zbierają je ludzie.

„A Ross manipulują nimi wszystkimi. Przysięgłbym, że Ross są zbyt odmienni, by nawiązać choćby podstawową komunikację z tymi gatunkami, a jednak tego dokonali. Zmylili nas całkowicie”.

A to był największy problem.

To, że Ross wikłają się w działania, które nie są do końca korzystne dla Sojuszu, nie wydawało się żadną niespodzianką. Nie byli w tym zresztą odosobnieni. Rasy sojusznicze prowadziły swoje gierki o władzę, wpływy i inne takie, co do pewnego stopnia było brane pod uwagę i akceptowane – byle nie przekraczać niepisanej granicy.

Po części organizacja Sienele była swego rodzaju stróżem, który miał za zadanie ukrócić takie działania, gdy wymykały się spod kontroli.

I ta właśnie organizacja ignorowała Ross jako gatunek zbyt odmienny, by mógł efektywnie przeprowadzić przedsięwzięcia z rodzaju tych, przed którymi miała chronić Sojusz. To była spora ryna na honorze zarówno całej organizacji, jak i samego Sienele.

Szpieg przemierzał właśnie korytarze parithaliańskiej jednostki, kierując się na pokład obserwacyjny zarezerwowany dla mistrzów flot oraz odwiedzających okręt dostojników – takich jak on. Było to miejsce, z którego mógł obserwować działania floty, nie wchodząc w drogę tym, którym powierzono ich wykonanie.

– Wysłanniku.

Gdy Sienele wszedł na pokład, Kriss już tam był. Z założonymi na plecach rękami wpatrywał się w pokład operacyjny i rozciągającą się za nim pustkę kosmosu.

W opinii Sienele widok pozostawiał wiele do życzenia, ale tak wyglądała głęboka przestrzeń. Tylko gdy okręt zbliżał się do planet lub innych interesujących obiektów, było na czym zawiesić wzrok... ale i tak, planety jak planety, a między nimi obserwowało się jedynie nieruchome światło odległych gwiazd. Wkrótce rutyna niwelowała cały majestat tego widoku.

– Strażniku – odpowiedział na pozdrowienie Sienele, podchodząc do Krissa i spoglądając na pokład dowodzenia krążownika – ufam, że wszystko dobrze.

Nie było to pytanie, a jedynie uprzejmy zwrot.

Kriss odebrał to inaczej.

– Nie, Wysłanniku. Czuję się... rozbity – przyznał Lucjanin.

– Tak? – Sienele podejrzewał, co mogło być tego przyczyną, ale nawet prostolinijni Lucjanie potrafili go czasem zaskoczyć.

– Wojownik zasługuje na lepszą śmierć niż w wyniku sabotażu i tchórzliwego ataku.

– Ach.

A czasami byli dokładnie tacy, jak się spodziewał.

Sienele również dość polubił pułkownik, mimo swoich uprzedzeń dotyczących sprowadzenia Sorilli w przestrzeń Sojuszu. Pod wieloma względami taki jej koniec mu odpowiadał... Przynajmniej nie był zmuszony wydać rozkazu jej zabójstwa, ale rozumiał akademicki dylemat Krissa.

– Była imponującą jednostką – przyznał, pochylając lekko głowę. – Taka czy inna śmierć nie czyni ujmy jej dokonaniom.

Kriss prychnął lekko.

– To prawda. Często żartowałem, że chciałbym znów zmierzyć się z nią w walce, ale...

Uniósł dłoń do boku i skrzywił się niewyraźnie.

– Nie mam wątpliwości, jak by się to skończyło. Z jej ręki byłoby to akceptowalne zakończenie życia Strażnika.

– Jeszcze nie zginąłeś – burknął Sienele, zirytowany nastawieniem Lucjanina.

Nie wszyscy przedstawiciele tego gatunku byli równie narwani jak ich Strażnicy, ale i tak stanowili jedną z najbardziej fatalistycznych ras Sojuszu. Bardzo często relacje z nimi polegały na niedowierzaniu powadze ich słów, mimo że wiadomo było, że rzadko ukrywają swoje myśli. Lucjanie uważali, że szkoda czasu na kłamstwa czy przesadę, choć nie mieli wobec tego moralnych obiekcji... Po prostu uznawali, że jeśli ktoś jest na tyle wart zachodu, by go okłamywać, jest też wart tego, by go zabić.

„Frustrujący lud”.

– To moja ostatnia misja jako aktywnego Strażnika. Obaj o tym wiemy – powiedział Kriss ponuro. – Jeśli wróg mnie teraz nie zabije, straci ostatnią okazję. Moje obrażenia to zapewniły.

– Większość uznałaby to za zwycięstwo – odparł Sienele sucho. – Przetrwaleś karierę, która zabiłaby praktycznie każdego innego Strażnika Sojuszu. Bądź dumny.

– Duma. Co mi po niej? – spytał Kriss, wzruszając ramionami. – Nie można jej zjeść. Nie można jej wydać. Nie jest bronią w moich rękach... za to jest bronią w rękach wroga. Nie, wysłanniku, nic mi po dumie.

To... to była chyba najbardziej przenikliwa obserwacja, jaką Siennele mógł usłyszeć od Lucjanina. Jakiegokolwiek Lucjanina.

– Zawsze sądziłem, że jesteś dumny ze swoich umiejętności bojowych – powiedział łagodnie.

– Możliwe – zgodził się Kriss. – Nikt z nas nie jest wolny od grzechów czy głupich błędów, czy to w kwiecie młodości, czy w zaciętości starszego wieku. Wydaje mi się jednak, że mylisz dumę z czystą radością, przynajmniej w pewnym stopniu. Urodziłem się Strażnikiem, wysłanniku. Byłem wszystkim, czego chciałem w życiu.

Siennele rozważał te słowa, patrząc na pokład dowodzenia, podczas gdy okręt wspinał się powoli ze studni grawitacyjnej gwiazdy i kierował w stronę punktu skoku.

– Co teraz zrobisz? – zapytał w końcu.

– Będę szkolił innych – odparł Kriss. – To nie jest zły koniec, co najwyżej nie taki, jaki sobie wymarzyłem.

Dla Siennele miało to sens. Kriss był jednym ze Strażników pierwszego poziomu, wiele lat służącym zarówno Luca, jak i całemu Sojuszowi. Jego służba była dużo dłuższa niż większości Strażników, a nie przypadła na spokojny okres. Takie doświadczenie miało ogromną wartość.

– Nie mam wątpliwości, że doskonale spełnisz swą powinność, tak samo jak w dotychczasowej służbie.

Kriss tylko wzruszył ramionami i zamilkł.

Siennele uznał, że nie ma już nic do powiedzenia. Doprowadzili misję do finału, pozostało im tylko dostarczyć jeńców. Gdy Kriss oficjalnie zakończy tę misję, przejdzie pełny przegląd medyczny. Siennele wiedział, że Strażnik się nie myli, Zarząd Administracyjny odwoła go z czynnej służby z powodu obrażeń.

„Zakończyć karierę, ujawniając coś, co może okazać się największym zagrożeniem dla Sojuszu w całej jego historii? To nie jest zły koniec, bez względu na to, co Kriss sobie myśli”.

Stali tak w ciszy, obserwując, jak krążownik opuszcza system.

Okręt portalowy

Konklawe raz jeszcze musiało dzielić uwagę pomiędzy kilka spraw naraz. Ich główne zmartwienie, Entropia, wciąż skutecznie unikało wykrycia na ich własnym statku, podczas gdy jednostka Sojuzsu zbliżała się właśnie do punktu skoku, który który przeniesie ją z systemu produkcyjnego do jednego z centralnych systemów administracyjnych. Dodatkowo starszyzna była zmuszona przekierować więcej sił, by okiełznać szarżę ludzkich automatów.

W tej chwili okręt Sojuzsu wchodzący w zasięg punktu skoku musiał stać się priorytetem.

Wypadki w punktach skoku były rzadkie, ale się zdarzały. Poza bezpośrednim atakiem na jednostkę była to najlepsza dla Ross opcja eliminacji zagrożenia, obarczona przy tym najmniejszymi konsekwencjami w długofalowej perspektywie.

Jednostka wkrótce wejdzie w ramy pozycyjne zakrzywienia czasoprzestrzennego. Czy konklawe podjęło decyzję?

Zniszczyć ich.

Zgoda.

Tym razem nie rozbrzmiały żadne głosy sprzeciwu. Decyzja była jasna i klarowna. Dzięki zniszczeniu jednostki Sojuzsu w chwili skoku bieżące zagrożenie dalekosiężnych celów zostanie zażegnane. Oczywiście pewne podejrzenia pozostaną, co do tego nie było wątpliwości, ale do radzenia sobie z podejrzeniami Lud już przywykł.

Rasy Sojuzsu nigdy w pełni nie ufały Ross. Byłoby to zresztą dalece nierozsądne. Bieżąca sytuacja bardziej niż przymierze przypominała raczej pełne napięcia zawieszenie broni, bez względu na to, w co chciały wierzyć popularne w Sojuzsu media.

Dobrze zatem. Wkrótce rozpoczniemy operację. Przystąpić do dopasowania równań.

Sorilla wślizgnęła się do kolejnego magazynu, będącego trochę bliżej jej celu. Musiała założyć, że Ross ją obserwują, więc nie mogła zbyt długo pozostawać na otwartej przestrzeni. W przeciwnym

wypadku znów otoczyłoby ją rojem mechanoidów, a jakoś wątpiła, by trafił się jej drugi ładunek cougarów, który ocaliłby ją przed gładką, czyściutką eliminacją.

Pomieszczenie było mniejsze, choć wciąż całkiem okazałych rozmiarów. Na pierwszy rzut oka nie była jednak pewna, na co patrzy. Nic nie wyglądało nawet znajomo, co prawdopodobnie oznaczało, że nie składowano tu sprzętu bojowego, a przynajmniej nie takiego, który byłby w szerszym użyciu. Widziała już chyba wszystko, co Ross preferowali w boju.

„Wszystko byłoby dużo prostsze, gdyby nie odcięli od głównego systemu swoich podsystemów inwentarzowych. No cóż”.

Przy zamkniętym szerszym dostępie z poziomu oprogramowania inwentarzowego przynajmniej nie musiała się zajmować rozgryzaniem konfiguracji, do których i tak nie miała wglądu. Po prostu przeczesywała listy sprzętu w poszukiwaniu czegoś, co ona lub jej procesor rozpozna.

Ross przechowywali wszystkie informacje w formie równań matematycznych, które zapisywali, rzecz jasna, w swoim języku.

To było jednocześnie prostsze i trudniejsze niż radzenie sobie z normalnym językiem.

Prostsze, bo matematyka stanowiła uniwersalny język wszechświata, a jej równania były prawdziwe bez względu na to, kim się było czy skąd się pochodziło. Dzięki temu rozszyfrowanie danych było przynajmniej wierne.

Jednak na rozszyfrowaniu tłumaczenie się nie kończyło – raczej dopiero zaczynało. Matematyka, choć uniwersalna, nie zapewniała kontekstu, jaki dawał język. Nie przekazywała emocji czy zamiarów, jedynie fakty. A poza tym wszechświat był niesamowicie skomplikowany.

Sir Isaac Newton był wybitnym matematykiem, ale nawet gdyby przepisać dla niego równania Ross w arabskim systemie numerycznym, nie miałyby dla niego najmniejszego sensu. Brakowałoby mu pewnych podstawowych zmiennych, bez których właściwe zrozumienie równań było niemożliwe.

Chodziło o to, że czas i przestrzeń są jednością, w dodatku relatywną dla obserwatora. Taka koncepcja była całkowicie obca Newtonowi. Obliczenia prędkości, na które patrzyła właśnie Sorilla,

zdawałyby się całkowitym bełkotem każdemu, kto próbowałby je zrozumieć przed publikacjami Einsteina.

Dla wszelkich praktycznych zastosowań można było uznać wszechświat za nieskończony, a to oznaczało, że zawsze istniały zmienne, których nie dało się całkowicie przewidzieć. Wiedza o tym, które zmienne są znane Ross, stanowiła klucz do rozszyfrowania ich matematyki, ale oczywiście jeśli takie zmienne stanowiły część zagadnień, które ludzie mieli dopiero poznać... cóż, to mogło stanowić problem.

„To nie jest uzbrojenie” – uznała Sorilla po szybkim przejrzeniu kodu. „Skanery środowiskowe? Przynajmniej ta sekcja równań tak mówi...”

Przerwała grzebanie w systemie, by spojrzeć we wskazaną w inwentarzu część pomieszczenia.

„Hmm... ciekawe, czy to takie same skanery jak te, dzięki którym stworzono czterowymiarową mapę, którą sobie wcześniej zgrałam...”

Coś takiego bardzo ją interesowało, więc poświęciła chwilę na sprawdzenie oznaczeń w inwentarzu i na skrzyniach, aż znalazła właściwą.

Był to uszczelniany pojemnik. W takim SOLCOM mogłby przechowywać wrażliwy sprzęt, choć kontener wyglądał na bardziej zaawansowany niż standardowe walizki z wyściółką nienewtonowską. Sorilla wysunęła jeden z regału i uniosła pokrywę.

„Co my tu mamy”.

Entropia została zlokalizowana!

Gdzie się znajduje?

Konklawe błyskawicznie skupiło się na intruzie podświetlonym na nagraniu.

Rezerwowany magazyn.

Uzbrojenie?

W ostatnim pytaniu zabrzmiała obawa, a głos ujawniał zaniepokojenie, co też Entropia mogłaby znaleźć wśród inwentarza i co mogłaby wykorzystać przeciwko Ross.

Nie. Osprzęt badawczy do analiz planetarnych. Nic, co mogłoby stanowić zagrożenie.

Ulga była wręcz namacalna i konklawe szybko wróciło do pracy.
Wezwać dodatkowe siły bezpieczeństwa.

„Tego się nie spodziewałam”.

Sorilla wyciągnęła... urządzenie? Prawdę mówiąc, nie była pewna. Zawartość pojemnika mieniła się jej w dłoniach, wychodząc poza nie i wracając. Patrzenie na to wywoływało pewien dyskomfort, sprzęt nieustannie zmieniał swój wygląd, jakby zawijał się sam wokół siebie.

Najdziwniejsze było to, co odczytywały jej akcelerometry. W pojemniku w ogóle niczego nie wyczuwała, ale nie była pewna, czy ekranowanie lub odległość miały tu coś do rzeczy. Przyciąganie było bardzo słabe, nawet gdy trzymała urządzenie w dłoniach i praktycznie przylegało do jednego z czujników zatopionych w jej ciele.

Ale najbardziej zdumiewało to, że odczucie nie miało stałego charakteru, lecz zdawało się pulsować zgodnie z ruchem, który Sorilla jednocześnie widziała i nie. Nie była pewna, czy w jakimkolwiek ludzkim języku znalazłaby określenie na to zjawisko – chyba tylko w zaawansowanej matematyce.

Co udało się jej rozpoznać, to sygnał interfejsu.

„Co więcej, to standardowy interfejs Ross” – odkryła, mile zaskoczona, gdy podłączyła się do urządzenia i przeanalizowała bardzo prosty strumień danych, jakie emitowało.

Nie było tam nic więcej poza ekranem startowym z kilkoma opcjami, z których najprostszy do rozszyfrowania był zwykły włącznik.

Sorilla rozejrzała się, po czym potrząsnęła głową.

„Walić to”.

Włączyła sprzęt.

Jej pancerz i implanty zalał strumień danych w czasie rzeczywistym, prawie ją ogłuszając, nim jej oprogramowanie zaczęło dekodowanie informacji. Były zdecydowane zbyt

skomplikowane i napływały zbyt szybko. Jej podstawowy procesor przegrzał się praktycznie od razu i wyłączył, by zapobiec uszkodzeniu mózgu, a zapasowe szybko poszły w jego ślady po daremnej próbie udźwignięcia ogromnego napływu danych.

Sorilla szybko odcięła dopływ informacji, czując natychmiastową ulgę.

„Jasny gwint, to naprawdę dużo danych”.

Nie była pewna, czy nawet superkomputer dałby radę dekodować taką ilość materiału w czasie jakkolwiek zbliżonym do rzeczywistego. Sorilla zdążyła odszyfrować jedynie maleńki ułamek równań, ale to wystarczyło, by zrozumieć, że to coś znacznie więcej niż tylko wyniki skanowania. Urządzenie próbowało przesłać jej... coś. Coś, czego nie rozumiała.

„To zdecydowanie idzie ze mną” – zdecydowała.

Upchnęła urządzenie w kieszeni paska i przesunęła na plecy.

„Ile tu cudów, na których SOLCOM z radością położyłby łapy” – pomyślała, rozglądając się wokół. „Jaka szkoda”.

Musiała się zbierać, nim Ross znów ją dopadną.

Zmierzając do wyjścia, Sorilla przywołała na implanty rozkład okrętu Ross. Planowała dostać się do pomieszczenia z portalem, ale wciąż miała tam dość daleko. Jeśli dobrze zgadywała, bliżej znajdowało się kolejne pomieszczenie ochrony lub dowodzenia.

To będzie jej następny cel.

Odgłos zmierzających w jej stronę kroków skłonił ją do szybkiego wymarszu. Musiała być zawsze o krok przed hordą.

Entropia znów jest w ruchu.

Byłoby prościej, gdyby pozostała w miejscu, ale chyba nie możemy oczekiwać cudów.

Konklawe pozwoliło sobie na moment rozbawienia wizją niesławnej Entropii grzecznie czekającej na osaczenie. Wydawało się to nawet mniej prawdopodobne niż Sojusz pilnujący swojego nosa.

Jaki jest jej cel?

To było zasadne pytanie, więc konklawe zajęło się analizą jej dotychczasowych poczynań. Kierowała się do wnętrza okrętu, zamiast próbować ucieczki w przeciwnym kierunku, jak należałoby się spodziewać. Wzorzec jej działań był chaotyczny, ale to najpewniej było efektem reakcji jej gospodarzy, a nie jej świadomego wyboru.

Czy możemy mieć pewność, że ma jakikolwiek cel? Entropia jest... entropią.

To prawda – dołączył się inny głos – ale nie przypisujemy jej nadprzyrodzonego zła. Nadaliśmy jej ten tytuł z racji efektów jej poczynań, a nie jej intencji. Prawdopodobnie nie ma pojęcia o rzeczywistej skali konfliktów, jakie stworzyła.

Ten aspekt był przedmiotem ciągłego sporu pomiędzy tymi, którym powierzono sprawę ludzkiej kobiety zwanej Entropią. Jej działania były dziwaczne, nierzadko sprzeczne z jakąkolwiek logiczną strategią, którą można by przewidzieć, a ich efekty przekraczały wszelkie racjonalne założenia i ekstrapolacje.

Nawet dla takich istot jak Lud wszechświat jawił się jako niewiarygodnie złożony system, w którym wciąż niektóre zmienne pozostawały poza zasięgiem poznania.

Jej kolejnym celem wydaje się konwergencja podsystemów niedaleko jej bieżącej lokalizacji. Czy dezaktywować tamtejsze systemy?

Nie. Pozostawmy je aktywne, trzeba jedynie zapętlić wszystkie polecenia, by Entropia nie mogła aktywować niczego bez naszego zatwierdzenia. Zobaczmy, czego szuka.

Dobrze. Rozkazać siłom bezpieczeństwa, by pozostawały w tyle? Czy dociskały ją mocniej? Czy chcemy poznać jej zamiary, czy ją wyeliminować?

Jedno i drugie. Niech będzie dociskana, a jeśli zginie – zwycięstwo. Jeśli przetrwa, dowiemy się więcej – również zwycięstwo.

Zgoda.

Po podjęciu decyzji konklawe skupiło się ponownie na innej niecierpiącej zwłoki sprawie.

Jednostka Sojuszu zbliżała się do punktu skoku.

Już niedługo.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

Sienele i Kriss obserwowali ostatnie przygotowania. Krążownik wkrótce znajdzie się w zasięgu punktu skoku i misja zostanie zakończona.

Sienele westchnął lekko.

Najwyższy czas. Dowiedzieli się bardzo wiele, a spora część tych informacji była co najmniej niepokojąca. Konspiracje wewnątrz Sojuszu nie były oczywiście niczym nowym, jednak zasięg tego spisku zdawał się niespotykany.

– Wysłanniku, opuszczamy studnię grawitacyjną systemu – rzekł parithaliański asystent. – Mistrz okrętów wkrótce aktywuje napęd skokowy.

– Znakomicie, podziękuj mu za informację – odparł Sienele uprzejmie.

– Tak, wysłanniku.

– Ładowanie napędów.

Mistrz okrętów Jar Nelim skinął głową, sprawdzając poprawność kalkulacji przed podpisem i przesłaniem zatwierdzonych wyliczeń z powrotem na stanowisko nawigacyjne.

– Zabezpieczyć załogę i wszystkie pokłady – polecił. – Przygotować się na przejście.

– Tak, mistrzu okrętów. Załoga, pokłady, przygotować się do skoku!

Nelim robił jedyne, co mógł robić po wydaniu takich rozkazów – obserwował malejące liczby, gdy zbliżali się do obszaru zerowej grawitacji tworzącej lokalny punkt skoku.

Ze wszystkich pokładów „Czoła Wichru” spływały raporty potwierdzające gotowość. Wkrótce jednostka opuści system produkcyjny i będzie w drodze do najbliższego administracyjnego.

Norma i rutyna.

– Mistrzu okrętów...

– O co chodzi? – Nelim spojrzał na młodego oficera przy stanowisku skanowania grawitacyjnego.

– Mamy... anomalie na skanach.

„Najwyraźniej moje myśli o normie i rutynie były przedwcześnie”.

Nelim westchnął i udał się w stronę konsoli grawitacyjnej. Anomalie nie były rzadkie, większość systemów zawierała nawet niewzględnione na mapach planety – wystarczyło lepiej się rozejrzeć po rubieżach. Były zazwyczaj tak odległe, że nie odbijały światła rodzimej gwiazdy, a pojedynczy obrót wokół niej zajmował ekstremalnie dużo czasu.

To oznaczało, że punkty skoku czasami się przemieszczały. Bywało, że niezawodnie stabilne od stuleci punkty nagle zaczynały tańczyć jak szalone, gdy jakaś odległa planeta postanowiła w końcu wpaść z wizytą.

Było to pewne ryzyko nawigacyjne, ale można było sobie z nim łatwo poradzić. Wystarczyło odpowiednie doświadczenie.

– Proszę pokazać – polecił, pochylając się nad konsolą.

– Tutaj – wskazał Finel, młody oficer. – To pojawiło się zaledwie chwilę temu, proszę spojrzeć.

Finel cofnął kalkulacje, pokazując, co wykryły instrumenty. Wszystko rozwijało się zgodnie z przewidywaniami, aż nagle pojawiła się anomalia.

Nelim zamrugał i nachylił się niżej.

– To nie jest... Co to jest?

Nierejestrowane masy nie pojawiały się ot tak, znikąd. Grawitacja tak nie działała. Jej źródło powinno ujawniać się stopniowo, nawet w ciągu lat, jeśli ktoś by je obserwował. Zazwyczaj było dostrzegane dopiero, gdy jakaś jednostka przelatywała w pobliżu.

Nie powinno pojawiać się ot tak, jakby ktoś włączył...

Nelima zmroziło.

– Ogłosić alarm bojowy – rozkazał. – Wszystkie stanowiska, szykować się do wojny!

– Alarm bojowy! – powtórzył pierwszy oficer. – Szykować się do wojny!

Sienele odwrócił się w miejscu na dźwięk alarmu i spotkał się wzrokiem z Krissem, który również zmierzał z powrotem na pokład obserwacyjny, by bliżej przyjrzeć się działaniom na mostku.

– Co się dzieje? – zapytał asystenta Sienele.

– Nie wiem. Mistrz okrętów nie może teraz odpowiedzieć.

„Niech to szlag. Oczywiście, że nie może. Skoro ogłosił alarm bojowy, ma teraz ważniejsze rzeczy na głowie”.

Niewiedza była bardzo trudna do przyjęcia dla Sienele, ale mógł sobie pozwolić tylko na frustrację. Ostatecznie sam nie mógł absolutnie nic zrobić w tej sytuacji.

Teraz wszystko było w rękach mistrza okrętów.

Przystanął obok Krissa... i obserwował.

Okręt portalowy

Sorilla rzuciła się płasko na pokład, ledwo unikając ostrzału wroga. Odpowiedziała tak samo zaciętym ogniem z przechwyconej broni, sunąc z rozpędu po gładkiej podłodze. Gdy wytraciła prędkość, szybko poszukała osłony za najbliższym zakretem.

Przeciwnik dociskał ją mocno, deptając jej po piętach, choć przemieszczała się po okręcie najszybciej jak mogła. W końcu wrogie siły złapały ją w krzyżowy ogień zaledwie kilka metrów od celu.

Rozejrzała się i dostrzegła wejście tuż przed sobą, więc szybko się podniosła i rzuciła pędem do wrót.

Wyglądało na to, że jej nagły sprint zaskoczył goblina. Nie wyczuła żadnych impulsów aż do połowy dzielącego ją od celu dystansu, ale wtedy masa zakrzywionej czasoprzestrzeni popędziła już w jej stronę.

Wyskoczyła w górę i zanurkowała w stronę konsoli, lecz impuls trafił ją w plecy i rzucił o ścianę. Po raz kolejny grafenowy pancierz wytrzymał uderzenie, ale Sorilla i tak poczuła we wnętrzościach efekty celnego strzału.

Opierając się o ścianę, pięścią otworzyła interfejs i potraktowała go impulsem z broni Ross, wywołując spięcie i otwierając wrota.

Ścigana kolejnymi wystrzałami, przetoczyła się do środka, krzywiąc się z bólu, i natychmiast poszukała osłony.

Płuca paliły żywym ogniem, każdy oddech rozrywał żebra bólem, a choć oprogramowanie medyczne implantów nie rejestrowało poważnych obrażeń, notowało potężny wzrost stężenia białych krwinek w dużych obszarach ciała Sorilli. Nie przypuszczała, żeby

miał to być dobry znak, i spodziewała się, że obrażenia są poważniejsze, niż wskazują systemy.

Zaprojektowano je do rozpoznawania bardziej ograniczonych obszarowo obrażeń, jak na przykład postrzałów. Nie były to zbyt subtelne rany i były dobrze znane osprzętowi medycznemu SOLCOM-u. Broń Ross okazała się czymś znacznie gorszym, niż przypuszczano.

Sorilla przetoczyła się na bok, z trudem wyciągając spod siebie broń impulsową, i puściła salwę w stronę wejścia, płosząc awangardę pościgu. Zmusiła się do pozycji siedzącej i wolną ręką podciągnęła się za osłonę najbliższego terminala.

„To mogło pójść lepiej”.

Podniosła się wyżej i oparła broń o konsolę. Jedną ręką ostrzeliwała wejście do pomieszczenia, a drugą aktywowała interfejs.

Do czego uzyskała dostęp?

Konklawe pozwoliło siłom bezpieczeństwa spowolnić nieco natarcie, by dowiedzieć się, jakich informacji poszukuje ludzki żołnierz. Wkrótce członkowie zgromadzenia zobaczyli projekcję danych, która przeskakiwała pomiędzy sekcjami szybciej, niż oni sami byliby w stanie odczytać i przyswoić informacje. W końcu się zatrzymała.

Bieżące dane skanowania temporalnego. Interesujące. Znalazła sekcję śledzącą.

Szuka aktywnych operacji w regionie. Aktualnie jest tylko jedna.

Znalazła okręt Sojuszu.

Konklawe skupiło się na działaniach Entropii, z najwyższym zainteresowaniem śledząc jej poczynania i zastanawiając się, co zrobi.

Sorilla warknęła pod hełmem, wpatrując się w projekcję. Najwyraźniej Ross wzięli na cel „Czoło Wichru”, o ile poprawnie

odczytywała dane.

Nie czuła się w żaden sposób związana z okrętem Sojuszu, choć przypuszczała, że prawdopodobnie na pokładzie jest również jej własny skradziony statek. Jeśli jednostka zostanie zniszczona, Sorilla straci także swoją zabawkę.

„A właśnie zaczynało mi się podobać latanie tym czymś. Szlag”.

Pomijając to wszystko, jakoś nie czuła się dobrze z myślą, że Kriss zginie. Burkliwy Lucjanin stał się... może nie przyjacielem, ale z pewnością nie tak chciałby zakończyć żywot.

Co jednak najważniejsze, jeśli okręt zostanie zniszczony, to samo stanie się ze wszystkimi danymi, jakie wiezie na pokładzie, a także ze wszystkimi osobami będącymi częścią śledztwa – wyłączając ją samą. Co oczywiście najprawdopodobniej było przyczyną planowanego ataku.

Sorilla pozwoliła palcom wykręcić nieco zakrzywienia interfejsu, wysyłając polecenia.

„Gdybym tylko dała radę dostać się do nadajnika, mogłabym... Chwila...”

Zakłęła pod nosem, orientując się w sytuacji, gdy tylko wszystkie jej polecenia utknęły w martwym punkcie.

– Kurwa!

Trzymając pewnie broń, zwróciła się w stronę drzwi. Zaraz tu przyjdą, i to w większej sile – tego była pewna.

Godna szacunku próba.

Konklawe zgodziło się z tym stwierdzeniem w mniejszym lub większym stopniu. Gdyby próba komunikacji się udała, najprawdopodobniej Entropia wysłałaby ostrzeżenie do jednostki Sojuszu. Inna sprawa, czy to wystarczyłoby do ocalenia okrętu. Istniała taka możliwość.

Zablokujcie jej dostęp. Zobaczyliśmy to, co chcieliśmy wiedzieć.

Zgoda. Siły bezpieczeństwa mają już upoważnienie i rozkazy pełnego natarcia.

Oczywiście.

Konklawe skupiło się ponownie na okręcie Sojuszu, sprawę Entropii uznając za zamkniętą i niewymagającą dalszej uwagi. Czas zakończyć to, co zaczęli.

Sformułować rozwiązanie dla jednostki Sojuszu.

Rozwiązanie gotowe, oczekuje na zatwierdzenie.

Zatwierdzam.

Ognia.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

– Awaryjne odejście, pełna moc!

– Tak, mistrzu okrętów! Pełna moc, awaryjne odejście w toku!

Krążownik „Czoło Wichru” uruchomił silniki odrzutowe, a potężne dudnienie przetoczyło się przez okręt. Silniki pochłaniały rezerwy paliw chemicznych w zastraszającym tempie. Pomimo zaawansowanych możliwości napędów nadświatlnych jednostek Sojuszu, na potrzeby awaryjnych manewrów wszystkie parithaliańskie okręty utrzymywały zapas efektywnych paliw chemicznych do silników odrzutowych.

Moc silników uderzyła w okręt niczym młot bogów, przeciążając nieco system kompensacji inercji, przez co każdy członek załogi musiał szybko się czegoś złapać, jako że boczne przyspieszenie poskutkowało prawie jednym g subiektywnego przeciążenia.

Nelim uchwycił się mocno swojej konsoli dowodzenia, ledwo utrzymując się w fotelu. Wrażenie było takie, jakby ktoś nagle przewrócił okręt na bok.

– Raport! Ostrzeżenie! Systemy okrętu wykryły poważną anomalię grawitacyjną na naszym poprzednim kursie!

Nelim zaklął, pochylając się nad konsolą.

– Cała załoga, przygotować się na manewry przeciążeniowe!

Po zatwierdzeniu rozkazu na okręcie rozbrzmiał nowy alarm.

Ktoś bardzo chciał ich zabić i mistrz okrętów miał ponure podejrzenie, kto mógł to być. Nie było dobrze.

– To oni.

Sienele prychnął.

– Oczywiście, że to oni. Któż inny byłby tak bezczelny? Próbują nas zabić, nim będziemy mogli przekazać dane do systemu administracyjnego.

Kriss obnażył kły.

– Powinniśmy byli to przewidzieć.

– Nie wszystkie rasy są tak wojownicze jak Lucjanie, mój przyjacielu. Ross... To nie leży w ich charakterze. – Sienele zastanowił się chwilę. – Normalnie działają znacznie bardziej subtelnie i... obco.

– Zapędziliśmy gada w ślepy zaułek – odparł Kriss. – Reagują jak każdy inny szkodnik.

– Ten gad, jak ich nazwałeś, dysponuje bronią zdolną anihilować całe planety. Zapędzanie go w ślepy zaułek mogło nie być dobrym pomysłem.

Sienele westchnął, ale Kriss zbył to prychnięciem.

– Teraz to bez znaczenia – ciągnął Sienele. – Nie mamy już na to wpływu. Nasz los zależy teraz od Pari i ich okrętu.

– A to – uzupełnił Kriss – odstręcza mnie najbardziej w całej sytuacji. Tchórzy nie powinno się angażować do takich zadań. Ross zabija nas tak, jak na bezwartościowe gady przystało.

– Śmierć to śmierć. – Sienele nie miał w takiej chwili cierpliwości do analizowania absurdałnego lucjańskiego etosu wojownika.

Musiał zaufać Parithalianom i ich okrętowi. W każdej innej potyczce w przestrzeni nie miałyby z tym najmniejszego problemu, ale przeciwko Ross?

„Nie tak chciałem zakończyć dzień”.

Okręt portalowy

Sorilla stęknęła, ale ból zelżał nieco, bo efekty pracy jej pancerza, implantów i instynktów biologicznych zaczęły się nakładać, wywołując wzmożoną produkcję i dystrybucję naturalnych substancji przeciwbólowych i hormonów wzmocnionych nieco inżynierią chemiczną.

Walnęła o ścianę obok drzwi, opuszczając broń impulsową i dobywając swojego pistoletu dokładnie w momencie, gdy pierwszy

goblin przekroczył próg.

Broń ryknęła krótko i mały mechanoid upadł z podziurawionym tułowiem, kryjącym zniszczony właśnie centralny mechanizm sterowania. Sorilla przeszła nad metalowym kadłubem, strzelając jednocześnie z biodra z broni impulsowej, a drugą ręką aktywując swój pistolet.

Połączony ogień przegryzł się przez najbliższe szeregi wroga, gdzie naprawdę trudno byłoby w nic nie trafić, zostawiając ziejące dziury w obronie. Opróżniony pistolet Sorilla schowała do kabury, jednocześnie rąbiąc bronią impulsową goblina, który nieco przesadził z osobistą odwagą. Rzuciła się do biegu.

Mechaniczne siły bezpieczeństwa Ross były... niezłe, tak ogólnie. Słabe strony dronów bardzo dobrze wyrównywał fakt, że były pozbawione instynktu samozachowawczego i prawdopodobnie bardzo tanie w produkcji. Owca

Ich wady były takie same jak wszystkich systemów zautomatyzowanych. Przede wszystkim kompletnie brakowało im inwencji. To był nieunikniony rezultat zaprogramowanych zachowań. Reakcje łatwo dało się przewidzieć.

W tym przypadku stało się wyraźnie widoczne, że gobliny zaprogramowano tak, by unikały wzajemnego postrzelenia. To oznaczało, że kod powstrzymywał je od oznaczania celów, gdy linia strzału krzyżowała się z innym mechanoidem. Nie był to zły pomysł. Sorilla prawdopodobnie zaprogramowałyby je tak samo.

Zostawiało to jednak miłą lukę, którą mógł wykorzystać ktoś, kto nie stronił od brudnej walki w zwarciu.

Drażek ramienny roztrzaskał kończynę najbliższego goblina, pozbawiając go broni. Sorilla w płynnym półobrocie posłała oderwane ramię mocnym rzutem prosto w jego pobratymców. Nie zmieniając ustawień broni i kręcąc się nieprzerwanie, otwierała z bliska ogień. Nie musiała przejmować się celowaniem.

Impulsy czasoprzestrzenne bez trudu rozrywały robotyczne kadłuby, rozsyłając odłamki na wszystkie strony. Gobliny zaczęły rozluźniać szyk, przechodząc w rozsypkę i próbując ustawić się tak, by mieć czyste linie strzału.

Sorilla nie zamierzała im na to pozwolić. Wciąż się obracając, pochyliła się nisko i podcięła nogi kilku mechanoidom, a potem

odchyliła się w tył, mocnym ciosem łokci miażdżąc pancerze lekkich dronów.

Z każdym mechanoidem, którego powalała, paradoksalnie rosło zagrożenie, bo sama oczyszczała dronom linie strzału. Tak planowała swoje ruchy, że każdy atak, uderzenie i unik przybliżał ją do celu.

Nim gobliny zreorganizowały się po ataku, Sorilla niespodziewanie przerwała natarcie i rzuciła się biegiem oczyszczoną ścieżką, znikając za rogiem i zostawiając za sobą jedynie chaos.

Czemu jej po prostu nie wyeliminowały?

Siły bezpieczeństwa zaprogramowano tak, by nie dopuściły do uszkodzeń statku lub siebie nawzajem. Nadpisaliśmy protokoły uszkodzeń statku z pewnymi ograniczeniami – tak, by drony strzelały, gdy Entropia kryła się za terminalami komputerowymi – ale nie wzięliśmy pod uwagę drugiego ograniczenia.

Wśród starszyny dało się wyczuć narastającą rezygnację i frustrację.

Usunąć zabezpieczenia.

Zgoda.

Konklawe bez zwłoki wydało rozkazy.

Przynajmniej dostarcza nam cennych danych.

Jedynie kilku spośród starszyny potrafiło docenić tę obserwację, co zdawało się jedynie bawić mówcę. Odłamki zirytowanych myśli poleciały w jego stronę.

Chaos, jaki za sobą zostawia, jest nie do zaakceptowania. Zniszczyła porządek wszechświata samym swoim istnieniem.

Och, uspokój się. Wszechświat jest tyleż uporządkowany, co ty inteligentny. Entropia jest naturalnym stanem rzeczy. Ta istota jest jedynie ucieleśnieniem siły natury.

Obaj przypisujecie jej zbyt wielkie znaczenie. Jest przedstawicielem pośledniego gatunku, a nie jakąś nadprzyrodzoną bestią chaosu.

Jak można określić różnicę między nią a czymś takim?

Dyskusja coraz bardziej nabierała rumieńców, póki grzmiący głos nie przerwał kłótni:

Milczeć!

Wszystkie głosy ucichły.

Śledzić ją – rozkazał głos już spokojniej. Określić jej cel i plan jego realizacji. Powściągnijcie głupotę i przestańcie marnotrawić zasoby. Czy nikt z was nie zauważył, że jednostka Sojuszu uniknęła naszego ognia?

Zgromadzenie gwałtownie zwróciło swoją uwagę na manewrujący okręt i zobaczyło, że robi unik z pełną mocą silników odrzutowych.

Niedobrze.

Owszem, niedobrze. Jeśli nie zostaną zniszczeni w obszarze punktu skoku, mogą przetrwać jakieś dowody ich prawdziwego losu. To nie do przyjęcia.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

Nelim w pośpiechu przeglądał napływające ze skanerów dane. Anomalia grawitacyjna zniknęła, ale grawitacja nie działała w ten sposób w naturze. Jedynym sposobem, by coś takiego miało miejsce, było sztuczne źródło grawitacji w systemie – innymi słowy obcy okręt.

Żadna tego typu jednostka nie powinna się tu znajdować. Niespodziewanie druga anomalia na ich wcześniejszym kursie wyjaśniła ponad wszelką wątpliwość, jakie były intencje ukrytego okrętu.

„Próby ukrycia się nic nam nie dadzą. Jesteśmy już śledzeni, a sami nie znamy lokalizacji przeciwnika. Ucieczka... jest jakąś opcją, ale nie najlepszą. Najwyraźniej wróg czekał na nas przy punkcie skoku. Zniszczenie byłoby...”

Wstrząsnęła nim ta myśl.

Zniszczenie podczas uruchamiania silników w punkcie skoku?

Linia odłamków rozciągnęłaby się na przestrzeni co najmniej jednego roku świetlnego... równomiernie.

Po ich istnieniu pozostałoby mniej śladów niż po lucjańskiej powściągliwości.

Taka była najpopularniejsza teoria dotycząca losu grupy bojowej Sojuszu, która ściagała ludzkie siły i po prostu przepadła bez śladu razem z ziemską flotą. Częsteczki składowe materii flot prawdopodobnie rozprysnęły się w stożek na przestrzeni kilkunastu lat świetlnych, przez co znalezienie jakiegokolwiek wraku zdawało się fizycznie niemożliwe.

Dość powiedzieć, że protokoły Sojuszu dotyczące manewrów bojowych zmieniły się dość znacznie po tej małej niespodziance – na wypadek gdyby teoria okazała się prawdziwa.

Niestety, teraz nie pozostawiało to kapitanowi zbyt wielu opcji działania. Walka była jedyną, jaka dawała jakiegokolwiek szanse przetrwania, ale i tak niewielkie. Było praktycznie pewne, że w systemie kryje się jednostka Ross. Nie wiedzieli nawet gdzie, a choć Ross nie byli najlepsi w ukrywaniu się, nawet oni nie mieli z tym problemu, dysponując całym systemem planetarnym...

– Proszę znaleźć wrogi okręt – rozkazał. – Potrzebuję opcji namierzania, natychmiast.

– Tak, mistrzu okrętów!

Sienele trzymał się mocno relingu, spoglądając w dół na pokład dowodzenia „Czoła Wichru”. Zupełnie mu się nie podobało to, co widział, ale też nie miał nic konstruktywnego do zaoferowania.

– Gdzie oni są? – szepnął, spoglądając w górę, w czarną pustkę kosmosu usianą jedynie maleńkimi punktami światła.

Kriss prychnął za jego plecami.

– Tam gdzie zawsze. Tchórzliwie kryją się za ciężkimi pancerzami i piekielnymi działami swoich okrętów. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy pierwszy raz ich napotkaliśmy, wysłanniku. Dobrze to wiesz.

– Wiem, że nie podejmują przeciwko nam jawnych działań – warknął Sienele. – To przekracza wszystko, co obserwowaliśmy z ich strony od... nawet nie wiem jak dawna.

– Boją się Sturm, więc przestali zabijać z przestrzeni kosmicznej jak tchórze, za to zatrudniają innych, by zabijali dla nich na powierzchni planet... jak tchórze.

Głos Krissa brzmiał spokojnie i był wyprany z jakichkolwiek emocji, choć Sienele czuł, że Lucjanin jest bliski wybuchu.

– Jakim sposobem jesteś tak spokojny?

– Nie mogę w żaden sposób wpłynąć na przebieg tego starcia. Nie podoba mi się to, ale tak się sprawy mają. Po co miałbym się oddać wściekłości, obawie czy panice? – zapytał Kriss, biorąc głęboki oddech. – Zapytaj mnie o moje uczucia, gdy będą mogły czemuś służyć. Do tego czasu będę czekał... i obserwował.

„Lucjanie!”

Prawie wymknęło mu się to głośno, ale tak naprawdę Kriss miał rację. Nie mógł nic zrobić.

Tylko czekać...

I obserwować.

Okręt portalowy

Sorilla biegła.

Zmuszała się do równego tempa. Nie chciała przemierzyć okrętu w szalonym pędzie. Wiedziała, że musi zachować siły. Nie miało sensu dotrzeć do celu o kilka sekund wcześniej, ale kompletnie bez sił.

Poza tym zbyt szybkie tempo utrudniałoby jej unikanie zasadzek zastawianych naprędce w różnych miejscach.

Siły bezpieczeństwa Ross działały szybko i wydawało się, że dysponują nieskończonym zapasem goblinów.

„Cieszę się, że nie mieli ich tylu na Haydenie”.

To pewnie nie do końca zgadzało się z prawdą, choć można było odnieść takie wrażenie. Prawdopodobnie goblinów na Haydenie znajdowało się znacznie więcej, niż się wydawało, szczególnie w pierwszych dniach wojny. Po prostu nigdy na nie nie wpadła, a przynajmniej nie w takiej ilości. Dżungla skrywała wiele tajemnic.

Teraz jednak miała wrażenie, że walczy z nieskończonym napływem cholernych gratów, a naprawdę nie chciała tracić na to czasu.

„Bez szans, że nadam sygnał na okręt Sojuszu. Nawet nie mam pewności, czy jeszcze żyją, ale czegoś muszę spróbować”.

Ale co by to miało być, tego jeszcze nie wykombinowała. Opracowała coś na kształt planu, choć to słowo było zdecydowanie na wyrost. Miała raczej mglistą koncepcję, która mogła przekształcić się w plan, a raczej po fakcie okaże się, że był to jednak jakiś plan. Na tyle tylko mogła teraz liczyć.

Jednostka Ross miała niedaleko małe centrum dowodzenia. Było połączone kablami z osią systemu okrętu, w związku z tym wróg nie mógł go całkowicie odciąć. Pewnie dało się wyłączyć całą konsolę, ale na to Sorilla miała sposób.

Jeśli miała rację, zyska szansę... być może... ale nic ponadto. Tyle jej wystarczy.

Entropia zmierza w stronę centrum dowodzenia trzeciego stopnia dla sektora. Interesujące.

Co jest interesujące? Nie ma tam nic, do czego mogłaby uzyskać dostęp, wszystko zablokowaliśmy. Koniec gier z tą istotą. Wykończyć ją.

Czynimy to. Interesujące jest to, że wydaje się nie pojmować, że mamy pełną kontrolę nad systemami. Być może jest to słaba strona ludzkich jednostek?

Możliwe. Dane Sojuszu są ograniczone w tym zakresie. Podjęto zaledwie kilka prób infiltracji, a jedna zakończyła się sukcesem, więc to domniemanie nie jest bezpodstawne.

Wartościowe informacje, chociaż to. Weszła właśnie do pomieszczenia.

Konklawe obserwowało, jak Entropia pokonała zabezpieczone drzwi z nieco zawstydzającą łatwością, dostając się do centrum dowodzenia trzeciego stopnia. Nic nie mogła tam osiągnąć, bo wszystko zostało wyłączone, nawet zasilanie.

Po prostu minęła terminale. Co zamierza?

Nie wiadomo. Cele i działania Entropii od dawna opierają się wszelkim przewidywaniom.

Starszyzna poderwała się gwałtownie, gdy Entropia zaczęła zrywać ze ścian i podłogi panele, wyraźnie czegoś szukając.

Zamierza dostać się bezpośrednio do źródła zakrzywień czasoprzestrzennych.

Niemożliwe! Ludzie nie mają nawet ułamka technologii wymaganej do użycia... Czy ona sięgnęła właśnie do źródła samymi dłońmi?

Konklawe zamilkło w szoku, z niedowierzaniem obserwując poczynania Entropii.

„Beznadzieja”.

Sorilla zacisnęła zęby, walcząc ze sprzecznymi odczuciami i próbując zbliżyć czujniki pancerza dostatecznie blisko strumienia danych Ross, by odczytać informacje, których szukała.

Obcy używali swojej wersji technologii zakrzywienia czasoprzestrzennego do przesyłu danych, co nie było dziwne, zważywszy na to, jak duża część dorobku Ross bazowała na tej podstawowej sile wszechświata. Jednak Sorilli trudno było wypracować interfejs spójny z elektronicznymi systemami jej implantów.

Na szczęście SOLCOM zrobił bardzo dużo, by ona i inni pierwszoliniowi specjaliści mieli jak najwięcej możliwości pozyskiwania i gromadzenia informacji o przeciwniku – a jedną z takich rzeczy był interfejs pozwalający na interpretację modulacji czasoprzestrzennych. Trzeba było tylko znaleźć odpowiednie miejsce, by móc je nagrać.

Ogólnie podstawową metodę stanowiło używanie terminali Ross. Z założenia wszelkiego rodzaju konsole i punkty dostępowe to najlepsza droga połączenia z jakąkolwiek technologią. Na szczęście SOLCOM nie zakładał, że terminale będą zdatne do użytku po walce, więc Sorilla miała do dyspozycji inne opcje. Dane płynące przez łącze wydawały się z początku chaotyczne, musiała ręcznie dostosować własne czujniki do przepływu informacji, by cokolwiek z nich zrozumieć. Gdy już jej się to udało, z przyjemnością stwierdziła, że nie są kompletnie niezrozumiałe.

Było ich jednak za dużo.

Łącze Ross przesyłało zdecydowanie więcej danych, niż jej pancerz byłby w stanie przyjąć bez dodatkowej zewnętrznej mocy

obliczeniowej. Takiego wsparcia nie miała. Przekierowała do obliczeń zasoby swoich implantów, choć była to zaledwie kropla w morzu wymaganego taktowania, i skupiła się na odfiltrowaniu niepotrzebnych informacji.

Większość strumienia dotyczyła bieżących działań na okręcie. SOLCOM zabiłby za takie dane, ale Sorilla aktualnie nie miała dla nich taktycznego zastosowania, a nie dysponowała przestrzenią, by je zgrać. Odrzuciła całkowicie tę sekcję. Potem to samo zrobiła z potężnym sektorem wyglądającym na dane personalne, biometryczne, neuronalne i podobne. Rozpoznała je tylko dzięki temu, że jej własny system nadawał telemetrię, którą można było podpiąć do wzmacniaczy SOLCOM-u. Te informacje miały ludzaco podobną strukturę, nawet pomimo innego medium.

Znowu – interesujące, potencjalnie ważne... i taktycznie bezużyteczne.

Od tego punktu mogła już analizować pozostały strumień danych w poszukiwaniu potrzebnych jej informacji. Z pewnością się tam znajdowały, co do tego nie miała wątpliwości.

Znajdzie je.

Parithaliański krążownik „Czoła Wichru”

Czujniki okrętu zostały prawie w całości przekierowane do skanowania defensywnego. Przeczesywały przestrzeń w poszukiwaniu albo wrogiej jednostki, albo oznak kolejnego ataku. Ross używali broni grawitacyjnej, która tworzyła krótkotrwałą anomalię poprzez zakrzywienie czasoprzestrzeni wokół siebie samej, co łamało barierę między wymiarami i zwiększało wartość lokalnej stałej grawitacyjnej.

Rezultat tego działania dla dowolnej jednostki pochwyconej w obszar anomalii był tyleż przewidywalny, co spektakularny.

Na szczęście efektu nie dało się otrzymać natychmiast i nie było to coś, czym można miotać w przestrzeni, co przekładało się na jedną realną szansę w walce z superbronią. Wczesne wykrycie anomalii dawało załodze „Czoła Wichru” kilka chwil na odpalenie pełnej mocy silników i ucieczkę z pola rażenia.

Jeśli okręt okazałby się zbyt wolny, stałby się bardzo małą i krótkotrwałą gwiazdą w czarnej pustce lokalnego systemu.

– Łuk styczny jeden-dziewięć-jeden zeskanowany. Brak sygnału, mistrzu okrętów.

– Rozpocząć skanowanie jeden-dziewięć-dwa.

– Tak jest.

Najwyraźniej przeciwnik postanowił wziąć ich na przetrzymanie. Nelim nie miał wątpliwości, że jeśli podejmie próbę ucieczki z układu i zbliży się do punktu skoku, wróg zrealizuje swój pierwotny plan. Dopóki jednak tkwili w pułapce systemu, najwyraźniej przeciwna strona nie czuła presji, by zakończyć życie załogi „Czoła Wichru”.

Mistrz okrętów pochylił się nad swoją konsolą i zapatrzył przed siebie.

Przestudiował działania wojenne Ross i miał pełną świadomość tego, do czego są zdolni. Nie było to coś, z czym kiedykolwiek chciałby się zmierzyć. Ale skoro Ross zdecydowali o tym za niego, nie zamierzał oddać im pola w ciszy i z pokorą.

W ten czy inny sposób sprawi, by Ross poczuli, że brali udział w walce.

Okręt portalowy

Konklawe całkowicie skupiło uwagę na Entropii i odkryło, że najwyraźniej jest zdolna do odczytywania danych bezpośrednio z głównego łącza. Jeszcze chwilę wcześniej wszyscy co do jednego przysięgliby, że to niemożliwe.

Ludzie okazali się znacznie bardziej niebezpieczni, niż wskazywałyby na to jakiegokolwiek wcześniejsze kalkulacje.

Przy pierwszym spotkaniu gatunek sklasyfikowano jako kolejną mało znaczącą rasę pośród wielu innych w Galaktyce. Nie było to żadne nadzwyczajne odkrycie. Wszystkie rasy Sojuszu poza jedną uznawano za podobne. Lud w większości ignorował ich poczynania, chyba że wpływały na terytorium, którego Lud bronił, lub operacje, które prowadził.

Większość gatunków szybko uczyła się, by unikać sprawiania Ludowi jakichkolwiek problemów. W przeciwnym razie zuchwałych czekała szybka eksterminacja, nieobciążona żadną refleksją poza tą, by była skuteczna. Tak również oceniano ludzi. Gdy wchodzili Ludowi w drogę, byli unicestwiani, a gdy w niczym nie wadzili – ignorowani.

Tak z zasady Lud traktował niższe stworzenia.

Ludziom się to oczywiście nie podobało. Nie byli w tym odosobnieni. Większość jednak szybko uczyła się, by zwyczajnie schodzić Ludowi z drogi, gdy działał w pobliżu.

Ludzie postanowili inaczej.

Prawdę mówiąc, to właśnie oni zmusili Lud do wycofania się. Zniszczenie połączonych flot zszokowało populację i zasiało strach przed nieznanym.

W efekcie ludzie byli traktowani z daleko idącą ostrożnością, którą wielu spośród Ludu, a także starszyzny konklawe, uznawało za nieuzasadnioną. Najbardziej prawdopodobne przyczyny zniszczenia połączonych flot nie leżały w ludziach, lecz... nikt właściwie nie był pewien.

Niepewność była odium dla całego Ludu, a szczególnie konklawe.

Po prostu MUSIELI wiedzieć, musieli zidentyfikować i określić wszystkie zmienne, nim mogliby sformułować plany dotyczące przestrzeni, do której prawa rościli sobie ludzie.

Nie było innej drogi.

W związku z tym na razie czekali i obserwowali.

„Mam cię”.

Informacje, których Sorilla szukała, wciąż jej umykały, ale było to zrozumiałe. Znalazła je w końcu w jednym z głębszych strumieni danych, choć oszołomiła ją gęstość zapisu.

Nie miała wątpliwości, że SOLCOM i wszelkie korporacje ziemskie bardzo chciałyby dorwać się do takiej technologii zapisu danych... Choć jak Sorilla o tym dłużej pomyślała, zaczęła się zastanawiać, czy faktycznie ma do czynienia z jakąkolwiek kompresją danych w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Możliwe, że obserwowała właśnie dosłownie skompresowaną czasoprzestrzeń, co miało służyć pomieszczeniu większej ilości danych w dostępnej przepustowości.

„Bez znaczenia. Niech ktoś inny nad tym kombinuje. Ja mam to, czego mi trzeba”.

Pierwszą partią poszukiwanych informacji była określona w czasie rzeczywistym pozycja krążownika Sojuszu. Sorilla nie chciała tracić czasu i energii na próby ratunku, jeśli Ross już zniszczyli okręt

Na całe szczęście „Czoło Wichru” było wciąż nieuszkodzone, a załoga najwyraźniej zdołała wykryć na czas atak Ross bez jej pomocy. Pari wdrożyli manewry awaryjne i oddalali się od punktu skoku, jeśli dobrze odczytywała współrzędne. Przekierowali też pełną moc na skanowanie aktywne.

To była zrozumiała decyzja, choć niefortunna – i mało prawdopodobne, by przyniosła im jakiegokolwiek korzyści.

Aktywne skanowanie było bardzo skuteczne w odniesieniu do najbliższego otoczenia, powiedzmy około kilku sekund świetlnych. Poza tym obszarem prawo odwróconego kwadratu szybko upominało się o swoje, skutkując stosunkowo niskim progiem wykrywalności. Sorilla oceniała, że w bieżącej sytuacji aktywne skanowanie co najwyżej pomagało Ross dokładnie namierzyć krążownik.

Nie było to jednak aż tak wielkie ryzyko, jak mogło się wydawać, bo Ross i tak najpewniej śledzili położenie jednostki.

Sorilla odepchnęła te myśli. W tej chwili liczyło się tylko to, że wciąż żyją... a ona namierzyła okręt Ross, który do nich strzela.

Teraz pozostawało jej tylko zrobić coś z tą informacją.

Jej mięśnie i kości zaprotestowały, gdy podniosła się znów na nogi. Bolesne obrażenia wyraźnie jej przypominały, że nie jest już tym niezniszczalnym dzieciakiem, który dopiero co wstąpił do armii. Cholera, nie była już nawet drużynową staruszką... ten etap też miała od kilku lat za sobą.

Kuracje przedłużające życie bardzo się rozwinęły, spowalniając, a nawet odwracając skracanie telomerów, a mimo to ciężar lat jakoś dawał o sobie znać.

Sorilla przeciągnęła się, spychając ból gdzieś w głąb świadomości, i ruszyła dalej. Będzie się martwić swoim wiekiem, gdy kolejne urodziny staną się nieco bardziej prawdopodobne.

A tymczasem miała robotę do wykonania.

Entropia jest w ruchu.

Konklawe z coraz większą fascynacją obserwowało poczynania istoty zwanej Entropią. Nie była zwierzęciem, jak jej pobratymcy... a skoro ona nie była zwierzęciem, ile jeszcze było takich jak ona?

Na to pytanie Lud będzie sobie musiał odpowiedzieć w najbliższej przyszłości, ale na razie członków konklawe całkowicie pochłaniało przewidzenie dalszych działań Entropii i zażegnanie zagrożenia, jakie sobą przedstawiała. Siły bezpieczeństwa były już na pozycjach,

by uniemożliwić jej ucieczkę. Przekierowano również kilka cięższych mechanoidów – na wszelki wypadek, choć pojawiły się wątpliwości, czy ta grupa będzie miała większą szansę sukcesu niż poprzednie... Ale przecież jedyne, co trzeba było zrobić, to pojedyncze celne uderzenie.

Czas i przestrzeń były sojusznikami Ludu we wszystkich aspektach, a w tym w szczególności.

Konklawe zaczęło analizę nadchodzącego starcia.

Sorilla wyjrzała za drzwi i skrzywiła się pod osłoną hełmu.

„To naprawdę dużo goblinów i nawet parę golemów. Chyba ich wkurzyłam”.

Normalnie byłaby z siebie całkiem zadowolona. Wkurzanie wroga było jedną z jej podstawowych metodologii działania. Wściekli przeciwnicy popełniali błędy, a błędy na polu bitwy dało się obrócić w broń, jeśli tylko dobrze się je rozegrało.

Jednak Ross nie popełniali błędów.

Sorilla mogłaby się pokusić o stwierdzenie, że Ross jej nie doceniali... ale wolała unikać takich tez, kiedy za drzwiami czekała na nią kompania goblinów z ciężkim wsparciem. To akurat sprawiało, że czuła się wręcz przesadnie doceniona.

A tak zupełnie poważnie myślała, że żadna z tych opcji nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Siły przeciwnika, jakie napotykała, rosły w sposób przewidywalny i liniowy, nie wskazując ani na przesadną reakcję na jej wcześniejsze ucieczki, ani na folgowanie.

„Testują mnie niczym szczura w labiryncie” – uświadomiła sobie.

Ta myśl nieco ją rozdrażniła. Zbierała dane o Ross, ale jednocześnie oni robili to samo z nią. Znała tę grę. Dwie strony, które powstrzymują się od uderzenia z pełną mocą, za to podszczypują się, by zdobyć jak najwięcej informacji o reakcjach przeciwnika, jednocześnie broniąc się przed ujawnianiem czegokolwiek o sobie.

Ta gra często nie miała w ogóle zwycięzcy, a przynajmniej nie od razu.

Zwycięzca wywiadowczej gry w cykora ujawniał się dużo później, gdy rozstrzygały się losy wojny.

Na to jednak Sorilla nie miała teraz czasu.

„Jak, do cholery, wydostać się z tego bagna?”

Nie pierwszy raz zamarzyła o granatach. To otworzyłyby przed nią o wiele więcej opcji walki z wewnętrznymi siłami bezpieczeństwa jednostki Ross, ale też musiała przyznać sama przed sobą, że jeśli miała rację i Ross monitorowali ją, stopniowo zwiększając swoją odpowiedź na jej poczynania, granaty mogły wcale nie być aż tak dobrą opcją, jak się jej wydawało.

Zmuszenie Ross do szybszej eskalacji mogłoby nie skończyć się dla niej dobrze. Choć była pewna swoich umiejętności, miała pełną świadomość, że dysproporcja sił jest... znacząca. Jeden błąd i jest po niej.

Ross mieli tyle szans, ile mieli oddziałów bezpieczeństwa... a ta liczba zdawała się praktycznie nieskończona.

Spojrzenie za drzwi dało Sorilli ogłęd rozmieszczenia i przybliżonej liczebności przeciwnika. Gobliny ustawiły się już w szeregu, a golemi stały spokojnie z tyłu, czekając na swoją okazję, jeśli Sorilla za bardzo się zbliży.

„Niedobrze” – pomyślała ponuro.

Wyglądało na to, że wszystkie luki taktyczne, jakie wcześniej wykorzystywała, zostały załatane. Podejrzewała, że walka w zwarciu również mogła nie być już dobrym pomysłem, bo raczej nie powinna liczyć na to, że mechanoidy dalej będą unikały przypadkowego ostrzelania siebie nawzajem. Oczywiście nie miała pewności, że Ross zmienili ten aspekt oprogramowania robotów, ale nie miała zamiaru nie doceniać przeciwnika i zakładać, że nie zrobi czegoś, co ona sama uznawała za oczywiste i konieczne.

To nie zostawiało jej zbyt wielu opcji – poza jedną.

„Może”.

Sięgnęła po skaner, który zabrała wcześniej z magazynu. Od początku miała na niego pewien pomysł, ale liczyła na nieco więcej czasu w jakimś bezpiecznym miejscu, by mogła go odpowiednio przygotować.

„Na to już chyba nie mam co liczyć”.

Skaner Ross wyglądał dziwacznie. Był znacznie mniejszy, niż powinien, i wywoływał dyskomfort od samego patrzenia na niego. Coś w jego konstrukcji ją odrzucało. Nie umiała zrozumieć tego uczucia, póki do niej nie dotarło, że jej oczy i akcelerometry odbierają sprzeczne dane, podobnie jak jej zmysł dotyku.

Oczy mówiły, że trzyma pudełko. Niezbyt duże. Szarawy metal, może jakiś stop. Nic nadzwyczajnego. Opuszki jej palców opowiadały zupełnie inną historię. Wyczuwały teksturę, w dodatku zmienną. W jednej chwili powierzchnia zdawała się całkowicie pozbawiona tarcia, jakby Sorilla nie trzymała w dłoniach niczego, a chwilę później coś kleistego przyczepiało się jej do rąk.

Innymi słowy – dziwne. Bardzo dziwne.

Odrzucały ją jednak przede wszystkim odczyty z akcelerometrów, które przesyłały dane prosto do jej mózgu, a podświadomość próbowała jakoś je zrozumieć.

Akcelerometry mówiły, że to, co trzyma, jest wielkie i złe. Było w tym coś, czego nie mogła zobaczyć ani dotknąć, ale jej mózg był całkowicie pewien, że to coś tam było.

Ludzki mózg nie lubił tego rodzaju sprzeczności. Skutkowały one reakcją trzewną. Sorilla już się do tego przyzwyczaiła. Odczuwała mdłości od samego początku, odkąd miała implanty, a jej mózg uczył się dekodować i interpretować nowe sygnały. Sprzeczne informacje bywały dawniej źródłem sporej dawki nieprzyjemności, bo sam sposób odczuwania otaczającego Sorillę świata skutkował gwałtownymi wymiotami.

To jedno, a drugie – efekt doliny niesamowitości. To uczucie, gdy widziało się ruchomy obiekt wyglądający prawie jak człowiek, ale nie do końca. Sorillę spotkało to kilka razy wobec niektórych przedstawicieli Sojuszu – ale niewielu. Większość była zbyt obca, by wywołać to paskudne uczucie odrazy, jakby się obserwowało chodzące zwłoki.

To pudełko... jakimś sposobem wywoływało taką reakcję.

Było niepokojące, ale Sorilla nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Odnalazła interfejs, podłączyła go do pancerza i aktywowała urządzenie.

„Mam nadzieję, że to zadziała”.

Mając już skaner aktywny i połączony z pancerzem, Sorilla poświęciła kilka chwil na upewnienie się, że interfejs był dokładnie taki, jak się spodziewała.

„Wygląda to na standardowy sprzęt Ross, nie widzę większych zmian względem tego, co SOLCOM już rozgryzł. No dobra, pobieram strumień danych... kieruję do swojego głównego procesora...”

Sorilla skrzywiła się odruchowo, gdy procesor próbował zinterpretować zalew danych, które prawie natychmiast go przegrzały. Szybko przerwała połączenie. Nie było mowy, że rdzenie jej procesorów będą w stanie ogarnąć strumień danych Ross bezpośrednio, a na pewno nie z aktualnym oprogramowaniem.

Na szczęście miała inny plan.

„Wyizolować sygnał, przekierować przepływ danych...” Sorilla aktywowała program, który mógł podzielić strumień danych i wprowadzić w nim przerwy, używając zaprogramowanych opóźnień odpowiadających lokalizacji akcelerometrów w jej ciele i pancerzu. „Podzielić strumień danych, wprowadzić opóźnienia... i wysłać do implantów. Och...”

Sorilla aż oparła się o ścianę, gdy nagła zmiana odczuwania rozkwitła w jej wnętrzu w sposób, jakiego w żaden sposób nie umiałyby opisać. Skaner przesyłał odczyty w czasie rzeczywistym do jej implantów, które kierowały dane bezpośrednio do jej mózgu.

System powinien wtedy przejąć sygnały i przetworzyć je w rdzeniach komputerowych... ale jej mózg miał inny pomysł.

Okręt wokół niej nagle stał się doskonale przejrzysty... właściwie nie tyle wizualnie przejrzysty, co... coś więcej.

Jakby był częścią jej ciała. Sorilla wiedziała wszystko o przestrzeni wokół siebie, знаła nawet rozmieszczenie sił bezpieczeństwa, choć nie mogła ich widzieć. Wzięła głęboki oddech, próbując się oswoić z nowymi odczuciami. Skaner nie był idealny. Jego zasięg był bardziej ograniczony niż jej podstawowych akcelerometrów, więc odczuwała przyciąganie większych źródeł grawitacji spoza zasięgu skanera, co skutkowało wewnętrzną rozbieżnością w jej postrzeganiu świata.

Mimo to zmiana była... powalająca.

Mogła czuć okręt, mechanoidy, własne pistolety i przechwycony karabin impulsowy, a wszystko to nawet bez spojrzenia

w odpowiednią stronę. Było to równie proste jak złączenie dłoni z zamkniętymi oczami.

To było wręcz podniecające, inne niż wszystko, czego dotąd doświadczyła. Nawet czterowymiarowa mapa była inna, w pewnym sensie bardziej... płaska. Sorilla nie umiała tego wyjaśnić.

Uniosła broń impulsową i sprawdziła ustawienia. Podkreśliła konfigurację względem ograniczeń, jakie najwyraźniej obowiązywały siły bezpieczeństwa, najpewniej w celu uniknięcia uszkodzeń okrętu. Był to bardzo rozsądny pomysł, którym Sorilla nie miała zamiaru w ogóle się przejmować.

„Zobaczmy, jak dobrze to działa”.

Wybiegła zza osłony drzwi, trzymając broń przed sobą, i zaszarżowała na wroga.

Powiedzieć, że konklawe było zaskoczone działaniami istoty znanej im jako Entropia, to pewne niedoszacowanie. Choć członkowie starszyny przywykli już, że kobieta korzysta z coraz to nowych, kompletnie szalonych pomysłów, których wydaje się mieć nieskończony arsenał, nie spodziewali się, że zaszarżuje bezpośrednio na przeważające siły bezpieczeństwa, jakby szukała śmierci w boju.

Zaskoczenie tym faktem było jednak minimalnie mniejsze niż tym, że zdołała jednak nie zginąć.

Tu! To, powtórzcie to!

Projekcja zatrzymała się, po czym cofnęła nieco, by powtórzyć jeden fragment walki, która w rzeczywistości rozgrywała się dalej w nieskompresowanym czasie. Dla konklawe kompresja czasu przekładała się na to, że starszyna mogła kilkukrotnie przeglądać nagrania i przewidywać dalsze akcje na długo przed tym, nim zostaną podjęte.

W normalnej sytuacji.

Nie działało to za dobrze, gdy wróg opierał się przewidywalności.

Nagranie wznowiło się w chwili, gdy Entropia ruszyła do ataku z pomieszczenia bezpieczeństwa prosto w krzyżowy ogień czekających na nią sił. Najwyraźniej ignorując zupełnie swój

instynkt przetrwania, otworzyła ogień i powaliła trzy mechanoidy, a pozostałe zaczęły ostrzał.

To powinno zakończyć starcie, ale Entropia przeszła w niski ślizg, dzięki czemu śmiertelne impulsy przelatowały jej nad głową, nie czyniąc żadnej krzywdy... przynajmniej nie jej. Znacznie więcej mechanoidów padło za to od bratobójczego ognia.

Był to imponujący manewr, ale to nie on przykuł uwagę jednego ze starszyzny.

Kobieta zgięła kolano, by rozpocząć ślizg, a tarcie zmusiło ją do przejścia ze ślizgu na stopach do pozycji klęczącej, z której kontynuowała ostrzał. A potem stało się to. Mechanoid wystrzelił zza jej pleców, co było potwierdzoną lokalizacją o najmniej strzeżonym kącie, biorąc pod uwagę możliwości obserwacyjne pancerza Entropii.

Impuls mknął w jej stronę, rozdzierając czasoprzestrzeń, po czym minął swój cel, bo kobieta skuliła ramiona i szyję, pochylając głowę, po czym natychmiast wróciła do pozycji strzeleckiej i kontynuowała ostrzał.

To nie jest możliwe. Nie powinna być zdolna do tak precyzyjnego uniku, choćby nawet dostrzegła mechanoida, nim wystrzelił. Robi coś nowego.

Konklawe zrozumiało, że to stanowi sedno sprawy.

Czy sztuczki, które ten gatunek umiał wymyślić na poczekaniu, nigdy się nie kończą?

Entropia była oczywiście ekstremalnym przypadkiem, ale i tak nie była nawet przyczyną największych zniszczeń spośród wszystkich ludzi. Cokolwiek stało się z grupą bojową, było znacznie bardziej destrukcyjne, a stało się najpewniej za przyczyną jakiegoś człowieka. Wciąż pozostawało to zagadką, choć powstało mnóstwo teorii tłumaczących te wydarzenia.

Wszyscy członkowie starszyzny podzielali jedno uczucie, choć jeszcze nie zdążyli wypowiedzieć go na forum.

Co, do wiecznej otchłani, jest nie tak z tymi ludźmi? Czy nie mogą po prostu być niezmienni? Za każdym razem, gdy stajemy naprzeciwko nich, mienia się nam w oczach!

Konklawe w pełni dzieliło te uczucia, ale zbyt dużo się działo, by wszyscy mogli dołączyć do narzekań.

Sorilla powstrzymała się od dzikich okrzyków radości, gdy wbiła się w grupę goblinów i poza bronią impulsową puściła w ruch nogi, kolana i łokcie.

Odczucia, bodźce były wręcz nierealne.

Jedyny, choć wewnętrznie sprzeczny sposób opisu tych doznań, jaki przychodził jej do głowy, to coś na kształt ograniczonej wszechwiedzy. Znała pozycję przeciwników bez patrzenia, a gdy tylko zaczęli ładować broń, Sorilli zdawało się, że słyszy alarm. Impulsy czasoprzestrzenne zmierzające w jej stronę czuła jak własne kończyny, a nie ma nic prostszego niż uniknięcie ciosu, który się samemu sobie wymierza.

Nie przekładało się to na sytuację idealną. Taki nawał danych przeciążał implanty Sorilli. Musiała całkowicie odizolować strumień informacji, by jej osprzęt zdołał wyekstrahować z niego cokolwiek przydatnego. Mózg przejął najcięższą robotę, a procesory skupiły się na czymś innym. Było jasne, że sama wiedza nie wygra dla niej walki.

Przeciwnicy mogli zdławić jej opór choćby i samą przewagą liczebną. Było ich naprawdę dużo, a każdy aż nazbyt chętny, by otworzyć ogień, nawet jeśli pozycja innych goblinów i Sorilli praktycznie się pokrywała.

Aida poderwała jednego z mechanoidów, by stracił oparcie, i rzuciła nim w innego, który właśnie wystrzelił. Odłamki zniszczonych maszyn zasypały jej pancerz, ale ona już pędziła dalej.

Strumień danych dał jej to, czego szukała, a grupa maszyn stała teraz pomiędzy nią a jej celem.

Nie była to dla nich optymalna pozycja i Sorilla zamierzała dać im twardą nauczkę.

Impulsy czasoprzestrzenne rozrywały pokład, a Sorilla lawirowała pomiędzy przeciwnikami tak, by naprowadzić ich ogień na towarzyszy. Nie szczędziła przy tym swojej zdobyczej broni impulsowej, a każdy ruch przybliżał ją do celu.

Tu unik, tu pad, tu ślizg... raz górą, raz dołem, z każdym ruchem przesuwała się na tyły formacji przeciwnika, który właśnie próbował ją okrążyć i zacieśnić sztyk.

Gobliny nie stanowiły większego zagrożenia, choć ich zmasowany ogień mógł być niebezpieczny – ale z golemami należało się liczyć.

Nie były co prawda zbyt zwinne w porównaniu z możliwościami człowieka, ale gdy już się rozpędziły, z łatwością mogłyby przegonić każdego ziemskiego żołnierza, który nie miałby chociaż częściowego wspomagania. Sorilla była pewna, że w swoim pancerzu zdoła uniknąć ataku jednego golema, ale jak dotąd naliczyła ich sześć. Jej umiejętności i doświadczenie nie wystarczą, jeśli popełni jakąś głupotę i da golemom choć cień szansy na atak.

W biegu Sorilla chwyciła najbliższego goblina za głowę i szarpnęła w bok, zbijając go z nóg. Dwunożne stworzenia złapane za głowę nie miały innego wyjścia, jak iść tam, gdzie się je prowadzi – co w takim samym stopniu dotyczyło mechanicznych konstrukcji.

Sorilla poderwała maszynę wyżej i rąbnęła nią głową w dół z pełnym impetem. Siła okazała się wystarczająca, by roztrzaskać kompozytowy materiał. Nim opadły odłamki, Sorilla znów była w ruchu, przetaczając się po ziemi i unikając trzech wystrzelonych w jej stronę impulsów.

Gdy dosięgły celu, Sorilla była już gdzie indziej, a z goblina nie zostało zbyt wiele.

Poderwała się z powrotem na nogi i puściła pędem prostopadle do poprzedniego kierunku ruchu, zaskakując gobliny śledzące jeszcze jej poprzedni wektor, co dało jej krótką chwilę na zaplanowanie kolejnego ruchu.

Zatrzymała się gwałtownie przy ścianie korytarza, odwróciła i wystrzeliła z broni impulsowej do najbliższego golema.

Impuls był wyraźnie widoczny, gdy rozdzierał czasoprzestrzeń na swojej drodze, przewracając kilka wytrąconych z równowagi goblinów, nim rąbnął z pełną mocą w znacznie większego golema. Sorilla przyglądała się, jak wielki mechanoid zaczął się skręcać i marszczyć w kontakcie z zakrzywieniem czasoprzestrzennym. Przez ułamek sekundy nie była pewna, czy broń okaże się dostatecznie mocna, by cokolwiek zrobić potężnej maszynie, ale wtedy pojawiło się pierwsze pęknięcie.

Pancerz zwinął się wokół siebie samego, po czym nagle wybrzuszył i eksplodował z ogromną siłą, śląc w gęsto upakowaną goblinami przestrzeń wachlarz rozpędzonych odłamków.

Sorilla przewidziała to i padła płasko, pozwalając niszczącej fali przelecieć nad jej głową i rozerwać gobliny z brutalną i bezwzględną efektywnością. Gdy fala przeszła, Sorilla leżała bez ruchu jeszcze przez chwilę... podobnie jak wszystko inne.

Gobliny, które wciąż stały, z głuchym brzękiem upadły, roztrzaskując się o pokład. Sorilla szybko poderwała się na nogi, oceniając sytuację. Większość goblinów padła, ale wraz z nimi tylko jeden trafiony przez nią golem. Pozostałe okazały się dostatecznie opancerzone, by wytrzymać falę odłamków. Nie stanowiło to dla Sorilli zaskoczenia.

Nie miało to też większego znaczenia, bo Sorilla uzyskała dokładnie to, czego chciała – czystą drogę w stronę swojego celu. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, wykorzystwała okazję i rzuciła się do ucieczki, nie szczędząc sztucznych muskułów pancerza. Słyszała, jak za jej plecami pozostałe siły bezpieczeństwa próbują się przegrupować, by dalej ją ścigać.

„Powodzenia. Przyda się wam”.

Konklawe zamilkło.

Na krótką chwilę.

Na bezdenną otchłań, co to było?

Zniszczenie sił bezpieczeństwa?

Nie, to jest oczywiste. Entropia nieraz już pokazała, że umie posługiwać się naszą technologią – wbrew wszelkiej logice. Ale jak udało jej się unikać postrzałów dostatecznie długo, by to osiągnąć? Pokazać raz jeszcze nagrania!

Projekcje ożyły, konklawe analizowało wiele nagrań jednocześnie z zachowaniem pełnych relacji przestrzennych.

Widzicie? Tu, tu i tu. Jeden ze starszyzny wskazał konkretne momenty walki. Te działania graniczą ze zdolnościami prekognitywnymi!

Uspokój się. Ten gatunek nie ma tego typu możliwości czy zdolności, tego jesteśmy pewni.

To bardzo miłe i poprawia mi nastrój, ale spójrzcie na nagranie.

Konklawe wręcz wrzało od sprzecznych opinii, jednak dowody na nagraniu nie pozwalały jednoznacznie odrzucić wynikających z nich wniosków. Był to poziom zagrożenia, jakiego Lud nie doznał ze strony żadnego z napotkanych gatunków – aż do tej chwili.

Nawet sami Sturm nie mogli przewidywać przyszłości.

To było zarezerwowane dla Ludu i tylko dla Ludu... ale członkowie konklawe nie byli pewni, czy nie są właśnie świadkami czegoś innego. Spór się zaostrzał, a stron było prawie tyle, co głosów. Wszyscy próbowali ustalić, co właśnie zobaczyli.

Jeśli było to przewidywanie przyszłości, zignorowanie sprawy nie wchodziło w grę. Lud miał zdolność uchwycenia strzępów przyszłości, ale tylko po gruntownych przygotowaniach, by nie wpłynąć na szerszą teraźniejszość poza zamkniętymi, izolowanymi pętlami czasowymi. Paradoks był klątwą w oczach każdej zaawansowanej rasy i ścieżką, którą należało kroczyć z rozwagą.

Wywołanie prawdziwego paradoksu graniczyło z niemożliwością. W normalnych okolicznościach wszechświat udaremniał jakąkolwiek próbę, która mogłaby prowadzić do takiego efektu... ale istniały dowody, że coś takiego się stało... Lud znalazł je w ruinach innych, bardziej rozwiniętych cywilizacji.

Na podstawie wszystkiego, co wiemy o wszechświecie, to, co ona robi, nie może być przewidywaniem przyszłości. Musi istnieć inne wyjaśnienie.

Głos rozsądku uspokoił starszyznę. Konklawe miało świadomość tej prawdy, nawet jeśli wielu spośród zgromadzonych zapomniało o niej w ogniu dyskusji.

Dobrze. Ale co to jest? Musimy wiedzieć.

Ustalimy to. Wcześniej nie prezentowała takich zdolności. Co robiła w pomieszczeniu bezpieczeństwa?

Entropia zyskała dostęp do zabezpieczonego łącza danych – wbrew wszelkiej logice i zdrowemu rozsądkowi – pozyskując informacje, których jeszcze nie określiliśmy. Następnie opuściła pomieszczenie, podejmując starcie z naszymi siłami bezpieczeństwa i dziesiątkując je, po czym przerwała atak i...

Wróć. Nim starła się z naszymi siłami, spójrzcie...

Pojawiła się projekcja innego miejsca, ukazująca Entropię wyciągającą i aktywującą znany starszyźnie sprzęt.

Skaner środowiskowy. Co z nim?

Czy po aktywacji Entropia sprzęgła jakoś skaner ze swoim osprzętem?

Mało prawdopodobne. Gęstość informacji nadawanych przez skaner jest znacznie większa niż nawet najlepsze systemy ziemskie, jakie analizowaliśmy. Nawet komputery okrętowe miałyby problemy z konwersją tej ilości danych do użycia w czasie rzeczywistym.

Być może... a jednak Entropia uruchomiła skaner. Czy jest nadal aktywny?

Nie wiadomo. Urządzenie pasywnie skanuje czasoprzestrzeń poprzez masowe interakcje.

Śledzić ją bliżej. Musimy wiedzieć.

Konklawe się z tym zgodziło i skierowało więcej sił do monitorowania pozycji Entropii.

A teraz... gdzie ona zmierza?

„To chyba w tę stronę” – pomyślała Sorilla, pędząc przez korytarze i starając się uniknąć jakiegokolwiek kontaktu dzięki śledzeniu próbujących ją przechwycić sił przeciwnika przez skaner.

Okręt był ogromny, w środku znacznie rozleglejszy niż na zewnątrz. Sorilla nie wiedziała, jak to jest zrobione, ale SOLCOM podejrzewał, że mistrzostwo Ross w operowaniu czasoprzestrzenią sięgnęło punktu, w którym mogli zawijać przestrzeń wokół siebie samej, tworząc wewnątrz statku kieszenie znacznie większe, niż wynikałoby to z rozmiarów kadłuba.

Dla gospodarzy musiało to być świetne, ale okazywało się diabelnie trudne i uciążliwe dla kogokolwiek, kto próbował zorientować się w rozkładzie jednostki bez mapy.

Sorilla miała mapę, więc nawigacja była co najwyżej cholernie irytująca.

Skaner podawał jej informacje w czasie rzeczywistym – tak szybko, jak tylko świadomość była w stanie ogarnąć, a pewnie nawet szybciej. Jednak najważniejsze informacje Sorilla przechwyciła z głównego łącza okrętu. Nie były ograniczone zasięgiem skanera, a szukała ich w konkretnym celu.

Chwilowo jednak musiała zająć się oddziałem goblinów, które właśnie robiły na nią zasadzkę za rogiem korytarza. Było ich niewiele, ale Sorilla nie chciała tracić czasu na ich omijanie. Rozpędziła się, a pancerz przyspieszył jej kroki w bezwzględnej szarży.

Gobliny zdawały się niezaskoczone jej nagłym atakiem, ale trudno było oceniać odczucia mechanoidów, w dodatku obcych. Wyskoczyła wysoko, opancerzonym kolanem rozwalając głowę najbliższego goblina, sprowadzając go na ziemię i drugim kolanem miażdżąc mu tułów. Wystrzeliła z broni impulsowej, zmiażdżyła jedną stronę formacji i korzystając z rozpędu, przetoczyła się, poderwała na nogi i pobiegła dalej, nie przerywając ostrzału.

Normalnie pozostawienie za sobą nieunieszkodliwionych sił uznałaby za szczyt głupoty, szczególnie gdy nie dysponowała wsparciem, ale aktualnie i tak cały czas miała za sobą siły przeciwnika. Szybkość miała większe znaczenie.

„To powinno być tuż przede mną”.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

– Potencjalny kontakt, sektor trzydzieści jeden-dwanaście.

Nelim skinął głową i ponaglił oficera gestem.

– Zlokalizować, wyizolować i zidentyfikować. Udzielam pozwolenia na pełne skanowanie aktywne.

– Tak, mistrzu okrętów.

„Czoło Wichru” wciąż wymykało się wrogowi, choć wyglądało na to, że nie oddano w ich stronę żadnych innych strzałów. W starciu z Ross oznaczało to jedynie tyle, że biorą przeciwnika na przeczekanie, zabezpieczając punkt skoku na wypadek próby opuszczenia systemu.

Jeśli załoga krążownika opuści gardę i postanowi skoczyć, da przeciwnikowi drugą okazję do strzału.

Tak się nie stanie. Ten punkt skoku został skreślony z listy Nelima. Nie miał zamiaru kierować swojego okrętu nawet w pobliże tego miejsca. Zdążyli wytyczyć już alternatywną trasę do systemów administracyjnych Sojuszu dłuższą serią skoków przez różne punkty.

Jedynie, co ich teraz powstrzymywało, to chęć upewnienia się, że Ross nie czają się nigdzie w pobliżu i nie zagrażają innym punktom skoku.

Dopóki nie znajdą przeciwnika, „Czoło Wichru” pozostanie w systemie.

Wyniki najnowszych skanów wyglądały obiecująco. Nelim skopiował je do swojego systemu i analizował, podczas gdy specjaliści zajmowali się surowymi danymi.

Ich potencjalnym celem było nieznanne źródło zakrzywień w lokalnej czasoprzestrzeni. To niekoniecznie był wrogi okręt.

Systemy planetarne bardzo często kryły na obrzeżach nawet całkiem spore ciała niebieskie. Docierało tam zbyt mało światła, by odbijało się wyraźnie, szczególnie od skalistych planetoid.

Niemniej ten system był dość dobrze przebadany i nie ujawnił tego typu anomalii w żadnym z ostatnich kilkunastu skanów. To był dobry znak, który zwiększał prawdopodobieństwo, że ich anomalia okaże się poszukiwanym okrętem wroga.

Odległość była jednak dość spora i przekraczała zasięg co szybszych systemów skanujących. Niemało czasu zajmie pozyskanie odpowiednio wyraźnego obrazu celu... a ten czas kapitan wolałby poświęcić na coś innego.

„Zobaczmy, co się stanie, gdy przeskanujemy ich aktywną wiązką...”

Okręt portalowy

Miejscowe konklawe zostało odciągnięte od bieżącej, momentami oświecającej, a cały czas frustrującej sytuacji z Entropią. Ich uwagę przykuły działania krążownika Sojuszu.

Odkryli śledząc ich jednostkę, nasilili aktywne skany tego obszaru. Czy przekroczyli próg wykrycia?

Nie.

Zatem sądzą, że wykryli jednostkę, a jednak jeszcze jej nie namierzyli. Nie podejmować działań, póki skanowanie nie przekroczy progu wykrycia. Zmniejszyć dystans i przygotować się do walki.

Konklawe rozważyło propozycję w skompresowanym czasie i wydało zgodę na taki plan działania. Krążownik Sojuszu był priorytetem, ale znacznie większe zainteresowanie Ross budziła sytuacja na ich okręcie ukrytym pod powierzchnią świata produkcyjnego.

Entropia w działaniu była... fascynująca.

Zawsze porusza się chaotycznie, ale też zawsze okazuje się, że ma jakiś cel. Do czego teraz dąży?

To pytanie kłopotowało starszyznę. Ludzki żołnierz wyraźnie nie lubił zmierzać prosto do celu, nawet będąc w pułapce okrętu składającego się praktycznie wyłącznie z prostych korytarzy. Kiedy Entropia się poruszała, część procedury konklawe stanowiła próba

przewidzenia, gdzie kobieta dotrze... i czy to miejsce było jej pierwotnym celem.

Jak dotąd nikt ze starszyny nie zdołał ani przewidzieć tego pierwszego, ani potwierdzić drugiego.

Jej bieżąca trasa zaprowadzi ją do kolejnego składu.

Czy jest w nim coś istotnego?

Nie. Jedyne zaopatrzenie okrętu, części zamienne, nic o znaczeniu militarnym.

Nie zakładajmy, że Entropia nie zdoła nadać czemuś znaczenia militarnego.

Zgoda.

Uwaga...

Starszyna skupiła się na mówcy, który przedstawił wariant trasy Entropii.

O co chodzi?

Być może kieruje się w stronę rdzenia czasoprzestrzennego.

To wywołało poruszenie i krótką dezorientację. W przypadku rdzenia istniało niewiele rzeczy, na które ktokolwiek mógłby wpłynąć bez specjalistycznego sprzętu, wliczając w to samych Ross. Choć Entropia nieraz ich już zaskakiwała, nie było najmniejszych przesłanek, by miała mieć możliwość poczynienia jakichkolwiek szkód w rdzeniu.

Najpewniej to zmyłka – podsumował jeden ze starszyny. Nic nie może tam działać.

Prowadzą tamtędy ścieżki transportowe.

To ostrzeżenie wprawiło sporą część konklawe w osłupienie. Nie chodziło o to, że Entropia mogłaby zmierzać w kierunku Ścieżek, ale o to, że ktoś w ogóle rozważał to, że z nich skorzysta.

Chyba nie sugerujesz, że mogłaby być zdolna do nawigowania po Ścieżkach, prawda?

Sugeruję, że nie możemy być już niczego pewni, jeśli chodzi o to, do czego jest zdolna, a do czego nie. Nie zaszkodzi, jeśli wyślemy... bardziej znaczącą ochronę na wejście do Ścieżek.

Starszyna ponownie zastanowiła się nad konsekwencjami swojego niedowierzania.

Faktycznie nic się nie stanie, jeśli wyślą tam dodatkowe siły – oczywiście tylko na wszelki wypadek.

Wydano rozkazy.

Dzięki skanerowi Sorilla wiedziała o zbliżających się niezdarnie golemach na długo przed tym, nim zdążyła je zobaczyć, usłyszeć czy choćby poczuć ich działania.

„Kurwa. W końcu mnie przechytrzyli”.

Prawdę mówiąc, była zaskoczona, że przeciwnikowi tyle to zajęło. Próbowwała maskować swój cel ciągłymi zmyłkami, idąc okrężnymi drogami czy atakując jakieś losowe miejsca po drodze, ale ostatecznie cały czas przybliżała się do niego i kiedyś w końcu przeciwnik musiał się zorientować, gdzie zmierzała.

Pomieszczenie portalu.

SOLCOM niewiele o nim wiedział. Prawdopodobnie to właśnie Sorilla była jedynym człowiekiem w Galaktyce, który miał informacje z pierwszej ręki. Raz już przebywała w takim pomieszczeniu, nim seria jej działań nie doprowadziła do zniszczenia całego okrętu wraz z jego portalem.

Co SOLCOM wiedział, to że Ross są mistrzami czasoprzestrzeni tak zaawansowanymi, że ich działania podważają rozumienie fizyki praktycznie wszystkich innych istot. Kontrola nad grawitacją stanowiła zaledwie jeden z aspektów ich panowania nad czasoprzestrzenią, co więcej – ten mniej imponujący. Zdolność do zakrzywiania czasoprzestrzeni czy osłabianie lub wzmacnianie lokalnych pól grawitacyjnych miało znacznie więcej zastosowań niż prostackie przekształcenie materii w nuklearną eksplozję.

Dzięki tym umiejętnościom Ross mogli manipulować czasem, wysyłać okręty przez Galaktykę z niesamowitymi prędkościami absolutnymi przy nieprawdopodobnych przyspieszeniach... ale także łączyć swoje okręty w imponujących rozmiarów sieć portali, która pozwalała na natychmiastowe przemieszczanie się o całe lata świetlne. Według informacji SOLCOM-u żaden inny gatunek nie mógł nawet marzyć o takich możliwościach.

Cholera, SOLCOM nie był nawet pewien, czy Sojusz ma w ogóle świadomość tego, jakim potencjałem dysponują Ross.

Był to wielki sekret chroniony przez Ross – sekret, który Sorilla zdołała odkryć w czasie jednej ze swoich najbardziej szalonych misji z czasów wojny.

„A teraz wykorzystam tę przewagę”.

Chyba że śmierć będzie szybsza. Tę myśl Sorilla trzymała uparcie poza granicami swojej świadomości.

Najpierw musiała się jednak przebić przez ostateczną linię obrony, jaką Ross wytyczyli na jej drodze.

„A jest to całkiem niezła obrona...”

Sześć ciężko uzbrojonych golemów w odmianie bojowej, a nie żadne podrasowane spychacze, jakie razem z tropicielami znajdowali na Haydenie. Sorilla błędnymi palcami po zdobyczej broni impulsowej, szacując swoje szanse.

Wnioski jej się zupełnie nie podobały.

„Powinnam była zatrzymać cougary jako asa w rękawie. No cóż, teraz mogę sobie gdybać...”

Przeszła jej przez głowę myśl, by sprawdzić, czy Ross nie mają na stanie jakichś przechwyconych tytanów, ale z tego, co wiedziała, żaden z wielkich mechów nie został przejęty w jednym kawałku. Nawet gdyby coś takiego miało miejsce, szanse, że maszyna znajdzie się akurat na tym okręcie, zdawały się mimo wszystko... znikome.

Sorilla przyklęknęła nisko, przeczesując otoczenie skanerem, a nie własnymi zmysłami lub czujnikami pancerza. Dzięki temu, że skaner wykorzystywał do przesyłu informacji do procesora interfejs neuronowy Sorilli i jej akcelerometry, odczucie otoczenia stawało się dla niej wręcz instynktowne. Dodatkowo jej komputer umiał przetworzyć te dane w reprezentację graficzną.

Był to powolny proces. Nawet wyświetlenie nieruchomego widoku wymagało kilku sekund... ale działało.

Mały oddział bardzo dużych mechanoidów czekał na nią kawałek dalej, a ich szyk zdradzał, że wiedzą, gdzie dokładnie znajduje się Sorilla. Gdyby miała jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, czy Ross śledzą jej pozycję, właśnie by się rozwiały.

Zirytowała się. Ross traktowali ją jak szurka laboratoryjnego... rzucali jakiś serek dla motywacji, a potem przepuszczali przez labirynt, stawiali przeszkody i analizowali jej decyzje. Jakiegokolwiek dane wywiadowcze zdobywała, Ross dowiadywali się więcej.

Oczywiście właśnie tak to zazwyczaj działało. Rzadko pracowało się w wywiadowczej próżni, gdzie można było się cieszyć wszystkimi korzyściami, nie dając przeciwnikowi nic w zamian. Sorilla przywykła do wymiany, ale taka dysproporcja jej nie odpowiadała. Gdy wróg kontrolował pole bitwy, oznaczało to zazwyczaj rychłą śmierć. Co gorsza, na razie Sorilla nie widziała możliwości przełamania tej przewagi.

„Muszę tańczyć, jak mi zagrają, i złapać pierwszą okazję, by wyrwać się z tego pieprzonego labiryntu. Wtedy się zobaczy, kto jest szczurem, a kto wcina ser”.

Skrzywiła się w duchu na tę słabą metaforę.

„No dobra, to brzmi idiotycznie. Wymyślę coś lepszego, jeśli w ogóle będzie mi dane opowiedzieć tę historię. Na razie nie ma co tracić czasu. Zaczynamy zabawę!”

Konklawe przyglądało się Entropii, która przyklęknęła i trwała tak beczynnie przez dłuższy czas. Starszyna założyła, że kobieta łączy się ze swoim oprzyrządowaniem i prawdopodobnie ze skanerem zabranym z ich magazynu. W związku z tym musiała już wiedzieć o mocniejszym zgrupowaniu ochrony Ścieżek.

Entropia w ruchu.

Wszyscy poruszyli się jednocześnie, skupiając na ludzkim żołnierzu.

Mamy naszą odpowiedź.

Kieruje się prosto w stronę Ścieżek.

Tak. Pytanie, czy Ścieżki od początku były jej celem, czy też właśnie zainteresowała się powodem, dla którego skierowaliśmy tam dodatkową ochronę?

Członkowie konklawe zastygli, patrząc na przemawiającego.

Tej możliwości nie wzięli pod uwagę.

Niech to otchłań pochłonie.

Bez znaczenia. Zlikwidować ją. Wystarczy gier.

Konklawe zgodziło się z tą opinią. Wezwano jeszcze większe siły, by odciąć wszelkie drogi ucieczki. To było ostatnie starcie.

Broń Ross miała imponujące zasilanie, co do tego Sorilla nie miała wątpliwości. Niestety, w najmocniejszej konfiguracji – jedynej, jaka sprawiała golemom jakiegokolwiek niedogodności – źródło energii, choć imponujące, było jednak ograniczone.

Sorilla zauważyła, że wskaźnik energii spadł poniżej poziomu użyteczności po raptem dwóch strzałach, które sprawiły, że jeden z golemów dymił i poruszał się znacznie wolniej od pozostałych, ale wciąż był częściowo sprawny i jak najbardziej skory do odstrzelenia jej tyłka.

„Kurwa”.

Mogłaby się wycofać, ale wyczuwała nadchodzące wsparcie kolejnych mechanoidów ochrony, które miały odciąć jej drogę ucieczki. Prawdopodobnie przebiłaby się przez nie, ale miała poczucie, że to tylko opóźnia nieuchronne starcie. Jej cel leżał tuż przed nią. Widziała już drogę do portalu.

„Dam radę” – w myślach zagrzewała się do walki.

Rozejrzała się na boki, rejestrując wszystkie zbliżające się golemi i pozwalając im podejść. Czekwała w bezruchu z dłońmi na uchwytach swoich pistoletów, spoczywających jeszcze w kaburach.

„No dobra, kowboju” – pomyślała, uśmiechając się groźnie pod osłoną hełmu. „Twój ruch”.

Co ona wyprawia? Czy zamierza zetrzeć się z dronami ochrony uzbrojona jedynie w swoją broń?

Niemożliwe, mamy dokładne skany i analizy tego uzbrojenia. Nie mają potencjału uszkodzenia dronów klasy bojowej.

Zgoda, ale ona najwyraźniej myśli, że może coś zrobić.

Konklawe zgodziło się z tą opinią, choć jego członkowie czuli się nieco zbici z tropu faktem, że Entropia nie chce podjąć akcji, którą umieliby zrozumieć. Ucieczka miałaby sens. Szarża miałaby sens. Żadne z tych działań nie byłoby mądre, ale miałyby sens.

Stać w miejscu?

Konklawe miało już serdecznie dość prób znalezienia jakiegokolwiek porządku w poczynaniach Entropii.

Na tym etapie kobieta z nawiązką zasłużyła sobie na swój przydomek.

Wydawszy rozkazy, które miały zakończyć sprawę, starszyzna mogła teraz tylko czekać i obserwować, czy jakieś nowe szaleństwo nie zniweczy ich planu.

Uczucie ładującej się broni golemów było dla Sorilli niczym głośna syrena alarmowa. Napięła mięśnie i ugięła lekko nogi, kierując więcej mocy do akumulatorów zasilających muskulaturę jej pancerza.

„Mam jedną szansę. Drugiej nie będzie”.

Oczekiwanie nie trwało długo. Zegar jej pancerza jednoznacznie wskazywał, że minęło zaledwie kilka sekund, ale Sorilli wydawało się, że godzinami czekała na sygnał do działania. Wreszcie ten moment nadszedł, w końcu poczuła, że broń jednego z golemów będzie strzelać.

Sorilla była w ruchu, nim impuls zdążył się uformować w projektorze, i znalazła się poza polem rażenia, nim opuścił lufę. Zaszarżowała, wyciągając oba swoje pistolety i oznaczyła cele priorytetowe, mierząc w odsłonięte czujniki wielkich mechanoidów.

Jej specyficznym zaprojektowanym pistoletom mogły opróżnić magazynki szybciej, niż pojawiał się odrzut, który mógłby zakłócić celowanie. Teraz jednak Sorilla nie potrzebowała szybkostrzelności, lecz precyzji. Perfekcyjnie wymierzone strzały zniszczyły „oczy” golema, a przynajmniej to, co naukowcy SOLCOM-u uznali za oczy. Razem z tropicielami Sorilla oznaczyła wiele słabych punktów wielkich mechanoidów, ale czy znaleźli wszystkie...

W tej chwili musiała kupić sobie nieco czasu. Liczyła na to, że luka w wydajności systemów czujników da jej właśnie to.

Kolejny impuls wyleciał z broni, kierując się prosto na Sorillę. Wskoczyła w górę i w bok, odwracając się w locie, podczas gdy punktowe zakrzywienie czasoprzestrzeni zamieniło pokład w parodię sztuki współczesnej.

Przebiegła po ścianie, by zmienić ułożenie ciała, po czym wybiła się mocno w momencie, gdy trzeci ładunek leciał w jej stronę.

Ściana za nią eksplodowała, a Sorilla lotem nurkowym wpadła prosto na głowę najbliższego golema, co dla niego skończyło się znacznie lepiej niż dla niej. Z pancerzem czy bez, walnięcie w nieruchomy obiekt musi boleć.

„Auć”.

Sorilli udało się utrzymać pozycję, choć mechanoid energicznie zareagował na obecność pasażera na gapę. Nie wiedziała, czy był zaskoczony jej manewrem, wytrącony z równowagi uderzeniem, czy po prostu próbował ją zrzucić... ale nie miało to większego znaczenia. Sorilla uchwyciła się głowy maszyny ze wszystkich sił, puszczając jednocześnie jeden z pistoletów, który upadł z brzękiem na pokład.

Wykręcając się, zacisnęła zęby i zablokowała drugi z pistoletów w łączeniu szyi maszyny, opróżniając magazynek prosto w słabszy punkt i pozwalając potem drugiej broni opaść na ziemię. Teraz pozostał jej tylko nóż.

„Jak za starych, dobrych czasów” – pomyślała, sięgając po SOLCOM-owskie ostrze i aktywując je sprawnym uderzeniem uchwytu o udo.

Klinga załśniła bielą. Sorilla trzymała się mocno lewą ręką, a prawą dźgała wściekle kark mechanoida. Uszy wypełnił jej metaliczny zgrzyt. Cielsko golema było grube i twarde niczym skała, odporne nawet dla monocząsteczkowego ostrza, ale Sorilla nie odpuszczała. Po kilku sekundach, które wydawały się wiecznością, poczuła, jak ruchy mechanoida stają się wolniejsze i słabsze. Golem opadł ciężko na jedno kolano, a Sorilla zsunęła się z jego pleców, traktując zwalistą maszynę jako osłonę przed ostrzałem pozostałych.

Wyczuła ładowanie kilkunastu broni impulsowych i wiedziała, że ma ledwie ułamki sekund na działanie.

Odbiła się od pleców powalonego golema i zanurkowała w stronę pomieszczenia portalu. Impulsy trafiły w porzuconą maszynę, która eksplodowała, śląc przez pomieszczenie obejmującą wszystko falę uderzeniową.

Siła podmuchu nie była dość duża, by przeniknąć przez pancerz, ale wystarczająca, by dezorientować Sorillę, która uderzyła o ziemię i przejechała wzdłuż pokładu prosto w stronę portalu.

Hayden, subkontynent

Wichura nabierała mocy. Na szczęście Cassius zdążył już zabezpieczyć całe gospodarstwo, zwane czule Hacjendą Sierżant, bo wiatr szarpał nim teraz na wszystkie strony. Zapowiadało się na wyjątkowo silną burzę.

Niebo pociemniało i wydawało się, że zapada zmierzch, choć było jeszcze wcześniej. Cassius podejrzewał, że może się to skończyć nawet gradobiciem.

Grad w klimacie podzwrotnikowym może się wydawać nieprawdopodobny, ale się zdarzał... i był znacznie gorszy niż w chłodniejszych strefach klimatycznych, gdzie niższa temperatura wyznaczała jakieś limity wilgotności i naturalne granice rozmiarów lodowych bomb.

Jak przekonał się każdy, kto odwiedził tę planetę, wilgotność na Haydenie wahała się gdzieś pomiędzy „dusze tropikalne mokradła” a „ja pierdołę, zaraz wyrosną mi skrzela”, więc było co zasysać w górną warstwę atmosfery i zamrażać.

Cassius podejrzewał, że właśnie to było powodem, dla którego Sorilla zdecydowała się na tak przesadnie mocne zabudowania.

Jednym z wielu powodów.

Kochał swoją córkę, ale czasami ciarki go przechodziły, gdy obserwował jej przygotowania na bliżej nieokreślone katastrofy. Traktowała to śmiertelnie poważnie. Jego półroczne zapasy jedzenia i samowystarczalny styl życia tylko ją bawiły.

Rozumiał potrzebę zabezpieczenia się na wszelkie możliwe scenariusze, ale arsenał, jaki Sorilla zgromadziła przez lata, był już lekką przesadą.

„Szykuje się wizyta federalnych, jeśli to samo robiła w domu”.

Cassius podejrzewał, że to główny powód, dla którego Sorilla wybrała sobie Haydena na emeryturę, choć pewnie jej wgląd w sprawy nie pozostawał bez znaczenia. Fakt, że SOLCOM chciał umieścić ambasadę w znanym Sojuszowi systemie, sprawiał, że wkrótce Sorilla będzie bardzo zamożną kobietą.

Nie żeby tego potrzebowała. Wszystko, czego mogłaby chcieć, mogła sobie sama wybudować, wyhodować lub bardzo tanio kupić.

Cassius już prawie dotarł z powrotem do Haczendy Sierżant, gdy usłyszał z dala stłumiony dźwięk. Zatrzymał się, próbując określić, skąd dochodził. Wiatr targał nim na wszystkie strony, a mężczyzna długo przeczesywał wzrokiem okolice, nim zobaczył w końcu rozbłysk światła z budowanego miasta.

„Co, do cholery... Powinni już dawno wszystko zabezpieczyć. Niech ich szlag”.

Wiatr był już zbyt silny na lot, ale większość drogi do miasta prowadziła trasą osłoniętą przez gęstą roślinność. Cassius owinął się ciasniej kurtką i ruszył przez mokrą, wietrzną dżunglę.

– Zablokujcie to!

Inżynierowie szamotali się z uprzężą zabezpieczającą sporego drona zwiadowczego. Major uparł się, żeby pracowali nad nim do ostatniej chwili. Teraz walczyli z wichrem, wystawieni na łaskę żywiołu na otwartej przestrzeni lądowiska.

Potężny podmuch przechylił niebezpiecznie maszynę, a napięta do granic lina zerwała się z trzaskiem, który ledwo było słyhać wśród wycia wichru. Ludzie rzucili się łapać furkoczącą linę i własnym ciężarem dociążyć chyboczący się sprzęt.

Dron był bardzo kosztowny, ale to nie jego cena była największym problemem, a niedostępność zamiennika. Jeśli inżynierowie stracą maszynę, miną co najmniej tygodnie, nim kolejna zostanie dostarczona na Haydena. Miesiące oczekiwania były bardziej prawdopodobne, a lata... niewykłuczone.

Walczyli więc z wiatrem i siłowali się z linami, próbując jak najciaśniej zakotwiczyć drona.

Już prawie im się udało, gdy kolejny trzask pękającej liny utonął w zawodzeniu wichury i musieli zacząć wszystko od początku.

Dron uniósł się z szyn, chybotając się na ostatnim punkcie styku. Wiatr dostał się pod jego wirniki i łopaty, już tylko ciężar maszyny i ostatnia lina trzymały ją w miejscu.

– Uwaga! – wrzasnął główny inżynier, machając do jednego ze swoich ludzi, stojącego na linii potencjalnego upadku maszyny. – Zmywaj się stamtąd!

Sam rzucił się łąpać jedną z furkoczących lin i zawisł na niej całym ciężarem, próbując ściągnąć drona w dół – bez skutku. Kolejny podmuch poderwał maszynę i walczącego z wiatrem człowieka. Inżynier nie miał nawet czasu zorientować się, co się dzieje. Wiedział jedynie, że będzie miał wielkie szczęście, jeśli ta przygoda skończy się dla niego tylko szpitalem.

Ale potem poczuł znowu grunt pod stopami, a luzy na linie powoli, lecz nieubłaganie zniknęły.

Zaryzykował spojrzenie w tył i zobaczył Cassiusa Aidę, który w rytm wściekłych podmuchów na zmianę owijał linę wokół śruby mocującej, ściągając każdy pojawiający się luz, i wykorzystywał tarcie do zablokowania jej, gdy wiatr szarpał ją znów w górę.

Chwila egzystencjalnego strachu minęła i inżynier rzucił się znów do ratowania zarówno drona, jak i człowieka, który właśnie cudem uniknął zmiżdżenia.

Okręt portalowy

Sorilla czuła smak krwi, zbierając się z podłogi i krzywiąc z bólu, który odczuwała w niemal każdej części ciała.

Procesor, parametry zdrowia.

Subwokalizowana komenda przywołała w rogu pola widzenia wykres pokazujący, które obszary jej ciała wykazują objawy uszkodzeń. Nie był to może zbyt precyzyjny wyznacznik stanu zdrowia, ale dawał ogólne pojęcie.

Wybuchy zabijały w paskudny sposób. Nie wdając się w szczegóły, to nie ogień czy odłamek były przyczyną śmierci, lecz fala uderzeniowa, która szła przed nimi. Ciśnieniowy młot pędzący

z prędkością dźwięku zamieniał wnętrzości w galaretkę, nim nieszczęśnik zdążył mrugnąć.

Pancerz oczywiście pomagał. Pancerz wspomagany, jaki nosiła Sorilla, tym bardziej. Ale jej pancerz był najłżejszym możliwym wśród wspomaganych i z konieczności miał więcej sekcji elastycznych niż sztywnych. Był aż nadto mocny, by wytrzymać serie nawet z najcięższych karabinów, i radził sobie z impulsami czasoprzestrzennymi z broni Ross, ale przy tym typie broni przynajmniej część mocy uderzenia nie mogła być zniwelowana czy odbita.

Sorilla była poobijana i krwawiła. Doznała głównie obrażeń wewnętrznych, bo pancerz nie przepuszczał żadnych lecących w jej stronę odłamków. Ani ona, ani systemy pancerza nie były w stanie oszacować, jak poważne są te krwotoki wewnętrzne. Jeśli dopisze jej szczęście, nie będzie to nic gorszego niż solidna stłuczka.

A jeśli będzie miała pecha?

No cóż, Sorilla postanowiła martwić się tym, gdy sprawy nie będzie się już dało dłużej ignorować. Martwienie się miało sens jedynie wtedy, gdy można było coś z tym zrobić. Na tę chwilę Sorilla nie mogła zrobić nic.

Podniosła się więc na nogi. Utykając i podtrzymując się ściany, szła przed siebie, zostawiając za sobą inferno i kierując się w stronę celu.

Ostrze.

Konklawe było niezadowolone i skonsternowane.

Jakim cudem zniszczyła opancerzonego drona bojowego przy pomocy ostrza?!

Przekazać nagrania do wydziałów konstrukcyjnych – wtrącił się spokojniejszy głos. Oczekujemy poprawek tej wady projektowej.

Wady? Wady?! Ona użyła ostrza!

Członkowie konklawe, którym udało się oprzeć irytacji, starali się naprowadzić zgromadzenie z powrotem na właściwe tory.

Kieruje się w stronę Ścieżek.

To wystarczyło, by wszyscy umilkli.

Pomieszczenie portalowe, jak zaklasyfikował je SOLCOM, było wizualnie oszałamiające. Poprzednio Sorilla czuła, jakby jej wnętrzności próbowały wydostać się na zewnątrz. Tym razem było niewiele lepiej, choć miała przecież sporo czasu, by przyzwycząić się do nowo nabytego zmysłu czasoprzestrzennego, jaki zapewniały jej implanty.

Największą różnicę robił skaner. Miała wrażenie, że urządzenie wysyła jej wiele obrazów naraz. Czuła, że coś jednocześnie jest i tego nie ma. Zajęło jej trochę czasu zrozumienie, że sprzęt Ross rejestruje fałdy czasoprzestrzeni, które pokazują się jej jednocześnie na skanach i w implantach, ale nie widzi ich na własne oczy.

„No dobra”. Stała na chwilę nieruchomo, wzięła głęboki oddech i zaczęła rozglądać się za właściwą ścieżką. „To tutaj”.

Słyszała poruszenie gdzieś za plecami. Siły bezpieczeństwa ogarnęły się na tyle, by wznowić pościg. Teraz albo nigdy. Sorilla odnalazła znacznik, który namierzyła w strumieniu danych głównego łącza okrętu, odepchnęła się od ściany i ruszyła. Z początku kulą, ale z każdym krokiem szła pewniej.

Wiry czasoprzestrzeni wiły się przed nią i przez ułamek sekundy zobaczyła nawet odbicie samej siebie sprzed kilku chwil, a za nim coś, co wyglądało jak druga strona pomieszczenia.

Ale było to coś innego.

Zanurzyła się w wirującym eter... i zniknęła.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

Nelim krzywił się z niezadowoleniem, bo mimo nieustannego skanowania nie udało się określić dokładnej lokalizacji okrętu Ross. Kapitan nie wiedział, czy jednostka tylko przyczaiła się poniżej progu wykrycia, czy znajduje się w zupełnie innym miejscu.

Przy dystansach, na jakich jego załoga musiała operować, obie możliwości były równie prawdopodobne, ale nie można było przecież tak tego zostawić.

Mistrz okrętów podniósł się z miejsca i stanął przed swoją konsolą.

- Pilot.
- Tak, mistrzu okrętów!
- Proszę ustawić kurs na bieżący sektor, pół naprzód na silnikach głównych.
- Kurs zadany, moc zadana, mistrzu okrętów.
- Wdrożyć.
- Kurs wdrożony.

Okręt nie wydał żadnego dźwięku ani w żaden inny sposób nie dał odczuć, że jest znów w ruchu. Przy normalnych obciążeniach silnika kapitan martwiłby się, gdyby było inaczej. Cyfry na konsoli nawigacyjnej zaczęły się zmieniać, więc Nelim wiedział, że okręt sunie po wyznaczonym kursie.

Zbliżanie się do miejsca, gdzie najpewniej ukrywał się wrogi okręt, było ryzykowne, szczególnie w przypadku Ross, ale takie ryzyko trzeba było podjąć. Oczywiście mogli próbować ucieczki, ale bez informacji o pozycji przeciwnika mogłoby się to okazać równie śmiertelne, co siedzenie w miejscu lub próba skoku.

„Najpierw potwierdzimy lokalizację wroga, a potem zastanowimy się, co dalej”.

- Interesująca strategia – orzekł Kriss z aprobatą.

Sienele nie pokusił się o komentarz. Dobrze wiedział, że Lucjanin pochwali każdą strategię obejmującą skrócenie dystansu do wroga. Jako specjalista wywiadowczy nie czuł się kompetentny do oceny strategii walki w kosmosie, ale wiedział, dlaczego mistrz okrętów podejmuje takie ryzyko – a odpowiedź na to pytanie jak najbardziej leżała w jego kompetencjach.

Informacje.

Bez nich byli już praktycznie martwi. Z nimi... No cóż, Sienele jeszcze nie był gotów się poddać, ale był dość pewien, że nawet dysponując pełnią informacji o wrogu, nie byli w zbyt dobrym położeniu.

„Jednostka Ross jest zbyt potężna. Pojedynczy krążownik może co najwyżej próbować uciekać i liczyć na to, że nie będzie ścigany... a my nawet nie wiemy, gdzie kryje się przeciwnik”.

Bez tej wiedzy ucieczka nie miała sensu, tym bardziej że Ross najwyraźniej mieli poważne powody, by podjąć pościg. Ich okręty były co prawda bardziej znane z efektywności niż szybkości, ale to tylko dlatego, że Ross rzadko kiedy przejmowali się przeciwnikiem na tyle, by pokazać pełnię swoich możliwości.

Sienele nie mógł mieć całkowitej pewności, ale był przekonany, że parithaliański krążownik miał bardzo niewielkie szanse na skuteczną ucieczkę, jeśli tylko Ross postanowią podjąć pościg.

– W ten czy inny sposób – powiedział na głos – wkrótce dowiemy się, ile ta strategia jest warta.

Okręt portalowy

Jestem już naprawdę zmęczony wiecznymi okrzykami niedowierzania, jeśli chodzi o Entropię... ale to naprawdę było niemożliwe!

Członkowie konklawe w większości milczeli, w głębokim szoku ledwie zaznaczając swoje poparcie dla tego stwierdzenia. Raz po raz oglądali nagranie, nie wierząc w to, co widzą.

Czy ona... nawiguje po Ścieżkach? Ale dokąd?

To pytanie doprowadziło starszyznę do pasji. Śledzenie obiektu na Ścieżkach było wyzwaniem nawet dla nich. Dokonanie czegoś takiego bez przygotowania, bez znaczników na obiekcie – do tego na tak małym, jak pojedynczy ludzki żołnierz?

Cóż, słowo „niemożliwe” pojawiała się w odniesieniu do Entropii zdecydowanie zbyt często.

Znaleźć ją! Gdzieś się przecież udała, czy to celowo, czy przez przypadek. Zaalarmować wszystkie okręty i stacje, poinformować wszystkie konklawe sektorów, wysłać jej opis do wszystkich. Przebywa na Ścieżkach i nie możemy tego pozostawić bez odpowiedzi!

Konklawe zajęło się wdrożeniem rozkazów, w pośpiechu wysyłając odpowiednie polecenia w sieci i jednocześnie próbując rozgryźć, w jaki sposób człowiek w ogóle był w stanie wejść na Ścieżki, które przecież wymagają precyzyjnych punktów dostępu nawet do tego, by się do nich zbliżyć! A co jeszcze ważniejsze, trzeba było się dowiedzieć, gdzie ta przeklęta istota się udała.

Jeśli nie wiedziała, jak poprawnie wejść na Ścieżki, lub choćby odrobinę się pomyliła, nikt nie byłby w stanie określić, gdzie ją poniesie.

Sorilla grzotnęła o pokład, w ślizgu przekręciła się na bok i sunęła tak, aż wpadła z impetem na przeciwległą ścianę. Wstrząs, jaki poczuła nawet przez pancerz, zaognił wszystkie jej wcześniejsze obrażenia. Było ich tyle, że złączyły się w jeden wielki ból, który zalał całe jej ciało.

Z wyjątkiem środkowego paluszka lewej stopy. Ten akurat w tej chwili nie bolał.

Sorilla leżała przez dłuższą chwilę bez ruchu, oddychając jak najostrożniej i próbując wyciszyć ból. Jej ciało dotarło do granicy, za którą adrenalina i endorfiny nie mogły już więcej działać nawet przy wspomaganie zaopatrzonego w bojowe specyfiki pancerza, implantów i jej własnych gruczołów dokrewnych.

Bez względu na osprzęt i wspomaganie, w ostatecznym rozrachunku wszystko i tak sprowadzało się do siły woli. Czy znajdziesz w sobie siłę, by wstać, nawet jeśli cały wszechświat krzyczy, że masz leżeć?

Sorilla przekręciła się na brzuch, wsunęła pod siebie jedną nogę i podniosła się na kolano.

Rozejrzała się, jej oczy, pancerz i skaner lustrowały uważnie otoczenie.

Pomieszczenie wyglądało identycznie jak to, z którego właśnie przybyła, ale mniej więcej na to liczyła. Oparła dłonie o zgięte kolano i z trudem podniosła się do pionu. Stała chwiejnie, nie umiając odzyskać równowagi.

Przejście było... nie do opisania.

Liczyła na to, że o ile w ogóle wróci do domu, nagrania pomogą SOLCOM-owi określić, z czym miała właśnie do czynienia. Własnymi słowami za cholere nie umiałaby wyjaśnić, co właściwie zrobiła.

„Jeśli tylko przyjąłem właściwy wektor... no cóż, mam nadzieję, że przyjąłem właściwy wektor” – pomyślała Sorilla, kuśtykając przez

pomieszczenie i z powrotem skupiając myśli nie dalej niż na swoim najbliższym celu.

Wszystkie okręty Ross były takie same – niczym wierne kopie. W jakiś dziwny sposób była tym zawiedziona. Chyba podświadomie oczekiwała, że wyższy poziom technologiczny przyniesie jakiś powiew kreatywności. Tak działało się na Ziemi i w ludzkich koloniach. Fabrykatory mogły tworzyć indywidualizowane wersje bazowych projektów. Można było wprowadzać zarówno stylistyczne, jak i praktyczne modyfikacje.

Sorilla spodziewała się, że zaawansowana rasa będzie budowała raczej pojedyncze, niepowtarzalne obiekty.

Ross jednak nie przystawali do jej założonego modelu idealnej zaawansowanej kultury, więc nie zamierzała na razie porzucić swoich ogólnych wyobrażeń.

W przeciwieństwie do okrętu, z którego właśnie przybyła, tutaj korytarze były puste. Idąc w stronę najbliższego terminala, nie napotkała żadnych mechanoidów. Zastanawiała się, czy Ross znali jej lokalizację, czy też udało jej się zniknąć z radarów na jakiś czas.

Co prawda liczyła na tę drugą opcję, ale pierwsza była bardziej prawdopodobna. Najpewniej po prostu nie zdążyli jeszcze zorganizować ochrony.

Nieważne. Na teraz wystarczy.

Drzwi do pomieszczenia terminala łatwo ustąpiły, nie musiała nawet przeciągać okablowania czasoprzestrzennego. Zawsze to jakiś plus.

Dokuśtykała do panelu i zanurzyła dłonie w interfejs, aktywując urządzenie. Projekcja, która pojawiła się przed nią, nie była zwyczajnym hologramem. Wydawała się jak prawdziwa, Sorilla odczuwała ją zarówno pod dotykiem, jak i przez akcelerometry i skaner.

Potwierdziła swoją lokalizację, z ulgą wypuszczając powietrze. Była dokładnie tam, gdzie chciała.

„No dobra, to teraz wrzucę wam łom w te czasoprzestrzenne trybiki”.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

Mistrz okrętów Nelim czuł, jak na pokładzie rośnie napięcie, gdy okręt zbliżał się do sektora, w którym pierwotnie namierzali anomalię grawitacyjną. Wkrótce znajdą się na tyle blisko, by zlokalizować kryjącą się tam jednostkę... o ile wciąż tam była. Wtedy będzie musiał podjąć jakąś decyzję, a żadna z dostępnych opcji ani trochę mu się nie podobała.

W najlepszym wypadku, przynajmniej krótkofalowo, nie znajdą nic. Fałszywy alarm i zaczynamy od początku.

Nie było to może dobre, ale i tak lepsze, niż stanąć do bezpośredniego starcia z okrętem Ross, zdeterminowanym, by ich unicestwić. Było to też korzystniejsze niż ucieczka przed takim okrętem. W normalnej sytuacji liczyliby na najlepszy scenariusz, szykując się jednocześnie na najgorszy.

Ale teraz... najlepszy scenariusz wciąż nie zmieniał faktu, że gdzieś czai się okręt gotów ich zmieść z oblicza wszechświata. Po prostu nie wiedzieli, gdzie on jest. Było to dalekie od dobrego scenariusza. Może nawet tak naprawdę była to najgorsza opcja...

Głowa go już bolała od tych zawiłych rozważań.

– Mistrzu okrętów!

– O co chodzi? – zapytał, zwracając się w stronę stanowiska komunikacyjnego i dziwiąc się, że akurat tam miałyby się pojawić coś wymagającego meldunku. W systemie przecież nie było nikogo, kto mógłby się z nimi kontaktować.

– Sygnał pochodzący z sektora docelowego. Kodowanie nieznane.

– Szyfrowanie Ross?

– Nie. Nic, co wyglądałoby na ich dzieło. Nakładamy wszystkie dostępne w naszej bazie filtry, ale chwilę to zajmie.

– Dobrze – odparł Nelim. – Działajcie w tę stronę. Tymczasem mamy przynajmniej jedną odpowiedź na nasze pytania... coś tam jest, ale wygląda na to, że to coś innego, niż myśleliśmy. Wszystkie stanowiska: przygotować się na zmianę rozkazów.

– Tak, mistrzu okrętów. Wszystkie stanowiska meldują gotowość.

Nelim zmarszczył brwi, wpatrując się w dane napływające wraz z nieznanym sygnałem.

„Co się tu, do otchłani, dzieje?”

Okręt portalowy

„No dalej, rozgryź to. Rozgryź to”.

Z przyczyn oczywistych Sorilla nie miała dostępu do kodów Sojuszu, a nie było opcji, by włamała się do komputerów Ross, by nadać sygnał za pośrednictwem ich systemów. Musiała wzbić się na wyżyny kreatywności, by nadać ostrzeżenie dla krążownika.

Kod impulsowy SOLCOM-u był prosty. Było to szyfrowanie awaryjne, podobne do dawnego alfabetu Morse'a. Był to także pierwszy kod, który Sojusz złamał w czasie wojny, tyle że nikt się tym nie przejął, bo nie przesyłano w ten sposób żadnych tajnych informacji.

Jego celem było właściwie tylko przesyłanie wiadomości ratunkowych przy pomocy improwizowanych nadajników, a kiedy już miało się takie kłopoty, nikt nie przejmował się podsłuchiwaniami.

Zmuszenie okrętu Ross, by wysyłał impulsy, które krążownik Sojuszu mógłby odebrać, było niemałym wyzwaniem – ale wykonalnym. Każdy statek, w tym jednostka Ross, cały czas emitował fale o różnych częstotliwościach. Ciepło, światło, fale grawitacyjne, pasmo EM... pewnie dużo więcej, z czego Sorilla nawet sobie nie zdawała sprawy, ale tyle wystarczy.

Dostęp do słabiej zabezpieczonych systemów nie był może łatwy, ale możliwy, a potem wystarczyło już tylko skonfigurować go tak, by wysyłał impulsy na tych częstotliwościach, które normalnie miały być tłumione. Technicznie rzecz biorąc, trudniej było stłumić taką transmisję, niż pozwolić jej lecieć w eter, więc stanowiło to dla Sorilli pewne ułatwienie.

Niestety, nie było szans, by nikt tego nie zauważył.

Sorilla martwiła się więc tylko tym, by ktoś po drugiej stronie odebrał wiadomość, nim ktoś po tej stronie ją zablokuje.

„Byłoby to dużo prostsze, gdybym miała dostatecznie szeroki dostęp, by zakodować nadawanie w pętli”.

Prawdę mówiąc, Sorilla podejrzewała, że może nawet ma tak szeroki dostęp... ale nie mogła tego wiedzieć na pewno. Jej pojęcie o interfejsie Ross było bardzo podstawowe i opierało się na odwróconej inżynierii, jaką SOLCOM uskutecznił po misji na Dziecku Boga. Bez lepszego pojęcia o systemie mogła jedynie stać przy terminalu i przełączać pstryczek, mrugając światłami pozycyjnymi wrogiego okrętu.

Miała nadzieję, że to zadziała, bo wciąż musiała jeszcze jakoś wydostać się stąd wraz ze wszystkimi danymi wywiadowczymi, jakie zdołała pozyskać. Na tę chwilę nie miała na to widoków.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

– Dziwne.

– O co chodzi? – spytał ostro Sienele, spoglądając na Lucjanina, który wpatrywał się w ekrany.

– Mógłbym przysiąc, że znam ten kod – odparł Kriss w zamyśleniu.

– Szyfr Lucjan? Strażników? – dopytywał Sienele. – Na pewno nie jest to żaden kod operacyjny Sojuszu.

– Nie, nie... Chwila... Powtarza się. – Kriss mruknął sfrustrowany, ale potem nagle wyprostował się i zaskoczony powiedział: – To ludzki kod.

– Co?

Sienele nie mógł w to uwierzyć. W tym systemie nie może być żadnych ludzkich źródeł sygnałów poza...

– Nie sądzisz chyba... – zaczął z wahaniem.

Kriss uśmiechnął się szeroko.

– Och, gdyby ta kobieta była Lucjanką... Dzieci, które moglibyśmy...

– Kriss! – Sienele pospiesznie uciął ten tok myślenia. Nie chciał, by do jego umysłu przedostały się jakiegokolwiek wyobrażenia w tym temacie. Sama sugestia sprawiała, że czuł się nieswojo.

– Najmocniej przepraszam. To prosty kod impulsowy, jakiego ludzie używali w czasie wojny w sytuacjach awaryjnych. Nie jest szyfrowany, służy podstawowej komunikacji przy ekstremalnie ograniczonych możliwościach nadawania. Nawet odbijająca światło powierzchnia wystarcza do kontaktu.

– Interesujące. Czy rozumiesz wiadomość?

– Ani trochę, poza oczywistą częścią – odparł Kriss.

– To znaczy?

– Że i ona, i okręt Ross, są w tym sektorze?

– Poinformuję kapitana.

Nelim zaklął siarczyście, gdy zakończył połączenie z pokładem obserwacyjnym.

„Ludzki kod. To coś nowego” – pomyślał.

Jak dotąd nie miał do czynienia z ludźmi – ani w czasie wojny, ani później – ale od innych członków parithaliańskiej floty słyszał, że są godnymi szacunku żeglarzami.

Jedyny człowiek w promieniu wielu lat świetlnych nie był jednak mistrzem okrętów, lecz żołnierzem.

„Najwyraźniej bardzo kompetentnym, ale wciąż tylko żołnierzem”.

Nakazał przeszukać bazę danych okrętu pod kątem ludzkiego szyfru, ale nie wiedział, czy ta informacja z czasów wojny się znajdzie. Jego krążownik nie miał być kierowany nigdzie blisko ludzkich światów, więc nie byłby to priorytetowy dodatek.

Nie musiał jednak dokładnie rozumieć nadawanej wiadomości, by wiele z niej uzyskać. Przede wszystkim ludzki żołnierz zaginął podczas śledztwa dotyczącego obecności Ross na planecie, a teraz nadawał z sektora, gdzie spodziewano się obecności wrogiego okrętu.

Nietrudno było połączyć kropki.

– Do wszystkich pokładów, przygotować się na manewry przeciążeniowe – polecił, siadając z powrotem za konsolą dowodzenia.

– Tak, mistrzu okrętów. Poinformowano wszystkie pokłady. Wszystkie pokłady zgłaszają gotowość do manewrów.

– Pełen zwrot, pełna moc – rozkazał. – Nie będziemy ułatwiać im sprawy, wchodząc prosto w ich zasięg.

– Tak, mistrzu okrętów. Pełen zwrot, pełna moc.

Okręt zdawał się przechylać. Manewr obciążył systemy kompensacji bezwładności do granic możliwości, wyciskając z nich wszystko, co się da, w jak najciaśniejszym zwrocie. Nelim przytrzymał się konsoli, utrzymując się prosto względem terminala i pracując bez przerwy.

– Przygotować wszystkie przeciwsrodki – polecił. – Skonfigurować systemy do przeciwdziałania anomaliiom czasoprzestrzennym.

– Tak, mistrzu okrętów! Przeciwsrodki w gotowości, systemy w rekonfiguracji.

„A teraz czekamy, co zrobi wróg”.

Okręt portalowy

Konklawe przeżyło moment, który można określić jedynie jako oszałamiający wycinek czasu – mgnienie oka, w którym wszystko się zmieniło.

Jednostka Sojuszu rozpoczęła manewry unikowe i oddala się, czy zostaliśmy wykryci?

Nie. Żadna z wiązek nie przekroczyła progu wykrycia. Nie ma takiej możliwości.

Coś zobaczyli.

Starszyzna kłopotowała się nad tym chwilę, próbując zrozumieć, co zaszło. W końcu wykryto coś nietypowego.

Nasz okręt nadaje sygnały za pośrednictwem promieniowania resztkowego.

Co? Jak?

Zapadła cisza. Gdyby znano odpowiedź na to pytanie, już dawno określono by przyczynę bieżącego rozwoju zdarzeń.

Rozpoczęto poszukiwanie przyczyny.

Entropia.

To słowo przykuło uwagę wszystkich. Zarzucono wszystkie bieżące działania i skupiono się od razu na nowym kontekście.

Czy to pewne?

Pewne? Nie. Niemniej cóż innego mogłoby przeszkodzić naszym wysiłkom w dokładnie tym momencie, w dokładnie taki sposób? Możliwe, że to zbieg okoliczności, ale Entropia uosabia zbiegi nieszczęśliwych okoliczności. To ona.

Znaleźć ją.

Korzystając z czujników okrętu, Sorilla obserwowała, jak parithaliańska jednostka przerywa podejście do wroga i zawraca w ciasnym manewrze. Uznała, że to najlepsza możliwa odpowiedź na jej wiadomość. Zaczęła szybko zamykać swoje ścieżki dostępu, ale poświęciła jeszcze chwilę na opracowanie strategii ucieczki.

Niestety, nie miała zbyt wielu opcji.

Jej pancierz pozwalał na pobyt w próżni jedynie przez kilka godzin, a że nie mogła być pewna podwózki, nie miała zamiaru po prostu wyskakiwać ze statku. Ross najwyraźniej nie uznawali malutkich jednostek typu jej samolociku, który pozyskała od terrorystów na Allahu Akbar, więc taka opcja również nie wchodziła w grę.

Jedyną rozsądną drogą ucieczki wydawało się pomieszczenie portalu, ale główny problem polegał na tym, że w ten sposób mogła się dostać jedynie na inne jednostki Ross.

„Muszę ostrożnie dobrać ścieżkę” – pomyślała. Nie istniało może zbyt wiele dobrych możliwości, ale to nie znaczyło, że nie było ich wcale.

Szybki skan zaopatrzenia okrętu, na którym właśnie przebywała, nie dał jej zbyt wiele. Było tu trochę przechwyconego sprzętu Sojuszu i parę rzeczy z SOLCOM-u, ale nic przydatnego. Same śmieci, które trzymano tu pewnie tylko po to, by podkładać je po swoich atakach i zrzucać winę na kogoś innego, a przynajmniej się zamęt.

Został więc tylko portal.

„Potrzebuję mapy jednostek, z którymi łączy się ten portal, i ich lokalizacji w Galaktyce... i właściwie to dużo więcej. No to jedziemy...”

Na tym etapie Sorilla nie miała jeszcze żadnego konkretnego planu. Ledwie zdążyła wypełnić swoje bieżące zadanie, a nad dalekosiężnymi działaniami musiała dopiero pomyśleć.

„Chwila... a to co?”

Pochyliła się nad projekcją z terminala tak bardzo, że nawet przez osłonę hełmu czuła na twarzy muśnięcia wyników wyszukiwania.

„To...”

Przełknęła.

„Niemożliwe”.

Musiała wydostać się z okrętu.

Zlokalizowano Entropię.

W takim razie zdołała precyzyjnie przejść przez Ścieżki. Imponujące.

Skończcie ją podziwiać, jest zagrożeniem. Wyeliminować!

Konklawe próbowało odtworzyć poczynania Sorilli od chwili jej przybycia na pokład, ale nim skończyli, przerwała nagle działania przy terminalu i pospieszyła z powrotem w stronę Ścieżek.

Zatrzymać ją! Jeśli znów wejdzie na Ścieżki, możemy zgubić ją na zbyt długo, by zapobiec dalszym stratom!

Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Zaalarmowano ochronę, która już zmierzała na miejsce, ale ich cel nieraz udowadniał, że w ograniczonej przestrzeni radzi sobie zdecydowanie lepiej niż nawet znacząca liczba mechanoidów... a nie było opcji, by jakkolwiek przedstawiciel Ross zbliżył się do Entropii bez solidnego wsparcia.

Bez przygotowania mogli ją co najwyżej spowolnić.

Sorilla zbliżała się już do pomieszczenia portalu, wyczuwając zmierzające w jej stronę siły bezpieczeństwa. Jeszcze nie były w zasięgu i nie mogły jej zaatakować, a nie miała zamiaru im na to pozwolić.

Musiała jak najszybciej wydostać się z okrętu Ross i kontrolowanej przez nich przestrzeni – czy raczej czasoprzestrzeni – razem z całą zdobytą wiedzą. To zostawiało jej jedynie kilka możliwości działania.

Ścieżki na inne jednostki pozostawały otwarte. Sorilla nie sądziła, by te połączenia kiedykolwiek się zamykały, ale niewiele jej to dawało. Praktycznie wszystkie okręty Ross znajdowały się bardzo daleko od miejsc, w które chciałyby się dostać. Znane jej jednostki, których mogłaby użyć, by dostać się do bezpiecznych punktów w czasoprzestrzeni, zostały zniszczone – jak ta na Allahu Akbar. A po tym, co zobaczyła na mapie...

Zmusiła się do biegu, ignorując przeszywający ból płynący z każdej komórki jej ciała. Konsekwencje takich obrażeń pozostaną z nią na długo, ale nie miała czasu, by pozwolić im się spowalniać. Nie teraz.

Już miała portal w zasięgu wzroku, gdy zobaczyła oddział goblinów. Przyspieszyła, choć jej ciało krzyczało w proteście. Wyczuła ładującą się broń i zanurkowała akurat na czas, by uniknąć wycelowanych w nią impulsów czasoprzestrzennych. Uderzyła o pokład i przetoczyła się, a przeciwnik śledził jej każdy ruch. Ledwie umykała impulsom rozrywającym ściany i pokład wokół niej.

Znów poczuła uderzenie adrenaliny i na chwilę zapomniała o ociążałości, pędząc na złamanie karku przed szarżującymi na nią mechanoidami. Pośród wystrzałów wykonała ostatni desperacki skok... i zanurkowała w portal.

Alarm dla wszystkich stacji. Znaleźć ją. Znaleźć Entropię!

Tym razem Sorilla przetoczyła się sprawnie po pokładzie, wypadając z portalu, i stała pewnie na nogach, jeszcze nim się zatrzymała. Rozejrzała się, ale wokół nie było wroga. Musiała szybko zdecydować, co robić dalej.

Portale stanowiły sieć połączeń rozciągającą się przez całą przestrzeń kontrolowaną przez Ross Ell – i jeszcze dalej. Ich macki wgryzały się głęboko w światy, które mogły kiedyś być ich przestrzenią – albo i nie – ale teraz sięgały daleko poza linie przeciwnika.

Sorilla nie знаła przyczyny, dla której granice kontrolowanej przez Ross Ell przestrzeni się zmieniły. Tej wiedzy nie zdołała pozyskać z ich bazy danych... albo była to informacja, której nie zdołała przetłumaczyć. Wiedziała natomiast, że Ross utrzymywali swoje okręty w sektorach przestrzeni, które uznawali za aktualnie lub niegdyś wrogie.

Z punktu widzenia Ross najgorsze musiało być to, że o ile Sorilla dobrze zrozumiała dane, oni ani nie zbudowali, ani nawet nie zaprojektowali tej sieci. Potrzebowała więcej informacji, ale na tym etapie nie była pewna, czy warto teraz ryzykować dla dodatkowej wiedzy. Już to, czego zdołała się dowiedzieć, z pewnością sprawi, że SOLCOM posra się z wrażenia.

„Muszę zaryzykować... Muszę się dowiedzieć”.

Rozejrzała się raz jeszcze i tak jak poprzednio opuściła pomieszczenie portalu, kierując się w stronę znanego terminala.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

Nelim dokładnie przeanalizował odczyty. Gdy już określono lokalizację okrętu Ross, znalezienie go było wyłącznie kwestią czasu. Co prawda aktywne skanery wymagały przekroczenia progu wykrycia, ale pasywne wystarczyło jedynie skierować w odpowiednią stronę... o ile oczywiście obiekt poszukiwań wciąż będzie się znajdował w tym miejscu w określonym czasie.

Prędkość przesyłu danych w normalnej czasoprzestrzeni była nieco irytująca.

– Czy podążają za nami? – zapytał, nie do końca rozumiejąc odczyty.

– Nie w chwili pozyskania skanów, mistrzu okrętów. Wroga jednostka wygląda właściwie na... unieszkodliwioną? – Dowodzący sekcją skanowania również wydawał się zmieszany.

– Szczęście może nam sprzyjać, ale chyba nie aż tak bardzo – odparł Nelim sceptycznie. – Coś kombinują. Kontynuować obserwację. Nawigacja!

– Tak, mistrzu okrętów!

– Kurs na alternatywny punkt skoku, przekroczyć ograniczenia maksymalnego ciągu.

– Dobrze, mistrzu okrętów. Potrzebuję potwierdzenia drugiej części rozkazu.

Nelim spojrział na zastępcę, a ten tylko skinął głową i odparł:

– Potwierdzam rozkaz.

– Tak, mistrzu okrętów, mistrzu załóg, rozkaz potwierdzony. Przekraczamy maksymalny dopuszczalny odrzut. Rejestruję wpis do dziennika pokładowego, sekcja utrzymania.

Nelim zignorował wszystko, co oficer mówił po potwierdzeniu rozkazu. Znał konsekwencje przekroczenia ograniczeń przyspieszenia. „Czoło Wichru” najpewniej będzie musiało przejść pełną przebudowę po tej misji, a to potrwa... lata. Uznał to jednak za niezbędne do zapewnienia bezpieczeństwa załodze i wypełnienia misji.

Pokład zadrżał pod ich stopami, gdy wielkie wojskowe silniki odrzutowe włączyły się z pełną mocą. Systemy kompensacji przeciążeń działały daleko poza swoimi możliwościami, więc załoga poczuła wyraźny przechył.

Nelim trzymał się mocno, a wzrok odruchowo powędrował na skany okrętu wroga.

Siedział w miejscu.

„Co oni robią?”

Okręt portalowy

Konklawe szalało, wyniki poszukiwań na tysiącach okrętów nie przyniosły jak dotąd efektu.

Tytuł Entropia nadany ludzkiemu żołnierzowi okazał się sarkastycznym ostrzeżeniem od wszechświata, który najwyraźniej miał poczucie humoru – i był to czarny humor. Kosmiczne żywioły często sprzysięgały się, by zakłócać starannie układane plany.

Ludzie mieli takie przysłowie, które Ross wyekstrahowali z baz danych i umysłów przeciwników podczas krótkiego konfliktu.

Ziemiańskie najwyraźniej wierzyli, że wszechświat nie znosi próżni.

To była bodaj najgłupsza rzecz, jaką Ross kiedykolwiek słyszeli. Wszechświat składał się prawie wyłącznie z próżni. Co więcej, wszechświat raczej nie znosił materii, zbijając ją najciaśniej jak to możliwe, by oddzielić ją od czystej, niczym nieskażonej pustki.

Nie, wszechświat nie gardził próżnią. Nie znosił za to złożoności.

Im bardziej złożony był system – czy to celowo, czy przypadkowo – tym szybciej wszechświat doprowadzał do jego zniszczenia. Entropia była przelotnym żartem z tej uniwersalnej zasady, żartem, który Ross próbowali przerwać od dawna, a i tak co chwilę gdzieś się znów pojawiał i rujnował ich pracę.

Ale wciąż był to tylko żart, nawet jeśli ponury.

Teraz jednak żarty się skończyły.

Człowiek o nadanym przez nich tytule najwyraźniej postanowił sprostować swojemu przezwisku i wyglądało na to, że mimo coraz większych wysiłków starszyzna nie może zrobić nic, by go powstrzymać!

Jeden po drugim członkowie konklawe przechodzili w stan najwyższej gotowości, ale przekaz informacji wymagał czasu...

i wciąż nikt nie miał pojęcia, gdzie znajduje się cel.

Sorilla stała przed kolejnym terminalem, z wprawą odpalając obcy komputer. Zaczynała już nawet orientować się w interfejsie w stopniu wykraczającym poza absolutne podstawy.

Ross najwyraźniej preferowali rozproszone bazy danych, co prawdę mówiąc, zaskoczyło Sorillę. Spodziewała się raczej, że przy ich możliwościach przenoszenia rzeczy i informacji po całej Galaktyce za pośrednictwem portali będą mieli bardziej... równomierną strukturę przechowywania informacji.

Zamiast jakiegoś obcego odpowiednika Internetu widziała jedynie nieciągłe repozytorium danych, przechowywanych w większości lokalnie.

„Albo po prostu wchodzę jedynie do ich intranetu, bo jeszcze nie rozgryzłam, jak wysłać żądanie dostępu do szerszej sieci”.

Przy innych ograniczeniach, z jakimi musiała się mierzyć, nie miało to większego znaczenia. Najważniejsze, że ponownie udało jej się przywołać mapę sieci portali. Uważnie przejrzała kilkanaście losowych wpisów, nim znalazła to, czego szukała.

Był to okręt Ross lub jakiegoś rodzaju placówka na planecie sunącej po trzeciej orbicie wokół centralnej gwiazdy.

„Sol”.

Nie była pewna, czy rozumie, na co patrzy, ale musiało to mieć jakiś związek ze zbliżaniem się Ross do granic ludzkiego terytorium. Kiedyś już tu byli.

„I coś za sobą zostawili”.

Spece SOLCOM-u już od dawna wiedzieli, że Ross czegoś szukają. Nie rozgryźli tylko czego. Charakter ruchu przez ludzkie terytoria nosił znamiona wzorców przeszukiwania, jeśli wziąć pod uwagę lokalizację i dostępność punktów skoku z kontrolowanych systemów planetarnych.

Obecność starego okrętu na Dziecku Boga również pasowała do tego schematu, choć nieco odstawała od wzorca. Przede wszystkim podejrzewano, że to w ogóle nie jest okręt Ross, a nawet jeśli jest, już dawno został usunięty z czynnej floty.

Ale to też nie miało znaczenia. Mogła to być inna rasa, z którą Ross niegdyś walczyli, handlowali czy jeszcze coś innego... Nieważne. Było to natomiast bardzo istotne dla Ross.

Podobnie jak Ziemia.

Sorilla zgrała wpis na swoje implanty, a potem zaczęła przeglądać kolejne.

„Szukają czegoś. Pytanie nie tylko, czego szukają, ale i dlaczego?”

No cóż, być może bardziej palącą kwestią było to, jak, u diabła, wykopać się z tego pieprznika, ale Sorilla na razie nie chciała się tym dołować.

Szybki rekonesans potwierdził, że nie istniało żadne aktywne połączenie do obiektu na Ziemi. Przyniosło to Sorilli jednocześnie zawód, bo chciałyby po prostu teleportować się do domu, ale i ulgę... bo jakoś nie miała ochoty, by podążyła za nią cała armia Ross Ell.

„Tak czy siak, wciąż mam poważny problem”.

Zaczęła przeglądać dostępne ścieżki, szukając takiej, która zaprowadzi ją w jakieś użyteczne miejsce.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

– Jednostka Ross Ell w ruchu! Przyspiesza na kursie przechwytyjącym zgodnym z naszym kursem!

Nelim zaklął pod nosem, próbując nie denerwować swoich ludzi, ale zdecydowanie nie na takie wieści liczył. Już prawie miał nadzieję, że uda im się zwinąć, nim Ross zakończą to coś, co tam niby robili.

„Jak na mój gust mamy zdecydowanie za mało informacji”.

„Czoło Wichru” poruszało się już całkiem szybko i wciąż przyspieszało w stronę alternatywnego punktu skoku. Mieli sporą przewagę... ale Ross byli szybsi.

Zapowiadało się na wyścig i mistrz okrętów nie był pewien, kto go wygra.

– Proszę poinformować wysłannika – powiedział – że muszę z nim zamienić słowo.

– Tak, mistrzu okrętów.

Sienele udał się na dół do prywatnego biura mistrza okrętów. Nelim już na niego czekał. Szpieg skinął głową do parithaliańskich strażników stojących po obu stronach wejścia. Jeden z nich w milczeniu odbezpieczył drzwi i Sienele bez zbędnych ceregieli wszedł do środka.

Mistrz siedział za biurkiem, otoczony projekcjami z każdej strony poza kierunkiem, z którego nadszedł właśnie oficer wywiadu. Nelim spojrział na gościa ponuro.

– Analizowałem wektory – zaczął – i doszedłem do wniosku, że Ross zwiążą nas w walce, nim podejmiemy dostatecznie blisko punktu skoku. Nasze szanse na zwycięstwo... nie są duże.

Sienele pokiwał głową beznamietnie. Zdawał już sobie z tego sprawę. Parithaliański krążownik był średniej klasy jednostką bojową, zdolną do zadawania i zniesienia znacznych uszkodzeń w bitwie... ale wobec potęgi Ross taka wytrzymałość nie znaczyła nic.

– Rozumiem – powiedział na głos.

– Nie jestem tego pewien – odparł Nelim, przywołując jeden z plików i obracając projekcję tak, by Sienele mógł ją dokładnie przeanalizować. – Wprowadziłeś tę jednostkę na pokład „Czoła Wichru”, zgadza się?

Sienele skinął twierdząco, nieco zdezorientowany.

– Autoryzowałem to, tak.

– To starszy model – ciągnął mistrz okrętów – ale jeden z naszych. Możemy go doposażyć na potrzeby startu z wyrzutni. Wysłanniku, zbierz swoją ekipę i przygotujcie się na ewakuację. Cokolwiek pozyskalicie, najwyraźniej jest warte zniszczenia mojego okrętu, co oznacza, że ma to krytyczne znaczenie dla Sojuszu. Skoro Ross gotowi są zaryzykować wojnę, by nie dopuścić do wydostania się tych danych, one muszą się wydostać.

Sienele powoli pokiwał głową.

– Już rozumiem. Proszę doposażyć tę jednostkę.

– Prace są w toku. Proszę już iść.

Sienele nie przypominał mistrzowi okrętów, kto tu naprawdę dowodzi.

Po prostu wyszedł.

Okręt portalowy

Entropia była na jednostce stacjonującej w systemie Sigma 983.

Była?

Przejrzała terminal na okręcie, uzyskała dostęp do kilkunastu plików lokalizacji innych jednostek i zniknęła ponownie na Ścieżkach.

To się robi niepoważne.

Nakazać wszystkim jednostkom rozmieszczenie ochrony terminali sąsiadujących ze wszystkimi wejściami na Ścieżki.

Nowy raport, była na jednostce Xina 1293. Zniknęła już na Ścieżkach.

Co tam robiła?

Nie wiadomo. Widziano ją tylko przez moment, nim ponownie wróciła na Ścieżki. Jeden z dronów ochrony został unieszkodliwiony, zniknęła jego broń.

Konklawe jęknęło jednym głosem.

Znów była uzbrojona.

W rzeczywistości nie zwiększało to zagrożenia z jej strony, ale i tak wydawało się krokiem wstecz.

Podrzędne rasy nie powinny być w stanie dokonywać takich rzeczy. Oczywiście od czasu do czasu bywały niebezpieczne. Wszelkiego rodzaju szkodniki mogą poczynić szkody nieprzygotowanym, ale to przekraczało wszelkie pojęcie.

Szuka drogi ucieczki.

Najprawdopodobniej, ale nie mamy jak się dowiedzieć, jakie są jej wymagania wobec... ścieżki odwrotu.

Ależ wiemy.

Żadna z naszych jednostek nie przebywa aktualnie w przestrzeni kontrolowanej przez ludzi zgodnie z rozkazami po utracie floty. Tam nie ucieknie.

Nie, ale może uciec w przestrzeń Sojuszu. Pracują razem. Jakie jednostki znajdują się w pobliżu światów znanych Entropii?

Konklawe pospiesznie przywołało plik dotyczący Entropii, szukając odpowiedzi na to pytanie.

Niewiele.

Na taką właśnie odpowiedź liczyli.

Sorilla wpadła ślizgiem na kolejny pokład.

„Te lądowania nie mają litości” – jęknęła w duchu, wstając z trudem.

Przemykanie przez wiry i skrzyty czasoprzestrzeni, które Ross przekształcili w środek transportu, było wizualną kakofonią i zmysłowym pierdolnikiem czystej wody – przynajmniej z takim zestawem implantów, jakim dysponowała Sorilla.

Uczucie było mniej więcej takie, jakby ktoś jednocześnie szarpał ją w czterech różnych kierunkach, wciskał w trzy wymiary i rozciągał na kilkanaście kolejnych.

Tylko że jeszcze z jakimś niebieskim zapachem.

Nie rozumiała tego i starała się za wszelką cenę o tym nie myśleć.

Sorilla przypuszczała, że nie zostało jej zbyt wiele czasu, nim ostrzeżenia i rozkazy dotrą wszędzie, więc musiała szybko osiągnąć swój finalny cel – ale nim tam dotrze, potrzebowała jeszcze kilku niezbędnych do dalszego działania informacji.

Przeciwnik robił się jednak coraz sprytniejszy. Dwa ostatnie okręty musiała pominąć, bo ochrona czekała już na miejscu, skutecznie blokując dostęp do terminali. Prawdopodobnie byłaby w stanie się przebić przez mechanoidy, ale nie chciała zwracać na siebie aż tyle uwagi.

Ostatecznie miała już naprawdę sporo danych.

Więc wybrała losową ścieżkę... No, nie całkiem losową, bo wybrała cel na podstawie uzyskanych już wcześniej informacji, ale był to statek położony daleko od jakiegokolwiek miejsca, w którym można by jej oczekiwać. Liczyła, że w tym aspekcie Ross okażą się tacy sami jak ludzie – oporni w reagowaniu i dość głupi tak długo, jak się im wydaje, że zagrożenie ich nie dotyczy.

Trafiła w dziesiątkę.

Terminal był niestrzeżony. Sorilla raz jeszcze włamała się do systemu.

„Jeśli szukają Ziemi albo informacji na jej temat, z chęcią utrudniłabym im życie i pokasowała istotne dane, ale to chyba niemożliwe” – rozmyślała przy pracy. Przeglądała właśnie informacje związane ze ścieżkami, chcąc pogłębić swoje rozumienie tej metody transportu, gdy coś wpadło jej w oko.

Prawie to pominęła. Wyglądało to na zwyczajny wpis historyczny, ale jedna z przetłumaczonych fraz przykuła jej uwagę.

„Ścieżki są najdoskonalszym dziełem wroga. Lud przysposobił je do własnego użytku, ale strzeżcie się, gdyż nie są tak bezpieczne, jak byście sobie życzyli” – przeczytała Sorilla w zdumieniu, nim pospiesznie wróciła do początku i zeskanowała całość do oprogramowania OCR, do późniejszego przetłumaczenia.

„Nie stworzyli portali, a ukradli je przeciwnikowi...”

Było to bardzo interesujące i wyjaśniało, dlaczego Ross tak dziwnie używali technologii, która według Sorilli mogłaby im dać bezsprzecznie miażdżącą przewagę w prawie każdym konflikcie. Nie mieli po prostu pełnej wiedzy o możliwościach systemu, a może nie umieli ich wykorzystać. Trudno powiedzieć.

„Admirał Ruger chyba się przekręci. Ups” – pomyślała, słysząc chrzęst kroków na pokładzie. „Czas się zwiijać”.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

– Pokład lotniskowy wydał zgodę na start jednostki, mistrzu okrętów.

Nelim skinął twierdząco.

– Proszę poinformować, że jesteśmy gotowi. Ręczne sterowanie startem przekazać pilotowi.

– Tak, mistrzu okrętów.

Okręt Ross podchodził do nich od burty w zastraszającym tempie. Nelim był zdumiony, gdy to zobaczył. Nie było mowy, że uda się uniknąć starcia z wrogiem. Im szybciej dane wywiadowcze pozyskane przez wysłannika opuszczą „Czoło Wichru”, tym lepiej.

– Jednostka startuje, mistrzu okrętów.

Nelim poczuł to w lekkim drzeniu pokładu. Akcelerator wyrzucił statek z luku z wielkim przyspieszeniem. Mechanizm normalnie wykorzystywano do spowalniania dokujących jednostek, jeśli straciły wcześniej kontrolę nad silnikami, ale łatwo było przystosować go do odwrotnej funkcji. Na ekranie Nelim mógł obserwować, jak przestarzały stateczek wystrzelił z jego okrętu w stronę punktu skoku z przyspieszeniem wielokrotnie przekraczającym to, które sam mógłby uzyskać.

Wątpił, by ktokolwiek na pokładzie był w tym momencie szczęśliwy, ale większość załogi stanowili Lucjanie, a reszta... przeżyje.

„Prawdopodobnie”.

Nelim życzył im szczęścia i natychmiast zajął się swoimi sprawami. Jego okręt miał misję do wykonania.

– Zawracamy – polecił spokojnie, a jego pewny głos poniósł się ponad chaosem panującym na mostku.

– Tak, mistrzu okrętów. Zawracamy.

Okręt portalowy

Na krótką chwilę uwaga konklawe przeniosła się z poczynąń Entropii na alarm wywołany nagłymi zmianami w obrębie obserwowanego sektora przestrzeni.

Okręt Sojuszu zawrócił. Już nie uciekają?

Wydaje się, że przygotowują się do starcia.

Głupcy.

Nie. Na skanach widać anomalie. Spójrzcie.

Starszyzna przywołała ponownie projekcję i korzystając z przewagi kompresji czasu, przeanalizowała uważnie sytuację. Raz za razem przyglądali się równaniom jednostki tuż przed tym, jak krążownik zawrócił.

Nagłym zwrotem próbują coś przed nami ukryć. Wystrzelili mniejszą jednostkę.

Zniszczyć obie.

Zgoda. Zainicjować rozkaz walki totalnej. Należy bez zwłoki związać w bitwie i zniszczyć krążownik Sojuszu, a następnie zlokalizować drugą jednostkę, nim ta zdąży uciec.

Zgoda. Rozkazy wydano.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

– Okręt Ross ponownie przyspieszył!

Nelim drgnął, lecz zmilczał, rozważając nowiny. Mógłby przysiąc, że ta enigmatyczna rasa nie dysponuje statkami, które mogą aż w takim stopniu zdeklasować „Czoło Wichru” w zakresie osiągow w przestrzeni kosmicznej. Jeśli chodzi o siłę ognia, przewaga była

niekwestionowana, ale podczas wojny takich możliwości przyspieszenia u Ross nie obserwowano.

– Naładować działa dziobowe – rozkazał. – Uważać na jakiegokolwiek zmiany w czasoprzestrzeni. Łatwo ich nie pokonamy.

– Tak, mistrzu okrętów.

„Czoło Wichru” wciąż zwalniało względem wcześniejszego wektora ruchu, a okręt Ross zbliżał się nieubłaganie. Nelim chciał pozostać na niezmiennym kursie aż do ostatniej chwili, dając wysłannikowi i jego ekipie jak największe szanse ucieczki i osłaniając ich ścieżkę promieniowaniem silników krążownika.

Jednak jeśli wróg będzie zbliżał się w takim tempie jak dotąd, trzeba będzie rozważyć inne opcje.

– Maszynownia, cała wstecz – rozkazał. – Maksymalny odrzut wsteczny, pominąć zabezpieczenia.

– Tak, mistrzu okrętów. Cała wstecz.

Krążownik zadrżał wyczuwalnie, gdy kadłub zaprotestował przeciwko pełnemu odrzutowi skierowanemu w przeciwną niż zazwyczaj stronę. Nelim był przekonany, że szacowny okręt wytrzyma naprężenia, ale jednocześnie przypomniał sobie, że co prawda jednostki budowane przez jego lud były szybkie, ale niekoniecznie równie wytrzymałe.

– Działa dziobowe w pełni naładowane, mistrzu okrętów.

– Gotowość do wystrzału – nakazał Nelim. – Obliczyć współrzędne wrogiego okrętu, centralna część kadłuba.

– Współrzędne wprowadzone.

Nelim się zawahał, jakiś wewnętrzny głos radził mu czekać, aż wróg wystrzeli pierwszy. Gdyby wszystko okazało się błędem identyfikacji czy inną dziwną pomyłką, rozpętałby właśnie wojnę, na którą Sojusz nie mógł sobie pozwolić. Ale wiedział, że sytuacja jest inna. Wróg podjął już próbę zabójstwa wysłannika, chcąc zniszczyć „Czoło Wichru” i uśmiercić całą jego załogę.

„Mieli swoją szansę”.

– Ognia.

Promienie lasera, jaśniejsze niż serce gwiazdy, wystrzeliły z dzioba krążownika z prędkością światła, bezlitośnie tnąc próżnię. Mimo że poruszały się z największą możliwą w normalnej

czasoprzestrzeni prędkością, wydawało się, że osiągnięcie celu trwa całą wieczność.

Wiązki rozdarły przedni pancerz mocarnej jednostki, ale ta nawet nie zwolniła, dalej prac prosto na parithaliański krążownik. Znaczyła jedynie swój kurs szlakiem dymu i uciekających z rozszczelnionego kadłuba gazów. Przez pokład dowodzenia przetoczył się krótki wiwat, gdy aktywne skanery natychmiast potwierdziły bezpośrednie trafienie. Wyniki skanowania pasywnego zajęły tyle czasu, ile wiązkom było potrzebne na osiągnięcie celu.

- Okręt wroga nie zwolnił, mistrzu okrętów.
- Kontynuować ostrzał, pełne protokoły automatyczne.
- Tak, mistrzu okrętów.

Kolejne wiązki przecięły przestrzeń.

Bitwa się rozpoczęła.

Okręt portalowy

Pomniejsze uszkodzenia jednostki.

Zignorować. Kontynuować na niezmiennym kursie. Przyspieszyć.

Jednostka osiągnęła maksymalne przyspieszenie na granicy bezpieczeństwa jej oraz załogi.

Przyjęto. Wykonać rozkaz.

Wykonano.

Konklawe obserwowało wymianę ognia bez emocji, nie martwiąc się uszkodzeniami własnej jednostki, które nie miały wpływu na jej misję. W tej chwili liczył się tylko wynik starcia.

Krążownik Sojuszu stał między Ross a ich celem, więc musiał zginąć.

Wchodzimy w zasięg zaworu.

Nie używać go. Kontynuować bez zmian tak długo, aż ucieczka nie będzie już możliwa.

Dobrze.

Wielki statek parł naprzód, nie bacząc na zalewający go ogień przeciwnika, skracając dystans z każdą chwilą. Konklawe obserwowało.

Parithaliański transportowiec

Sienele wpatrywał się w ekrany, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Czujniki małego statku transportowego nie pokazywały zbyt wiele, gdyż nie umiały przebić się przez promieniowanie potężnych silników odrzutowych „Czoła Wichru”.

Mimo to Sienele nie odwracał wzroku.

Nie był specjalistą od walk kosmicznych, ale widział dostateczną ich ilość, by mieć pojęcie, co się właśnie dzieje. Jak długo widział na ekranach „Czoło Wichru”, walka wciąż trwała... nie licząc czasu, jakiego światło potrzebowało, by odbić się od poszycia krążownika i wrócić na czujniki malutkiej jednostki.

Parithalianie stanowili trzon floty Sojuszu i w imieniu jego obywateli reprezentowali jego potęgę we wszystkich sektorach Galaktyki. Uznawano ich za niedościgłych mistrzów wszystkiego, co lata.

Ross... zupełnie nie. Najwyraźniej w ogóle nie interesowały ich kwestie taktyczne, umiejętności czy cokolwiek, co wiązałoby się z jakimkolwiek talentem do poruszania się w trzech wymiarach. Dysponowali natomiast wielką liczbą monstrualnych okrętów, które były w stanie wytrzymać poważny ostrzał wszelkiego uzbrojenia konwencjonalnego, jakim dysponował Sojusz, jednocześnie prezentując poziom mocy, który wedle wszelkich prawideł wszechświata nie powinien być w ogóle dostępny dla śmiertelników.

Sienele nie miał pojęcia, czy „Czoło Wichru” będzie w stanie zająć okręt Ross na tyle długo, by ich stary stateczek zdołał umknąć... Prawdę mówiąc, nie był nawet pewien, czy przetrwają kilka najbliższych chwil.

Na dodatek nawet nie mógł obserwować wroga.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

Nelim trzymał się mocno, czując silne wibracje pokładu pod stopami i przechylając się niebezpiecznie do przodu. Odwrócony ciągnął dawno przekroczył moc, którą system kompensacji inercji byłby w stanie wyrównać. Załoga odczuwała to jako prawie

trzydziestoprocentowy przechył, co wszyscy uparcie próbowali ignorować, nie przerywając pracy.

Okręt Ross wciąż przyspieszał, co było jasnym sygnałem, że wróg zamierza po prostu minąć „Czoło Wichru”, unieszkodliwiając je podczas przelotu, i lecieć dalej. Taki manewr mógł mieć tylko jeden powód – Ross wykryli start mniejszej jednostki i postanowili ją przechwycić.

- Mistrzu okrętów, główne działa wykazują oznaki przegrzania.
- Kontynuować ostrzał.
- Tak, mistrzu okrętów.

Na tym etapie Nelim kompletnie nie przejmował się przegrzaniem dział. Jeśli okręt w ogóle przetrwa to starcie, i tak czeka go co najmniej kapitalny remont, jeśli nie zezłomowanie i odbudowa. Silniki krzyczały w proteście, kadłub już dawno przekroczył granicę bezpiecznych naprężeń i z pewnością był uszkodzony, a dodatkowo mieli pełen przekrój pomniejszych usterek wszystkich systemów po gwałtownym anulowaniu skoku.

Zniszczenie dział w ogóle nie było istotne. Może i miałyby to znaczenie, gdyby bitwa miała trwać dłużej, ale jeśli nie zakończy się za kilka chwil... No cóż, na pewno zakończy się za kilka chwil.

- Anomalia grawitacyjna!
- Unik! Wzorzec Sio Bram!
- Unik!

Pokład przechylił się gwałtownie w lewo. Załoga walczyła desperacko, by utrzymać się na stanowiskach, podczas gdy okręt próbował wygrzebać się ze studni grawitacyjnej, która rozrastała się z jego dotychczasowej pozycji.

„Czoło Wichru” zaczęło się nagle zwijać. Pokład przechylił się gwałtownie w przeciwnym kierunku, wyrzucając jednego z załogantów z miejsca.

- Obsadzić jego stację!

Ross wreszcie postanowili odpowiedzieć ogniem.

Konklawe przyglądało się, jak krążownik Sojuszu uniknął pierwszego trafienia z głównej broni Ross. Członkowie nie byli

zaskoczeni powodzeniem manewru, choć czuli się nieco zawiedzeni.

Ci członkowie Sojuszu – Parithalianie, jak wynikało z bazy danych – znani byli z rozwiniętych umiejętności manewrowania w przestrzeni trójwymiarowej. Nie różnili się pod tym względem od większości gatunków latających, choć mało który był dostatecznie zaawansowany, by zastosować swoje umiejętności poza rodzimą atmosferą.

Z przyczyn, których Lud do końca nie rozumiał, gatunek wydawał się sądzić, że ta umiejętność daje mu przewagę nad innymi i czyni go w jakiś sposób nadrzędnym.

Prymitywne gatunki miawały tę interesującą właściwość.

Ross nie widzieli większego sensu w sztuce manewrowania Parithalian, czy to w codzienności, czy w boju. Liczył się tylko wynik.

A wynik był już przesądzony.

Parithaliański krążownik „Czoło Wichru”

Pokład wyrównał się przynajmniej w jednej płaszczyźnie, choć nadal był mocno przechylony do przodu z powodu maksymalnego ciągu silników.

Niewyobrażalne przyspieszenie okrętu Ross zniwelowało jednak ich początkową przewagę prędkości i teraz odległość między jednostkami przerażająco szybko się zmniejszała.

– Przygotować broń zapasową – rozkazał Nelim. – Kontynuować nieprzerwany ostrzał automatyczny ze wszystkich głównych dział.

– Kontynuujemy ostrzał, tak, mistrzu okrętów. Zapasowa broń w gotowości.

– Ustalić współrzędne wrogiej jednostki. Cel na silniki.

– Współrzędne wprowadzone i załadowane.

– Ognia ze wszystkich dział zapasowych!

– Ognia!

Pokład ponownie zadrżał, gdy broń wystrzeliła w zimną pustkę kosmosu.

Zapasowe działa „Czoła Wichru” były wyrzutniami pocisków przyspieszanych w lufach i balistycznych po wystrzale, mających dużą energię kinetyczną i przenoszących potężne ładunki antimaterii. Używano ich tylko w ostateczności ze względu na ryzyko, z jakim wiązało się chybienie celu. Był to jednak niewielki koszt w porównaniu z ich niszczycielską mocą i szybkością osiąganą w walce w przestrzeni kosmicznej.

Przy prędkościach, z jakimi wystrzeliwano pociski, żaden chemiczny ani nawet atomowy wyzwalacz nie miał już wpływu na detonację, gdy broń dosięgła celu. Zmiana punktu detonacji, gdy prędkość pocisku przekraczała prędkość przesyłu informacji, nie była możliwa.

Głowice antimaterii nie wymagały detonatora i nie wpływało na nie uderzenie – poza tym, że kontakt zapewniał bezpowrotne i skuteczne rozszczelnienie. A kiedy to się działo... natura robiła swoje.

Malutkie sferyczne głowice przecięły próżnię, pędząc w stronę celu z jedną trzecią prędkości przesyłu informacji, a zbliżający się okręt dodawał do tego drugie tyle. W przeciwieństwie do broni energetycznej tego typu pocisk dawał jakieś minimalne pole do manewru, dlatego też mistrz okrętów czekał z jego wystrzeleniem do ostatniej chwili.

Ross tym razem podjęli próbę uniku, ale mieli za mało czasu, by ich okręt zdołał zejść z linii strzału.

Prawie połowa głowic dosięgła celu, skutkując oślepiającym kataklizmem.

Nelim zignorował wiwaty i radosne okrzyki, jakie przetoczyły się przez pokład dowodzenia „Czoła Wichru”. Widział nagrania z poprzedniej wojny z Ross i wiedział, że jeszcze za wcześnie na świętowanie.

– Proszę o status wroga! – rzucił, przekrzykując hałas.

– Promieniowanie zakłóca pracę czujników. Próbuje oczyścić skany, promieniowanie szybko spada...

Nelim zacisnął twardą niczym kość osłonę swoich dziobokształtnych ust, czując, jak narasta w nim napięcie.

Ekran niczego nie pokazywały, zalane bielą, gdy dotarła do nich fala uderzeniowa promieniowania, przeciążając czujniki do tego stopnia, że włączyły się zabezpieczenia chroniące je przed przepaleniem. Nie można było zrobić nic innego, tylko czekać, aż promieniowanie opadnie i będzie można znów coś zobaczyć.

Ekran powoli wracały do życia, wyświetlając zamazane obrazy z czujników pracujących ponad dopuszczalne limity. Lepsze to niż nic.

Bąbel promieniowania wyświetlał się jako pełna paleta przenikających się barw, która zanikała w oczach.

– Skanery zaczynają znów działać, mistrzu okrętów. Za kilka chwil powinniśmy odzyskać obraz.

Nieświadomie Nelim zacisnął palce na brzegu konsoli, czekając na jakiegokolwiek informacji. Nachylił się nad ekranem, siłą woli próbując przyspieszyć proces. Alarm grawitacyjny prawie wyrzucił go ze stanowiska.

– Unik! Zabrać nas...

Okręt portalowy

Wybuch jednostki Sojuszu na krótko zaciemnił skany sektora dla oczu konklawe. Wypromieniowana energia dość skutecznie zasłoniła wszystko inne, a nagle, nienaturalna dziura w lokalnej czasoprzestrzeni dosłownie wycięła jakąkolwiek sensowną rozdzielczość skanów tego obszaru.

Konklawe nie przejmowało się tą zmianą, gdyż ich gniew ogniskował się na zniszczeniach ze strony wrogiego okrętu.

Pierwsze impulsy z głównej broni krążownika Sojuszu nie miały żadnych poważniejszych skutków. Powierzchnowe uszkodzenia kadłuba zostaną usunięte w krótkim czasie przez automatyczne systemy naprawcze, nie zakłócając w niczym funkcjonowania jednostki.

Jednak głowice antimaterii odpalone w ostatniej chwili to zupełnie inna sprawa.

Dostępne przyspieszenie spadło do jednej trzeciej pożądanego maksimum, a uszkodzenia okazały się na tyle poważne, że czasoprzestrzenna fala uderzeniowa ich własnego ataku dokonała jeszcze głębszych zniszczeń w strukturze okrętu.

W ciszy konklawe przeznaczyło jednostkę do natychmiastowego odzysku, jak tylko dotrze z powrotem w przestrzeń Ludu.

Najpierw jednak pozostała jej do wypełnienia finalna misja.

Parithaliański transportowiec

Sienele zaklął, widząc zniszczenie „Czoła Wichru” na ograniczonych skanerach zainstalowanych na starym transportowcu. Odepchnął ekran i wstał, kierując się na dziób, kopiąc po drodze w jakiś sprzęt pułkownik, który wciąż walał się po pokładzie.

– „Czoło Wichru” zostało zniszczone, ale wygląda na to, że załoga kupiła nam trochę czasu. Jak daleko do punktu skoku? – zapytał, pochylając się nad stanowiskiem, przy którym Kriss majstrował przy kontrolkach.

– Zbyt daleko, chyba że Parithalianie kupili nam naprawdę dużo czasu – odparł Kriss ponuro. – Ostatnie obliczenia wskazywały, że okręt Ross dogoni nas daleko przed punktem skoku.

– Zatem pozostaje nam nadzieja, że „Czoło Wichru” odniosło większy sukces w bitwie, niż się obawiamy – stwierdził pesymistycznie Sienele.

Kriss tylko się uśmiechnął.

– Miej sobie nadzieję, wolna wola. To bez znaczenia. Nasz los przypieczętowano, pozostaje nam tylko zaczekać na wyrok.

Sienele czasami naprawdę nienawidził filozofii Lucjan.

Okręt portalowy

Sorilli prawie udało się lądowanie. Wyleciała z portalu w kucki, wpadła w poślizg i zatrzymała się tuż poza zasięgiem oszalałających wirów czasoprzestrzeni, których używała do przemieszczania się o lata świetlne.

O ile się nie myliła, znajdowała się o kilka skoków od celu, choć jej obliczenia opierały się na zgrubnych szacunkach.

Z każdym przejściem uczyła się coraz więcej i więcej o systemie, który Ross znaleźli czy skradli... Transport nie polegał przy tym na natychmiastowym przejściu z miejsca na miejsce, bez względu na dystans, a Sorilla nie umiała określić, czy czuje przez to ulgę, czy zawód.

„Chyba jednak ulgę” – pomyślała.

Choćby z tej prostej przyczyny, że skoro sieć była pod kontrolą Ross, dobrze, że miała chociaż wyraźne ograniczenia.

Przede wszystkim chodziło o zasięg, choć trudno określić, czy Ross rozumieli to tak samo jak ona i ludzkość. Kwestia dystansu nie pojawiała się w zapisach, których fragmenty udało się jej odszyfrować, ale Sorilla nie wiedziała, co oznaczają pozostałe zmienne.

Czas był najpewniej jedną z nich, ale raczej nie chodziło o podróże w czasie.

Cokolwiek by to znaczyło, w praktyce przekładało się na niemożność skoku bezpośrednio do celu. Trzeba było najpierw kierować się ścieżkami z okrętu na okręt, podobnie jak statki kosmiczne czasami musiały podróżować przez kilkanaście systemów gwiazdnych, nim dotarły do punktu skoku kierującego je do celu.

„Może nawet powody są zbliżone” – rozważała Sorilla. Prawdopodobnie łatwiej byłoby jej to rozgryźć, gdyby rozumiała przyczyny i zasady analogicznych ograniczeń dla statków, ale niestety, nie była to jej specjalność.

„Nie spodziewałabym się, że taka myśl kiedykolwiek przyjdzie mi do głowy, ale... szkoda, że nie zrobiłam specjalizacji w matematyce czasoprzestrzeni. Lepiej niech mnie ktoś teraz postrzeli, nim zacznę tak myśleć przez cały czas”.

Wśród wszystkich pozycji w jej bogatym arsenale umiejętności akurat zaawansowanej matematyki nie było. W razie potrzeby mogła w mgnieniu oka zastrzelić lub namierzyć snajpera, ale tego typu obliczenia balistyczne były szczytem jej umiejętności matematycznych przy znaczącym wsparciu sprzętowym.

Oczywiście miała dostęp do najlepszych zminiaturyzowanych superkomputerów, jakie kiedykolwiek stworzono, zintegrowanych z jej implantami i pancerzem, ale kalkulacje czasoprzestrzenne wciąż pozostawały daleko poza jej zasięgiem.

Tymczasem rozejrzała się po sekcji okrętu, na który trafiła, z lekkim zaskoczeniem stwierdzając, że nie ma śladu po dronach. Sorilla wiedziała, że rozesłano rozkazy jej pochwylenia, ale najwyraźniej albo ich przekaz nie był równomierny, albo niektóre jednostki nie spieszyły się z wdrożeniem poleceń.

Tak czy siak z zadowoleniem wykorzystwała lukę w ochronie. Sprint w stronę upatrzonego zabezpieczonego pomieszczenia terminala nie był dobrym pomysłem, bo w większości przypadków to miejsce było już dobrze chronione, ale w mniejszej odległości znajdowało się sporo niezabezpieczonych terminali, również dających dostęp do bardzo ciekawych informacji, za które SOLCOM z pewnością mógłby zabić.

„Szczególnie Ruger. Ten człowiek jest nakręcony mocniej niż niemiecki zegarek, za to poczucia humoru nie ma za grosz”.

Niezabezpieczone informacje ograniczały się głównie do logistycznych danych, które na SOLCOM-owskim okręcie każdy podoficer znałby i bez dostępu do komputera, ale wciąż musiały być łatwo dostępne. Spis ładunku powinien być łatwy do zdobycia, podobnie jak tabele załogi, organizacji i wyposażenia, a może nawet charakter misji czy jej cel.

Sorilla skopiowała szybko dostępne dane, nie zajmując się zupełnie ich tłumaczeniem. Raczej nie znajdzie się tam nic, co mogłoby jej teraz pomóc, ale miała świadomość, ile lat SOLCOM spędzi na analizie tych danych, o ile Sorilla zdoła je dostarczyć.

Nie chciała za bardzo kusić losu, a został jej już tylko jeden skok do celu. Stamtąd miała nadzieję przedostać się do przestrzeni pod kontrolą ludzi, a przynajmniej skontaktować się z Sojuszem. W najgorszym razie będzie mogła przyczaić się na jakiś czas, czekając na okazję.

Zamknęła połączenie z terminalem i trzy razy sprawdziła obliczenia do następnego skoku, idąc z powrotem w stronę portalu. Ustawiła się w odpowiedniej pozycji i zanurzyła znów w poskręcanej przestrzeń nieeuklidesową, znikając z okrętu.

Wtedy w pustym już pomieszczeniu pojedynczy goblin wyłonił się z wnęki w ścianie i nadał komunikat, że przedmiot obserwacji zniknął.

Konklawe przeniosło uwagę na wiadomość, która nadeszła z jednego z posterunków obserwacyjnych, jakie ustanowiło. Porzucili na chwilę sprawę zniszczenia statku i skupili się na Entropii.

Udała się na okupowany przez ludzi świat Bera Ur. Interesujące.

Czy ma tam jakieś kontakty?

Starszyzna nie była pewna odpowiedzi na to pytanie. Odnotowano tam jakąś operację Sojuszu, ale raport nie wspominał o żadnym człowieku. Większość członków spodziewała się, że Entropia wybierze inny ludzki świat.

Bez znaczenia. Rozkazy wdrożono, nie opuści tego miejsca o własnych siłach.

Okręt portalowy, Arkana, świat Sojuszu

Sorilla poczuła, że wiry portalu rozluźniają się i opuszcza ścieżkę, ugięła więc nogi, gotowa na mocne lądowanie. Jednak nim poczuła grunt pod stopami, dwie rzeczy podrażniły jej zmysły.

Po pierwsze, skaner sygnalizował znaczącą różnicę w pomieszczeniu portalowym, do którego właśnie wchodziła – w porównaniu z pustką poprzednich. Po drugie, jeszcze w powietrzu wyczuła ładującą się broń grawitacyjną i wystrzelone w jej stronę impulsy.

Nie miała możliwości uniku, więc pierwszy impuls pchnął ją silnie i posłał na ziemię w nieopanowanym wirowaniu. Paradoksalnie to uratowało jej skórę, bo kolejne trafiły dokładnie tam, gdzie jeszcze przed ułamkiem chwili się znajdowała. Przy takiej sile ognia pancerz niewiele by jej pomógł.

Była poobijana, a uszy wypełniły jej alarmy uszkodzonych systemów. Bezwładny, wirujący ślizg posłał ją prosto pod nogi dwóch goblinów, które przewróciła niczym kręgle, nim trzasnęła o ścianę z siłą, która połamałaby jej nogi, gdyby nie wciąż działający pancerz.

Mimo to nawet w pancerzu uderzenie mocno zabolalo. Prąd przeszył jej nogę, przeszkadzając w skupieniu myśli na tym, co się właściwie działo.

Kolejne impulsy poleciały w jej stronę, a wyszkolone ciało zareagowało automatycznie, podczas gdy mózg wciąż próbował nadążyć za sytuacją. Zwalczyła ból, poderwała się na nogi i zanurkowała, w klasycznym ataku powalając najbliższego goblina i przetaczając się wraz z nim w poszukiwaniu osłony.

W zwarciu małe mechanoidy walczyły zaciekle, ale jej poziom umiejętności nie dawał im szans. Sorilla zablokowała kończyny drona, ale nie poprzestała na unieruchomieniu maszyny. Włożyła w chwyt całą siłę pancerza. Metal jęknął, zgrzytnął, a potem rozprysł się na części.

Pozbawiony kończyn goblin nie stanowił już zagrożenia, więc Sorilla zabrała mu broń. Nie pamiętała nawet, gdzie zgubiła poprzednią. Uzbrojona, rzuciła się w stronę najbliższego korytarza, ścigana zaciekłym ogniem broni impulsowej.

„Zastawili na mnie pułapkę, musieli rozgryźć, gdzie się kieruję. Cholera, Ghule są bardziej zorientowani w ludzkim sposobie działania, niż sądziłam” – pomyślała, wściekła, że nie przewidziała takiego obrotu spraw.

Nawet nie zauważyła, że znów myśli o Ross jak za czasów wojny. Już od dawna nie myślała w ten sposób. Pokojowe kontakty z Sojuszem zmieniły jej sposób postrzegania dawnego wroga, który okazał się, no cóż, zbiorem innych ludów. Sorilla przypuszczała, że gdyby dało się dostatecznie zbliżyć, Ross również okazaliby się ludem... gdzieś w głębi.

„Bardzo głęboko...”

Po prostu tego nie okazywali. Kontakty z Ross zawsze sprawiały, że czuła się jak mrówka w relacji z człowiekiem. Byli pozbawieni uczuć, empatii i troski, kompletnie amoralni według ludzkich standardów i całkowicie obojętni wobec działań ludzi, póki te nie wpływały na nich bezpośrednio.

Prowadziła już operacje, które dosłownie roznosiły w pył instalacje Ross. Oczywiście ścigali ją, ale tylko dopóki pozostawała w kręgu ich zainteresowania. Jak dotąd nie wykazywali żadnych oznak, że w ogóle próbują rozgryźć jej działania.

Teraz coś się zmieniło.

Trzymając w dłoniach odebraną goblinowi broń, pędziła korytarzami obcej jednostki. Ścigana okazjonalnym ogniem starała się być cały czas w ruchu, by nie dać się przyszpilić lub zastrzelić.

„Muszę się stąd wydostać” – pomyślała.

Arkana była jednym z bardzo niewielu miejsc, gdzie miała szansę przesznuć się z powierzchni. Planeta pierwotnie została skolonizowana przez wojowniczą frakcję białej supremacji, działającą pod przykrywką wolnościowych idei. Kiedy Sorilla ostatnio tu była, rasistowskie stereotypy co prawda wciąż funkcjonowały, ale powoli ustępowały miejsca czemuś bliższemu wolnościowym hasłom, za którymi kryli się pionierzy.

Było coś w tej idei równości i samostanowienia. Okazywała się zaraźliwa. Nie dało się udawać, że wyznaje się takie zasady, bez stopniowego ulegania im, nawet jeśli nie w pierwszym, to w drugim pokoleniu.

Ostatecznie, bez względu na przekonania przodków, ludzkość nie miała w sercach dostatecznie dużo nienawiści, by wystarczało jej na długo. Kto próbował indoktrynować społeczność nienawiścią, hodował sobie rewolucję, która zmiatała wszystko, co próbował

zbudować... a jeśli skrywał nienawiść za innymi ideami, te jakoś zawsze brały górę.

Arkana nie była oczywiście żadną utopią. Odziedziczyła po swoich założycielach aż nadto problemów, podobnie jak Allahu Akbar, ale obie społeczności stawały się powoli kulturami, w których Sorilla umiałaby już sobie ułożyć życie.

Rzecz jasna miała nadzieję, że nie będzie musiała.

Miała już swoje miejsce w Galaktyce – na Haydenie.

„Najpierw muszę się wydostać z tego przeklętego okrętu, a potem dopiero pomyślę, jak wydostać się z planety”.

Uniknęła pierwszej zasadzki. Imponujące.

Przypadek. Została trafiona, nim stanęła na pokładzie. Trafienie zepchnęło ją z linii strzału pozostałych dronów. Wygląda na to, że wszechświat konspiruje z Entropią.

Nie powołuj się na jakieś nadnaturalne idiotyzmy, by wytłumaczyć jej działania. Przypadek to czynnik, ale ona została wyszkolona do sytuacji, w jakich ją stawiamy, i rozumie je lepiej niż my.

To odrażające. Jest tylko zwierzęciem.

A to jest zwierzęca gra. Nie bierzemy udziału w czymś takim. Nie żyjemy tym. Ona tak. Dlatego jak dotąd przegrywamy.

Nie ma przegranej, póki trwa rozgrywka.

Nastroje konklawe stawały się gorętsze z każdą upływającą chwilą. Im dłużej Entropia unikała sił wysyłanych przez starszyzną Ross, tym mniej jej członkowie byli pewni swojej wyższości, przynajmniej w niektórych obszarach działań.

Ta niepewność sprawiła, że niektóre głosy stawały się coraz bardziej napastliwe, nieświadomie broniąc głębokiego przekonania o wyjątkowości i niezaprzeczalnej wyższości swojej rasy. Byli wszak całkowicie odmienni niż wszystko i wszyscy, co kiedykolwiek napotkali.

Nikt nie postrzegał wszechświata tak jak oni. Nikt nie doświadczał go ani nie manipulował nim tak jak oni. Aby być Ludem, trzeba było rozumieć wszechświat na takim właśnie głębokim poziomie. Tylko oni to umieli, zatem tylko oni byli Ludem.

Niektóre zwierzęta były groźne, to jasne, ale to wciąż tylko zwierzęta.

Ograniczone stworzenia, które funkcjonowały jedynie w trzech wymiarach, związane czwartym... i całkowicie nieświadome pozostałych.

Można się było nad nimi litować – w zależności od dobroduszości, jaką się czuło do pomniejszych form życia – ale nic poza tym. Zwierzęta to tylko zwierzęta.

Niektórzy członkowie konklawe zaczęli nieśmiało kwestionować to stwierdzenie, obserwując poczynania Entropii. Postrzegała wszechświat znacznie głębiej niż jakiegokolwiek inne stworzenie, jakie dotąd napotkali. Umiała manipulować i nawigować wśród wielowymiarowych strun w sposób dostępny jedynie Ludowi.

A przecież była zwierzęciem.

Nie miało to dla nich sensu.

Niektórzy spośród konklawe nie żywili już takiego jak wcześniej przekonania wobec zakończenia jej życia.

Oczywiście nikt nie protestował. Lud i misje, jakich należało dopilnować, były niezbędne. Jedno życie, nawet jeśli nie do końca zwierzęce, nie mogło się z tym równać.

Sorilla zatrzymała się, kryjąc się za rogiem w labiryncie identycznych korytarzy.

„Wyjście jest całkowicie zablokowane. Niedobrze”.

Potrzebowała nowego planu, bo dotychczasowy właśnie diabli wzięli. Nie wiedziała, czy byłaby w stanie pokonać strażników i wywalczyć sobie drogę ucieczki, ale co gorsza, mogło to nie robić żadnej różnicy.

„Skoro tak bardzo chcą mojej śmierci, nie odpuszczą mi tylko dlatego, że uciekłam z okrętu. Będą mnie ścigać. Ludzie na tej planecie nie zasłużyli na to, co Ross spuszcza im na głowy tylko po to, by mnie sprzątnąć”.

A to rodziło problem.

Choć nie miała zbyt wysokiego mniemania ani o taktycznych umiejętnościach Ross, ani o ich siłach bezpieczeństwa, nic z tego nie

było im potrzebne.

Ich okręty dysponowały mocą daleko wykraczającą poza wszystko, co można by określić jako konwencjonalne. Już sama technologia uzbrojenia opierała się na natychmiastowym rozbijaniu wiązań atomowych. Nie można było lekceważyć kogoś, kto w opcji taktycznej posługiwał się ekwiwalentem bomby jądrowej.

Mimo potencjalnej mocy takiego uzbrojenia jego siła niszcząca wciąż pozostawała w zakresie, który Sorilla mogłaby określić jako konwencjonalny.

Oczywiście ludzka armia nie skłaniała się do użycia nuklearnych ekwiwalentów uzbrojenia, choć takimi dysponowała. Istniały przecież nawet jądrowe głowice taktyczne, lecz z oczywistych względów podczas ziemskich konfliktów nie przynosiły większych korzyści. Przede wszystkim okazywały się zdecydowaną przesadą, jeśli chciałoby się mieć jakikolwiek użytek z podbitych terenów.

Zniszczenie budynków i infrastruktury, napromieniowanie ziemi, powietrza i wody oraz bezwarunkowe uśmiercenie wszystkiego było właściwie samym złem z punktu widzenia celów operacji. Wbrew powszechnej opinii wojsko nie skupiało się na zabijaniu ludzi i niszczeniu mienia, lecz na osiągnięciu wyznaczonych celów. Po prostu zabijanie i niszczenie aż nazbyt często okazywało się najkrótszą drogą do osiągnięcia tych celów.

Ross działali inaczej. Z tego, co Sorilla zaobserwowała, ziemie ich nie obchodziły, podobnie jak ci, którzy je zamieszkiwali. Napromieniowanie nie było dla nich ani pozytywne, ani negatywne – ani nie miało na nich wpływu, ani nie przynosiło korzyści. Jeśli więc w ten sposób mogli coś zyskać, nie wahali się, ale jeśli nie – nie zawracali sobie tym głowy.

Po prostu.

Problem tkwił w potędze, jaką dysponowali – a Sorilla podejrzewała, że w czasie wojny nie pokazali pełni swoich możliwości, może poza anihilowaniem planety w celu zniszczenia floty SOLCOM-u.

„Chociaż patrząc na to, jak cholernie łatwo im to przyszło, pewnie nawet wtedy nie zbliżyli się do granic swojego potencjału”.

Z jakichś przyczyn Sorilla przypuszczała, że zniszczenie planety z ich perspektywy mogło się okazać powściągliwą reakcją.

Nie wiedziała jednak, jakie są możliwe przyczyny ich powściągliwości, a to sprawiało, że postępowała z najwyższą ostrożnością, byle tylko nie skłonić Ross do zaprezentowania choćby ułamka ich potencjału, nie mówiąc o pełnej sile, wobec jakiegokolwiek zamieszkanego świata.

To nie skończyłoby się dobrze.

Z tej przyczyny była w kropce.

Skoro tak bardzo chcą ją dorwać, nie mogą wiedzieć, gdzie jest, jeśli tylko mieliby możliwość ją dosięgnąć. Mogliby rozerwać na strzępy całe światy – i z pewnością zrobiliby to – jeśli unicestwienie Sorilli okazałoby się ich celem operacyjnym.

Cofnęła się od wyjścia. Miała coś do zrobienia w głębi statku, nim będzie mogła tu wrócić.

Konklawe czekało.

I czekało.

Coś jest nie tak. Entropia powinna już tu dotrzeć.

Najprawdopodobniej już tu jest – obserwuje i planuje drogę ucieczki?

Niepewność pobrzmiwała w tych słowach na wielu poziomach.

Być może. Boi się?

Entropia nie okazuje strachu.

Nie pochlebiaj jej bez powodu. Nie ma dowodów na taką emocjonalną ułomność. Strach nie jest dla niej silnym motywatorem, ale z pewnością go odczuwa.

Coś planuje. Zmieniły się jej priorytety. Przewidzieliśmy, że ucieczka na planetę, gdzie będzie mogła znaleźć innych ludzi, będzie jej priorytetem. Przybyła zgodnie z przewidywaniami. Przewidzieliśmy, że ucieknie, by nawiązać kontakt, a ona zniknęła. Coś nam umyka. Jej priorytety uległy zmianie. Musimy ustalić jak.

Konklawe rozważyło te wnioski i bez zbędnej zwłoki zgodziło się z nimi.

Entropia nie była celem, którego działania łatwo obliczyć, ale nie z powodu wrodzonej nieprzewidywalności, jak pierwotnie

odnotowano w jej aktach. Chodziło raczej o to, że jej priorytety były odmienne od innych, zarówno w obrębie jej gatunku, jak i ogółu ras.

Działała z precyzją charakterystyczną dla jednostki wytrenowanej bojowo, ale ze zdecydowanie większą elastycznością wobec zmieniających się warunków. Nierzadko zdawała się zmieniać profil całej misji w środku działań, gdy natknęła się na informacje, które zmieniały jej percepcję.

Było to nietypowe dla większości bojowych frakcji gatunków zwierzęcych, jakie Ross znali. Właściwie dotyczyło to wszystkich ras Sojuszu poza jedną, która wykazywała pewną elastyczność wykraczającą poza schemat.

Entropia natomiast płynęła niczym woda przez pole bitwy... Wciąż zmieniała kierunek i plany, idąc po linii najmniejszego oporu w stronę nadrzędnego celu swojej misji.

Wiemy, że jej nadrzędnym celem musi być ucieczka i powrót do swojego ludu. Jakie są najwydajniejsze środki realizacji rzeczonych zadań?

Starszyzna zastanawiała się dłuższą chwilę.

Ucieczka z okrętu, pozyskanie od mieszkańców statku o możliwościach skoku, natychmiastowe opuszczenie planety.

Zgoda. Przeszkody?

Nasze siły. Musi wyeliminować ochronę lub ominąć ją w jakiś sposób.

Czekać.

Konklawe przerwało, patrząc w stronę mówcy.

O co chodzi?

Eliminacja lub ominięcie naszej ochrony nie prowadzi do wypełnienia jej misji.

Wytłumacz.

Założmy pełne zwycięstwo Entropii. Anihilacja naszych sił i ucieczka na planetę.

Mało prawdopodobne.

Założmy. Co by nam wtedy zostało?

Konklawe nie musiało się długo zastanawiać, odpowiedź była oczywista.

Gdy tylko opuściliby jednostkę, aktywowalibyśmy nasze główne działa i... och. Och nie.

Jej priorytety są nieco odmienne, niż nam się wydawało. Musi zablokować nam możliwość reakcji, nim opuści jednostkę.

Wdrażam rozkazy przekierowania ochrony.

Okręty Ross miały niewiele miejsc, które można by nazwać słabymi punktami. Większość tych, które udało się zniszczyć w czasie wojny, poległa w kontakcie z pociskami przeznaczonymi do burzenia bunkrów, wyposażonymi w głowice jądrowe. SOLCOM szybko zorientował się, że samymi atomówkami niewiele zdziała – okręty Ross wytrzymywały absolutnie niewyobrażalne uszkodzenia kadłuba i wciąż funkcjonowały. Klucz do zestrzelenia jednostki stanowiło dostarczenie głowicy jądrowej do jej wnętrza, choć i to skutkowało mniejszymi uszkodzeniami, niż wynikało z jakichkolwiek wyliczeń.

Na tym etapie Sorilla przypuszczała, że niezgodne z modelami braki energii wynikały z przeciekania jej nadmiarów przez portale na inne jednostki, oddalone o lata świetlne od celu ataku, ale nie zmieniało to ogólnej metody unieszkodliwienia okrętu Ross. Trzeba było uderzyć mocno i głęboko w trzewia statku.

Głęboko – to mogła osiągnąć. Może i nie miała nieograniczonego dostępu, ale z pewnością wystarczający.

„Szczególnie że rozstawili swoje siły do ochrony wyjść” – pokpiwała w duchu.

Ale żeby uderzyć mocno... to będzie trudniejsze do wykonania.

Co prawda ręczna broń goblina, którą zdobyła, miała większy potencjał niż nawet standardowe uzbrojenie przeciwczołgowe SOLCOM-u, ale nijak się to miało do mocy okrętowej głowicy nuklearnej.

„I chwała Bogu, nawet jeśli chwilowo jest to dla mnie problem”.

Samo wyobrażenie mechanoida Ross wyposażonego w coś tak potężnego zmroziło jej krew w żyłach.

Sorilla obliczyła, że ma jedynie kilka potencjalnych celów. Opcją taktyczną byłoby unieszkodliwienie działa głównego. Zniszczenie zaworu grawitacyjnego zniwelowałoby siłę ognia okrętu. Ross wciąż mogliby napuścić na nią swoje mechanoidy, ale to akurat

zadziałałoby raczej na jej korzyść. Wyobraziła sobie drony szarżujące po Arkanie niczym wyjątkowo głupie słonie w składzie porcelany.

Na odpowiedź miejscowych pewnie aż miło by było popatrzeć. Najlepiej z bezpiecznej odległości i z paczką popcornu, biorąc pod uwagę podejście Arkanianców do posiadania broni.

„Tak się nazywają? Czy Arkanianie? Coś tam na pewno sobie wybrali”.

Sorilla potrząsnęła głową i spróbowała skupić się z powrotem na misji.

Problem z pomysłem na unieszkodliwienie działa był prosty.

Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Badacze z SOLCOM-u mieli na to jakieś pomysły, ale nikt nie był do końca pewien, czy w ogóle istnieje na okręcie jakaś konkretna struktura, czy też broń jest elementem napędu albo czymś zupełnie innym. To skreślało broń z listy celów.

Druga opcja była o tyle łatwiejsza, że znała lokalizację celu. Główne silniki.

Sorilla pospiesznie przemieściła się o kilka pokładów w głąb okrętu. Nie miała wątpliwości, że przeciwnik prędzej czy później odkryje jej strategię, o ile już się to nie stało, więc im bliżej celu będzie, gdy pojawią się tam siły bezpieczeństwa, tym łatwiej będzie jej wywalczyć sobie drogę.

Ross używali silników grawitacyjnych, które stały się inspiracją dla grawitacyjnych mechanizmów kontrolnych w najnowszej klasie okrętów SOLCOM-u. Co prawda projekt SOLCOM-u był niczym dziecięce próby zbudowania harleya z kartonu i plastikowych kubeczków, żeby wozić się jak tatuś, ale jakimś cudem to zadziałało... na swój sposób.

Inżynierowie i badacze wiedzieli dość dużo o silnikach Ross, choć spora część tych informacji opierała się na czytaniu między wierszami tego, czego nie wiedzieli. Niemniej zidentyfikowano najważniejsze elementy... a że działo się to w czasie wojny, wysadzanie w powietrze tych najważniejszych elementów z pewnością przyciągało uwagę.

Zapoznanie się z zasadami działania silników okrętowych wroga nigdy nie było na liście priorytetów kogoś takiego jak Sorilla. Nie

miała ani odpowiedniego wykształcenia, ani czasu na zrozumienie inżynierskich niuansów... ale sposób na wysadzenie silnika? To była dokładnie jej specjalność.

Przyczaiła się w półmroku jednego z bocznych pomieszczeń, gdy usłyszała rytmiczne kroki na pokładzie i wyczuła zbliżające się oddziały. Zmarszczyła brwi, gdy automatycznie zmieniły kierunek i ruszyły w stronę, gdzie właśnie się ukryła.

„Obserwują mnie? Nie sądziłam, że mnie widzą tym razem, patrząc na... O kurwa, ale ze mnie idiotka”.

Skrzywiła się, wyłączając od razu przechwycony skaner, który przecież musiał emitować potężne pole aktywnych, a więc namierzalnych sygnałów. Wysunęła się z kryjówki i popędziła korytarzem z dala od nadchodzących mechanoidów.

„Teraz będzie trudniej”.

Konklawe z niezadowoleniem przyjęło utratę możliwości śledzenia celu.

Dezaktywowała skaner. Irytujące.

Wyizolować jej lokalizację. Pozyskać możliwość wizualnego śledzenia.

Konklawe zgodziło się na te działania i zaczęło je wdrażać, ale okazało się to dość trudne. Żeby znaleźć Entropię, trzeba włączyć system aktywnego śledzenia, który musiałby przetworzyć praktycznie nieskończone strumienie danych przechodzących przez wszystkie inne systemy pokładowe. Bez możliwości przefiltrowania danych całość potrwa zdecydowanie za długo, nawet uwzględniając kompresję czasu. Entropia poruszała się zbyt szybko w stronę celu, który starszyzna uznała za zbyt niebezpieczny, by ryzykować utratę choćby jednej chwili.

Sprowadzić więcej ochrony wzdłuż tej osi – orzekł jeden ze starszyzny. Nie zostawiać luk. Wypłoszymy ją na otwartą przestrzeń.

Zgoda.

Parithaliański transport

– Punkt skoku tuż przed nami, wysłanniku.

– A jednostka Ross tuż za nami. Zdążymy? – zapytał Sienele z napięciem, przerzucając wzrok z ekranu na ekran.

Kriss wzruszył ramionami.

– „Czoło Wichru” zdołało znacząco zredukować przyspieszenie wrogiego okrętu. Mimo to i tak zdołali rozpędzić się dostatecznie, by nas dogonić – odparł bez emocji. – Liczby są odrobinę nieprecyzyjne. Nie mamy pewności, w jakim dokładnie stopniu okręt Ross jest w stanie utrzymać przyspieszenie i jak duży wpływ na lokalną czasoprzestrzeń miało zniszczenie krążownika.

Sienele skrzywił się, lecz skinął twierdząco. Przyspieszenie okrętu Ross wykazywało minimalną zmienność od chwili zniszczenia „Czoła Wichru”, zapewne częściowo na skutek napraw, a częściowo z powodu uszkodzeń nawarstwiających się przez naprężenia wynikające z przedłużającego się pościgu.

Efekty działania zaworu grawitacyjnego na lokalną czasoprzestrzeń przeszły mu przez myśl, ale była to oczywista zmienna, którą trudno uwzględnić w obliczeniach. Nawet na tak znacznym dystansie, jaki dzielił ich od macierzystej jednostki, mały transportowiec wyraźnie odczuwał przyciąganie w stronę grawitacyjnego leja, który zniszczył parithaliański krążownik.

Wyciskali ze stateczku wszystko, co możliwe, by zdążyć do punktu skoku, ale dowiedzą się, czy się udało, dopiero gdy pojawią się po drugiej stronie... lub nie.

Przeanalizował skany ścigającej ich jednostki, upewniając się, że zbiera o niej jak najwięcej danych. Parithalianie nie opracowali głowic antimaterii w czasie wojny, więc siłą rzeczy nie mieli później

możliwości przetestowania tej broni na okrętach Ross. Wielu badaczy będzie bardzo ciekawych zakresu zniszczeń.

A te były znaczące, by oddać sprawiedliwość Parithalianom. Okręt wyglądał, jakby zaatakowała go dzika bestia. Jego śnieżnobiały wcześniej kadłub znaczyły głębokie blizny, ukazujące zniszczone wnętrze.

Niestety, wciąż było to za mało, by zniszczyć lub unieszkodliwić okręt. Uszkodzenia miały swoje konsekwencje, ale niedostateczne.

„Wygląda na to, że większość uszkodzeń jest powierzchowna. Rozciąga się na powierzchni kadłuba lub o kilka pokładów w głąb. Oczywista konsekwencja użycia antimaterii. Reaguje z tym, co jest najbliżej”.

Jest to jakaś wskazówka dla Pari co do kierunku, w jakim należy ulepszyć nową broń.

„W czasie wojny ludzie zniszczyli kilka okrętów Ross. Ciekawe, jakiej broni użyli?”

Musiał to później wyszukać, zakładając, że w ogóle dotrze do swojego biura i bazy danych wywiadu Sojuszu.

Alarm zbliżeniowy wytrącił go z rozmyślań. Siennele skupił się na ekranie nawigacyjnym.

Jak na aktualne standardy Sojuszu był mocno przestarzały, ale wciąż nadawał się do użytku. Teraz informował, że weszli w zewnętrzną przestrzeń wyznaczonego punktu skoku.

– W końcu – syknął.

– Za wcześnie na ekscytację – uprzedził go Kriss. – Musimy wejść głębiej, nasz napęd skokowy jest... no cóż, nie jest nowy, łagodnie rzecz ujmując.

Siennele prychnął.

Lucjanin miał rację, określenie „nie jest nowy” było łagodne. Stary parithaliański transportowiec, którym lecieli, był wyposażony w jeden z pierwszych modeli silnika skokowego, najstarszy, o jakim Siennele w ogóle słyszał. Był w szoku, że w ogóle jest jeszcze w użyciu. Niemniej musiał przyznać, że sprzedaż najstarszych modeli prymitywnym światom – takim jak dwie kolonie ludzkie w przestrzeni Sojuszu – miała jakiś sens.

– A Ross są już prawie w zasięgu. Będzie ciasno.

Alarm ponownie skierował uwagę konklawe na sytuację w systemie, którym pierwotnie mieli się zająć, zamiast poświęcać się całkowicie pochwytceniu jednego człowieka. Korzystając z kompresji czasu, by zyskać tyle... no cóż, czasu, ile było im potrzeba, przeanalizowali kurs parithaliańskiego transportowca, który próbował opuścić system.

Zbliżają się do współrzędnych inicjacji skoku. Nie mogą tam dotrzeć. Obliczenia do przechwycenia?

Przechwycenie będzie zbyt późne... marginalnie.

Marginalnie spóźnione to wciąż spóźnione. Opcje.

Umysły analizowały różne scenariusze i ich potencjał, przeprowadzając symulacje.

Zakłócić punkt skoku.

Stwierdzenie sprawiło, że wszyscy przerwali, skupiając się na pomysłodawcy.

Interesujące. Przed czy w trakcie skoku?

To pytanie zastanowiło wszystkich. Zakłócenie punktu skoku w czasie tranzycji było dobrym sposobem na zapewnienie śmiertelnego wypadku, ale wymagało czasu na dokładne obliczenia. Taki był pierwotny plan zniszczenia krążownika Sojuszu. Jeśli obliczenia będą błędne, możliwe, że jednostka zakończy skok w innym niż docelowy punkcie lub gdzieś w pustce przestrzeni.

Nieakceptowalny poziom ryzyka. Nie mamy możliwości oceny, czy znajdziemy się dostatecznie blisko, by wywołać odpowiednie zakłócenia w czasie tranzycji. Możliwe, że cel przetrwa. Zakłócić punkt przed skokiem, a potem zniszczyć cel, nim punkt się na powrót ustabilizuje.

Zgoda.

Wydano rozkazy.

Szybko przeanalizowano skany, uwzględniając źródła grawitacji wewnątrz systemu oraz fale przychodzące z zewnątrz, których interakcje tworzyły punkty skoku. Poczyniono szybkie obliczenia najlepszej lokalizacji do zakłócenia punktu i wycelowano zawór grawitacyjny.

Parithaliański transportowiec

Zawyły alarmy przyspieszenia, gdy statek został gwałtownie zepchnięty z kursu przez anomalię grawitacyjną.

– Strzelają do nas – stwierdził Sienele, sztywniejąc.

– Nie, to nie było nawet blisko – odparł spokojnie Kriss. – Jest gorzej.

– Gorzej? Niby jak? – Sienele nachylił się, a Kriss stuknął pazurem w ekran.

– Według odczytów nie jesteśmy już w zewnętrznym obszarze punktu skoku. Według odczytów nie ma żadnego punktu skoku.

– Jak to w ogóle możliwe? – zapytał jeden z Lucjan, siedzący za ich plecami.

– Zakłócenie punktu skoku jest znane w teorii nauce Sojuszu. Dostatecznie duże zakrzywienie czasoprzestrzeni może wywołać coś takiego... i najwyraźniej właśnie wywołało – odparł Sienele ponuro.

– Nikt nie wiedział, że Ross dysponują dostateczną mocą.

– Już po nas – stwierdził Kriss. – Teraz nie możemy im uciec.

Sienele skrzywił się, nie patrząc na ekrany. Wiedział, że to prawda, niewiele mogli zrobić, gdy ich jedyna droga ucieczki z systemu właśnie przestała istnieć.

– Niech drogo okupią to polowanie.

Kriss i Sienele spojrzeli po sobie, a potem na tego, kto powiedział te słowa. To był ten sam Lucjanin, który przed chwilą nie mógł uwierzyć w zniknięcie punktu skoku. Powoli pokiwali głowami.

– Zgoda – odparł Kriss, a uśmiech wrócił na jego twarz. – Niech drogo okupią to polowanie.

Okręt portalowy

Konklawe przyglądało się, jak punkt skoku znika, oddalając się od pierwotnej lokalizacji z prędkością przekraczającą prędkość przesyłu informacji. Wkrótce wróci, ale impuls grawitacyjny da starszyźnie dostatecznie dużo czasu na wykonanie zadania.

Stary transportowiec Sojuszu nie dysponował mocą wystarczającą, by uciec ich jednostce, nawet uszkodzonej, tym

bardziej że miała już ogromną przewagę prędkości w chwili, gdy uszkodził ją parithaliański krążownik.

Było to tylko kwestią czasu, a starszyzna wiedziała, że załoga transportowca miała tego świadomość.

Ross zdziwili się więc, gdy mały statek rozpoczął manewry unikowe, zmieniając gwałtownie kurs. Manewr wiele kosztował ich własne silniki, ale zdołali podążyć nowym kursem.

Nie zostawią świadków.

Parithaliański transportowiec

– Podążają za nami – powiedział Sienele. – Przyspieszenie... spada. Wciąż nie dość, byśmy mogli uciec.

– Ucieczka to marzenie głupców. Gdybyśmy mieli odpowiednie uzbrojenie, przynajmniej dołożylibyśmy im zniszczeń przed śmiercią – warknął Kriss. – Ale niech się chociaż napracują nad nami.

Sienele pokiwał głową, jednym okiem śledząc ścigający ich okręt, ale skupiając się głównie na niemożliwym efekcie, jaki właśnie wywołał ich przeciwnik.

Tak jak powiedział Lucjaninowi, zakłócenie punktu skoku uważano w Sojuszu za teoretycznie możliwe, ale żadna z używanych technologii zakrzywiania czasoprzestrzeni nie zbliżała się nawet do potencjału wymaganego do takich działań. Prawdę mówiąc, nikt w Sojuszu nawet nie podejrzewał, że Ross mogą dysponować taką mocą, biorąc pod uwagę skalę kosmicznych oddziaływań, jakie tworzyły punkty skoku.

Wymagało to modyfikacji powiązań grawitacyjnych pomiędzy wieloma gwiazdami, planetami i zjawiskami międzygwiazdowymi, a wszystko we wzajemnej równowadze.

Zniszczenie czegoś takiego powinno pozostawać poza zasięgiem jakiegokolwiek gatunku, nawet Ross.

Sienele był tym wszystkim głęboko zaniepokojony, dlatego też poświęcał cenny czas na próbę zrozumienia, co się właśnie stało. Prawdopodobnie zginie, nim zdoła rozwikłać tę zagadkę, a nawet jeśli nie, i tak nigdy nikomu nie przekaze swoich wniosków, ale przynajmniej umrze bez tego uporczywego śwędzenia w mózgu.

Skanery transportowca były stare, ale dostatecznie solidne, by nie wyłączyć się pod wpływem impulsu grawitacyjnego. Nowsze modele wyłączyłyby się automatycznie, by zapobiec uszkodzeniom, ale najwyraźniej byli zbyt daleko od źródła grawitacji... choć Sienele nie zdziwiłby się, gdyby sprzęt skrócił tym samym swoją żywotność o kilka tysięcy cykli.

Na razie jednak się trzymał, a to wystarczało. Chociaż obliczenia zajmowały całą wieczność.

„Niech szlag trafi te stare systemy komputerowe. Wierzyć się nie chce, że ktokolwiek kiedykolwiek nawigował wśród gwiazd z tak niewielką mocą obliczeniową”.

Model, który Sienele chciał stworzyć, powoli się formował w oparciu o dane ze skanera.

– Co robisz? – burknął Kriss. – Widzę, że komputery pracują o osiemdziesiąt procent powyżej limitów!

– Czy to wpływa na twoją zdolność manewrów unikowych? – zapytał Sienele, sztywniejąc.

Kriss prychnął lekceważąco.

– Bynajmniej. Możemy co najwyżej wybrać jakiś kierunek i lecieć w tę stronę najszybciej jak się da. Nie wymaga to wiele od komputera.

– W takim razie nie zajmuj się mną – odparł Sienele. – Po prostu drapię swędzące miejsce, z którym nie chciałbym umrzeć.

Kriss roześmiał się na całego.

– Rozumiem cię. Niestety, wszystkie moje swędzące miejsca można podrapać jedynie blasterem, a nie mam żadnego z upatrzonych celów w zasięgu.

Niewielki pokład wypełniły aprobujące pomruki pozostałych Lucjan, więc Sienele wrócił do pracy. Jego oczy nagle rozszerzyły się, gdy zobaczył, co się właściwie stało.

„Oni nie zniszczyli punktu skoku, tylko go... przesunęli?”

Pchnął ekran z dala od siebie, pozwalając mu wrócić na miejsce i zablokować się w konsoli, po czym sięgnął do stanowiska Krissa, by zmienić kurs.

– Co ty wyprawiasz? W ten sposób szybciej nas dorwą!

Transportowiec Sojuszu zmienił kurs. Szacowany czas przechwycenia skrócił się o osiem procent.

Konklawe nieco zdziwiła ta informacja. Wyznaczenie kursu możliwie wydłużającego czas przechwycenia nie wymagało skomplikowanych obliczeń, a jednak zwierzęta z Sojuszu zdołały się w tym pomylić.

W pewnych aspektach było to zaskakujące, a w innych kompletnie nie.

Obliczyć ponownie równanie przechwycenia, rozpocząć starcie w odpowiednim momencie.

Równanie przeliczone, okno starcia otwiera się... teraz.

Przygotować się do wystrzału.

Alarm! Punkt skoku wraca, kurs na...

Konklawe obserwowało, jak wracający na pierwotne miejsce punkt skoku nałożył się na pozycję transportowca Sojuszu, którego silniki skokowe rozbłysły na moment, a potem statek zniknął z lokalnej czasoprzestrzeni.

Skoczyli przez poruszający się punkt skoku. Tego nawet my byśmy nie spróbowali.

Imponujące, nawet jeśli szalone i prawdopodobnie samobójcze... ale imponujące.

Czy da się ich śledzić?

Nie.

Równanie, jakie wypowiedziano po tym stwierdzeniu, było bardziej paskudne niż wszystko, co kiedykolwiek jakkolwiek gatunek byłby w stanie sobie wyobrazić.

Okręt portalowy, Arkana, świat Sojuszu

„Próbuję mnie wykurzyć” – pomyślała Sorilla, gdy musiała ruszyć naprzód, uciekając przed nacierającymi dronami. „Sprytnie”.

Bez zaawansowanego skanera było jej znacznie trudniej unikać się wroga, ale jak dotąd dawała radę. Problem w tym, że ochrona skutecznie odcinała ją od rdzenia silnika.

Ross najwyraźniej rozgryźli jej strategię, a przynajmniej jej bezpośrednie cele, co wróżyło problemy.

Sorilla czmychnęła w pusty korytarz, dokładnie taki sam jak wszystkie inne korytarze, jakimi wciąż podążała. Tym razem udało jej się odrobinę zbliżyć do celu. Było jasne, że nie dotrze tam niepostrzeżenie. Kręciło się tu zdecydowanie zbyt wiele wrogich dronów.

Musiała starannie wybrać moment, w którym ujawni swoją pozycję, by uzyskać najlepsze możliwe wyniki działań. To oczywiście wcale nie będzie proste, ale jak mówili jej kumple z oddziału, jedyny prosty dzień był wczoraj.

Przystanęła na rozwidleniu, czując, że siły bezpieczeństwa nie pozostają zbyt daleko w tyle. Mechanoidy nie zachowywały się nawet w części tak cicho, jak by się spodziewała, ale nie miała zamiaru na to narzekać.

Od rdzenia silnika dzielił ją jeden pokład. Cel był właściwie dokładnie pod nią, a prowadząca do niego rampa znajdowała się tuż za linią dronów.

„Bez szans, że się prześlizgnę”.

Zacisnęła szczęki pod osłoną hełmu. Ciało miała obolałe i zmęczone, podobnie jak umysł. Chciała po prostu zakończyć całą tę

historię. To się jednak samo nie robi – albo ona, albo wróg musi doprowadzić sprawę do finału.

Sorilla była zdeterminowana, by zakończyć misję na swoich warunkach, w ten czy inny sposób.

Była już w ruchu, gdy aktywowała ponownie skaner. Jej mięśnie zaprotestowały, gdy ruszyła ociężałym biegiem, który stopniowo przeszedł w sprint. Odgłosy zaalarmowanej ochrony miała tuż przed sobą, nim pierwsze projekcje ze skanera wypełniły jej umysł za pośrednictwem implantów.

„Jeden w korytarzu, próbuje mnie zająć z boku...”

Sorilla zniżyła się do ślizgu i wyjechała z bocznego korytarza, pozwalając ogromnej pięści golema przelecieć nad swoją głową, po czym sunąc pod nim, wypuściła dwa potężne impulsy w jego łączenia.

Usłyszała trzask metalu i ceramiki, ale sunęła dalej, nie oglądając się na efekty swoich działań.

„Gobliny, mają broń impulsową. Ładuje się... raczej nie mają aktywnych żadnych zabezpieczeń”.

Podniosła się ze ślizgu do przysiadu, zrównując broń z linią wroga, i ciągłym ogniem impulsów czasoprzestrzennych zmiotła cały szereg dronów, nim zdążyły zareagować na jej obecność.

Sorilla wyczuwała jednak kilkanaście kolejnych goblinów zmierzających w jej stronę z wielu kierunków i ładujących broń do wystrzału.

„Kolejne cele skupiają się w obszarze operacyjnym” – odnotowała beznamiętnie informacje podawane prosto do jej mózgu. „Wysycą przestrzeń ogniem w czasie poniżej dwóch sekund. Nic nie przetrwa”.

Nie przerwała ruchu, podnosząc się z przysiadu na nogi i rzucając do biegu. Zanurkowała, a przestrzeń za nią eksplodowała chaosem czasoprzestrzennych zakrzywień. Zsunęła się po rampie i wpadła na pokład poniżej.

Natychmiast wyłączyła skaner, licząc, że zmyli i opóźni wroga. Miała nadzieję, że Ross pomyśli, że zginęła w starciu, i minie choćby kilka chwil, nim zorientują się w pomyłce.

Małe szanse, ale któż jej odmówi nadziei.

Konklawe nie zdążyło nawet mrugnąć, choć działało w obszarze kompresji czasu.

Atak rozegrał się tak szybko i zakończył tak nagle, że od chwili jego rozpoczęcia do momentu zalania całego obszaru ogniem minęło raptem kilka chwil, nawet według ich rachuby.

Zginęła?

Skaner dezaktywowano. Obszaru nie da się aktualnie zeskanować z powodu zakłóceń po impulsach czasoprzestrzennych. Odpowiedź nieznana.

Entropia żyje, dopóki nie zobaczymy jej ciała. Sprowadzić więcej ochrony do uzupełnienia strat.

Start od bratobójczego ognia.

Nieistotne. Jeśli zniszczyło to Entropię, było warto. Czy rdzeń został zabezpieczony?

Kilkanaście oddziałów bezpieczeństwa jest na miejscu, kolejne zmierzają w tę stronę.

Czyli jeszcze nie.

Sorilla wyjrzała zza rogu, przyglądając się formacji wroga poprzez czujniki pancerza. Korzystała z zapasowych sensorów, bo główne znajdowały się w jednej linii z jej oczami.

Rdzeń znajdował się tuż za linią sił ochrony, ale Sorilla nie miała już więcej asów w rękawie. Przeciwnicy nie byli przesadnie sprawni w walce, ale uczyli się w oparciu o wcześniejsze doświadczenia i byli zdyscyplinowani w stopniu nieosiągalnym dla żywego żołnierza.

Takie były zalety mechanicznych sił.

Wzięła kilka głębokich wdechów, by nieco się rozluźnić. Skrzywiła się, gdy poczuła znów wszechogarniający, pulsujący ból.

Gdy była w ruchu, ból schodził na dalszy plan, ale wracał coraz szybciej i coraz silniejszy za każdym razem, gdy robiła przerwę. Wiedziała, że jeśli niedługo nie zakończy misji, po którejś z takich przerw nie będzie już w stanie ruszyć dalej.

Może i ból był znakiem słabości opuszczającej ciało, ale nie pomagało to zbyt, gdy ciało generowało wielkie zapasy tej

słabości.

„Czego bym nie dała za zdalnie sterowanego drona z ładunkiem kumulacyjnym... albo za kilkanaście takich”.

Niestety, tego nie było w podręcznikach, więc musiała improwizować.

Znalazła w pobliżu wejścia panel dostępowy – taki jak te, których wcześniej używała do robienia spięć w obwodach drzwi – i podważyła go opancerzonymi palcami. Teraz jednak nie szukała obwodów, a jakiegoś mocniejszego źródła zasilania.

Zauważyła, że korytarze były mocno doświetlone w zakresie przekraczającym pasmo światła widzialnego. Jej pancerz i implanty nie wymagały wiele, ale o ile nie miała w planach używania skanera, który natychmiast zdradziłby jej pozycję, potrzebowała choćby minimalnego oświetlenia.

Zakładała, że przeciwnicy mają podobne uwarunkowania, w przeciwnym razie okręt nie byłby tak rzęsiście oświetlony.

Znalazła przewód zasilający, wysunęła go i rozerwała osłonkę. Trzymając dłonie z dala od prądu, znalazła kolejny kabel, ponownie usunęła osłonkę, po czym zrećźnie je zapętlila i odskoczyła szybko.

Nie miała pojęcia, jak działały systemy zasilania na okrętach Ross, ale z doświadczenia wiedziała, że ludzkie systemy raczej nie reagują zbyt dobrze na tak wywołane spięcie. Szybko okazało się, że się nie zawiodła.

Zamiast iskier sypiących się z panelu zobaczyła, że całe wnętrze ściany skręciło się wyraźnie, co dało jej solidną motywację, by zabrać się stamtąd w diabły, podczas gdy ściana wypaczała się coraz bardziej.

Kiedy była pewna, że zaraz wszystko wybuchnie, nagle zrobiło się kompletnie ciemno.

Nie ciemnawo. Całkowicie ciemno, jak w grobie.

Sorilla mrugnięciem przywołała w pancerzu i implantach pasywny tryb podczerwieni i aktywowała nocne maskowanie. Trochę to pomogło. Ściany i pokłady miały dość wyrównaną temperaturę, ale powietrze już nie, a drony przed nią były wyraźnie cieplejsze od otoczenia.

„To mi wystarczy”.

Ruszyła naprzód, poruszając się jak najciszej. Jej pancerz nie został stworzony do skradania, a już na pewno nie po stalowych pokładach, ale nie był to też rozklekotany mech. Udało jej się ograniczyć hałasy na tyle, że mechanoidy najwyraźniej jej nie słyszały, a ciepłotę jej ciała niwelował tryb nocnego maskowania.

Długo tak nie pociągnie. Czowała wyraźnie, jak wzrasta temperatura wewnątrz pancerza, bo cała moc systemów chłodzących została przekierowana na zewnątrz, by utrzymywać temperaturę zewnętrznych promienników jak najbliżej neutralnej.

Wyglądało na to, że drony wroga widzą się nawzajem, ale Sorilla nie odnotowała żadnych wiązek o jakiegokolwiek częstotliwości. Założyła, że pracują w trybie pasywnym. Być może termicznym, być może jakimś innym.

Mogła tylko mieć nadzieję, że cokolwiek to było, jajogłowi, którzy zaprojektowali jej pancerz, dobrze to zamaskowali. W przeciwnym razie będzie to najkrótsza próba skradania od czasów jej obozu dla rekrutów.

Więcej chaosu. Entropia znajduje się na pokładzie rdzenia.

Nikt z konklawe nie skomentował stwierdzenia takiej oczywistości. Pytanie nie polegało na tym, gdzie jest Entropia, lecz jakim sposobem, na otchłań, umiała cały czas wymykać się ich żelaznej pięści.

Cała sekcja pokładu była aktualnie pozbawiona zasilania. Oświetlenie i temu podobne stanowiły najmniejsze zmartwienie. Upośledzona została komunikacja i działały wyłącznie systemy awaryjne, przy czym połowa z nich była praktycznie bezużyteczna, bo impuls, który odciął zasilanie, rezonował wciąż przez osiem pokładów i zalewał wszystko zakłóceniami, przez które nic nie umiało się przebić.

Nakazać ewakuację krytycznych celów.

To polecenie zwróciło powszechną uwagę.

Nie możemy założyć, że Entropia nie osiągnie swojego celu. Krytyczne cele muszą być chronione, nie możemy ryzykować całego planu. Entropia to pomniejszy gracz. Jest irytująca, ale mimo

wszystkich dokonanych przez nią zniszczeń nigdy nie stanowiła ryzyka dla planu. W tym momencie to się zmieniło, choć nieświadomie. Nie pomogę jej w tym.

Z tak postawioną sprawą trudno było się spierać. Konklawe wydało rozkazy przeniesienia krytycznych celów z okrętu do bezpieczniejszych lokalizacji za pośrednictwem Ścieżek.

Konieczność podjęcia tej decyzji bardzo poruszyła starszyznę. Wszyscy czuli narastającą frustrację.

Jedna istota.

To było... niewyobrażalne.

Sorilla prześlizgnęła się poza linię ochrony, sunąc powoli zakosami. Drony przeczesywały pomieszczenie. Zakładała, że jej szukają, ale nie wykazywały żadnych oznak, że widzą cokolwiek poza sobą nawzajem.

„Dla mnie to dobrze” – pomyślała, przemykając do wejścia prowadzącego do rdzenia silnika.

Tu również oświetlenie nie działało, ale rdzeń i jego osprzęt pozostawały aktywne, emitując bladą poświatę, którą jej pancerz i implanty bez problemu wzmocniły.

Sorilla dokładnie rozejrzała się wokół, nim przemierzyła pomieszczenie w stronę mechanizmów kontrolujących rdzeń silnika okrętu. Oczywiście były zablokowane. Sorilla próbowała uzyskać do nich dostęp i czuła je pod palcami, ale pozostawały nieaktywne.

„Szkoda. Tak byłoby o wiele prościej...”

Wyciągnęła zdobyczną broń impulsową i zaczęła majstrować przy jej ustawieniach.

Pośród wielu rzeczy, jakich SOLCOM nauczył się w czasie wojny, była wiedza, jak nie dopuścić – ale też jak spowodować – by ta broń wybuchła. Nie było w tym nic szokującego. Uzbrojenie jakiegokolwiek typu z zasady dysponowało rezerwą mocy. Im większa ta rezerwa, tym większe szanse na przekształcenie tego potencjału w coś... użytecznego.

Na szczęście – przynajmniej z perspektywy jej bieżących celów – ta sama zasada obowiązywała wobec rdzeni zasilających silniki

jednostek międzygwiazdnych... tyle że w znacznie większej skali. Rdzeń silnika – czy to na jednostkach SOLCOM-u, czy Ross – dysponował niewyobrażalną energią potencjalną, która była utrzymywana na granicy niekontrolowanej reakcji, ponieważ z zasady znacznie trudniej było wykorzystać stabilną energię.

Niesamowite zasoby inżynierii zaangażowano do okiełznania wiązek energii w trudnej równowadze pomiędzy utrzymaniem bezpieczeństwa i stabilności energii a możliwością natychmiastowego uwolnienia ilości wystarczającej do rozniesienia planety (przynajmniej w przypadku Ross). Z inżynierią było jednak tak, że łatwiej było coś zepsuć, jeśli patrzyło się na to z zewnątrz.

Wywołanie przeciążenia w zdobyczej broni nie było może banalnie proste, ale podobnie jak z kablami w panelu drzwi nie wymagało wielkiej filozofii. Najtrudniejszą częścią zadania było ominięcie zabezpieczeń, które powstrzymywały wojaków przed dokładnie takim scenariuszem.

W przypadku jej własnego sprzętu Sorilla wiedziała o przynajmniej ośmiu różnych zabezpieczeniach, które blokowały jej możliwość wysadzenia zasilania pancerza... a to i tak skutkowałoby mało wydajnym wyciekami termicznymi. Z kolei zabezpieczenia stosowane w mocniejszej amunicji bywały imponujące.

Były również banalnie proste do ominięcia, jeśli ktoś wiedział jak.

Dostawcy sprzętu dwoili się i troili, by ich wytwory były idiotoodporne, więc wojsko znajdowało coraz lepszych idiotów... a siły specjalne, jak jednostka Sorilli, uważnie notowały osiągnięcia tych idiotów na wypadek, gdyby ktoś kiedyś chciał to powtórzyć.

Z bronią Ross sprawy miały się inaczej. Mechanizmy zabezpieczające nie były powszechne. Jakies podstawowe blokady chroniły przed przypadkowym wybuchem w wyniku upadku czy trafienia... ale nic nie blokowało możliwości celowego sabotażu.

„Nie jest to potrzebne w uzbrojeniu dla mechanoidów” – pomyślała Sorilla. Znacznie łatwiej wyeliminować głupotę wśród własnych sił, jeśli można jej po prostu nie uwzględnić w oprogramowaniu.

Dzięki temu sabotaż zdobyczej broni zajął Sorilli raptem kilka chwil. Nieco więcej czasu musiała poświęcić na znalezienie

odpowiedniego miejsca na podłożenie tak przygotowanego ładunku. Na szczęście SOLCOM odważył za nią tę część roboty, prowadząc wcześniej szeroko zakrojone badania na temat możliwości infiltracji i sabotażu okrętu Ross, a Sorilla – jako jedna z nielicznych osób, które kiedykolwiek znalazły się na takim okręcie – zarówno znacząco przyczyniła się do badań, jak i skorzystała z dostępu do ich wyników.

Teraz zablokowała broń w porcie, który według badań najprawdopodobniej służył do awaryjnego uwolnienia nadmiaru energii, i wprowadziła ostatnie poprawki w ustawieniach. Prawie natychmiast broń zaczęła emitować nieprzyjemny jęk... a właściwie całe pomieszczenie wypełniło się wyciem.

To grawitacyjne drgania harmoniczne broni zaczęły nakładać się na wszystko, co rezonowało w pomieszczeniu – i był to jasny sygnał, by zabierać się stamtąd jak najszybciej.

Sorilla nie zwlekała ani chwili i puściła się pędem do wyjścia. Zignorowała sygnały ostrzegawcze swojego ciała, bo obolałe mięśnie i poobijane organy mogły poczekać, a to, co zostawiła za sobą w maszynowni, zdecydowanie nie.

Wbiegła na rampę w pełnym pędzie, w przelocie trąciła goblina i przyparła go do ściany, nie zatrzymując się i pędząc dalej.

Teraz nie było czasu na walkę.

„Walka będzie całkowicie pozbawiona sensu już za bardzo krótką chwilę”.

Harmoniczne drgania grawitacyjne odnotowano w maszynowni. Podłożyła... ładunek zakrzywiający czasoprzestrzeń? Ludzie nie dysponują taką technologią.

Nie zachowuj się prymitywnie. Użyła naszej technologii.

Wśród starszyzny panował chaos. Jednocześnie kierowano drony, by próbowały rozbroić bombę, oraz ewakuowano istotną część załogi poprzez Ścieżki.

Entropia zdecydowanie zasłużyła na swój tytuł, co do tego panowała zgoda. Pojedynczy prymitywny osobnik zdołał wprowadzić chaos do planu, który rozwijał się bez zarzutu od

chwili, gdy zdecydowano o wstrzymaniu konfliktu z Wrogiem – a było to bardzo dawno temu.

Rosło przy tym przekonanie, że przynajmniej Entropia, a może cały jej gatunek nie jest wcale tak prymitywny...

Z pewnością widziano tam co najmniej potencjał czegoś więcej. Skoro choć jeden przedstawiciel gatunku mógł postrzegać i zmieniać wszechświat tak jak Lud, pozostali również mieli taki potencjał. Lepsze poznanie Entropii oraz całej ludzkości stało się istotnym zadaniem.

To będzie jednak musiało poczekać. Czekala ich eksplozja, której trzeba albo zapobiec, albo po niej posprzątać.

Ochrona była kompletnie zdezorganizowana, zauważyła Sorilla, gdy przebiła się bez większych problemów przez coś, co prawdopodobnie miało być blokadą. Mechanoidy były skupione na czymś innym i spora ich część została przekierowana.

„Cóż takiego może się dzieć”.

Nie miała czasu na zarozumiałstwo czy zawodową dumę, musiała szybko wydostać się z okrętu. Dopóki nie znajdzie się po odpowiedniej stronie frontu, a przynajmniej na jakiejś ziemi niczyjej, musiała wyrzucić rozluźnienie ze słownika.

Nie miała broni, biegła. Protokoły Ross na pewno obejmowały jakąś drogę ewakuacji, co zazwyczaj oznaczało tunel. W związku z nadchodzącą eksplozją przekładało się to także na konieczność ucieczki ze sporym wyprzedzeniem, w przeciwnym razie sprawy przybiorą bardzo nieprzyjemny obrót.

Opór malał coraz bardziej, im bliżej była wyjścia. Sorilla przypuszczała, że alarmy przekierowały ochronę gdzie indziej, a inne sprawy wzięły górę nad pochwyceniem pojedynczego intruza. To oczywiście działało na jej korzyść, pytanie, czy wystarczająco.

Wystrzeliła z korytarza do pomieszczenia, które służyło jako punkt wejścia i wyjścia z okrętu, biorąc najbliższe drony z zaskoczenia. Puściła się ślizgiem po podłodze, nogami do przodu, przemykając między stopami powolnego golema.

Schylił się do niej, próbując pochwycić ją w ruchu, ale jego budowa mu na to nie pozwoliła.

Włączając skaner, Sorilla znów wyczuwała wszystko wokół siebie niczym przedłużenie ciała. Gobliny zwróciły się w jej stronę, ale nawet na nie nie spojrzała. Stała z powrotem na nogi i biegła dalej.

Czuła, że mechanoidy ładują broń, ale to zignorowała.

Wrota wciąż były otwarte i widziała, jak załoga Ross spieszy z powrotem na pokład. Sorilla przelotnie zastanowiła się, co też robili na Arkanie, ale nie miała czasu o tym myśleć.

Mały szary Ghul wskazał ją palcem i chyba po raz pierwszy usłyszała, jak któryś z nich coś mówi.

Usłyszała – to nie było właściwe słowo.

Raczej poczuła.

Komunikacja Ross opierała się na impulsach czasoprzestrzennych. Oczywiście nawet nie zbliżało się to do poziomów energetycznych broni, ale i tak Sorilla prawie skamieniała ze zdumienia, gdy jedna z istot nakrzyczała na nią... polami grawitacyjnymi.

Było to tak surrealistyczne, że prawie wydawało się snem, ale uczucie szybko minęło i Sorilla zorientowała się, że jej ciało dalej biegnie, mimo że jej umysł wciąż jest w szoku.

Ghul skrył się szybko, gdy zaszarżowała na wyjście. Widziała, jak formuje się na nim jakaś osłona, która miała ją zapewne powstrzymać przed ucieczką – ale nie miało to wpływu na ostateczny rezultat.

Tymczasem wpadła na goblina, pakując mu kolano w głowę i niszcząc główne czujniki mechanoida, po czym odepchnęła się drugą nogą od jego torsu, wybijając się wysoko.

Golem próbował do niej sięgnąć, ale znajdowała się już powyżej jego zasięgu. Wyciągnęła ręce, by uchwycić jego głowę i wybić się ponad potężną maszynę. Przerzuciła ciężar ciała, opierając się o głowę golema, i opadła nieco, by jej stopy znalazły oparcie na plecach maszyny, po czym wybiła się najmocniej jak umiała.

Golem runął bezwładnie do przodu, próbując złapać równowagę, a Sorilla lotem nurkowym przeleciała przez otwarte wyjście w ciemność jaskini. Opadła po łuku z wysokości prawie dwóch

metrów prosto w grupę zdumionych Ghuli, goblinów i chyba jednego czy dwóch ludzi.

Sorilla bardzo by chciała zamienić słowo z ludźmi, którzy przebywali z personelem Ross w roli innej niż więźniowie, ale nie miała na to czasu. Zapisała na szybko dwa profile rozpoznawania twarzy – na wypadek gdyby miały przydać się później – a potem opadła na ziemię i przetoczyła się prosto w linię goblinów eskortujących Ghule na ich okręt.

Mechanoidy splątały się z nią w chaotycznej walce, w której uderzała wszystkim, co miała. Nie chciała poświęcić dronom ani chwili dłużej, niż to absolutnie konieczne, próbowała jak najszybciej się im wyrwać i zwinąć się stąd w diabły.

Już prawie wywalczyła sobie wolną drogę z plątaniny kończyn, gdy nagle przygniotła ją do ziemi potężna masa. Zrozumiała, że jakimś sposobem przegapiła co najmniej jednego golema.

Ciężki dron przytrzymał ją ciasno przy glebie, blokując jedno jej ramię. Drugim walczyła zaciekle, ale ledwo była w stanie wykonać jakikolwiek ruch i tak naprawdę właściwie wierciła się jedynie w silnym uścisku.

Nie mając punktu oparcia, nie mogła się uwolnić. Golem z każdą chwilą zacieśniał chwyt, a jej pancerz ponawiał ostrzeżenia o narastającym nacisku, który zbliżał się nieuchronnie do limitu tego, co zbroja mogła wytrzymać.

Dron zgłasza pochwycenie Entropii!

Otworzyć wejścia, wysłać więcej sił, by uniemożliwić jej ucieczkę.

Pojawił się problem!

Cokolwiek to jest, zostawcie to siłom bezpieczeństwa. Mamy ją!

Ustawiła broń na przeciążenie.

Mamy tego świadomość. Później naprawimy uszkodzenia!

Umieściła ją w porcie awaryjnego upustu rdzenia silnika!

Konklawe zamarło, kierując całą swoją uwagę na mówcę.

Rozbroić.

Specjaliści już tam zmierzają, niemniej...

Nagle głębokie drzenie wstrząsnęło wszystkim, nawet skompresowanym czasem, w którym przebywali.

Jest już za późno.

Na zewnątrz okrętu portalowego

Arkana, świat Sojuszu

Sorilla wyczuła detonację swojej pułapki, choć zapewne nikt inny wokół niej nie był niczego świadomy.

„Może co najwyżej Ghule” – pomyślała.

Pierwsza detonacja była nieduża, nawet dla niej ledwo wyczuwalna, ale Sorilla zamarała pod naciskiem golema, wiedząc, co nadchodzi. Gdy wstrząsnęło nimi głębokie drżenie, wolną ręką zaparła się o ziemię i pchnęła ze wszystkich sił.

Połączona siła jej pancerza i nagły wstrząs, który wytrącił golema z równowagi, pozwoliły jej odepchnąć się od ziemi, co ostatecznie przechyliło chwiejącego się mechanoida.

Runął na ziemię, a uderzenie na tyle poluzowało jego chwyt, że Sorilla miała w końcu szansę się wyrwać. Wykorzystała całą siłę mięśni wolnego ramienia i wzmocnionego pancerza, odpychając się jak najmocniej. Diagnostyka rozbłysła światełkami ostrzegawczymi przekroczonych limitów rozciągania, ale zignorowała je.

Usłyszała rozdzieranie syntetycznej muskulatury lewego ramienia pancerza, ale jednocześnie rozległ się przeciągły jęk wyłamane golema. Chwyt zwolnił się na tyle, że Sorilla uwolniła drugie ramię.

Teraz mogła wykręcać się i zapierać dwiema rękami, nawet jeśli lewa była mocno osłabiona. Uwolniła się wreszcie, spadając na ziemię w chwili, gdy gdzieś w głębinach rozległo się złowrogie dudnienie. Przytrzymując uszkodzone ramię, podniosła się z trudem i zaczęła biec.

Kilka mechanoidów chciało za nią podążyć, ale narastające wokół nich wstrząsy kompletnie je zdezorientowały. Słyszała krzyki... nie, wyczuwała je. Zrozumiała, że to Ghule zorientowały się, co się dzieje, i nie są z tego powodu zbyt szczęśliwe.

Sorilla nie umiała zmusić się do współczucia, biegnąc co sił w nogach niedbale ciosanym korytarzem, za wszelką cenę chcąc wyprzedzić to, co zaraz miało nastąpić.

Nie była to eksplozja, nie w klasycznym tego słowa znaczeniu, ani też implozja, jak to zazwyczaj miało miejsce przy zaworach grawitacyjnych. To, co się działo, było raczej atakiem sonicznym podkręconym na sto jeden... miliardów procent. Wszystko drżało, a raczej falowało. Czasoprzestrzeń odkształcała się wokół Sorilli i gdyby nie była już tak przyzwyczajona do tych odczuć, z pewnością nie byłaby w stanie pędzić naprzód tunelem, gdy ten zaczął załamywać się wokół niej.

Najpierw pojawiły się pęknięcia sięgające od ziemi po sklepienie, potem poluzowane skały zaczęły spadać coraz gęściej. Sorilla widziała już przed sobą wylot tunelu, ale kurz wzbijał się wokół niej, przysłaniając światło dnia szybciej, niż była w stanie biec w jego stronę.

Czuła, jakby dreptała w miejscu, choć widziała umykające w tył ściany tunelu. Zawirowania czasoprzestrzeni sprawiały, że czasami miała wrażenie, że wspina się ostro pod górę, po czym nagle grunt osuwał się jej spod nóg i spadała w dół, by po chwili wszystko się wyrównywało, a ona upadała ciężko na ziemię.

Nie oglądała się za siebie. Dawała z siebie wszystko, skupiając wzrok na stłumionej łunie przed sobą, a pozostałym zmysłom pozwalając prowadzić się przez chaos.

Dosłownie o krok przed eksplozją kurzu i pyłu wyskoczyła z tunelu na otwartą przestrzeń arkaniańskiej pustyni i przetoczyła się bezwładnie po skalistym podłożu, gdy grunt pod jej stopami rozrywały gwałtowne wstrząsy.

Przewróciła się na plecy, spoglądając w stronę tunelu, z którego przybyła. W niebo wznosiła się chmura pyłu, grunt zakołysał się ostatni raz, po czym jakby zapadł się w sobie. Zapadła nienaturalna cisza.

Sorilla z jękiem pozwoliła głowie opaść na ziemię i zamknęła oczy.

Było już po wszystkim. Nieważne, czy jej się udało, czy nie, wyczerpała wszystkie siły. Jeśli Ross mieli jeszcze jakiegokolwiek siły rozmieszczone w okolicy, było po niej.

Tym razem nie walczyła ze sobą, gdy pochłonęła ją ciemność.

Konklawe nie było zadowolone.

Było to oczywiste i w żaden sposób nie odzwierciedlało faktycznych reakcji starszyny na zaistniałą sytuację. Okręt na zamieszkanym przez ludzi świecie został zniszczony. Nie wiadomo, czy był kompletnie zrujnowany, czy po prostu uszkodzony na tyle, że nie dało się połączyć z nim Ścieżką – rezultat był ten sam.

Oczywiście wyślą kolejną jednostkę, by zbadała sytuację, ale zniszczenia już się dokonały.

Co jeszcze bardziej frustrujące, nie wiedzieli, czy Entropia przetrwała destrukcję, którą wywołała. Dopuszczano taką możliwość, choć wobec każdego innego człowieka odnotowano by śmierć w akcji.

Po raz czwarty tego błędu nie popełnią.

Cele misji według planu pozostawały niezmiennie, niemniej ta wpadka, czy raczej wpadki poskutkowały nowymi wyzwaniem. Natury tych wyzwań konklawe nie było jeszcze w stanie przewidzieć.

Wszystko będzie zależało od reakcji Sojuszu na ich działania. Jeśli Sojusz zareaguje w oparciu o tchórzliwe, prymitywne instynkty, tak jak do tej pory bywało, plan najpewniej będzie kontynuowany bez większych zmian.

Niemniej Lud już dawno nauczył się, że przewidywanie reakcji istot prymitywnych bywa złudne. W większości przypadków wydawało się to nieskomplikowane. Przewidywania były zazwyczaj trafne i można było na nich polegać... do czasu.

Jak będzie tym razem... wkrótce się okaże.

Tymczasem mieli naprawdę potężny bałagan do posprzątania.

Gdy Sorilla się ocknęła, było ciemno, choć horyzont rozświetlał już nadchodzący świt. Z trudem próbowała podnieść się na nogi. Jej ciało krzyczało w proteście, każdy mięsień i staw palił żywym ogniem, ale mimo to Sorilla zmusiła się do wstania.

Jej wewnętrzne zegary informowały, że pozostawała nieprzytomna przez osiemnaście godzin, leżąc na nieosłoniętej powierzchni w skwarze dnia i lodowatym chłodzie nocy. Bez wsparcia pancerza byłaby już w fatalnym stanie, ale nawet w nim wolała nie ryzykować dłuższego pobytu.

Niestety, nie dysponowała żadną mapą okolicy, ale na szczęście miejscowi nadawali sygnał radiowy, więc nasłuchiwała, pozwalając pancerzowi przeprowadzić triangulację i pokierować jej krokami.

Czekał ją długi spacer.

Lira McCallen nawet nie podniosła wzroku, zajęta sprzątaniem, gdy otwarły się drzwi do jej pubu. Było za wcześnie na stałych bywalców, ale przyzwyczała się, że tuż po tym, jak otwierała lokal, zawsze ktoś wpadał na chwilę, by się napić.

Skończyła przecierać ladę baru i odwróciła się, by przywitać gościa. Zamarła, widząc poobijaną postać, której jedno ramię wisiało bezwładnie. Była ubrana w chyba najbardziej niemiejskowy sposób, jaki Lira kiedykolwiek widziała, i wyglądała, jakby przeciągnięto ją za szybką terenówką przez czterdzieści akrów błota i skał.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała, powolnym, ostrożnym ruchem sięgając po karabin.

Postać uniosła zdrową dłoń i odbezpieczyła hełm, którego osłona uniosła się z sykiem. Lira była w szoku, widząc znajomą twarz.

– Dobry Boże, kobieto, co ci się stało? – zapytała, wychodząc przed kontuar.

Sorilla z grymasem usiadła przy barze i ostrożnie ułożyła bezwładną rękę na ladzie.

– To były długie tygodnie – odparła. – A tutaj co słyszać?

Lira prychnęła.

– Odkąd wysadziłaś rancho Constantine'a? Och, po prostu cudownie.

Sorilla przewróciła oczami.

– Nie nasza wina, że jego własni ludzie próbowali go uśmiercić. Co tam u niego, swoją drogą?

– Jakiś czas temu wygasił w końcu swój szal zemsty, wciąż ma gładką gadkę i zdobył kilka nowych blizn ku uciesze panien, z tego, co słyszałam.

Sorilla spojrzała na towarzyszkę z lekkim uśmiechem.

– Brzmi jak on.

– A co z tobą? – dopytywała Lira. – Wyglądasz, jakby... no cóż, wybaczyć, ale wyglądasz, jakby piekło okazało się nie dość złe i wysłało cię jeszcze niżej.

Sorilla roześmiała się, co zakończyło się bolesnym atakiem kaszlu. Lira zauważyła plamki krwi na ustach poturbowanej kobiety.

– Niżej, wyżej... tam i z powrotem – odparła. – Jak mówiłam, to były ciężkie tygodnie. A ostatnie kilka dni okazało się najgorsze.

– Kiedy wróciłaś na Arkanę? – zapytała Lira.

– Wczoraj, może przedwczoraj. Nie jestem pewna, nie mam ochoty sprawdzać w komputerze – przyznała Sorilla i zachwiała się zauważalnie.

– Nie przybyły teraz żadne statki.

– Nie, nie przybyły.

Lirę zaalarmowało rozchwiane spojrzenie Sorilli, jakby na zmianę odpływała i wracała do rzeczywistości. Strzeliła palcami.

– Wszystko w porządku? Nie odpowiedziałaś mi... Mogę wezwać lekarza.

– Nie trzeba, przeżyję – zapewniła Sorilla, zbywając pomoc machnięciem ręki. – To tylko pustynna choroba, wisienka na torcie wszystkiego innego.

– Proszę. – Lira wypełniła wodą wysoką szklankę. – Pij.

– Dziękuję. – Sorilla skinęła z wdzięcznością i upiła spory łyk.

– Nie spiesz się, jeśli jesteś odwodniona...

– Nie jestem. Pancerz mnie zabezpieczał, po prostu niewystarczająco. – Sorilla odłożyła szklankę i przytomniej spojrzała na Lirę. – Potrzebuję przysługi.

Lira zerknęła na towarzyszkę z krzywym uśmiechem.

– Nie masz jeszcze przypadkiem trochę ziemskiej whisky?

– Niestety, nie przy sobie, ale zobaczę, co da się zrobić.

– Może być. Czego potrzebujesz?

Eri Constantine spojrział na saloon z pewnym obrzydzeniem. Sasha Dalton skinął mu głową spod drzwi, więc przynajmniej miał pewność, że nie czeka na niego pułapka.

– Jest w środku – oznajmił Dalton. – Wygląda jak siedem nieszczęść, ale to ona.

Eri zadumał się nad tym. Gdy ostatnio ją widział, również nie była w najlepszym stanie, ale nie powiedziała, że wygląda jak siedem nieszczęść.

– Polecę Frankowi Idiocie pilnować ulicy – powiedział Dalton – ale na razie nic tu nie śmierdzi.

– Dziękuję.

Eri wziął głęboki oddech i pchnął drzwi, wchodząc do wnętrza budynku, do którego naprawdę rzadko się fatygował. Jeśli chciał się napić lub szukał kompana do picia, miał lepsze sposoby.

Przy barze ujrzał skuloną sylwetkę. Rozpoznał jej pancierz. Podszedł do niej powoli, przysunął sobie stołek i usiadł.

Właścicielka, Lira, postawiła przed nim butelkę i czystą szklanę.

– Na jej rachunek. – Skinęła w stronę zgarbionej postaci. – Jesteś przytomna, kobieto?

Sorilla odwróciła się, jęknęła cicho, otwierając oczy, i odepchnęła się lekko od baru prawą ręką. Spojrzenie Eriego spoczęło na jej lewej ręce, wiszącej bezwładnie.

– Co ci się stało?

– Pomniejsza potyczka, nic wielkiego – odparła.

– Nie powinnaś była ufać tym obcym – pouczył ją, lejąc sobie solidną porcję whiskey.

Sorilla tylko machnęła ręką.

– Kto mówi o zaufaniu, Ross i tak chcą mnie dorwać. Potrzebuję czegoś, Eri, i tylko ty możesz mi pomóc.

– Czego? – zapytał, biorąc pierwszy łyk. Był naprawdę ciekaw, w czym mógłby pomóc tej kobiecie.

– Statku.

Zakrztusił się i spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Tylko tyle? – zapytał kpiąco, gdy już przestał kaszleć. – Wiesz, ile obcy sobie życzą za cokolwiek, co by się do czegoś nadawało?

– Możesz coś znaleźć, Eri.

– Być może, ale dlaczego miałbym ci pomóc?

Sorilla odwróciła lewą dłoń, patrząc na rozmówcę.

– Masz jakiś komputer? Interfejs Sojuszu byłby najlepszy, ale bez niego też dam radę.

Eri przez chwilę się jej przyglądał, po czym strzelił palcami.

Jeden z mężczyzn przy drzwiach podszedł do nich i postawił na kontuarze komputer Sojuszu. Eric odpalił go, po czym odwrócił w stronę Sorilli.

Sorilla nawet go nie dotknęła, ale po chwili Eri zobaczył, że ekran się zmienił, wyświetlając coś, co wyglądało na schematy. Odwrócił ekran z powrotem do siebie i dokładnie przyjrzał się treści, po czym zamknął sprzęt.

– Skąd mam wiedzieć, że to jest autentyczne? – zapytał podejrzliwie.

Przewróciła oczami.

– Naprawdę uważasz, że się szwendam po okolicy z podrobionymi danymi zaśmiecającymi mi systemy? To autentyki, wszystko. Znajdź mi statek, dam ci dane i nawet przesznuję ci próbki, jak tylko SOLCOM ponownie otworzy szlaki.

– Wydajesz się pewna, że to zrobią.

Sorilla prychnęła.

– Tak między nami, nie zdziwiłabym się, gdyby już to zrobili, ale nie mam na razie żadnego potwierdzenia. Ta technologia powinna utrzymać cię tutaj na szczycie przez bardzo długi czas.

Sposób, w jaki podkreśliła słowo „długi”, sprawił, że Eri nieświadomie spojrzął z powrotem na komputer. Po chwili powoli pokiwał głową.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Tak zrób. Wgram ci resztę danych, gdy dostanę statek – powiedziała. – Muszę się przespać. Jeśli ktokolwiek z twoich ludzi kontaktuje się z Sojuszem, ani słowa o mnie.

Eri odepchnął się od kontuaru i machnięciem ręki odprawił faceta, który wcześniej przyniósł mu komputer. Teraz sam podniósł go

ostrożnie, nie chcąc spuszczać go z oczu. Spojrzał na Lireę, po czym rzucił na ladę spory napiwek.

– To za twój czas.

Subkontynent Haydena, tydzień później

Rozwyły się alarmy, wybudzając Cassiusa z głębokiego snu. Wylazł już z łóżka i był w połowie pokoju, nim porządnie otworzył oczy i zmusił się do chwili przerwy, by założyć spodnie i chwycić swój ulubiony karabin, nim wyjdzie za drzwi.

Zorientował się, że to alarm zbliżającego się statku powietrznego. Przez chwilę zastanowił się, czy nie warto by zamienić karabinu na coś porządniejszego z arsenału Sorilli, ale ostatecznie porzucił tę myśl.

Znalazł terminal, który aktywował alarm, i szybko przejrzał dane.

„Nikogo nie powinno tu być jeszcze przez co najmniej tydzień, a już na pewno nie o tej porze. Nie ma transpondera. Co, u diabła?”

Zauważył, że jednostka podchodzi do lądowania standardową ścieżką, a jej prędkość szybko spada. Wątpił, by było to coś groźnego, więc wyłączył alarm. Źli goście rzadko kiedy przestrzegają protokołów lądowania, podchodząc do celu.

Cassius narzucił lekką kurtkę, przewiesił sobie karabin przez ramię i ruszył w stronę lądowiska.

Zauważył jednostkę na tle ciemnego nieba, ale jej światła pozycyjne... jeśli to były światła, nie wyglądały dla niego normalnie.

Nim dotarł na miejsce, stało tam już kilku strażników z załogi miasta.

– Hej, panie Aida, ma pan jakiś pomysł, co jest grane? – zapytał jeden z nich.

Cassius potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia, chciałem was spytać o to samo.

– Dostaliśmy wezwanie w sprawie nieznanej jednostki podchodzącej do lądowania – usłyszał. – Żadnego transpondera, żadnej komunikacji, w dodatku to obca jednostka.

– Coś takiego.

To było dziwne. Jedyni goście spoza planety, jakich był w stanie sobie przypomnieć, raczej by się zapowiedzieli, a już na pewno

używaliby transponderów.

Cassius pożałował, że nie zamienił karabinu na coś konkretniejszego.

– No cóż. – Wskazał brodą statek nad ich głowami. – Lada moment dowiemy się, o co tu chodzi.

Strażnicy tylko pokiwali głowami, a ich dłonie nieświadomie oparły się o broń, podczas gdy statek – a był to statek, choć niewielki, ale na pewno nie samolot – opadł łagodnie na lądowisko, siadając wzorowo obok zaparkowanej tam już wojskowej jednostki nadprzestrzennej.

Mężczyźni czekali, aż jednostka wygasi silniki. Z nieznanym im powodów dziwne dźwięki wypełniały co chwilę nocną ciszę. Po kilkunastu minutach w poszyciu pojawiła się szczelina, rozległ się syk wyrównywanego ciśnienia i w końcu opadła rampa.

Pod światło obserwowali, jak ktoś schodzi w dół rampy, kulejąc wyraźnie, zatrzymuje się u jej podnóża i spogląda na oczekujących mężczyzn.

– Tata?

Cassius aż się zakrztusił, puścił karabin i rzucił się naprzód.

– Sor?

– Cześć, tato. – Jego córka uśmiechała się do niego, choć wyglądała na tak zmęczoną jak nigdy. – Dobrze cię widzieć.

Cassius poderwał ją w powietrze, ignorując pancierz, i mocno wyściskał.

– Nigdy więcej nie odwalaj mi takich numerów! – powiedział, powstrzymując łzy samą tylko siłą woli. – Nigdy więcej!

– Już z tym skończyłam, tato – obiecała, jedną ręką oddając uścisk. – Skończyłam.

Epilog

Subkontynent Haydena, później

To była całkiem udana kariera. Z taką myślą Sorilla spoglądała na naprawiony pancierz SOLCOM-owski, stojący dumnie w alkowie wbudowanej w ścianę w głębi pomieszczenia. Po obu stronach umocowano broń Sojuszu, które Sorilla pozyskała podczas ostatniej misji: karabin impulsowy i kilka drobiazgów podebranych Arkanianom.

Naprawa uszkodzeń pancierza okazała się nawet trudniejsza od zalecenia obrażeń, przed którymi nie zdołał jej ochronić – ale ostatecznie do tego ten sprzęt był przeznaczony.

SOLCOM pojawiał się i znikał. Miała za sobą całe tygodnie przesłuchań prowadzonych przez wszystkich, od Staruszka przez Rugera po paradę nadętych dupków, których nazwisk nie chciała nawet pamiętać. Przekazała im całą swoją wiedzę, wszystkie dane pozyskane z komputerów Ross i wszystko, co widziała.

Chcieli jej odebrać statek, ale powiedziała im wszystkim, gdzie mogą sobie wsadzić ten rozkaz. SOLCOM nie miał do tej jednostki żadnych praw, a ona nie miała zamiaru rezygnować z własnego statku nadprzestrzennego, nawet jeśli był to przestarzały parithaliański złom. Co prawda zapłaciła za niego wiedzą przynależną SOLCOM-owi... ale nie miała zamiaru się do tego przyznawać. Jedyna osoba, która wiedziała, czym zapłaciła za statek, za cholere nikomu nie powie, skąd ma swoje dane. Kontrola nad rynkiem środków przedłużających życie z pewnością okaże się bardzo lukratywnym biznesem dla Eriego.

Pozwoliła natomiast na naprawy swojego cacuszka. SOLCOM zapłacił za części i specjalistów, ona mogła przyglądać się i uczyć, a obie strony pozyskały informacje na temat tego, jak zbudowano ten zdolny do skoków stateczek.

Kiedy już upewniono się, że jednostka nie ma uzbrojenia, Mattan i Ruger załatwili nawet Sorilli zgodę na loty w przestrzeń Sol.

Może kiedyś z tego skorzysta.

Kiedyś.

W najbliższej przyszłości zostanie jednak na Haydenie, w domu.

Nikt nie poprosił jej o pancerz, co było dla niej zaskoczeniem. Zerknęła potem do raportów i znalazła deklarację Mattana, że pancerz został bezpowrotnie uszkodzony podczas jej ucieczki z okrętu Ross.

„Nie minął się zbyt z prawdą” – uznała, choć ostatecznie udało jej się go naprawić.

Wyszła z pomieszczenia, pozwalając ciężkim drzwiom się zatrzasnąć, i wspięła się po schodach na polanę za domem. Zamknęła za sobą masywną przeciwburzową klapę umieszczoną nad schodami i zdecydowała, że posadzi tu kwiaty.

„Coś uroczonego, może róże”.

Nie planowała raczej odkopywać sprzętu, który zgromadziła tam na dole, ale lata treningów nie pozwoliły jej również pozbyć się tego wszystkiego. Co z oczu, to z serca – to wystarczało.

Obeszła swój dom i spojrzała w dół malowniczych wzgórz, w stronę oceanu. Połyskująca nic nowego łącza orbitalnego stanowiła surrealistyczny akcent w tej pięknej scenerii.

Sojusz już wkrótce przyśle tu swoich pierwszych dyplomatów, a przynajmniej takie krążyły słuchy.

Staruszek szepnął jej również, że do SOLCOM-u wróciły sondy, niosąc informacje o tym, że Sojusz przeżywa pewne wstrząsy. W wielu systemach odnotowano walki. Wyglądało na to, że Sojusz sprząta brudy, które ktoś ujawnił.

Sorilla miała nadzieję, że oznacza to, że do Sojuszu dotarła wiedza niesiona przez pewną grupę, z którą niegdyś podróżowała.

Zastanawiała się, czy zobaczy jeszcze kiedyś Krissa lub Sienele.

„Byłoby miło” – pomyślała.

Może nawet przygotuje dla nich specjalne lokum w mieście.

Podniosła swój karabin myśliwski, przerzuciła go sobie przez ramię i ruszyła przez łąki w stronę lądowiska. „Socrates” zapowiedział się z wizytą, a wieczorem umówiła się z Jerrym i Tarą na kolację.

Za jej plecami dron MOFAD pokrył przeciwburzową klapę warstwą ziemi, a drugi ustawił na niej figurę starego, zepsutego

pługa pchanego przez roześmianego mężczyznę.

„Drogo okupiliśmy nasze lemiesz” – pomyślała Sorilla. „Ale chyba tak musi być”.

KONIEC

[1] Willie Pete – *white phosphorous*, biały fosfor (przyp. tłum.).

Spis treści

Strona tytułowa	
Strona redakcyjna	
Prolog	
Rozdział 1	
Rozdział 2	
Rozdział 3	
Rozdział 4	
Rozdział 5	
Rozdział 6	
Rozdział 7	
Rozdział 8	
Rozdział 9	
Rozdział 10	
Rozdział 11	
Rozdział 12	
Rozdział 13	
Rozdział 14	
Rozdział 15	
Rozdział 16	
Rozdział 17	
Rozdział 18	
Rozdział 19	
Rozdział 20	
Rozdział 21	
Rozdział 22	
Rozdział 23	
Rozdział 24	
Rozdział 25	
Rozdział 26	
Rozdział 27	

Epilog